

PIERWSZY TOM NOWEJ SERII
AUTORKI ROMANSÓW *MĄTRIOSZKA* I *ŁAWRUSZNIK*

CZARNE ŻAGLE KŁAMSTWO



PAULINA JURGA



PAULINA JURGA

CZARNE ŻAGLE

TOM 1

KŁAMSTWO



OTWARTE
KRAKÓW 2023

Copyright © by Paulina Jurga

Copyright © for this edition by Wydawnictwo Otwarte 2023

Opieka redakcyjna: Ewelina Tondys

Redakcja tekstu: Elżbieta Kot

Adaptacja makiety na potrzeby wydania: d2d.pl

Emoji w książce (buźki): popicon / Shutterstock

Rysunki statków: karaka – Vector Tradition / Shutterstock,

galeon – Manoj Maani / Shutterstock, fregata – Navalnyi / Shutterstock

Korekta: d2d.pl

Projekt okładki: Agnieszka Zawadka, Monika Drobnik-Słocińska

ISBN 978-83-8135-785-2-999



www.otwarte.eu

Na zlecenie Woblink



woblink.com

plik przygotowała Katarzyna Błaszczuk

Spis treści

Karta redakcyjna Kodeks Czarnych Braci Prolog Pierwsza szklanka Druga szklanka Trzecia szklanka Czwarta szklanka Piąta szklanka Szósta szklanka Siódma szklanka Ósma szklanka Dziewiąta szklanka Dziesiąta szklanka Jedenasta szklanka Dwunasta szklanka Trzynasta szklanka Czternasta szklanka Piętnasta szklanka Szesnasta szklanka Siedemnasta szklanka Osiemnasta szklanka Dziewiętnasta szklanka Dwudziesta szklanka Dwudziesta pierwsza szklanka Dwudziesta druga szklanka Dwudziesta trzecia szklanka Dwudziesta czwarta szklanka Dwudziesta piąta szklanka Dwudziesta szósta szklanka Dwudziesta siódma szklanka Dwudziesta ósma szklanka Dwudziesta dziewiąta szklanka Epilog Od autorki Playlista

CHOMIKO - WARNIA

„Nigdy nie było piratów, byli ludzie, którzy stwierdzili, że Wolność, którą dali im Bóg i Natura, jest barierą przeciwko bogatym i wpływowym”.

Charles Johnson, *Dzieje rabunków i mordów popełnionych przez najłynniejszych piratów*, tłum. B. Gutowska-Nowak
(cyt. za: <https://pl.wikiquote.org/wiki/Pirat>, dostęp 4.05.2023.)

CHOMIKO - WARNIA

Kodeks Czarnych Braci

1. Na okręcie każdy ma równe prawa.
 2. W kwestiach spornych oraz podczas walki decydujący głos ma kapitan statku.
 3. Dla dobra ogółu żywność i trunki mogą być ograniczane.
 4. Karą za kradzież jest chłosta, liczbę batów ustala Pierwszy¹.
 5. Nikomu nie wolno grać w karty ani kości na pieniądze.
 6. Broń musi być zawsze wyczyszczona i przygotowana na wypadek walki.
 7. W kubryku² należy zachowywać ciszę.
 8. Ukrywanie niewiasty na statku karane jest śmiercią.
 9. Porzucenie okrętu karane jest śmiercią.
 10. Wszelkie spory mają się kończyć na lądzie przy użyciu szabel lub pistoletów.
 11. Każdy ma zapewniony wikt i opierunek na Wyspie.
 12. Łup dzielony jest po równo.
 13. Zdrada karana jest śmiercią.
 14. Należy wybrać nowego kapitana przez głosowanie, jeżeli obecny dopuści się rażących uchybień i wielo-krotnie nadszarpnie zaufanie bądź narazi życie załogi.
 15. Ktokolwiek zdrze z członkiem flotylli Czarnych Braci, -czeka go sroga śmierć.
- 1 Pierwszy – pierwszy oficer na statku, zastępca kapitana.
2 Kubryk – wielo-osobowe pomieszczenie, w którym śpi załoga.



Karaka Crescencia
kapitan: Cruz
pierwszy oficer: Baako
bosman: Louis



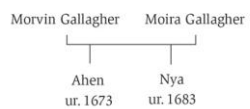
galcon Bienvenida
kapitan: Severo
pierwszy oficer: Samuel
bosman: Benito



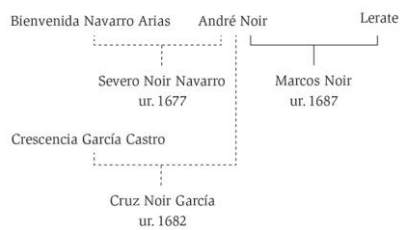
fregata Lerat
kapitan: Marcos
pierwszy oficer: Hugo
bosman: Julio
żaglomistrz: Renny
lekarz okrętowy: Tau

CHOMIKO - WARNIA

Bractwo Wpbrzeża



Czarni Bracia



CHOMIKO - WARMIA

Prolog

AD 1700

Chłodny wiatr od morza nie był w stanie przynieść ulgi gawiedzi tłumnie stłoczonej w tak zwanym Doku Straceń w hiszpańskim Kadyksie. Miasto portowe kwitło pod rządami markiza Miguela Rodriga Virdego. Przechodzące przez nie liczne szlaki handlowe doprowadziły do rozbudowy nadbrzeżnych tawern i miejscowego targu, gdzie można było nabyć produkty niemalże z każdego zakątka świata.

Od kilku dni całe miasto żyło jednak wydarzeniami, które miały zmienić losy żeglugi i handlu w basenie Morza Śródziemnego. Mieszkańcy huczeli niczym pszczoły w barci, kiedy okazało się, że armia króla Karola II Habsburga pojmała jednego z najgroźniejszych piratów pływających po wodach Morza Śródziemnego i Atlantyku. Był to niewątpliwie ogromny sukces Hiszpanii, przyćmiewający nieco niepełnosprawność jej monarchy, który oprócz spędzania czasu na tronie we własnych ekskrementach lubował się w obserwacji ekshumowanych zwłok swoich przodków i strzelaniu do zwierząt.

W takim mieście jak Kadyks publiczne egzekucje nie należały do rzadkości i były w zasadzie jedną z niewielu rozrywek, cenioną zarówno przez arystokrację, jak i przez plebs. Zwykle świętowano już kilka dni wcześniej, przekupując strażników więziennych, by móc do woli pogapić się na skazańca, zanim jego ciało zawiśnie na szubienicy.

Egzekucje traktowano także jako okazję do prezentacji najnowszych trendów w modzie. Tego właśnie dnia markiza Choncha Lopez Rodrigo zapragnęła pochwalić się nowym nabytkiem, przywiezionym niedawno z Francji. Jej pokojówka, czarnoskóra Kamaria, od samego rana pomagała swej pani w przygotowaniach. Wkładanie wielo-warstwowej sukni było nie lada wyzwaniem. Najpierw klatkę piersiową damy opasano usztywnianym fiszbinami stanikiem z krótkimi rękawkami, spiczasto wydłużonym do dołu. Spod wąskich mankietów wystawały koronkowe angażanty³. Kwadratowy dekolt także zdobiła misterna koronkowa falbana. Spódnice po obu stronach podpięto do sukni wierzchniej okazałymi kokardami, a z tyłu puszczone długi tren – im był dłuższy, tym wyższy status społeczny oznaczał. Koronkowy odcień sukni idealnie kontrastował z upudrowaną na biało twarzą markizy. Pokojówka z największą starannością wyczerniła brwi i rzęsy swojej pani, a jej policzki musnęła różem. Sama była szczęśliwa, że może chodzić w domowej sukni. Włosy markizy sumiennie potraktowała żelazkiem i ułożyła w typową dla hiszpańskiej arystokracji fryzurę okalającą twarz. W przeciwieństwie do Francuzek Hiszpanki z dumą prezentowały swoje naturalne włosy, dopinając do nich sztuczne loki. Tu i ówdzie włosy przetykano wstążkami i klejnotami. Całość dopełniała *civettu-ola*⁴, którą Kamaria umocowała za pomocą specjalnego kleju żywicznego nad ustami señory.

Siedząca na fotelu ośmioletnia Francisca z nudów wymachiwała nogami, próbując zrzucić wełniane pantofle. Markiza posłała jej ostrzegawcze spojrzenie i cmokając z dezaprobatą, syknęła:

– Zachowuj się, Francisco. Tak nie przystoi! Gdzie twoje maniery?! Señora Morena też narzeka na twoją konduite⁵! To się musi skończyć!

Dziewczynka siłą powstrzymała się od wzruszenia ramionami. Nie lubiła señory Moreny. Nie dość, że pachniała myszami, to jeszcze bez przerwy ją rugała. Javier, syn kucharki, powiedział jej w tajemnicy, że señora Morena zachowuje się tak, jakby ktoś włożył jej grotmaszt⁶ w rzyć. Francisca przyłożyła dłoń do ust i zachichotała na wspomnienie jego słów, co spotkało się z kolejnym nieprzychylnym spojrzeniem matki. Szybko odwróciła głowę w stronę okna

i rzuciła tęskne spojrzenie na nad wyraz tego dnia niespokojne morskie fale.

Ich dom stał nad brzegiem oceanu, otoczony bujną śródziemnomorską roślinnością i sporą połacią miękkiej trawy, która przechodziła w piaszczystą plażę. Każdego dnia Francisca oddawała się zabawie na złotym pias-ku, niejednokrotnie mocząc całe ubranie w morskiej toni. Teraz też chętnie zanurzyłaby się w chłodnej wodzie, aż po czubek głowy. Zniosłaby nawet ubieranie żółtego płótna do kąpieli, które w wodzie nadymało się i utrudniało ruch. Zrobiłaby wszystko, byleby nie marnować czasu na strojenie się tylko po to, żeby oglądać czyjąś śmierć.

Upał tego dnia był straszny i doskwierał wszystkim. Dziewczynka skrzywiła się, widząc kilka warstw sukni, którą zaraz musiała włożyć. Kiedy w końcu przyszła jej kolej, ze stoickim spokojem znosiła cały proces przywdziewania kilkuwarstwowej szaty. Wszakże nie przystoi pokazywać się publicznie w dezabilu⁷. Nie zdawała sobie sprawy, że jej zdanie dotyczące ubioru pokrywało się całkowicie z punktem widzenia Kamarii. Służąca szybko uwinęła się z delikatnym, barwionym na niebiesko jedwabiem. Francisca przejrzała się w zwierciadle. Sukienka z rozcinanymi rękawami i jedwabnym fartuszkim obszytym koronką szczelnie otulała jej ciało, a ona zamiast się uśmiechnąć, miała ochotę się rozplakać. Spojrzała na angażanty i pozwoliła sobie na ciche westchnienie, gdy Kamaria nałożyła jej na głowę koronkowy czepek.

*

W Doku Straceń powietrze zdawało się nieruchome. Miało się wrażenie, że można by go dotknąć palcami i ugniatać niczym ciasto na empanadillas⁸. Słońce grzało niemiłosiernie, a ludzie stłoczyli się tak ciasno pod szubienicą, że Francisca miała wrażenie, że za chwilę ją zduszą. Dotknęła palcami koronkowego kołnierzyka sukni i odchyliła go nieznacznie, by dać ulgę zroszonej potem skórze. W duchu dziękowała Opatrzności, że matka nie uparła się, by jej także upudrować twarz. Jej policzki, zwykle rumiane, teraz miały odcień dojrzałego pomidora. Po brzuchu i plecach spływały krople potu, które w zetknięciu z materiałem sukni powodowały uporczywe swędzenie. Opadające na szyję loki były mokre, jakby właśnie wyszła z wody. Przesząpiła z nogi na nogę, drapiąc się w wyjątkowo dokuczające miejsce.

– Proszę się nie wiercić, señorito – zrugła ją Kamaria, która ku swojemu niezadowoleniu była zmuszona towarzyszyć markizie i jej córce.

Harmider powoli stawał się nie do zniesienia. Ludzie żądni wrażeń niecierpliwili się, a lejący się z nieba żar nie sprzyjał tłumieniu negatywnych emocji. Markiza z córką stały blis-ko podestu, w strefie przeznaczony dla arystokracji. Dziewczynka podziwiała różno-barwne suknie bogaczek, które skutecznie zasłaniały jej widok na miejsce egzekucji. Choć skończyła osiem wiosen, była drobnym, acz pulchnym dzieckiem. Mimo swej tuszy nigdy nie mogła usiedzieć w miejscu. Kucharka często śmiała się, że ma pieprz w tyłku. Teraz też co rusz drobiła w miejscu. Zżerała ją ciekawość, toteż w pewnym momencie, uginając lekko nogi w kolanach, odbiła się od nierównego bruku. Markiza wydała z siebie gniewne syknięcie. Dziewczynka powiodła wzrokiem po dzieciach z plebsu, na których zachowanie żaden z dorosłych nie zwracał uwagi. Nagle poczuła, jak tłum obok niej niespodziewanie się rozprasza. Do nosa dziewczynki dotarł zapach, który kojarzył jej się z Javierem. Zapach skóry rozgrzanej słońcem, przesiąkniętej potem i zroszonej morską wodą. Odwróciła głowę i zobaczyła dwóch mężczyzn, a w zasadzie mężczyznę i chłopca, który musiał być niewiele starszy od Javiego. Mimo ciasnoty nikt nie odważył się stanąć obok nich. Już na pierwszy rzut oka wyróżniali się strojem, który kłócił się z ówczesnymi kanonami mody. Mieli na sobie kuloty⁹, a także czarne, obszerne, luźno puszczone koszule z podwiniętymi do łokci rękawami i rozpięte pod szyją. Dziecię-ca ciekawość nie pozwoliła dziewczynce odwrócić wzroku, mimo że mężczyźni wywoływali w niej lekki niepokój. To nie byli osobnicy, jakich można było spotkać na ulicach Kadyksu. Zapewne byli

braćmi, gdyż nawet profil mieli podobny. Głowę młodszego zdobiła bandana, spod której wystawały związane czerwoną wstążką czarne jak noc loki. Skórę miał oliwkową, wyraźnie smagniętą słońcem. W prawym uchu tkwiły dwa złote kółka, a prawy policzek przecinały dwie świeżo zagojone szramy. Na nadgarstku miał grubą skórzaną bransoletę, a do pasa przytwierdził rapier, na którego widok oczy dziewczynki rozszerzyły się w oszołomieniu. Chłopcy w Kadyksie nie chodzili z bronią. Przynajmniej nie z tą prawdziwą. Przybysze niewątpliwie zwiastowali niebezpieczeństwo, ale i przygodę, do której serce młodej Franciszki aż się rwało.

Wzmógł ryk gawiedzi sprawił, że dziewczynka spojrzała na podest, na którym pojawił się mężczyzna w szarosrebrnym krótkim dopasowanym kaftanie i wystającej spod niego od dołu obszernej śnieżnobiałej koszuli. Przez tors mężczyzny ukośnie przechodził skórzany pendent¹⁰. Miał na sobie rhingrave¹¹, białe pończochy i czarne pantofle na koturnach. Głowę zdobił typowy hiszpański kapelusz w odcieniu kaftana, przystrojony czerwoną wstążką.

– Zobacz, matko, to ojciec! – krzyknęła radośnie dziewczynka, wskazując palcem w stronę podestu i podskakując jak mała pchełka.

– Zamilcz, Francisco! – warknęła matka. – I stój spokojnie. Takie zachowanie nie przystoi damie!

Dziewczynka poczuła rumieniec wstydu wypływający na policzki. Zwiesiła pokornie głowę i słuchała tego, co odczytywał markiz, aczkolwiek nie rozumiała za wiele. Wyłapała tylko „okrutne zbrodnie”, „pirateria” i „skazany na śmierć przez powieszenie”. Poczuła dziwne mrowienie na karku, toteż oderwała wzrok od pokrytego kurzem bruku i przeniosła go na stojącego obok chłopca. Spojrzenie, jakim ją mierzył, sprawiło, że cofnęła się kilka kroków, omal nie przewracając się o własną suknię.

– Señorito! – skarciła ją Kamaria, złapała za dłoń i gwałtownie przyciągnęła bliżej siebie.

Ale Francisca nie mogła oderwać wzroku od twarzy chłopaka. Na lewym oku miał przepaskę – taką, jaką zwykli nosić piraci – a drugą bursztynową tęczówkę wbijał w nią z taką stanowczością, jakby próbował przeniknąć do jej myśli. Jego wzrok na moment skupił się na Kamarii i markizie – jakby próbował zapamiętać, jak wyglądają – po czym ponownie wrócił do twarzy dziewczynki. Nie było w tym spojrzeniu ani krzty serdeczności, wyglądał raczej jak lew szykujący się do ataku. Jedną dłoń zacisnął kurczowo na szpadzie, jakby miał ochotę wbić ją prosto w czyjeś serce. W drugiej zaś ścisnął amulet zawieszony na szyi na grubym rzemieniu.

Entuzjazm gawiedzi znów sięgnął zenitu, kiedy wprowadzono skazańca. Francisca odwróciła wzrok i stanęła na palcach, chcąc zaspokoić ciekawość. Ze zdumieniem stwierdziła, że mężczyzna wygląda nader zwyczajnie. Był przeraźliwie chudy, miał odstający brzuch i przeoraną bruzdami, wymizerowaną twarz. Długie, posklejane w strąki włosy opadały mu na ramiona. Nie miał koszuli, a przez dziury w kulotach wyglądała poraniona skóra. Kat – w czymś na kształt worka z dziurami na oczy wciśniętym na głowę – podszedł do skazańca i założył mu na szyję stryczek. Mimo że dziewczynka nie pojmowała wszystkiego, co się działo, dreszcz niepokoju przebiegł jej po plecach, bo dobrze wiedziała, czym jest śmierć. I nie rozumiała całego tego podniecenia bijącego z żądnego krwi tłumu.

Jej spojrzenie znów powędrowało do chłopca, który nie spuszczał wzroku ze skazanego. Wyraz twarzy miał zacięty, a dłoń na rękojeści rapiera zacisnął w tym momencie tak mocno, że pobielaty mu knykcie.

– Czy chcesz coś powiedzieć przed śmiercią, André Noirze? To twoje prawo – rzekł markiz.

– Señorze Miguelu Rodrigu Virde! – Ochrypty głos pirata poniósł się echem, a tłum zamilkł. – Twoje dni są policzone! Pożałujesz swojej decyzji! Pożałujesz, że kiedykolwiek

stanąłeś na mojej drodze! Atlantyk spłynie krwią twoją i twojej rodziny!

Na te słowa ciało dziewczynki oblał zimny pot, a serce przyspieszyło. Żołądek zwinął się w ciasny supeł, więżąc oddech w płucach. Markiz bez słowa uniósł dłoń, po czym szybko ją opuścił. Ciało skazańca runęło w dół, a pętla na szyi zacisnęła się gwałtownie. Chłopak nie odrywał wzroku od sceny rozgrywającej się na jego oczach. Na jego twarzy odmalował się potworny ból. W pięści, która teraz lekko się trzęsła, nieprzerwanie ścis-kał wisior. Drugą dłonią złapał ramię mężczyzny stojącego tuż obok i wpatrującego się w egzekucję ze stoic-kim spokojem. Tylko pulsujący mięsień na policzku świadczył o tym, że jest na granicy wybuchu. Lina huśtała się na boki, nogi wisielca przestały podrygiwać, a wrzawa cichła. Młodszy z braci cały dygotał z wściekłości, wciąż wpatrując się w szubienicę. Szczęki zacis-kał tak mocno, że aż bolały go zęby. Ramiona opuścił w geście bezsilności, choć dłonie nadal kurczowo zacis-kał w pięści. Uwolniony z uścis-ku niedźwiedzi zęb – amulet, który zostawił mu ojciec na krótko przed pojmaniem – zakotył się na jego piersi niczym wahadło. Teraz to jego miał chronić. Klatka piersiowa chłopca poruszała się w górę i w dół, jakby nie mógł nabrać powietrza. Po jego udręczonej bólem twarzy spłynęła jedna łza, którą otarł gniewnym gestem, jakby się jej wstydził. Wtem odwrócił głowę w stronę dziewczynki. Pamiętał, że nazwała markiza ojcem. Przyglądał się jej intensywnie, bo chciał dokładnie zapamiętać, jak wygląda. Jego uwagę przykuły duże zielone oczy otoczone nienaturalnie długimi rzęsami i pieprzyk tuż nad prawym kącikiem ust. W jego bursztynowym spojrzeniu pojawiło się coś okrutnego, niczym omen nieuchronnie nadciągającej śmierci. Twarz chłopaka przybrała złowieszczy grymas, a usta poruszyły się nieznacznie, wypowiadając słowo, na które dziewczynka pobladła:

– Francisca... – Głos miał nis-ki, głęboki, choć momentami brzmiał jeszcze jak chłopięcy.

Wyraźnie dało się słyszeć zniekształconą literę „r”, wypowiedaną podobnie, jak robiła to señora Morena podczas lekcji francus-kiego. Zarówno chłopiec, jak i Francisca odnieśli wrażenie, że entuzjastyczny ryk gawiedzi nagle ucichł. Powietrze stało się jeszcze bardziej gęste i duszne, a czas jakby stanął w miejscu. Był tylko jedno-oki, udręczony chłopiec i ośmio-letnia dziewczynka, której ciałem zawładnął lęk, jakiego dotąd nie doświadczyła. Paniczny, obezwładniający swoimi lodowatymi mac-kami niczym pajęczna sieć i mrozący krew w żyłach. Francisca odszukała po omac-ku ramię służącej, ale nie była w stanie przerwać kontaktu wzrokowego z chłopakiem. Wydawało jej się, że bursztynowe oko rzuciło na nią swego rodzaju urok, mąciło w głowie i nie pozwalało przymknąć powiek.

– Marcocie, na ognie Świętego Elma! – Stojący obok chłopca mężczyzna jakby otrząsnął się z letargu i szarpnął brata za rękę, którą ten zdążył już do połowy wyjąć rapier. – Nie teraz!

Chłopiec nadal wbijał spojrzenie bursztynowego oka w dziewczynkę, nawet kiedy jego towarzysz siłą odciągnął go w stronę portu. Francisca poczuła, że zły czar prysł, i momentalnie wtuliła się w Kamarię.

– Co się dzieje, señorito? – spytała zaniepokojona służąca, po czym zwróciła się do markizy: – Señoro, ona cała dygoce.

– Francisco! – Matka dziewczynki chwyciła ją za ramiona i potrząsnęła nią gwałtownie, ale z gardła Francis-ki wydobył się tylko cichy szloch i momentalnie załapała się łzami. Markiza cmoknęła z dezaprobatą, jak to miała w zwyczaju, i skomentowała zniesmaczona: – Może to nie był dobry pomysł, żeby cię tu zabierać. Idziemy, Kamario.

Na miękkich nogach, z sercem łomoczącym w piersi i załzawionymi policzkami Francisca ruszyła do domu, kurczowo ścis-kając dłoń służącej. Nie mogła jednak pozbyć się wrażenia, że złotooki chłopiec cały czas ją obserwuje. Nawet w drodze do domu czuła na plecach jego świdrujące spojrzenie i widziała diaboliczny uśmiech, który posłał jej, zanim wbiła wzrok

w bruk.

3 Angażanty – dwu- lub trzywarstwowe mankiety wykonane z gazy, muślinu albo koronki.

4 *Civettuola* (wł.) – muszka, czyli sztuczny pieprzyk umieszczany nad ustami.

5 Konduita – dobre maniery.

6 Grotmaszt – główny maszt na statku.

7 Dezabil – niekompletny bądź swobodny strój domowy, poranny lub nocny.

8 Empanadillas – hiszpańskie pierożki z mięsem.

9 Kuloty – spodnie za kolano.

10 Pendent – ozdobny skórzany pas zakładany przez ramię, służący do noszenia broni białej.

11 Rhingrave – bryczesy, które miały krótkie, mocno pofałdowane nogawki.

CHOMIKO - WARNIA

Pierwsza szklanka¹²

„Och, Arabella marsel¹³ stawia,

Och, Arabella marsel stawia,

Och, Arabella marsel stawia, Sunąc w dół rzeki”¹⁴.

The Saucy Arabella, szanta

Francisca

AD 1704

Od czasu spotkania chłopca o bursztynowym oku minęły cztery lata. Nigdy więcej nie poszłam do Doku Straceń. Matka stwierdziła, że widocznie jestem zbyt wrażliwa, by oglądać publiczne egzekucje. Była dość zimną damą, choć wiedziałam, że mnie kocha, mimo że nigdy mnie nie przytuliła i strofowała przy byle okazji. Z kolei ojciec, gdyby mógł, rzuciłby mi do stóp cały świat. Dla swojego oczka w głowie, jedyne dziecko, zrobiłby – jak za każdym razem powtarzał – wszystko.

Na świecie pojawiałam się, kiedy rodzice stracili już nadzieję na posiadanie potomstwa, pewnie dlatego traktowano mnie jak kruchą porcelanę i rozpieszczano na każdym kroku. Byłam pulchną dziewczynką o rumianych policzkach i dość jasnej jak na Hiszpankę cerze. Moje proste jak druty brązowe włosy Kamaria codziennie układała za pomocą żelazka, dzięki czemu choć przez moment mogłam się stać dumną posiadaczką loków opadających falami na plecy.

Siedziałam w naszej kuchni i przyglądałam się poczynaniom kucharki, która właśnie postawiła przede mną świeżo zrobione tejas de almendra¹⁵. Łapczywie złapałam jedno i wbiłam w nie zęby. Kruche ciasto wypełniło moje usta delikatnym smakiem. Spojrzałam przez kuchenne okno na spokojne ciemnoniebieskie wody Atlantyku, na którym raz po raz pojawiały się białe bałwany. Krzyk morskiego ptactwa wywołał na mojej twarzy uśmiech. Odkąd sięgałam pamięcią, marzyłam o podróży statkiem i często namawiałam ojca, żeby zabrał mnie w rejs. Obserwowałam marynarzy schodzących ze statku, który właśnie zacumował w porcie. Z oddali dostrzegłam osobę, której wyczekiwałam chyba bardziej niż jutrzejszego dnia, swoich dwunastych urodzin. Javi zaciągnął się na statek i od dwóch lat był chłopcem okrętowym, a teraz wracał z kolejnej morskiej wyprawy. Nie mogłam się doczekać mrozących krew w żyłach opowieści o dalekich podróżach, miejscach, które odwiedzał, i niebezpiecznych piratach.

Już po chwili usłyszałam jego kroki w sieni. Wpadł z impetem do kuchni i rzucił się na szyję swojej matce. Przytuliła go mocno, a potem rąbnęła przez głowę kuchenną ściągą, dyskretnie wycierając łzy.

– Witaj, señorito. – Uśmiechnął się do mnie łobuzersko i skłonił w pas.

Zachichotałam i poczułam, że się czerwienię. Mimo to odpowiedziałam szerokim uśmiechem, nie mogąc uwierzyć, jak bardzo się zmienił od ostatniego pobytu w domu. Nie był już chuderlawym czternastolatkiem. Z rejsu na rejs jego ramiona stawały się coraz szersze, a twarz coraz bardziej opalona. Ciemnobrązowe włosy pojaśniały od promieni słonecznych. Wyciągnęłam w jego stronę tacę z tejas. Ochoczo zabrał się do jedzenia. Obserwowałam zgrubienia na jego dłoniach, połamane paznokcie i skórę na przedramionach miejscami poparzoną od słońca. Przyniósł ze sobą zapach morskiej wody i ryb. Zapach przygody. Miałam

ochotę podejść do niego, przytulić się i zamknąć oczy. Robiłam tak często, gdy byliśmy sami. Słuchałam jego opowieści i w wyobraźni przenosiłam się w odległe kraje.

Skłamałabym, gdybym zaprzeczyła, że już wtedy się w nim podkochiwałam. I chociaż miałam dopiero dwanaście lat, dobrze wiedziałam, że to zauroczenie pozostanie tylko marzeniem. Moi rodzice nigdy nie zgodziliby się na ślub z synem kucharki. Nie byłam naiwna. Nikt jednak nie zabraniał mi spędzać z nim czasu, zatem korzystałam, jeśli tylko było to możliwe. Odkąd zaczął wypływać w morze, widywaliśmy się zaledwie kilka dni w miesiącu, czasem rzadziej. Ale bardzo się cieszyłam, że poświęcał mi swój wolny czas.

Zabraliśmy talerz tejas i poszliśmy do ogrodu na tyłach domu. Usiedliśmy na trawie i wpatrywaliśmy się w ocean. Przymknęłam oczy i pozwoliłam, by słońca bryza owiewała mi twarz.

– Jak tam jest, Javi?

– Gdzie? – spytał lekko piskliwym głosem, który jednak przypominał barwę głos dorosłego mężczyzny.

Przez moment w mojej głowie pojawił się obraz chłopca z bursztynowym okiem. Zadrzałam. Podniosłam powieki i spojrzałam na przyjaciela. Leżał z zamkniętymi oczami wyciągnięty na trawie i chrupał kruche ciastka. Obszerną koszulę zdjął, zrolował i podłożył sobie pod głowę. Teraz zdałam sobie sprawę, że już nie wygląda jak chłopiec, że zaczyna przypominać mężczyznę. Ciężka praca na okręcie sprawiła, że jego ciało składało się właściwie z samych mięśni. Znowu poczułam, że się rumienię.

– Na statku, na oceanie... Chciałabym kiedyś popłynąć w rejs, to musi być ciekawa przygoda.

Usiadł i przyjrzał mi się uważnie, a po chwili roześmiał serdecznie.

– Wiesz, że załoga niechętnie wpuszcza niewiasty na -statek?

– Dlaczego? – zapytałam zas-koczona.

– Mówi się, że obecność damy na statku przynosi pecha. Dla angielskich marynarzy statek to „ona” i wierzą, że będzie zazdrosny, gdy w pobliżu znajdzie się konkurencja.

Teraz to ja wybuchnęłam śmiechem, ale twarz Javiera pozostała poważna. Poczułam się zawstydzona, kiedy odezwał się po chwili, jakby zawiedziony:

– Szkoda, że jesteś jeszcze takim dzieckiem, Francisco. – Poglądził mnie szorstką dłonią po policzku.

Nie odpowiedziałam, bo w zasadzie nie wiedziałam, co mam powiedzieć. Zabolały mnie jego słowa. Spuściłam głowę i zaczęłam skubać źdźbła trawy. Słyszałam, jak się podnosi i jak szeleści materiał koszuli, kiedy wkładał ją przez głowę.

– Ej, Paqui¹⁶. – Poczochrał moje włosy, przez co jeszcze bardziej się naburmuszyłam. – Nie bocz się.

Wstałam zezłoszczona i pobiegłam w stronę plaży, nie oglądając się za siebie. Poczułam ciepły srebrzysty piasek pod bosymi stopami. Nie zatrzymałam się, tylko wbiegłam do wody po kolana, mocząc przy tym suknię. W myślach widziałam skwaszoną minę matki, gdyby to zobaczyła. Woda była przyjemnie ciepła. Spojrzałam tęsknie na płynący w oddali galeon. Marzyłam o dalekich wyprawach. Uwielbiałam, jak Kamaria opowiadała mi o swojej podróży z Czarnego Łądu, i mimo że jej historia była smutna, zazdrościłam jej tej możliwości.

Często rozmawiałam na ten temat z ojcem, ale był tego zdania co Javier. Jego dodatkowym argumentem byli grasujący po morzach i oceanach bezwzględni piraci. Czasem słyszałam, jak racyły swoich przyjaciół makabrycznymi historiami o tym, jak korsarze¹⁷ zmuszają załogę napadniętego statku do chodzenia po desce zawieszanej nad wodą, czy o opiekaniu nieszczęśników nad ogniem. Chociaż od tych opowieści włosy jeżyły mi się na

całym ciele, nie przestałam marzyć o rejsie po morzu. Tym bardziej że od czasu powieszenia André Noira nie słyszano już o atakach na hiszpańską flotę. Jakby wraz z jego śmiercią zakończyła się era piratów u wybrzeży -Hiszpanii i -Zachodniej Afryki. Było to jednak złudne przekonanie.

*

W nocy miałam problemy z zaśnięciem. Jak co roku nie mogłam się doczekać urodzin. Czułam rozchodzący się po domu zapach pieczonego przez kucharkę ciasta i głośno burczało mi w brzuchu. Zastanawiałam się, jakie prezenty dostanę tym razem. Marzyłam o kucyku albo kolorowej papudze z zamorskiego kraju. W całym ciele czułam przyjemne podenerwowanie.

Jeśli akurat nie miałam lekcji z señorą Moreną, pozwalano mi towarzyszyć Kamarii w wyprawie po zakupy na miejski targ. To właśnie tam po raz pierwszy zobaczyłam te egzotyczne ptaki. Wycieczki z naszą służącą były źródłem skrajnych uczuć. Musiałam się powstrzymać od radosnego podskakiwania, kiedy lawirowałam pomiędzy stoiskami i wolno mi było próbować tropikalnych owoców. Ekscytowałam się możliwością pocucia faktury różnych materiałów na sukienki. Mimo że byłam wtedy jeszcze dzieckiem, mojej uwadze nie umknęło udręczone spojrzenie Kamarii, kiedy przechodziłyśmy obok miejsca, w którym handlowano ludźmi. Większość niewolników miała taki sam kolor skóry jak ona. Przypominał mi kakao. Wszyscy byli przeraźliwie chudzi, a w ich oczach widniała trwoga. Ogromny mężczyzna z dużym brzuchem przypominającym beczkę dzierżył w pięści batog i potrząsając nim, głośno wykrzykiwał cenę, a zarazem zachwalał atuty każdego niewolnika.

Wiedziałam, że Kamaria też pochodzi z takiego targu. Kiedyś mi o tym opowiedziała. Płakałam, gdy mówiła o swojej pięknej tropikalnej osadzie, z której zabrano ją wbrew jej woli. Jak napadli na nich biali żołnierze, jak zabili jej ojca i braci, bo jej bliscy postanowili się bronić. Wydawało mi się dziwne, że jedni ludzie uważali się za lepszych od innych, ale trzymałam buzię na kłódkę. Mój ojciec myślał zupełnie inaczej, tak samo jak matka. Miałyśmy zatem z Kamarią swoją tajemnicę, którą chowałam głęboko w sercu. Podobnie jak opowieści, którymi raczyła mnie na dobranoc. Dobrze wiedziałam, że rodzice by tego nie pochwalili. Obawiałam się nawet, że mogliby ukarać służącą.

Tego dnia wracaliśmy szybciej. Kamaria niosła ciężkie torby, a ja w podskokach podążałam kilka kroków przed nią, wyśpiewując francuską piosenkę, której ostatnio uczyła mnie señora Morena. Musiałam przyznać, że jedną z jej niewielu zalet była właśnie znajomość niezwykłych piosenek. Mimo to lubiłam się uczyć. A w szczególności lubiłam czytać. Informacje zapisane na pożółkłych kartkach ksiąg, które znajdowały się w bibliotece moich rodziców, często przyprawiały mnie o szybsze bicie serca, choć większości z nich nie rozumiałam. To w nich wyczytałam zapiski żeglarzy pływających po bezkresnych wodach oceanu. To właśnie one sprawiły, że zapalałam miłością do podróży.

Weszliśmy do domu pachnącego pieczeniem. Tradycyjne urodzinowe menu w naszej rodzinie składało się z -pieczonego jagnięcia, gotowanej kukurydzy i ogromnego tortu na deser. Wszystkie pomieszczenia lśniły czystością, bo z okazji moich dwunastych urodzin ojciec zaprosił wyjątkowych gości. Czułam lekkie podenerwowanie i ekscytację. Lubiłam, kiedy dom był pełen ludzi, ale pierwszy raz zdarzyło się, że zaproszono kogoś na moje przyjęcie. Kamaria poszła zanieść zakupy, a ja ruszyłam do swojego pokoju. Po drodze wpadłam na ojca. Byłam zaszkoczona, ponieważ nigdy nie zjawiał się przed podwieczorkiem. Nawet w moje urodziny. Posłał mi szeroki uśmiech, cmoknął mnie w czoło i zniknął w swojej sypialni.

Pchnęłam ciężkie drewniane drzwi i moim oczom ukazała się przepiękna suknia. Różniła się od tych, które zwykłam nosić podczas uroczystości. Bardziej przypominała te przywdziewane

przez moją matkę. Podeszłam bliżej i dotknęłam palcami delikatnego zielonego materiału zdobionego złotymi pasami. Pierwszy raz widziałam coś tak pięknego. Ciche pukanie do drzwi wyrwało mnie z zadumy. Do pomieszczenia wsunęła się Kamaria. Widziałam, jak na widok sukni rozbłysły jej oczy. Pomogła mi się umyć, a następnie opasała mnie sztywnym stanikiem, który tuż przy dekolcie miał ozdobną złotą rozetkę. Cała suknia była nadzwyczaj lekka mimo sztywnej płóciennej spódnicy. Rękawy sięgały mi do łokci, były wykończone koronkowymi angażantami, a z tyłu sukni upięto tren. Moje włosy znów potraktowano żelazkiem, by układały się w powabne loki. Całości dopełniły pantofle na niewielkich obcasach i wysoki koronkowy czepeczek. Ku mojemu zdumieniu po raz pierwszy Kamaria nałożyła mi na twarz grubą warstwę bielidła, a na nią puder perłowy. Starannie wyczerniła moje brwi i rzęsy, a na policzki naniosła odrobinę różu. Usta przejechała ognistą czerwoną barwiczką. Przejrzałam się w lustro. Wyglądałam dojrzałe. Jak młoda kobietka, nie jak dziec-ko, którym nadal byłam. Westchnęłam ciężko.

– Nie podoba się, señorito?

Lekko zatrwożony głos służki przywołał na moją twarz uśmiech. Nie lubiłam, kiedy była smutna.

– Wyglądam... – przez chwilę szukałam odpowiedniego słowa – jak nie ja.

– Wyglądasz, jak na młodą damę przystało, Francisco. – W pomieszczeniu rozległ się surowy, wyzuty z emocji głos matki. – Mniemam, że twoje maniery będą na równie wysokim poziomie. Señor Rivero to ważna osobistość. Nie chciałabym się najeść przez ciebie wstydu.

– Nie zawiodę cię, matko – odparłam posłusznie.

– To się okaże – mruknęła posępnie. – Idziemy. Nie każmy gościom czekać.

Jak zwykle nie zdradzała żadnych emocji poza wystudiowanym chłodem. Jakbym nie była godna odrobiny miłości. A ja jak zwykle zdusiłam ból w klatce piersiowej. Odruchowo wygładziłam przód sukni, przywołałam na twarz wyćwiczony uśmiech i ruszyłam za matką.

Nazwis-ko Rivero już wcześniej parokrotnie obilo mi się o uszy. Od dobrych kilku miesięcy pojawiała się podczas rozmów między moimi rodzicami. Teraz, kiedy przekroczyłam próg jadalni, w której stoły aż uginały się od nadmiaru jedzenia, zrozumiałam, że to muszą być naprawdę ważne osobistości.

– A oto i ona. – Przepelniony dumą i radością głos ojca wypełnił moje serce ciepłem. – Moja córka Francisca Rodrigo -Lopez.

Dygnęłam przed mężczyzną w wieku ojca, a następnie przed jego żoną. Señor Rivero ujął moją dłoń i kłaniając się w pas, złożył na niej pocałunek. Poczułam, że moje policzki krasnieją, jednak bielidło bardzo dobrze skryło to przed oczami innych. W końcu mój wzrok spoczął na towarzyszącym im chłopcu. A w zasadzie młodym mężczyźnie. Wyglądał jak młodsza kopia swojego ojca. Czarne gęste włosy opadały mu na ramiona, trójkątna twarz nie wyrażała żadnych emocji, ale w jasno-brązowych oczach dostrzegłam błysk zainteresowania. Kącik ust drgnął mu nieznacznie, kiedy przed nim dygnęłam. Ujął mą dłoń i podobnie jak señor Rivero złożył na niej pocałunek.

– Miguel Rivero Remisa – przedstawił się, po czym puścił moją rękę.

– Zjedzmy, a potem dajmy młodym trochę czasu – odezwał się *papá*, gestem zapraszając gości do stołu.

O dziwo, zostałam posadzona tuż koło Miguela, który przez cały obiad uprzejmie mi usługiwał. Czułam się niezwykle zakłopotana całą tą sytuacją. Nie pojmowałam, dlaczego ten młodzieniec jest dla mnie taki miły i z jakiego powodu nie odstępował mi na krok. Gdy wyszliśmy na patio, dorośli uraczyli się sangrią, a ja podążyłam w stronę plaży. Słyszałam za sobą kroki Miguela. Kiedy dotarliśmy do brzegu, w porę się zatrzymałam, przypominając sobie,

że mam na stopach eleganc-kie pantofle. Matka by mnie zrugala, gdybym je zamoczyła.

– Nie jesteś ukontentowana, señorito?

– Słucham? – Popatrzyłam na niego, nic nie rozumiejąc.

– Poznamy się lepiej z czasem, ale mniemam, że to dobra decyzja dla nas obojga.

– Wybacz, ale nie pojmuję twych słów – przyznałam.

– Jak to? – Zdziwił się. – Toż dziś nasze zmówiny.

– Zmówiny? – jęknęłam, cofając się i nieopatrznie wdeptując w wodę.

Nie zwracałam na to uwagi. Z szalejącym z przestachu sercem wpatrywałam się w młodzieńca, którego najwyraźniej rodzice wybrali mi na męża. Przecież miałam dopiero dwanaś-cie wiosen. Czułam, że broda zaczyna mi drzeć.

– Coś cię zasmuciło, señorito?

Nie odpowiedziałam. Chwyciłam suknię, uniosłam ją i biegiem ruszyłam w stronę domu, ignorując nawoływania Miguela. Czmychnęłam do swojej sypialni i nie opuściłam jej już do końca dnia. Leżałam na posłaniu i wpatrywałam się w drewniany sufit, rozmyś-lając nad tym, co mnie teraz czeka. Zmówiny... To oznaczało, że w niedalekim czasie wezmę ślub. Nie chciałam ślubu. Chciałam popłynąć statkiem, zwiedzić obce kraje i przeżyć przygodę. Ani myśl-łam zostawać czyjąś żoną. Przynajmniej nie w najbliższej przyszłości. Małżeństwo wią-zało się z posiadaniem dzieci. Na to ani trochę nie byłam gotowa. Sama jeszcze czułam się dziec-kiem. Jednakowoż najbardziej zabolalo mnie to, że zrobiono z tego tajemnicę. Ani matka, ani *papá* nie pisnęli słowa, że moim prezentem urodzinowym okaże się narzeczony. Poczułam się oszukana.

Kiedy goście odjechali, matka zawitała do mojego pokoju i oświadczyła, że ją zawiodłam i przyniosłam rodzinie tylko wstyd i hańbę. Milczałam, z pokorą przyjmując jej tyradę wypowiedaną jak zwykle lodowatym tonem.

Nazajutrz nakazano mi spędzić cały dzień o chlebie i wodzie w pokoju, żebym przemyś-lała swoje zachowanie. Późnym popołudniem zjawił się *papá*. Tkwiłam w wykuszu okiennym, obserwując leniwe muśnięcia fal objających się o piaszczysty brzeg. Objęłam kolana dłońmi i położyłam na nich głowę. Było mi tak strasznie smutno i źle. *Papá* usiadł naprzeciwko, dokładnie w tej samej pozie, a po chwili lekko trącił stopą moją nogę. Zmusiłam się do oderwania wzroku od kojącego kraj-obrazu i wbiłam spojrzenie w przepelnione troską oczy ojca.

– Chodź tu do mnie, Paqui. – Wyciągnął ramiona.

Bez wahania wtuliłam się w jego ciepły tors i wybuchnęłam głośnym płaczem.

– Przepraszam, papo. Przepraszam... Przyniosłam ci wstyd i...

– Już dobrze, kochanie. – Uspokajająco gładził mnie dłońią po włosach. – Nikt nie ma do ciebie pretensji.

– Matka powiedziała... – zaczęłam, ale wszedł mi w słowo.

– Matce zależy na twoim szczęściu. Chce dobrze wydać cię za męża. Miguel Rivero to idealny kandydat. Ale rozmawiałem z jego ojcem. To naprawdę porządna rodzina. Z tradycjami. Wielkim majątkiem. Nie mają ci za złe twoich fumów. Wręcz przeciwnie. Zależy im, żebyście lepiej się poznali z Miguelem...

– Nie chcę jeszcze wychodzić za męża, papo...

– Ale nikt nie mówi, że to nastąpi od razu – uspokajał mnie. – Najwcześniej za trzy, może cztery lata.

– Myś-lałam... – Poczułam, że oblewam się rumieńcem -wstydu.

– Oj, głuptas-ku! – Ojciec zaśmiał się i ponownie pocałował mnie w głowę.

Przytuliłam się do niego i spojrzałam na ocean. Z portu wypływał właśnie piękny żaglowiec. Pruł przez fale dumnie niczym paw. *Papá* przytulił mnie mocniej do siebie, a ja oplotłam ramiona wokół jego szyi i wdychałam jego zapach. Pachniał tabaką i morzem –

kojarzyło mi się to z bezpieczeństwem. Nigdy nie pozwoliłby mnie skrzywdzić. Przytuliłam twarz do jego szorstkiego od zarostu policzka. Kiedy byłam mała, chciałam, żeby *papá* został moim mężem. Teraz wiedziałam, że to niemożliwe, ale nadal uważałam, że jest przystojny. Oczy miał ciemnobrązowe, włosy czarne z pasmami siwizny, a schowany za idealnie przystrzyżoną brodą uśmiech potrafił chwycić za serce każdą damę. Tkwiliśmy tak w ciszy i wpatrywaliśmy się w horyzont za oknem. Mewy wykonywały swoje akrobacje lub przysiadły na falach, by odpocząć. Miłość do morza to było coś, co nas łączyło. Z wyglądu byłam podobna do matki, ale charakter i zamiłowania odziedziczyłam po ojcu.

– Mam dla ciebie niespodziankę, Paqui. – Usłyszałam jego szept przy uchu. – A w zasadzie to prezent od señora Rivera.

– Prezent? – Odsunęłam się tak, żeby widzieć jego twarz.

W środku wszystko aż mnie mrowiło. Kiedy ojciec milczał, zaczęłam marudzić i skomlić niczym szczeniaczek. W końcu odwrócił się ze mną do okna i wpatrując się w ocean, odezwał się poważnym tonem:

– W przyszły piątek o tej porze znajdziesz się właśnie tam.

– Tam? – Nie zrozumiałam i powiodłam spojrzeniem w tym samym kierunku.

Wzrok ojca był utkwiony w statku.

Nie...

Niemożliwe...

– Zabierasz mnie w rejs? – zapytałam ostrożnie, nie chcąc robić sobie nadziei.

– Widzisz, córeczko, opowiadałem señorowi Rivero o twoich żeglarskich pasjach. Tak się składa, że ma posiadłość u wybrzeży Afryki.

– Popłynę statkiem?! Prawdziwym?! – niemalże krzyknęłam, przykładając pięści do policzków i dreptając w miejscu.

– Tylko do Ceuty. To niecałe siedemdziesiąt siedem mil morskich, więc popłyniemy zaledwie pięć godzin, może krócej...

Wydałam z siebie głośny pisk i wyrwałam się z ramion ojca. Skacząc, śmiejąc się i popis-kując, przemierzałam wszystkie pomieszczenia w domu w poszukiwaniu matki.

– *Mamá! Mamá!* – krzyczałam, ponieważ chciałam jak najszybciej podzielić się z nią tą radosną nowiną.

Zastałam ją na patio za domem. Siedziała w jednym z foteli i popijała herbatę z filiżanki. Na widok mojego entuzjazmu skrzywiła się nieznacznie, a następnie odezwała surowo:

– Dlaczego robisz taki harmider, Francisco?

– Popłynę statkiem! – wykrzyczałam szczęśliwa, nie robiąc sobie kompletnie nic z jej srogiej miny i powściągliwości. Zawsze się tak zachowywała. Zdażyłam się przyzwyczaić. – Czyż to nie cudowne?

– Nie – odparła i odwróciła głowę z powrotem w stronę plaży. – Aż dziw bierze, że po twoim skandalicznym zachowaniu ktoś tak dystyngowany jak señor Rivero chce cię jeszcze w ogóle oglądać.

Nie zdołała jednak ostudzić mojego zapału. Oto moje największe marzenie miało się ziścić. I nic nie mogło mi tego zepsuć, nawet dąsy matki.

12 Szklanka – tu: uderzenie w odpowiednim rytmie w dzwon okrętowy służący do odmierzenia czasu i wyznaczania czterogodzinnych wacht. Pierwsza szklanka (wybicie) to pół godziny. Czterogodzinną wachtę kończyło wybicie ośmiu szklanek.

13 Marsel – prostokątny żagiel rejowy.

14 Tłumaczenie szant, z wyjątkiem *Morskich opowieści* i *Hiszpańskich dziewczyn*, pochodzi od autorki.

15 Tejas de almendra – kruche ciasteczka, zwane po polsku cygaretkami.

16 Paqui (czyt. paki) – zdrobnienie od imienia Francisca.

17 Korsarz – pirat działający na zlecenie władcy w czasie wojny lub pokoju; na podstawie listu kaperskiego mógł bez konsekwencji grabić statki wrogich państw, a jego wynagrodzeniem była część lub większość łupów.

CHOMIKO - WARNIA

Druga szklanka

„Młody ze mnie żeglarz, a smutny mój los.

Ongi niefrasobliwym i chobrym bywałem.

Niewiastę żem miłował, nocą i za dnia,

Lecz porzuciła mnie, odpłynęła w dal”.

Blackbird, szanta

Marcos

Siedziałem na dachu sąsiedniego budynku i czekałem, aż Cruz łaś-kawie skończy chędożyć hrabinę. Zachowywali się przy tym tak głośno, że zastanawiałem się, czy nie pobudzą wszystkich mieszkańców Roty. Było to jedno z kilku miast portowych, których zarządca za parę skrzyń kości słoniowej, broni palnej i stos płóciennych żagli nie zwracał uwagi na to, że w jego porcie cumują okręty piratów.

Widząc, jak hrabina wygina ciało, ujeżdżając mojego brata niczym chyżego ogiera, poczułem pokusę, żeby odnaleźć przybytek, w którym utknęła moja załoga, i także oddać się przyjemności. Sam nie miałem kurtyzany, odkąd dowiedziałem się, że ten czarci pomiot Miguel Rodrigo Virde wybiera się w rejs. Nie wierzyłem we własne szczęście, kiedy w jednej z tawern napotkałem wyjątkowo gadatliwego marynarza, który po kilku szklanicach rumu ochoczo rozповідаł o rejsie do Ceuty z okazji zmówin córki markiza. Moja zemsta w końcu się dokona. Czekałem na to całe parszywe cztery lata. Cztery lata przygotowań, pływania wzdłuż południowych wybrzeży Afryki, ażeby tylko uspić czujność Hiszpanów. Opłaciło się.

Atlantyk spłynie krwią twoją i twojej rodziny, señoze -Rodrigo!

Brak uciech cielesnych tylko podsycił mój gniew. A im bardziej byłem rozeźlony, tym ciekawsze pomysły przychodziły mi do głowy odnośnie do wendety na markizie.

Głośny gardłowy ryk poinformował mnie, że Cruz zakończył swoje harce. Nie myliłem się. Już po chwili siedział obok mnie na dachu i wpatrywał się w gwiazdy, pociągając spory łyk rumu z mojego bukłaka. Ciepły wiatr od morza rozwiewał jego ciemne włosy, które starał się ujarzmić, przewiązując na karku czerwoną wstążką.

– Ech. – Położył się wygodnie i wbił wzrok w niebo. – Czarownica, nie dama. Mówię ci, potrafi zdziałać takie cuda, że...

– Oszczędź mi, Cruzie. – Skrzywiłem się.

– „I smak waszych ust, hiszpańskie dziewczyny – zawył głośno, przesadnie wymachując rękami – w noc ciemną i złą nam będzie się śnił. Leniwie popłyną znów rejsu godziny, wspomnienie ust waszych przysporzy nam sił”¹⁸.

Roześmiałem się, kręcąc z niedowierzaniem głową. Brakowało tylko, żeby zaczął tańczyć, a miałem wrażenie, że jeszcze kilka łyków rumu i byłby do tego zdolny.

– Powinieneś też się zabawić, braciszku. – Spojrzał na mnie poważnie, kiedy skończył śpiewać. – Znam takie kurtyzany, co odpowiednio zadbają o twój grotmaszt...

Posłałem mu pełne politowania spojrzenie. Czasem wydawało mi się, że to on jest tym najmłodszym i najbardziej niefrasobliwym z naszej trójki.

– Nie – rzuciłem oschle. – Jeszcze nie.

Dopiłem resztę rumu i zeszedliśmy z dachu. W całkowitej ciemności udaliśmy się wąską uliczką w stronę portu, gdzie w tawernie o szemranej opinii załogi naszych statków zażywały rozrywki przed kolejnym rejsem. Moi kamraci zawsze korzystali z tego samego domu uciech, za to Cruz zwykle musiał szukać swojej załogi po całym mieście. Zanim się rozdzieliliśmy, brat położył mi dłoń na ramieniu i odezwał się nadzwyczaj poważnie:

– Dwa dni, Marcosie. Za dwa dni w końcu wypełnią się ostatnie słowa naszego ojca.

Nie odpowiedziałem. Czułem, jak mięśnie w moim ciele mimowolnie się napięły. Zemsta na markizie Kadyksu znajdowała się obecnie na czele moich priorytetów. Wystarczająco długo na to czekałem. Wystarczająco cierpliwy byłem.

Miałem osiemnaście lat i w zasadzie dopiero od roku samodzielnie dowodziłem *Lerate*. Kapitanem zostałem zaraz po śmierci ojca, tak zdecydowała cała załoga, jednak dotychczas całkowicie zdawałem się na Julia, mojego bosmana.

Nasza flotylla, a dokładniej flotylla naszego ojca, składała się z trzech okrętów: karaki, fregaty i galeonu. Najstarszy z braci, Severo, był kapitanem galeonu *Bienvenida* – pięknej trzymasztowej jedno-stki wojennej, która mogła się poszczycić kilkunastoma armatami. Cruz dowodził karaką zwaną *Crescencia* – dużym trójmasztowcem z sześcioma działami na każdej z burt. No a ja, najmłodszy, byłem kapitanem fregaty *Lerate* – trzymasztowego okrętu z czternastoma działami w baterii burtowej. Wszystkie statki ojciec nazwał na cześć naszych matek. Byłem najmłodszy z trójki rodzeństwa, piratem z krwi i kości. Awanturnikiem. Złotookim chłopcem, jak pieszczotliwie zwały mnie portowe kurtyzany.

W żyłach naszego ojca płynęła błękitna krew francuskich szlachciców. Jako młodzik zaciągnął się na hiszpański okręt handlowy i szybko awansował na stanowisko gwiazdołapa¹⁹. Pewnego dnia stanął w obronie niewolnicy, którą jeden z marynarzy próbował zgwałcić, a że Pierwszy nie pałał do niego zbyt ciepłymi uczuciami, niewolnicę wyrzucili na środku oceanu, a naszego ojca oskarżono o zdradę hiszpańskiej korony. Niechybnie czekał go stryczek.

Szczęśliwie gdzieś na wysokości Dakaru natrafili na flotyllę bukanierów²⁰, która przejęła okręt. Wtedy to kapitan flotylli Morvin Gallagher zaproponował ojcu, by ten przyłączył się do załogi jednego ze statków *Brac-twa Wybrzeża*²¹. Wysoko ceniono umiejętności nawigacyjne André, a także biegłość w zarządzaniu załogą i dbaniu o okręt. Szybko dorobił się własnego statku i oddanej załogi oraz wiernego przyjaciela w osobie Morvina. Ich bukanierskie wyczyny przeszły do historii i po dziś dzień są przekazywane z ust do ust, od jednego portu do drugiego, tworząc legendę o nieustraszonemu i niepokonanemu *Brac-twie Wybrzeża*.

Morvin miał jedną przywarę, która położyła się cieniem na ich, wydawałoby się, trwałej przyjaźni, a na którą André – mimo usilnych starań – nie potrafił przymknąć oka. A im dłużej pływał pod banderą *Brac-twa*, tym bardziej mu przeszkadzała. Morvina cechowało wręcz niewyobrażalne okrucieństwo wobec jeńców. O ile w przypadku statków hiszpańskiej, brytyjskiej czy francuskiej korony Noir sam nie oszczędzał żołnierzy, o tyle z płądowaniem przybrzeżnych miast Nowego Świata nie potrafił się pogodzić. Miarka się przebrała, gdy Morvin zajął się handlem czarnym hebanem²². To już kłóciło się z zasadami André – sam przecież stanął w obronie niewolnicy.

Pod osłoną nocy, w towarzystwie oddanej załogi – na pokładzie okrętu pełnego czarnoskórych mężczyzn i kobiet, których Gallagher przeznaczył na handel – André Noir opuścił Tortogę. W ten sposób podpisał na siebie wyrok śmierci, bo Morvin Gallagher stracił tym samym swój największy skarb, Amirę.

André Noir prędko znalazł samotną wyspę na Atlantyku, na której założył własną osadę. Uratowani niewolnicy przysięgli mu dożywotnią służbę i pod jego dowództwem zaczęli napadać

na mniejsze okręty. Ponieważ większość jego załogi stanowili czarnoskórzy kamraci, a atakowano głównie statki przewożące czarny heban, z miejsca okrzyknięto ich Czarnymi Braćmi. André Noir łupił statki handlowe i uwalniał niewolników, umożliwiając im przyłączenie się do jego załogi. Dzięki temu w ciągu kilku lat jego flotylla rozrosła się do trzech statków, a Wyspa stała się domem dla kilkuset osób. To na niej przyszedłem na świat. Lerate, moja matka, nadal mieszkała na Wyspie. Była jedną z czarnoskórych niewiast wyzwolonych przez ojca z niewolniczego okrętu. Pokochała go całym sercem. Z wzajemnością. Moi bracia Cruz i Severo byli owocami przygodnych miłostek ojca. Bienvenida i Crescencia powiły mu synów, a on zapragnął mieć ich pod swoimi skrzydłami, stąd też Cruz i Severo, zanim skończyli dziesięć wiosen, dołączyli do ojca, by zdobywać marynarskie szlify.

Wziąłem głęboki wdech, wciągając głęboko w płuca cuchnące rybami powietrze, i otrząsnąłem się ze wspomnień. Zacisnąłem pięści i pchnąłem drzwi od tawerny. Moi kamraci – ci, których jeszcze nie zmorzył wypity rum czy lokalny samogon – kiedy tylko pojawiłem się w progu, oderwali się od swoich zajęć i posłusznie ruszyli za mną. Nie musiałem nic mówić. Dobrze wiedzieli, że powinni zachować trzeźwy umysł. Im też zależało na zemście tak bardzo jak mnie – wielu z nich zawdzięczało mojemu ojcu i wolność, i życie.

*

Zrzuciliśmy kotwice naszych łajb w Punta de la Morena. Na tyle daleko od Kadyksu, żeby nikt niepowołany nas nie dostrzegł, a na tyle blis-ko, żeby spokojnie podążyć za statkiem markiza.

– Tutaj. – Wskazałem na mapie przybliżone miejsce ataku w Cieśninie Gibraltarskiej, na wysokości Tangeru. – Severo, gdy tylko dostrzeżesz w perspektywie²³ hiszpańską banderę, natychmiast stawiacie żagle i idziecie im na spotkanie. Ja i Cruz będziemy płynąć w takiej odległości, żeby nas nie dostrzegli, a nawet jeśli, to żeby uznali nas za nieszkodliwych. Bandery na maszt wciągniemy, kiedy będziemy pewni, że galeon znajdzie się w potrzasku. Z wyjątkiem Bienvenidy. Wy macie ich przestraszyć, żeby obrali kurs na zachód, więc wzniescie czarne żagle.

– Na łono Salacji! – mruknął Cruz. – Może lepiej, jeśli Crescencia też wypłynie z cieśniny? Zobacz, Marcosie. – Wskazał na mapę. – Hiszpański galeon będzie pełen żołnierzy. Jeden statek z piracką banderą raczej nie zrobi na nich wrażenia. Za to dwa...

Popatrzyłem w jego ciemnobrązowe oczy. On i Severo odziedziczyli oczy po matkach, jeden w kolorze kakao, drugi – hebanu. Tylko ja miałem bursztynowe tęczęwki naszego ojca. Chociaż mieliśmy różne matki, byliśmy do siebie podobni. Rysy twarzy, orle nosy i kruczoczarne kręcone włosy wszyscy odziedziczyliśmy po ojcu. Czarni Bracia.

– Niechaj tak będzie – zgodziłem się, chowając dumę do kieszeni.

Postanowiłem zdać się na ich doświadczenie. Severo był genialnym strategiem i miał mapy w małym palcu. I tak jak ja nie ufałem broni palnej, tak on nigdy nie rozstawał się ze swoim bandoletem²⁴. Jeśli go nie używał, atakował po cichu, zwykle dusząc swoich wrogów – stąd przydomek Czarny Boa i wąż oplatający piracką banderę jego galeonu. Cruz... to był po prostu Cruz. Bawidamek i hulaka. Stronił od bezpośredniej walki, zapewne nie chcąc skalać swojej apollinijskiej twarzy. Jednak Książę – jak przekornie nazywał go Severo – zmuszony do starcia twarzą w twarz bywał śmiertelnie niebezpieczny. Był wielkim zwolennikiem japońskiego *tekko-kagi*²⁵, które imitowało niedźwiedzie pazury – niezwykle skuteczne, a przy tym wyglądające upiornie.

Kiedy zacząłem pływać z ojcem, miałem niespełna sześć lat. Wykorzystując nieuważę załogi, wślizgnąłem się do jednej z beczek z zapasami. Kiedy zorientowano się, że na pokładzie znajduje się dodatkowa osoba, okręt był już w połowie drogi do celu. Otrzymałem wtedy swoje

pierwsze baty. I nie ostatnie, jednak od tamtego momentu zdobywałem marynarskie szlify pod czujnym okiem ojca. Jak się szybko okazało, stanowiłem całkowite przeciwieństwo Cruza – nigdy nie stroniłem od potyczek, a najbardziej lubiłem walki wręcz. Podczas jednego z abordaży, mając niespełna dziesięć lat, straciłem oko. Nie powstrzymało to jednak mojej buntowniczej natury, a raczej podsycało apetyt. Choć mieliśmy na pokładach sporą kolekcję muszkietów lontowych, preferowałem swój rapier lub katar²⁶, który udało mi się kupić od jednego hindus-kiego podróżnika.

– Gdy tylko wypłyną na szerokie wody Atlantyku – kontynuował Severo, na którego ramieniu siedział stalowoszary sokół i łytał na nas niemalże czarnymi ślepiami – rozwijamy maksymalną prędkość. Wasze okręty są mniejsze i szybsze. Lerate zajdzie ich od północy, Crescencia obierze kurs na Casablancę, by w odpowiednim momencie zablokować im ucieczkę na południe. A mój statek będzie trzymał kurs prosto na ich rufę. Przekażcie załodze, że kanonierzy mają celować z armat w maszty. Tylko w maszty! Nie chcemy zatopić statku. Zniszczymy grotmaszt i fokmaszt²⁷. To powinno wystarczyć. Potem przygotowujemy się do abordażu.

– Rodzina markiza jest moja! – dobitnie przypomniałem braciom, na co Cruz wyrwał oczami. – Gdy tylko wypełnię ostatnią wolę ojca – zrobiłem pauzę, przypominając sobie oczy córki markiza o barwie wzburzonego morza, otoczone gęstymi ciemnymi rzęsami – wracamy na Wyspę.

– Nie zabijamy załogi, Marcosie. Zakarbuuj to w pamięci! – Severo popatrzył na mnie srogo, a ja drwiąco prychnąłem: z naszej trójki to ja byłem najbardziej bezwzględny. – Mówię poważnie! Markiz, jego żona i dzieciak. Zgodnie z ostatnią wolą ojca. Nie jesteśmy mordercami! Resztę marunujemy²⁸ i niech sobie radzą. Chyba że ktoś zechce się do nas przyłączyć.

*

Stałem na bukszprycie²⁹, wpatrując się w ledwie widoczny w oddali galeon hiszpań-skiej floty. Przyłożyłem do oka lunetę, by upewnić się, że to statek, którym podróżuje markiz. Czułem na twarzy kropelki morskiej wody, która rozbijała się z impetem o dziób, kiedy pruliśmy przez wody oceanu, trzymając kurs na Cieśninę Gibraltarską. Zamknąłem oko, rozłożyłem ręce, a szeroka czarna koszula powiewała wokół mnie niczym ptasie skrzydła. Skierowałem twarz ku niebu, pozwalając, by słońce ją wysuszyło. Czułem się wolny i po raz pierwszy od dnia, w którym straciłem ojca, poczułem, że naprawdę żyję.

Wiatr był idealny, żagle napięte do granic możliwości, a moja fregata osiągnęła chyba maksymalną prędkość. Załoga uwijała się jak w ukropie, czekając na kolejne rozkazy. Kiedy zadzwoniono na pierwszą szklankę popołudniowej wachty³⁰, hiszpański statek nagle zaczął zbaczać z kursu przez sterburtę³¹. Ponownie przyłożyłem lunetę do oka i dostrzegłem dwa okręty z czarnymi żaglami na masztach. Plan działał. Z każdym kolejnym wybiciem szklanki Lerate była coraz bliżej hiszpań-skiego galeonu. Od strony rufy Bienvenida płynęła w odległości mniej więcej pół mili. Wówczas ujrzałem w oddali Crescencję nacierającą na hiszpań-ską jedno-stkę od strony bakburty³². Czekałem tylko na odpowiedni moment. Czułem mrowienie na karku, a moje serce z lekka przyspieszyło. Lubiłem tę niepewność przed walką. Karmiłem uszy krzykami hiszpań-skich marynarzy i odgłosami dzwonu umieszczonego przy bocianim gnieździe wrogiego okrętu. Najpierw usłyszałem jedno uderzenie w dzwon, oznaczające zagrożenie na sterburcie, a potem dwa – zagrożenie na bakburcie.

– Jesteśmy gotowi, kapitanie – oznajmił Pierwszy, zanim z pokładu Bienvenidy oddano wystrzał.

Ryk armatniej kuli niósł się nis-kim basem i zwiastował jedno – walkę! Pocisk o włos

minął rufę hiszpań-skiego galeonu i wbił się z głośnym pluskiem w wodę, wzbijając ją wysoko. Dreszcz przebiegł mi po plecach, a mięśnie napięły się z podekscytowania. Crescencia wykonywała właśnie manewr przez rufę, przygotowując się do ataku.

Nareszcie!

Zszedłem z bukszprytu i spojrzałem prosto w szare oczy Pierwszego – Hugona. Było w nich widać nerwowe podniecenie. Łysinę miał owiniętą czarną bandaną, a w obu uszach i szerokim nosie tkwiły złote kółka. Był pierwszym czarnoskórym niewolnikiem, którego ocalił mój ojciec. Walczył zaciekle u jego boku, a broniąc go w ostatniej walce, stracił nogę. Tak jak Julio, mój bosman, Hugo również stanął za mną murem, kiedy przyszło do głosowania na nowego kapitana.

Ojciec wprowadził na statku zasady demokracji – z wyjątkiem walki, kiedy należało bezwzględnie słuchać rozkazów kapitana. Łupy dzieliliśmy po równo, najważniejsze decyzje podejmowaliśmy na otwartych zebraniach. Dbaliśmy o członków załogi niezdolnych do dalszej pracy. Wikt i opierunek zapewnialiśmy im na Wyspie.

– Za André! – rzekłem ostro, w myślach składając hołd -swojemu ojcu, a potem, mrużąc oko, dodałem groźnie: – Żadnych jeńców!

Hugo przez moment spoglądał na mnie, zapewne ważąc w myślach słowa Severa i moje, ale po chwili kiwnął głową. W końcu to ja byłem jego kapitanem. Pierwszy odwrócił się i podbiegł do relingu³³ na nadbudówce statku, rycząc tubalnie:

– Podnieść ambrazy! Ładować kule!

Do moich uszu dobiegł przytłumiony dźwięk ciężkich kół szlang³⁴ obracanych pod pokładem. Gdy umilkły, wiedziałem, że lufy armat czekają, gotowe do wystrzału.

– Z życiem, morskie dupy! Do lin! Razem! – Głos Pierwszego mieszał się z pełnymi przerażenia wrzas-kami na hiszpań-skim okręcie. – Zrzucić grot, zrzucić fok!³⁵ Psiajuchy!

Marynarze biegali jak w ukropie, zrzucając główne żagle. Wszystko po to, żeby ochronić płótna przed ewentualnym odwetem ze strony hiszpań-skiego galeonu oraz ułatwić manew-rowanie statkiem. Kiedy z Crescencii wystrzeliła pierwsza kula armatnia, ryknąłem:

– Do ataku! Na przy!³⁶

– Na przy! – odpowiedział chór moich kamratów, a potem rozpętało się piekło.

Lerate ustawiła się od bakburty i wystrzeliła. Widziałem, jak kule dziurawią bezan³⁷ i grot hiszpań-skiego statku, a następnie łamią fokmaszt, grotmaszt i bezanmaszt³⁸, jakby te były drzazgami. Widziałem żołnierzy szykujących muszkiety do strzału. Chwyciłem linę i ryknąłem:

– Do abordażu!

Odbiłem się stopami od des-ki i poszybowałem na hiszpań-ski okręt.

18 A. Mendrygał, *Hiszpań-skie dziewczyny*, szanta, <https://puntovita.pl/szanty/hiszpanskie-dziewczyny/>, dostęp: 14.01.2023.

19 Gwiazdołap – nawigator.

20 Bukanierzy – zbiegli marynarze, przestępcy, dezernerzy i kontraktowi marynarze pochodzenia francus-kiego, angielskiego i holenderskiego, działali na morzu i lądzie; ich główną bazą była Tortuga, w drugiej połowie XVII wieku wprowadzili rządy terroru na całym obszarze Morza Karaibskiego.

21 Brac-two Wybrzeża – autentyczne zrzeszenie bukanierów, które demokratycznie podejmowało decyzje dotyczące celu wypraw, dowództwa i rozdziału łupów, działające w XVII i XVIII wieku, zamieszkujące początkowo Tortugę, a później Nassau. (Czarni Bracia to kreacja literac-ka).

22 Czarny heban – określenie czarnoskórych niewolników.

23 Perspektywa – tu: luneta.

24 Bandolet – krótka strzelba.

25 *Tekko-kagi* – rodzaj broni znanej już we wczesnych cywilizacjach, między innymi w Indiach, bardzo popularnej wśród japońskich wojowników; była to zakładana na dłoń obręcz z przymocowanymi czterema żelaznymi ostrzami przypominającymi niedźwiedzie pazury.

26 Katar – tu: hinduski pugińał do pchnięcia, zakładany na dłoń, z uchwytem w kształcie litery H.

27 Fokmaszt – pierwszy maszt od strony dziobu.

28 Marunowanie – pozostawienie człowieka na bezludnej wyspie z kilkoma nabojami, butelką wody i beczką prochu, aby przetrwał lub skonał z głodu, zwykle stosowane jako kara za dezercję.

29 Bukszpryt – drzewce wystające z dziobu jedno-stki żaglowej.

30 Godzina 12.30.

31 Sterburta – prawa burta.

32 Bakburta – lewa burta.

33 Reling – barierka.

34 Ambrazura – otwór strzelniczy w burcie okrętu; szlanga – inaczej kolubryna, działo okrętowe.

35 Grot i fok – żagle znajdujące się odpowiednio na grotmaszcie i fokmaszcie.

36 Pryz – łup zdobyty podczas walki na morzu.

37 Bezan – tylny żagiel.

38 Bezanmaszt – ostatni maszt na żaglowcu, na fregacie zwany krojcmasztem lub stermasztem.

Trzecia szklanka

„Zwą mnie wszyscy Wieszający Johnnie.

Wieszać, chłopcy, wieszać.

Powiadają, że wiem dla mamony,

Zatem wieszać, chłopcy, wieszać”.

Hanging Johnny, szanta

Marcos

Kiedy moje stopy dotknęły rozgrzanego słońcem pokładu, jednym ruchem umieściłem katar na lewej dłoni, po czym wykonałem obrót przez prawe ramię i wbiłem ostrze w brzuch nadbiegającego żołnierza, jedno-cześnie wyciągając rapier z pochwy i dźgając przebiegającego marynarza.

Żadnych jeńców!

Bojowy ryk moich kamratów niósł się niczym sztormowa fala: silny, niebezpieczny i nieujarzmiony. Pobudzał krew w żyłach, a podniecenie rozlewało się wraz z nią po całym ciele. Usłyszałem huk i poczułem pieczenie na ramieniu. Spojrzałem w kierunku źródła dźwięku. Parę kroków za mną stał żołnierz i drżącymi rękami ładował muszkiet. W kilku susach znalazłem się przed nim i szybkim ruchem rozplątałem mu brzuch katem. Krople ciepłej posoki trysnęły mi na twarz, a w ustach poczułem jej metaliczny posmak. Uśmiechnąłem się do siebie. Zaiste byłem w swoim żywiole.

– „Raz bosmana rekin pożarł, lecz nie smućcie się, kochani, bosman żyje, rekin umarł, zatruł się zbukami”³⁹. – Usłyszałem gromki śpiew Cruza.

Powiodłem wzrokiem w kierunku Crescencii i zobaczyłem, że jej załoga także przygotowuje się do abordażu. Już po chwili kolejna – tym razem sprośniejsza – zwrotka szanty zabrzmiała tuż koło mojego ucha.

– „Znałem kiedyś Chinkę w barze, co śpiewała piosnki sprośne. Gdy kimono swe rozdziała...” – Głos Cruza urwał się nagle, za to chórem zawtórowała mu jego załoga:

– „Cyc-ki miała skośne!”

Pokręciłem z niedowierzaniem głową. Zaprawdę Cruz był wariatem. Nie spotkałem żadnego innego marynarza, który śpiewałby szanty podczas walki. Jak widać, od ostatniej potyczki zdołał wyszkolić także swoją załogę. Nie wiem, skąd wziął wszystkich tych ludzi, ale jednego byłem pewien: gdyby skoczył w ogień, poszliby za nim bez wahania.

– „Słuchaj rady, młody majtku, strzeż się dziewcząt w Joko-hamie, tam są gejsze takie szybkie...”

Nie dosłyszałem ostatniego wersu, bo właśnie wszedłem do jednej z kajut oficerskich na nadbudówce. Widziałem, jak moi ludzie wywlekali oficerów i kapitana z pozostałych pomieszczeń, przeto wywnios-kowałem, że w tej musieli się ulokować markiz z rodziną. Powoli lustrowałem kajutę. Mięśnie miałem napięte jak postronki, gotowe w każdej chwili na reakcję na atak. Dobrze jednak wiedziałem, że nie znajdzie się taki śmiałek. Spływający krwią katar na mojej lewej dłoni był wystarczającą przestrożą.

Dostrzegłem kufry podróżne, ustawione jeden obok drugiego pod ścianą kajuty. Na drewnianym stoliku stał półmisek z empanadillas oraz trzy talerzyki z napoczętym jedzeniem. Jeden pierożek leżał rozdeptany na podłodze. Poczęstowałem się tymi z półmis-ka i zamknąłem oczy, delektując się ostrym mięsnym nadzieniem i chrupiącym ciastem. Rzadko miewałem w ustach takie rarytasy. Uśmiechnąłem się do siebie z przekąsem. W niczym nie przypominało to stawy, jaką spożywaaliśmy z załogą w czasie rejsu. Jeśli mięso nie było przesolone i bez robaków, a suchary szło ugryźć bez maczania ich w wodzie, to już było niezłe.

Arystokracja, psia jej mać!

Prychnąłem i pokręciłem z niedowierzaniem głową. Zajrzałem do kufrów w poszukiwaniu czegoś, co mogłoby się nadać na łup. Wszystkie były pełne ubrań, jednakowoż w tym ostatnim znalazłem dziewczęce suknie. Przyłożyłem jedną z nich do nosa i wciągnąłem delikatny zapach olejku pomarańczowego. Miałem niezbity dowód na to, że cała interesująca mnie trójka jest na pokładzie.

Opuściłem kajutę, zgarnawszy worek jutowy z ziarnami kakaowca i kilka ozdobnych puszek z pralinkami.

Jej już się nie przydadzą, pomyślałem, a moją głowę natychmiast zalały wspomnienia z Doku Straceń i te duże, przepelnione lękiem zielone oczy.

– Kapitanie! – zagrzemiał Julio, kiedy tylko wyściubiłem głowę za drzwi.

Korzystając z okazji, przechodzącemu obok mnie kamratowi dałem na przechowanie zagrabione słodkości. Na pokładzie wśród żywych dostrzegłem jedynie członków załogi Crescencii i Lerate. Tuż obok mojego bosmana z rapierem przytkniętym do szyi klęczał markiz. Na mojej twarzy wykwitł pełen zadowolenia uśmiech i spokojnym krokiem, jakbym w ogóle nie widział zbroczonego krwią pokładu i nie słyszał jęków dogorywających Hiszpanów, ruszyłem w ich stronę. Spostrzegłem, że Bienvenida podjęła manewr, by ustawić się burta w burcie z hiszpańskim galeonem, ażeby również dokonać abordażu.

– Señorze Rodrigo – przywitałem się z lekkim ukłonem.

– Nie ujdzie wam to na sucho... – zaczął zatrwożonym głosem, ale Julio przycisnął szpadę mocniej do jego szyi.

– Już nam uszło, markizie. – Prychnąłem drwiąco, przysuwając twarz tak blisko, że czułem strach wydobywający się z jego skóry wraz z odorem potu. – Nie spodziewałeś się, co, señorze? Od czterech lat wody u wybrzeży Hiszpanii były wolne od Czarnych Braci. A tu nagle taka siurpriza... Ale – zrobiłem pauzę, unosząc palec wskazujący – brakuje nam tu jeszcze kogoś, co, kamraci?! – Wyprostowałem się dumnie, gdy odpowiedział mi entuzjastyczny ryk mojej załogi.

– Wiem, że chodzi o twojego ojca, André Noira... Wiem, że to zemsta. Wiem, że jesteś jego synem.

– Zatem kurtuazję mamy już za sobą, señorze. – Posłałem mu diaboliczny uśmiech. – A teraz, señor wybacz, udam się na poszukiwanie naszych dam...

– „Żegnajcie nam dziś, hiszpańskie dziewczyny...”⁴⁰ – zaintonował Cruz radośnie, ściągając swoje zakrwawione *tekko--kagi*.

Rzucił je na pokład i pociągnął łyk rumu z bukłaka, który pewnie znalazł porzucony na pokładzie, po czym zaczął wybijać dłońmi rytm na udach, a jego załoga zawtórowała ochoczo.

– „Żegnajcie nam dziś, marzenia ze snów, ku brzegom angielskim już ruszać nam pora, lecz kiedyś na pewno wrócimy tu znów...”

Zostawiając ich w یشie szampańskim nastroju, zszedłem pod pokład i skierowałem się w stronę kubryku. Wrzawa zdawała się cichnąć z każdym krokiem w głąb pomieszczenia. Minęło mnie kilku kamratów z załogi Cruza, którzy pozbyli się kanonierów z baterii burtowej. Zdawało

się, że pod pokładem nie ma już żywego ducha, ale wolałem trzymać rapier w pogotowiu, tak jak katar. Pot lał się po moich plecach strumieniami, lecz oddech miałem spokojny. Nie bałem się. Nigdy się nie bałem.

Dotarłem w końcu do celu. Ostrożnie, krok po kroku sprawdzałem wszystkie koje i hamaki. Przystanąłem raptownie, wiedziony jakimś wewnętrznym instynktem, i zajrzałem pod najbliższe posłanie. W mroku dostrzegłem parę przerażonych oczu. Schowałem rapier do pochwy i nachyliłem się, sięgając ręką pod koję, żeby wydobyć delikwenta, gdy nieoczekiwanie usłyszałem krzyk. Odwróciłem się gwałtownie i mój katar zatrzymał się milimetry od szyi wyrostka, na oko niewiele młodszego ode mnie. Oddychał ciężko, jednakowoż uniosł ręce w geście poddania, upuszczając tępą brzytwę trzymaną w jednej z dłoni.

– Każ szczurowi wyjść! – zakomenderowałem, wskazując na koję.

Milczał, wbijając we mnie harde spojrzenie. Spodobał mi się. Niejeden stary wyga na jego miejscu zeszczałby się w pantalony.

– No dalej, nie mam całego dnia, a może cię oszczędzę. Interesuje mnie tylko señora Rodrigo i jej córka.

– Señorita została w domu – odparł szybko. Zbyt szybko.

– Doprawdy? – Roześmiałem się. – Każ wyjść szczurowi spod koi albo podziurawię go rapierem!

– Daruj im życie, señorze. – Spod posłania położonego dokładnie naprzeciwko wyczołgała się señora Rodrigo. – To mnie szukasz. – Była brudna i zlékniona. Głos jej drżał, tak jak drobne blade dłonie.

Zerknąłem na jej palce. Każdy ozdobiony pierścionkiem z drogimi kamieniami. Szykowna niegdyś suknia była pokryta kurzem i pajęczynami, które – jak mniemałem – zalegały na podłodze pod kojami.

Nie do przyjęcia na mojej fregacie, pomyślałem.

Na pokładzie Lerate każde pomieszczenie lśniło. Okręt był moim życiem, moją miłością i dokładnie takiego samego podejścia oczekiwałem od mojej załogi. Dbałem o to, co kochałem, i surowo karałem tych, którzy tym gardzili.

– To tylko dzieci... – odezwała się ciszej, patrząc na mnie błagalnie.

Podszedłem do niej i chwyciłem ją z całej siły za włosy. Załkała. Szarpnąłem, przysuwając jej głowę do swoich ust. Ostrze kataru wcisnąłem mocno pod jej podbródek, zmuszając ją, by uniosła głowę wyżej. A potem powoli, napawając się przerażeniem, jakie w niej wywoływałem, wycodziłem prosto do jej ucha:

– Pamiętasz mnie, señoro?

Próbowała pokręcić głową, ale trzymałem ją tak mocno, że nie mogła nią poruszyć.

– Pamiętasz chłopca z przepaską na oku w Doku Straceń cztery lata temu?

Zaszlochała.

– Stałem tuż obok twej córeczki. Podskakiwała jak mała wesz... Dumna, że jej *papá* – wypowiedziałem to słowo z obrzydzeniem – pojawił się na podeście. W miejscu, gdzie kilka chwil później skazał na śmierć mojego ojca!

Pchnąłem ją z całych sił. Upadła.

– Ani drgnij! – warknąłem, kiedy chłopak chciał do niej podejść.

Momentalnie zastygł w bezruchu.

Señora Rodrigo leżała na des-kach i płakała, zwinięta w kłębek. A ja czułem wielką satysfakcję. Byłem ukontentowany tym, jaki postrach siałem.

– Na kolana, señoro! – rozkazałem ostro.

Błyskawicznie uklękła, chyląc przede mną czoła.

– Gdzie podziała się twoja wyniosłość? Duma? Hmm? – sztychłem. – Dziś Atlantyk spłynie krwią twojej rodziny. Twoją, markiza i waszej rozpuszczonej córeczki! Z wielką przyjemnością rozplątałem jej trzewia, zanim wyrzucę ją za burtę. – Roześmiałem się w głos, po czym momentalnie spoważniałem. – A teraz kaźcie dzieciakowi wyjść spod koi...

Milczeli. Oboje. Señora na kolanach, z czołem opartym o deski, dygotała jak osika. Chłopak wpatrywał się we mnie z przestachem.

– Moja cierpliwość się kończy! – ryknąłem.

– Wyjdź, Paco – odezwał się chłopak.

Usłyszałem ciche szuranie i tuż obok moich stóp wychynęła drobna, pokryta brudem postać w za dużej koszuli i kulotach do kostek. Niechlujnie ścięte, sięgające krawędzi zuchwy brązowe włosy okalały umorusaną buzię. I prawie dałbym się nabrać, gdyby nie pieprzyk nad górną wargą i te oczy: zielone jak morska toń, otoczone bujnymi czarnymi rzęsami. *Zwierciadło jej duszy*. Wpatrywała się nimi we mnie złęknioma. Gdy się nie odezwałem, wyskoczyła spod koi i wtuliła się w wyrostka. Przekrzywiłem z zainteresowaniem głowę, lustrując to markizę, to dwoje dzieciaków. A po chwili ubawiony rzekłem:

– Na pokład.

Gdy wyszliśmy, na moment oślepiło mnie ostre słońce, ale moje oko szybko przyzwyczało się do jasnego światła. Markiza podbiegła do swojego męża. Moi ludzie spięli się, gotowi, by ją zatrzymać, ale pokręciłem głową. Niech mają ostatnie chwile dla siebie. Brązowowłosy dzieciak też chciał do nich ruszyć, lecz zgromiłem go wzrokiem. Przestraszony wtulił się mocniej w chłopaka.

– Tedy jesteśmy już wszyscy. – Mój donośny głos poniósł się echem po pokładzie.

Rozejrzałem się, oceniając straty w ludziach. Napotkałem surowe spojrzenie Severa. Pewnie będzie mi suszył głowę za wybicie całej załogi. Ramiona skrzyżował na klatce piersiowej, dzierżąc w jednej dłoni swój bandolet. Czasem nie rozumiałem jego motywów. Potrafił bez litości dusić niewinnych gołymi rękami, a potem niespodziewanie darować życie całej załodze statku. Raz byłem świadkiem, jak kapitanowi mongolskiego okrętu, który obrabowaliśmy, uścisnął dłoń i życzył wszystkiego dobrego. Bywał kapryśny jak jakaś stara flama.

Zbliżyłem się do markiza i jego żony, którą Julio pchnął, by także przede mną uklęknęła.

– A więc wasza córka została w domu? – spytałem.

– Tak – odpowiedzieli zgodnie, ale wzrok markizy na moment spoczął na szczycie dygocącym ze strachu i wtulonym w starszego chłopaka.

Czułem, jak kącik moich ust unosi się w drwiącym grymasie. Łgali w żywe oczy. Sądziłem, że trafili na kiepa. Nic bardziej mylnego... Postanowiłem zatem zabawić się w grę, którą rozpoczęli, dając im złudne poczucie tymczasowego tryumfu. A potem pokład miał spłynąć ich krwią. Rodzina Rodrigów dokona żywota.

Podszedłem do dwójki dzieciaków. Chłopak był mniej więcej mojego wzrostu, a jego ciemne włosy wypłowały od słońca. Bez wątpienia marynarz.

– Kim jesteś? – spytałem go.

– Javier, señorze – odezwał się. – Jestem marynarzem.

Nie bał się albo potrafił dobrze skrywać emocje.

– Jak długo pływasz?

– Siódmy rok, señorze.

Mówił uprzejmie i traktował mnie z szacunkiem. Zyskał w moich oczach. *Może go oszczędzę?* Zerknąłem na katar, na którym krew zaschła w rdzawe plamy, po czym wbiłem wzrok z powrotem w jego oczy.

– Jestem kapitanem tej fregaty. – Wskazałem na Lerate. – Możesz dołączyć do mojej załogi lub, jeśli taka jest twoja wola, spocząć na dnie oceanu.

– To będzie dla mnie zaszczyt służyć pod twoją banderą, kapitanie – zełgał.

Ratował swoją skórę. Wola życia najwyraźniej była dla niego ważniejsza niż honor. Bądź – zerknąłem na młokosa wtulonego w jego tors – próbował zrobić wszystko, by ocalić dziecko. Niech i tak będzie.

– A ty? Jak cię zwa? – zapytałem dzieciaka kurczowo obejmującego Javiera w pasie.

– To Francisco, kapitanie – odezwał się Javier za niego.

Moja dłoń wystrzeliła i chłopak otrzymał mocny cios na odlew prosto w policzek. Zachwiał się i spojrzał na mnie z wyrzutem. Widziałem, jak powstrzymuje się, by nie dotknąć bolącego miejsca. Moi kamraci zarechotali chóralnie.

– Cisz! – ryknąłem, na co momentalnie pokornie zamilkli. – Nie odpowiadasz niepytany, czy to jasne?!

– Tak – odburknął.

– „Tak” co?! – Przysunąłem twarz tak blis-ko, że mógł-bym policzyć nieliczne jasne piegi na jego nosie.

– Tak, kapitanie. – Miałem wrażenie, że cedzi to przez zaciśnięte zęby.

Ucz się, psiajucho!, pomyślałem z satysfakcją, po czym wyprostowałem się i ponownie zwróciłem do dzieciaka:

– Jak cię zwa?

Nawet na mnie nie spojrzał. Zacisnąłem dłoń na jego włosach i szarpnąłem. Drobne dłonie puściły pas Javiera i powędrowały do głowy, starając się za wszelką cenę rozcapierzyć moje palce. Zacisnąłem je jeszcze mocniej, posyłając dzieciakowi upiorny uśmiech. Nachyliłem się i spojrzałem mu prosto w oczy. Poczułem delikatną woń olejku pomarańczowego. Miałem ochotę zamknąć oko i głośno wciągnąć powietrze -nosem. Nie wątpiłem, że to ta sama osoba, która z ciekawością obserwowała mnie cztery lata temu w Doku Straceń. Z tą różnicą, że teraz zielonomodne tęczówki były pełne łez. To była ta sama dziewczynka. Señorita Rodrigo.

Francisca.

– Pytam po raz ostatni: jak cię zwa?

Podbródek zaczął jej drżeć, a pulchne policzki pokryły się łzami. Przeniosłem spojrzenie na jej usta. Górna warga była większa od dolnej i lekko nabrzmiała. W dużych oczach szalał strach. Przełknąłem ślinę, bo nagle pomyślałem, że aby je narysować, musiałbym zastosować mocną kreskę, a przy rzęsach lekko rozmazać węgiel małym palcem. Inaczej nie uzyskałbym efektu, który by mnie zadowolił. Byłem wstrząśnięty tą myślą, ponieważ od śmierci ojca nie chwyciłem węgla w dłoń. Do chwili obecnej nie byłem w stanie rysować. Nic nie stanowiło dla mnie dostatecznej inspiracji. Dopiero teraz znów poczułem zew natchnienia.

Te oczy.

Musiałem narysować jej oczy.

– Jesteś Francisco? Paco? – zapytałem po dłuższej chwili, kiedy w końcu otrząsałem się z szoku. Poczułem, jak rusza głową, żeby nią kiwnąć. Poluźniłem nieco uchwyt na włosach. – I pływasz na statku?

Jej spojrzenie powędrowało do Javiera, a potem znów przytaknęła. Zrobiła to nerwowo. Zbyt nerwowo.

Chwyciłem jej dłonie. Serdelkowate palce z idealnie wypielęgnowanymi i przyciętymi paznokciami. Zero odcisków czy zadrapań.

Dłonie rozpieszczanej księżniczki.

Uśmiechnąłem się pod nosem. W sumie mógł-bym ją zdemaskować i zabić od razu, ale

instynkt podpowiadał mi, żeby ciągnąć tę farsę. Byłem gotów założyć się o swoje jedyne oko, że zanim dotrzemy na Wyspę, i tak będzie już martwa.

Puściłem włosy dziewczynki i wyprostowałem się, wodząc okiem po statku. Dumnym krokiem podszedłem w stronę markiza i jego żony. Poprawiłem katar na lewej dłoni, a prawą chwyciłem mężczyznę za gardło, zmuszając go, by się podniósł. Uśmiech spełził z mojej twarzy, ustępując miejsca czystej furii.

Za André!

Pchnąłem markiza na grotmaszt, tak że uderzył w niego plecami. Nie walczył, co zirytowało mnie jeszcze bardziej.

– Przybyłem z piekła – wycodziłem, patrząc mu prosto w oczy – i tam cię zabiorę!

Znow złapałem go prawą dłonią za gardło, a lewą pchnąłem prosto w jego trzewia. Jęknął, a ja pociągnąłem rękę do góry, rozkrawając połacie skóry i wytrzebiając jego wnętrzności. Złapał obiema dłońmi za nadgarstek ręki, którą go podduszałem, i zaczął nieznacznie poruszać ustami. Zbliżyłem ucho, żeby lepiej słyszeć.

– Nie jestem osobą, której szukałeś, chłopcze – wyrzucił, plując krwią. – Szukaj wśród Brac-twa... – A potem oczy uciekły mu w głąb czaszki i zaczął się osuwać na ziemię.

Puściłem go. Upadł z hukiem. Markiza załkała głośno. Wpatrując się w jego truchło, próbowałem przetrwać to, co powiedział.

Szukaj wśród Brac-twa...

Brac-two Wybrzeża!

Morvin Gallagher...

Kilkakrotnie docierały do naszych uszu pogłoski o planowanej przez niego zemście. Ale nigdy bym nie podejrzewał, że dogłębnie nienawidzący Hiszpanów, Anglików i Francuzów bukanier pokala swój honor i sprzymierzy się z wrogiem. *W imię czego?* – Przygryzłem wnętrze policzka. – *Chorej zemsty za Amirę?*

Raptem wszystko wróciło. Znow tkwiłem w porcie, czekając na Cruza, który jak zwykle za nic miał ojcowskie ustalenia. Tego dnia się spóźnił. Teraz dopiero przypomniałem sobie, że na jednym z zacumowanych w porcie statków mignęła mi ruda czupryna. Wszyscy Gallagherowie byli ogniście rudzi. Natenczas nie zwróciłem na to uwagi, bo Irlandia pełna jest ryżych, ale znając ten szczegół, wszystko stało się jasne.

Zawsze zastanawiałem się, jakim cudem tamtego dnia namierzono Lerate, lecz nigdy przez myśl nie przeszło mi Brac-two Wybrzeża. Stronili od północnych wód. Skupili się na rabowaniu nadmorskich prowincji u wybrzeży Ameryki, my napadaliśmy na statki wokół afrykańskich brzegów. Odkąd ojciec opuścił ich szeregi, nigdy nie stawaliśmy sobie na zawadzie.

Zacisnąłem pięści. Mój gniew rósł niczym płomień pod-sycany naftą. *Gallagher. Morski Diabeł.* Jeden z najgorszych zwyrodnialców, jacy pływali po wodach Atlantyku. Jego ulubioną metodą torturowania było zmuszanie jeńców do tańczenia aż do śmierci za pomocą uderzeń płonącej kłodą. Handlował też ludźmi. *Skurwysyn.*

Poczułem się nagle potwornie zmęczony. I głodny. I wściekły. Na moment spojrzałem na dziewczynkę, rozważając rozplatanie jej brzucha i przybicie wnętrzności do grotmasztu, ale wtedy nasze spojrzenia się skrzyżowały. W mojej klatce piersiowej pojawił się jakiś dziwny ciężar, kiedy te lśniące od łez oczy wytrzymały mój wzrok. W mojej głowie momentalnie zaczęły się przewijać pytania, czy na Lerate znajdę jakiś kawałek węgla i papier. Musiałem narysować jej oczy.

Odwróciłem się w stronę klęczącej i zawodzącej markizy. Kiedy tylko zrobiłem krok w jej stronę, skuliła się. Gdy znalazłem się przed señołą, odezwałem się rozkazującym tonem:

– Spójrz na mnie!

Uniosła głowę, dygocąc na całym ciele. Twarz miała bladą, czernidło z rzęs rozmazało się i spłynęło po upudrowanych policzkach. Ściągnąłem katar i rzuciłem go na dek. Ukucnąłem naprzeciwko niej. W oczach kobiety dostrzegłem rezygnację. Poddała się. Nie widziała sensu, żeby walczyć. Poczułem irytację. *Ma, do czorta, o co walczyć... o kogo!* Powędrowałem wzrokiem w kierunku dziewczynki. Wpatrywała się w matkę, błagając wzrokiem o ratunek. Ta nie zaszczyciła jej nawet jednym spojrzeniem. *Mój ojciec dałby się za nas spalić żywcem!* Wyciągnąłem prawą rękę w kierunku damy, zachęcając ją, by podała mi swoją. Tak też uczyniła. Ostrożnie zdjąłem pierścionki ze smukłych palców obu jej dłoni.

– Już nie będą ci potrzebne, señoro – wysyczałem jej do ucha tak cicho, by tylko ona to dosłyszała. – Mój brat pewnie chętnie by się z tobą zabawił, señoro – powiedziałem głośno, na co Cruz oblizał lubieżnie wargi.

– Błagam... – wyszeptała, ale nie zdążyła dokończyć.

Błyskawicznie wstałem, chwyciłem jej głowę i gwałtownie przekręciłem ją w bok. Głośne chrupnięcie przeszło ciszę. Ciało markizy momentalnie zwiotczało, a gdy zabrałem rękę, upadło z łos-kotem na pokład.

Za ciebie, papo!

– Zawsze musisz popsuć całą zabawę – dąsał się Cruz, chwytając linę, by przes-koczyć na swój statek. – Zaopiekowałbym się nią odpowiednio. Na łono Salacji! Do domu jeszcze daleko. Miałbym towarzyszkę!

Wziął rozbieg i z dzikim wrzas-kiem poszybował na linie między naszymi okrętami. Gdy jego stopy dotknęły pokładu Crescencii, załoga poszła w jego ś-lady.

– Kiedy dotrzemy na Wyspę, czeka nas poważna rozmowa, Marcosie. – Usłyszałem surowy głos Severa. – Nie taka była umowa!

Posłałem mu cyniczny uśmieszek, ale nie odezwałem się ani słowem. Gdy i on razem z załogą udali się na pokład Bienvenidy, podszedłem do swoich nowych zdobyczy. Dziewczynka – czy jak tam sobie chwilowo woleli: Paco – spojrzała na mnie w momencie, kiedy znalazłem się tuż przed nią. I wtedy zobaczyłem, że ze strachu naszczała pod siebie. Ostry zapach moczu dotarł do moich nozdrzy i skrzywiłem się z niesmakiem. Nachyliłem się, a ona ponownie objęła ramionami Javiera.

– Puść go! To rozkaz!

Nie zareagowała. Złapałem jej ręce i siłą oderwałem od chłopaka.

– Zabierzcie go na statek! Przydzielcie mu wachtę i miejsce w kubryku!

– Tak jest, kapitanie! – Julio kiwnął głową na młokosa, a ten posłusznie ruszył za nim, odwracając co chwila głowę, jakby chciał się upewnić, czy nie zabije też dziewczynki.

Gdy zostaliśmy sami, skrzyżowałem ramiona na klatce piersiowej i odezwałem się surowym głosem:

– Jesteś chłopcem okrętowym?

Kiwnęła głową.

– Chcę to usłyszeć! Chcę usłyszeć, jak mówisz, do czorta! – ryknąłem, ale ona w odpowiedzi tylko zaszlochała głośno.

– Od teraz jestem twoim kapitanem i musisz słuchać moich rozkazów, zrozumiano?

Przytaknęła. Nadal drżała na całym ciele. Przemoczone moczem spodnie przykleiły się do wewnętrznej strony jej ud. Podszedłem do jednego z martwych marynarzy, dość nis-kiego, i sprawnie pozbawiłem go spodni.

– Przyoblecz to! – Rzuciłem jej pantalonny.

Na ten widok oczy niemalże wyszły jej z orbit. Zaczęła się rozglądać w poszukiwaniu

miejsca, gdzie mogłaby swobodnie się przebrać. Och, jaką miałem ochotę się roześmiać. Tego nie przewidzieli w swoim misternym planie. W końcu -ostrożnie podreptała w stronę beczek stojących na deku, zerkając na mnie z przestachem. Wyraźnie czekała na moją reakcję, a kiedy nie zaoponowałem, schowała się pospiesznie za jedną z fasek i już po chwili miała na sobie suche, choć sporo za duże płócienne spodnie. Uklęknąłem obok i sztyłem podciąłem nogawki, tak żeby nie ciągnęły się za nią po pokładzie.

– A teraz chodź, Paco. Pomogę ci znaleźć się na pokładzie Lerate.

Złapałem jej drobną dłoń. Była lodowata i spocona. Jej skóra w kontraście z moją, smagniętą słońcem, barwą przypominała płótno. Pociągnąłem ją w kierunku burty i kucnąłem.

– Wskakuj! – Kiwnąłem głową, by wskoczyła mi na plecy.

Po chwili poczułem, jak z lekkim wahaniem oplata mnie ramionami wokół szyi. Podniosłem się. Jej ręce zacisnęły się mocniej, a nogami przytrzymała się na wysokości mojego pasa. Ponownie mój nos przyjemnie połechtala woń olejku pomarańczowego.

– Trzymaj się mocno, Paco! – ostrzegłem.

Mimo dodatkowego ciężaru bez większego problemu odbiłem się od relingu. Czułem, jak w momencie wybicia mocniej zwarła ramiona i nogi, a głowę wcisnęła w mój kark. Wiatr smagał mi twarz, kiedy szybowaliśmy niczym dwa albatrosy nad wodami oceanu. Dziewczynka drżała. Bała się. Ja natomiast po raz pierwszy czułem, że mogę naprawdę oddychać.

39 *Morskie opowieści*, szanta, <http://www.morskie-opowieści.kwasniewska.pl/morskie.htm>, dostęp: 14.01.2023 (tu i dalej).

40 A. Mendrygał, *Hiszpańskie dziewczyny*, szanta, <https://puntovita.pl/szanty/hiszpańskie-dziewczyny/>, dostęp: 14.01.2023.

Czwarta szklanka

„Gdy na ożenek, panie, masz chęć,

Bierz tę jedyną, nie wahaj się.

Ty panem jej – ona twą panią się stała,

Będzie twą dziewczynką, ty panem jej.

Tańcz dla tatusia, owieczko mała”.

Dance To Your Daddy, szanta

Francisca

Dwie godziny wcześniej...

Z szeroko otwartymi oczami podziwiałam potężny okręt, z którego właśnie zrzucano trap. Ku aż nader zauważalnemu niezadowoleniu matki podskakiwałam niczym młode źrebię i klas-kałam w dłonie, śmiejąc się w głos. Kapitan zaprosił nas na pokład, a potem – gdy statek odbił od brzegu – oprowadził po pokładzie i kajutach. Miał na sobie szykowny mundur z licznymi medalami. Siwy wąs podkreślił ku górze i co jakiś czas mrugał do mnie serdecznie. Matka jak zwykle przyjmowała wszystko chłodno, rugała mnie, kiedy za bardzo okazywałam, jaka jestem szczęśliwa. *Papá* stawał wtedy w mojej obronie, śmiejąc się razem ze mną. Nic nie zapowiadało tego, co miało się wydarzyć w chwili, kiedy stały ład zniknie nam z oczu.

Zaczęło się całkiem niewinnie. Z bocianiego gniazda usłyszeliśmy informację, że widać jakiś okręt na horyzoncie, od strony rufy. Niewiele później podano wiadomość o kolejnych dwóch okrętach, tym razem płynących od bakburty. Gdy minęło kolejne uderzenie w dzwon, nie umknęło mojej uwadze, że załoga statku jest rozdrażniona. Ojciec podszedł do kapitana i usłyszałam tylko, że dwa okręty mają czarne żagle i pirac-kie bandery.

Pirac-kie bandery?

Strach nieprzyjemnie zakłuł mnie w okolicach serca. Podeszłam do relingu na lewej stronie statku i oparłszy piąstki o drewnianą barierkę, wbiłam wzrok w horyzont. Zaiste dwa okręty płynęły w naszą stronę. Osobliwe uczucie, jakbym wpadła do kadzi z lodowatą wodą, wstrząsnęło moim ciałem. Kiedy poczułam dłoń na ramieniu, podskoczyłam i pisnęłam.

– Idź do kajuty, Paqui. – Głos ojca brzmiał poważnie. Zbyt poważnie.

Wbiłam w niego przepełnione łęką oczy, a on tylko pogłaskał mnie czule i dodał, siłą się na spokój:

– Są z nami żołnierze, ale w kajucie będzie bezpieczniej. Nie lękaj się.

Nie był w stanie oszukać mnie wymuszonym uśmiechem. Pozwoliłam jednak zaprowadzić się do pomieszczenia na nadbudówce, choć trwoga z każdą minutą przybierała na sile. Matka siedziała przy stole i nakładała sobie na talerz empanadillas. Spoczęłam na niskim niewygodnym taborecie dokładnie po przeciwnej stronie drewnianego stolika i również się poczęstowałam. Po chwili dołączył do nas ojciec. Nałó-żył sobie pierożek na talerz, ale nie jadł, tylko mówił coś do matki przyciszonym głosem. *Mamá* zbladła i wyglądała na prze-rażoną. Po chwili zaczęli się wyklócać. Pamiętam, że zanim usłyszeliśmy huk armatniego wystrzału,

krzyknęła do niego:

– Wywiodłeś nas na pewną śmierć, Miguelu!

Potem wszystko potoczyło się jak z bicza strzełił. Głośny odgłos wystrzału z armaty przerwał sprzeczkę. Ojciec wybiegł z kajuty i wrócił z Javierem. Kazał niezwłocznie zabrać nas pod pokład i ukryć. Widziałam, jak trzęsły mu się dłonie, a zwykle pogodna twarz była poważna i blada.

– Im chodzi o mnie, Javi. Zrób wszystko, by je ocalić! – To były ostatnie słowa, jakie usłyszałam z jego ust, zanim przyjaciel złapał moją dłoń i pociągnął mnie za sobą.

Odwrociłam się jeszcze w stronę ojca. Odprowadzał nas wzrokiem przepelnionym smutkiem. *Papá* nigdy nie miał smutnych oczu. Dopiero teraz poczułam, czym jest prawdziwy strach. Rozpełzał się w moim brzuchu niczym jadowita żmija i boleśnie ścis-kał trzewia.

Bieглиśmy w kierunku zejścia pod pokład, zwinnie przemykając między ganiającymi po pokładzie żołnierzami i marynarzami. Mimo wrzawy słyszałam szelest sukni matki tuż za swoimi plecami. Jakby mój umysł szukał czegoś, na czym mógłby się skupić, by nie pozwolić mi na histerię. Załoga szykowała broń. Gwar był tak głośny, że wyrwałam dłoń z uścisku Javiera i zatkałam uszy. Pojęłam, że dzieje się coś bardzo złego.

Javi zaprowadził nas do części, w której spali marynarze. Wskazał koje i poprosił, żebyśmy usiadły. Ledwie wgramoliłam się na posłanie, gdy do naszych uszu dobiegły kolejne wystrzały z armaty i potężny trzask, który dosłownie wstrząsnął pokładem. Statkiem mocno zakołysało. Krzyknęłam i łkając, skoczyłam w objęcia matki, która trzęsła się ze strachu.

– Zaraz wrócę, señoró – oznajmił Javi, choć widziałam po jego minie, że też się lęka.

Istotnie zjawił się po chwili, jeszcze bledszy niż wcześniej.

– Señoró – zwrócił się spokojnie do mojej matki – piraci dokonali abordażu.

Podziwiałam go za ten spokój. Wiedziałam, kim są piraci, a Javi ani przez sekundę nie dał nam odczuć, że się boi.

– Kto to? – Matka zatkała usta dłonią i zdusiła szloch.

– Czarni Bracia.

Upadła na kolana, objęła głowę dłońmi i zaczęła się kiwać w przód i w tył. Zbiła mnie tym z tropu. Sądziłam, że będzie się starała mnie pocieszać... że zaraz powie, iż nic nam nie grozi... Tymczasem ona zaczęła się rozsypywać niczym zamek z pias-ku w zetknięciu z porannym przyływem. Wodziłam wzrokiem od niej do Javiera, próbując zdobyć jakiegokolwiek rozeznanie w sytuacji. Nie miałam pojęcia, kim byli wspomniani przez niego Czarni Bracia, ale wiedziałam, do czego zdolni są piraci. A widząc reakcję swojej matki, poczułam zalewającą mnie falę przerażenia.

– Przyszli po nas – wyszeptała na tyle wyraźnie, że usłyszałam. – Tak jak obiecał... Javier! – Złapała go za rękę, wbijając idealnie wypielęgnowane paznokcie w jego skórę, i pociągnęła go w dół.

Ich twarze znalazły się na tej samej wysokości: jej blada jak żaglowe płótno i jego przyjemnie brązowa.

– Musisz ją uratować. Przysięgnij, że uratujesz moją córkę!

– Ale señoró...

– Przysięgnij na życie swojej matki! – Jej prośba przerodziła się w desperac-ki jęk. – Oni przyplłynęli po to, by nas zabić. – Głos drżał jej tak, że ledwie rozumiałam, co mówi. – To synowie André Noira... Mój mąż go powiesił... Musisz... Za wszelką cenę musisz uratować moje dziec-ko!

Javi popatrzył na mnie z udręką malującą się w ciemnych oczach, a potem powiedział spokojnie:

– Przysięgam, señoro Rodrigo.

Podszedł do jednego z kufrów i wygrzebał marynarską koszulę oraz płócienne spodnie. Były brudne, śmierdziały starymi rybami i potem. Kazał mi się rozebrać. Poszedł gdzieś ukryć moje szaty, podczas gdy matka pomogła mi się przyodziać. Po chwili wrócił z brzytwą w dłoni. *Mamá* rozpuściła moje długie włosy. Sięgały mi do ud. Przeczesała je palcami, roniąc przy tym kilka łez. Kiedy się odsunęła, Javi szybko i na tyle delikatnie, na ile pozwoliło tępawo ostrze, ściał moje włosy. Teraz z ledwością sięgały linii brody. Schował ścinki pod jedno z posłań, po czym przejechał dłonią po podłodze i ubrudził mi twarz. Natenczas dotarło do nas, że na pokładzie zrobiło się niebywale cicho. Spojrzenie Javiera stało się czujne. Zerknął pospiesznie przez ramię, nasłuchując. Gdy na powrót obrócił twarz w moją stronę, oczy miał rozszerzone w przerażeniu.

– Pod koje, chyżo!

Moja matka bez wahania wcisnęła się pod posłanie po przeciw-ległej stronie kajuty, nawet na mnie nie patrząc. Zabolalo mnie to. Liczyłam, że mnie przytuli lub pocieszy. Tymczasem zostawiła mnie całkowicie zdana na Javiera. Dotknęłam dłonią swoich krótkich kosmyków i spojrzałam na chłopaka. Ścis-kał w dłoni brzytwę i czekał, aż się schowam. Broda mi zadrżała i poczułam zbierające się w kącikach oczu łzy. Tak bardzo się bałam tego, co może się wydarzyć.

– Paqui, posłuchaj. – Schylił się, tak żeby jego twarz znalazła się na wysokości mojej.

Zas-koczyło mnie, że dopiero teraz zauważyłam, jak ładną barwę mają jego oczy. Przypominały kolorem skórę Kamarii.

– Zakarbij teraz dobrze w pamięci to, co ci powiem. Musisz się wykazać odwagą i musisz się schować. A jeśli... jeśli cię znajdą, nic nie mów. Po prostu milcz. Od teraz jesteś moim bratem i masz na imię Francisco. Dobrze? Jesteś w stanie to zrobić?

– Boję się, Javi... – wydusiłam piskliwym szeptem, a z mojego gardła wydostał się stłumiony szloch.

Szybko starł kciukiem łzę, która wymknęła się z mojego oka.

– Jeśli zrobisz tak, jak kazałem, nie stanie ci się krzywda. Obiecuję, Paqui. Tylko zrób dokładnie to, o co cię poprosiłem. I pamiętaj – spojrzał w kierunku, gdzie skryła się moja matka – od teraz jesteś Francisco... Paco.

Wcisnęłam się w najdalszy możliwy kąt, czując, jak brud i pajęczyny oblepiają moją mokrą od potu skórę. Staralam się nie myśleć o pajakach, prusakach i innych obrzydlistwach, które mogły się kryć w tym wilgotnym, ciemnym kącie. Cała dygotałam, choć nie było mi zimno.

Muszę być odważna! Muszę być odważna!, powtarzałam sobie w myślach.

Kiedy drzwi do kubryku otworzyły się, zamarłam i wstrzymałam oddech. Widziałam duże bosc stopy pokryte krwawymi plamami. Stapały ostrożnie po des-kach, nie wydając przy tym właściwie żadnego dźwięku. Jakby należały do zjawy, a nie do człowieka. Na jednej z nich widniał tatuaż przedstawiający koguta. A potem nagle się zatrzymały, a ich właściciel pochylił się, by zajrzeć pod koję. Właśnie pod tę, pod którą się schroniłam. Jakby wiedział, że tam mnie znajdzie. Jakby wyczuwał mój przepełniony strachem zapach. A może tak było? Przysunęłam kolana bliżej klatki piersiowej i nie odrywałam wzroku od bursztynowej tęczówki przypatrującej mi się natarczywie. Zaszło mi w ustach, ale się nie poruszyłam. Tkwiłam nieruchomo, starając się nie oddychać. Wtem duża dłoń powędrowała w moim kierunku. Z mojego gardła wydobył się jęk przerażenia. Wcisnęłam się głębiej w kąt. Już prawie mnie dosięgnął, kiedy do moich uszu dotarł wrzask Javiera. Znów widziałam tylko stopy, a po chwili także brzytwę, która upadła na ziemię.

– Każ szczirowi wyjść!

Rozpoznałam ten głos. Brzmiał teraz bardziej męsko, ale nadal słyszałam niewłaściwą wymowę „r”, przez co przypominał akcent mojej guwernantki podczas lekcji francuskiego.

– No dalej, nie mam całego dnia, a może cię oszczędzę. Interesuje mnie tylko señora Rodrigo i jej córka – warknął zuchwało. Jakby był przekonany, że cały świat należy do niego i każdy powinien klękać u jego stóp.

– Señorita została w domu – zełgał Javi.

– Doprawdy? – Głośny śmiech brzmiał donośnie w zamkniętym pomieszczeniu. – Każ wyjść szczerowi spod koi albo podziurawię go rapierem!

Zerknęłam w stronę przeciwległego kąta, gdzie schowała się moja matka, a potem usłyszałam jej złknięty głos.

– Daruj im życie, señorze. To mnie szukasz. To tylko -dzieci...

To był pierwszy akt odwagi, na jaki się zdobyła. Widziałam, jak z trudem wygramoliła się spod posłania. Zanim się wyprostowała, spojrzała na mnie przelotnie. Nadal nie pojmowałam, co właściwie się wydarzyło. Dlaczego matka błagała o darowanie życia? Dlaczego zaatakowali nasz statek? Nie wieźliśmy przecież żadnych kosztowności. Piraci z opowieści, które słyszałam, napadali na statki, żeby je obrabować.

Widziałam, jak pirat żwawo podchodzi do niej, a potem do moich uszu dotarł niezrozumiały szept, wymieszany z łkaniem matki, która po chwili nagle upadła, zapewne pchnięta przez niego. Całe moje ciało spięło się w nerwowym oczekiwaniu. Zagryzłam piąstkę, by nie wydobyć z siebie dźwięku. Moje policzki były mokre od łez.

– Ani drgnij! – Usłyszałam kipiący gniewem rozkaz.

Mamá tkwiła nieruchomo na podłodze i płakała. A on kazał jej przed sobą klęknąć i szydził okrutnie. Nigdy nie spotkałam się z takim okrucieństwem. Potem wypowiedział słowa, które zmroziły mi krew w żyłach:

– Dziś Atlantyk spłynie krwią twojej rodziny...

Znów stałam w Doku Straceń i przerażona obserwowałam, jak ciało pirata zawisło na sznurze. Ale nie to wywołało ścisk w moim sercu, lecz widok jedno-okiego chłopca. Z grymasem udręki na twarzy był zmuszony obserwować śmierć swojego ojca. I nie mógł nic zrobić. Dokładnie pamiętałam każdą sekundę. Jak kurczowo chwycił stojącego obok niego mężczyznę za ramię, jak jego ciało się trzęsło. Pamiętałam opuszczone bezsilnie ramiona i zaciśnięte pięści. Oddychał szybko i ciężko, a po jego policzku spłynęła łza. Jedna łza. Dowód cierpienia, które musiało rozrywać go od środka. Dowód tego, jak bardzo musiał kochać swojego ojca. I nie mógł zrobić nic, by powstrzymać kata. Mojego ojca...

Pojęłam, że natenczas mógł być w moim wieku. I nagle, mimo grozy sytuacji, mimo grożącego nam śmiertelnego niebezpieczeństwa, zrobiło mi się potwornie żal tego złotoookiego chłopca. Wtem usłyszałam jego złowieszczy śmiech. Zasłoniłam piąstkami uszy i zakwiliłam cichutko. Cała drżałam. Ze strachu nie mogłam oddychać. A potem rozległ się jego złowróżbny krzyk:

– Moja cierpliwość się kończy!

– Wyjdź, Paco – poprosił Javi.

Próbowałam przełknąć ślinę, ale nie byłam w stanie. Zrobiłam jednak to, o co prosił. Musiałam go słuchać. Tylko on mógł mnie ocalić. Ostrożnie wyczołgałam się spod koi, nie odrywając wzroku od jedno-okiego pirata. Zdążył zmęznieć, odkąd widziałam go po raz ostatni. W żadnym calu nie przypominał już tamtego chłopca z Doku Straceń. Twarz miał -trójkątną z wyraźnie zaznaczonymi kośćmi policzkowymi. Po jednej stronie, tuż pod okiem, widniały dwie ledwie widoczne blizny. Pamiętałam, że przed czterema laty były świeżymi ranami. Nosił spiczastą bródkę, przypominającą kotwicę, i hiszpański wąsik. Jego złote oko spoglądało teraz

na mnie bez wyrazu. Kiedy tylko poczułam nad sobą wolną przestrzeń, rzuciłam się prosto w objęcia Javiera.

– Na pokład! – rozkazał pirat bezdusznie, głosem nieznoszącym sprzeciwu.

Nawet nie ośmieliłabym się sprzeciwić. Pozwoliłam Javierowi mnie poprowadzić. Nie chciałam patrzeć na tego wzbudającego strach mężczyznę. Gdy wyszliśmy na powietrze, okazało się, że znaleźliśmy się w sytuacji bez wyjścia. Wszędzie roilo się od ciemnoskórych mężczyzn w kolorowych jedwabiach i turbanach na głowach. Matka podbiegła do klęczącego ojca. Był blady jak płótno. Zrobiłam krok w ich stronę, ale złotooki mężczyzna zgromił mnie wzorkiem, więc ponownie wtuliłam twarz w bok Javiera.

Nie zostawiaj mnie, Javi!

Nie zostawiaj!

Byłam tak wystraszona, że miałam wrażenie, że oglądam wszystko z boku. Jakbym była widzem w teatrze. Nawet kiedy jedno-oki mężczyzna podszedł do nas i zaczął o coś pytać, nie potrafiłam odpowiedzieć. Nie chciałam odpowiedzieć. Przecież nie mogłam się odzywać – Javi mi zabronił. Obiecał, że jeśli będę milczeć, nie stanie mi się krzywda.

Mocne szarpnięcie za włosy przywołało mnie na moment do rzeczywistości. Moje dłonie powędrowały do pięści zaciśniętej na tym, co pozostało z długich pukli. Popatrzyłam na pirata, czując wzbierające w oczach łzy, a on uśmiechnął się diabolicznie. Jego bursztynowe oko lustrowało każdy milimetr mojej twarzy. Zdawało mi się, że wraz z jego spojrzeniem po mojej skórze przesuwają się płomienie, które parzyły boleśnie.

– Pytam po raz ostatni: jak cię zwą? – Głos miał spokojny, ale spojrzenie mówiło samo za siebie. Był wściekły.

Nie potrafiłam powstrzymać łez. Tak bardzo się bałam, nie tylko o siebie. Czułam, że to ostatni raz, kiedy widzę rodziców. Gdybym wiedziała, że ten rejs tak się skończy, moja stopa nigdy w życiu nie postąpiłaby na pokładzie statku. Przenigdy nie naciskałabym ojca, żeby spełnił moje marzenie. Teraz przyszło nam zapłacić za nie najwyższą cenę.

– Jesteś Francisco? Paco? – spytał po chwili, a w jego głosie wyczułam odrobinę łagodności. Jakby nagle zmienił taktykę.

Może zorientował się, że w ten sposób więcej ze mnie wyciągnie. I miał rację. Kiedy mnie tak nie przerażał, byłam w stanie reagować.

Pokiwałam głową.

– I pływasz na statku?

Spojrzałam na Javiera. Posłał mi ukradkowy uśmiech, jakby zachęcał mnie do odpowiedzi. Otworzyłam usta, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk. Przytaknęłam zatem szybko, żeby nie rozdrażnić stojącego obok mnie pirata, który chwycił moje dłonie i zaczął im się uważnie przyglądać. Czego szukał? Nie wiedziałam, ale kącik jego ust uniósł się nieznacznie, a po wyrazie twarzy poznałam, że odnalazł to, czego najwyraźniej potrzebował. I wcale mnie to nie uspokoiło. Wręcz przeciwnie, poczułam jeszcze większą trwogę.

Raptem – ku mojemu zdumieniu – puścił mnie, a następnie niczym księżę, którym niewątpliwie był wśród tego szemranego towarzystwa, ruszył w stronę moich rodziców.

Księżę Piratów!

Potem wszystko potoczyło się tak szybko, że zanim dotarła do mnie groza całej sytuacji, ciało mojej matki upadło martwe na des-ki pokładu. Usłyszałam ogłuszający świst i z ledwością mogłam nabrać powietrza. Moja klatka piersiowa z trudem poruszała się w górę i w dół, w rytmie kroków pirata, który skradał się w moją stronę niczym dziki kot. Serce waliło mi w piersi jak oszalałe, jakby chciało z niej uciec. Tak jak ja pragnęłam stąd czmychnąć. Zniknąć, zapaść się pod pokład. Cokolwiek. Byleby nie widzieć krwi swojego ojca na rękach pirata i nie musieć

znosić jego srogiego spojrzenia. Poczułam, jak coś ciepłego spływa po moich nogach. Mężczyzna pochylił się nade mną, a ja mocniej objęłam Javiera.

– Puść go! To rozkaz! – warknął do mnie pirat, ale nie zareagowałam.

Nie potrafiłam się ruszyć. Strach sprawił, że straciłam kontrolę nad swoim ciałem. Poczułam, jak jego silne ręce chwytają moje i odczepiają mnie od jedynej przyjaznej osoby, która mi jeszcze została. Otworzyłam usta, żeby go zawołać, ale nie byłam w stanie się odezwać.

– Zabierzcie go na statek, przydzielcie mu wachtę i miejsce w kubryku! – rozkazał jedno-oki.

– Tak jest, kapitanie! – Usłyszałam niski tubalny głos, ale nie podniosłam wzroku.

Wpatrywałam się w mokrą plamę na swoich spodniach.

– Jesteś chłopcem okrętowym? – zapytał pirat. Surowy ton podświadomie zmuszał do posłuszeństwa.

Kiwnęłam głową.

– Chcę to usłyszeć! Chcę usłyszeć, jak mówisz, do czorta! – wrzasnął.

Kolejne łzy zaszczypały mnie w oczy, a z gardła wydobył się szloch. Dobrze zdawałam sobie sprawę, że tacy jak on nie tolerują nieposłuszeństwa. Skoro był kapitanem statku, nawykł do tego, że wszyscy robią to, co każe. Mnie też czekał taki los.

– Od teraz jestem twoim kapitanem i musisz słuchać moich rozkazów, zrozumiano?

Skinęłam głową, moje ciało coraz bardziej dygotało. Przemoczone pantalony przykleiły się do wewnętrznej strony ud. Skóra piekła mnie niemiłosiernie. Pozwoliłam sobie na bezdźwięczny płacz. Na to, by łzy spływały w ciszy po moich policzkach. Chociaż to jeszcze należało do mnie, bo wiedziałam, że od tej pory moje życie zależy od Księcia Piratów.

– Przyoblecz to!

Spojrzałam na pantalony, które trzymał w dłoni.

Miałam się rozebrać?

Przy nim?!

Serce znów przyspieszyło do galopu. Przygryzłam wnętrze policzka, żeby się skupić, i rozejrzałam się w poszukiwaniu miejsca, gdzie mogłabym zmienić szaty. Patrzył na mnie podejrzliwie. Widziałam, jak marszczy czoło, na którym pojawiły się dwie poprzeczne bruzdy. Wyciągnęłam trzęsące się ręce, zabrałam pantalony i poszłam się przyodziać, ukryta za fas-kami. Gdy wyszłam, zbyt długie spodnie ciągnęły się za mną po pokładzie. Pirat zbliżył się do mnie, trzymając w ręku sztylet. Moje serce znów przyspieszyło do galopu.

Czy dojrzał, że jestem dziewczynką?

Rozpląta mi gardło?

Chciałam się cofnąć, a wtedy uklęknął i sprawnie skrócił nogawki spodni. Wpatrywałam się w jego gęste czarne jak noc loki. Nadal miał je związane czerwoną wstążką na karku.

Tak jak w dniu, gdy pierwszy raz go ujrzałam.

Wyglądały na miękkie w dotyku i przez moment przeszło mi przez myśl, by zanurzyć w nich palce, ale wtedy wwiercił we mnie baczne spojrzenie. Szybko odwróciłam wzrok. Przerazał mnie. Bałam się tego przeszywającego na wskroś złotego oka, które zdawało się czytać w mojej głowie.

– A teraz chodź, Paco. Pomogę ci znaleźć się na pokładzie Lerate – odezwał się nader łagodnie i chwycił mnie za rękę.

Poczułam przyjemne ciepło. Popatrzyłam na nasze złączone dłonie. Jego była dwa razy większa od mojej, ciepła i szorstka. Moja wyglądała jak ręka trupa – blada i zimna. Po prawdzie tym teraz byłam – umrzykiem. Tego dnia Francisca Rodrigo Lopez zginęła na pokładzie hiszpańskiego galeonu.

Kiedy w końcu odważyłam się na niego spojrzeć, wydawało mi się, że przez moment na jego twarzy pojawił się uśmiech. Nie taki urągliwy, tylko przyjazny. Gdy podeszliśmy do burty, kazał mi wskoczyć sobie na plecy. Chwyciłam go mocno za szyję, a w pasie oplotałam nogami. Ugiął kolana, a potem poszybowałymi niczym dwa ptaki: sokół i mewa. Kat i ofiara.

*

Kolejne dni na okręcie pamiętam jak przez mgłę. Ledwie postawiłam stopy na des-kach pokładu Lerate, dopadł mnie niebies-kooki blondyn. Złapał mnie za ramię i ciągnąc w stronę śródokręcia, podprowadził pod najwyższy maszt, gdzie czekał Javier.

– Jestem Julio, bosman – oświadczył nis-kim basem. W dłoni trzymał zrolowany pergamin. – Macie pojęcie, co to? – Uniósł rulon i przenosił spojrzenie to na mnie, to na Javiera.

Zaprzeczyliśmy.

– To zasady panujące na tym okręcie, spisane przez André Noira, ojca naszego kapitana i założyciela Czarnych Braci! Ty – wskazał na mnie – wyglądasz mi jak szczur lądowy, chociaż kapitan twierdzi, że jesteś chłopcem okrętowym. – Złapał brutalnie moją dłoń i przysunął do oczu. – Chłopiec okrętowy... taaa... z takimi wymus-kanymi paluszkami? – Zarechotał szyderczo, po czym zmierzwił mi włosy. – Ale zrobimy z ciebie pirata, chmyzie. Już moja w tym głowa. Po tobie zaś widać, że masz sól we krwi – zwrócił się do mojego przyjaciela.

– To był pierwszy rejs Paco... – Javi przybył mi w sukurs, ale bosman uniósł dłoń, nakazując milczenie.

– Nic się nie trwóż. Po tym rejsie twój brat nawyknie do prawdziwej żeglugi i z dumą będzie się mianował wilkiem morskim z krwi i kości. A teraz nadstawcie uszu i zakarbujcie w pamięci kodeks Czarnych Braci.

Z przedstawionych zasad zapamiętałam tylko punkt dotyczący ukrywania niewiasty na statku. Następnie każdemu z nas nacięto opuszek palca wskazującego i własną krwią przypieczętowaliśmy swój los pośród dziesiątków innych rdzawych odcis-ków. Javier od razu pospieszył do swoich zajęć, a ja stałam w miejscu, nie bardzo wiedząc, co ze sobą począć. Wtedy usłyszałam stukot drewnianej nogi. Odwróciłam się w stronę źródła dźwięku i zobaczyłam nis-kiego i krępego ciemno-skórego mężczyznę. Miał na sobie kolorowe spodnie i turban na głowie. Jak większość załogi na statku był bez koszuli. Jego pierś przecinały liczne blizny. W okolicach serca widniał tatuaż: trupia czaszka ze skrzyżowanymi szablą i garłaczem⁴¹. Spojrzenie miał przyjazne i wyszczerzył do mnie poźółkłe zęby w szerokim uśmiechu.

– Co, Paco – klepnął mnie w ramię tak mocno, że byłabym upadła – postanowiłeś służyć pod naszą banderą? Dobra decyzja! – Jego śmiech brzmiał, jakby dudnił w beczce, a opasły brzuch falował przy tym w górę i w dół.

Decyzja...

Omam nie parsknęłam śmiechem. Zaprawdę nie miałam żadnego wyboru. Mężczyzna mrugnął przyjaźnie i nachylił się tak, żeby patrzeć mi prosto w oczy.

– Jestem Hugo, pierwszy oficer. Drugi po Bogu, zakarbuj w pamięci. – Poczochrał mi włosy, po czym zasłonił dłonią usta, jakby chciał mi zdradzić sekret. – Pierwszy po Bogu to nasz kapitan Marcos. Udaje groźnego, ale w rzeczywistości dobry z niego chłopak. Tylko nie zdradź mu, że ci powiedziałem. I nie miej takiej miny – dodał głośnie. – Wbrew temu, co się słyszy, piraci dobrze traktują swoją załogę, w przeciwieństwie do hiszpań-skiej floty. – Splunął na pokład zniesmaczony. – Skurwysyny – wymamrotał.

Wpatrywałam się w niego, robiąc coraz większe oczy, a przekleństwo, którym bluznął na końcu, zawibrowało w moich uszach.

– Jesteś niezwykle milczący, Paco. Nie mówisz?

Pokręciłam głową.

– Trudno, słuch najwyraźniej masz dobry. Chodź, objaśnię ci twoje dzisiejsze zadanie.

Zaprowadził mnie do zwoju łańcuchów, tłumacząc po drodze zasady wacht panujące na statku. Obowiązywały czterogodzinne służby – osiem szklanek. Jako chłopiec okrętowy musiałam pełnić dwie wachty pod rząd, z przerwami na picie i jedzenie. Kątem oka dostrzegłam, jak Javi wspina się w zastraszającym tempie po najwyższym maszcie statku.

– Też się nauczysz. – Usłyszałam głos Pierwszego. – Gdy sobie popiją na wieczór, to potem urządzają wyścigi. Dobra, młody, koniec gadania, bo Marcos wypala mi wzrokiem dziurę w plecach. – Kiwnął głową w stronę nadbudówki statku.

Istotnie, na samej górze stał kapitan i przyglądał się nam ze srogim wyrazem twarzy.

– Tu masz kotwiczny łańcuch.

Spojrzałam na sznur ciężkich porzewiałych metalowych ok. Każde kółko oplatała gruba warstwa zielonych wodorostów poprzetykanych ostrymi muszlami.

– Do wieczora ma błyszczeć niczym syrenia picz. Tu masz młotek do odłupywania rdzy, szmatkę do polerowania i barani łój. Gdy skończysz czyścić, musisz dokładnie naoliwić każdą obręcz. I nałóż coś na głowę, bo kiedy słońce przygrzeje mocniej, to zejdziesz...

Spojrzałam z przestrachem na ogromny zwój łańcucha. Nie nawykłam do pracy. Żadnej. Zawsze wszystko robiono za mnie. Kompletnie nie wiedziałam, jak się do tego zabrać. Rozejrzałam się wokół. Poza jedno-okim mężczyzną nikt nie zwracał na mnie uwagi. Nie spuszczał ze mnie wzroku, nawet kiedy wybrałam w końcu pierwsze ogniwo łańcucha i zaczęłam je pieczołowicie obierać z przyschniętych wodorostów. Ostre połamane muszle raniły mi palce, tak że przy czwartym ogniwie dłonie miałam opuchnięte i pokryte lepką krwią. Sól wdzieriała się do zadrapań, wywołując ból. Łzy same zaczęły płynąć, nawet nie wiedziałam kiedy. I nie były spowodowane żrącą solą, a cierpieniem duszy, którego nic nie było w stanie ukoić.

Kiedy tak siedziałam skulona nad zardzewiałym łańcuchem, w końcu do mnie dotarło, że moi rodzice zostali zamordowani. Że krew, którą miał na rękach ten okrutny pirat, należała do mojego ukochanego papy, a ciało leżące bez życia na des-kach pokładu – do mojej matki. Mój umysł dopiero teraz uświadomił sobie, że zostałam na świecie całkowicie sama i że już nigdy ich nie zobaczę. Poczułam, jak treść żołądka podchodzi mi do gardła. W ostatniej chwili dopadłam do relingu i zwymiotowałam. Łapczywie łapiąc oddech, usiadłam, oparłam tył głowy o drewnianą bandę i przymknęłam powieki. Do moich uszu docierały urągliwe komentarze kilku członków załogi. Naigrywali się, przezywając mnie szcurem lądowym. Poczułam kolejne łzy, którym pozwoliłam swobodnie spływać po policzkach. Ramiona mi drżały, kiedy ciałem wstrząsał niemy szloch. Schowałam głowę między kolana i zaczęłam płakać. Nie wiem, jak długo to trwało, ale wkrótce zmorzył mnie niespokojny sen.

Jakimś cudem znalazłam się w kubryku – nad ranem obudziłam się w hamaku. Statkiem kołysało i znów poczułam mdłości. Zwlekłam się i na miękkich nogach udało mi się wydostać na pokład, by znów zwymiotować. Fale nie były duże, a mimo to choroba morska trzymała mnie w okowach przez całą podróż. Javier trwał przy mnie, kiedy tylko mógł, chociaż miałam wrażenie, że kapitan robił wszystko, by nieustannie wypełniać mu czas. Jakby celowo chciał nas rozdzielić, żebym czuła się jeszcze bardziej osamotniona.

Z dnia na dzień coraz bardziej opadałam z sił. Nie pomagało też jedzenie serwowane na statku. Po tym, jak po dwóch dniach męczarni udało mi się doczyścić łańcuch, Hugo stwierdził, że mam pomagać w kambuzie⁴². Kiedy kucharz wysłał mnie po mięso i zobaczyłam położoną na wierzchu suszonej wołowiny zdechłą rybę, którą oblażyły wstrętne robaki, zdążyłam się tylko odwrócić, by nie zwymiotować na jedzenie. Gdy kuchmistrz zaniepokojony moją nieobecnością przyszedł sprawdzić, co się ze mną dzieje, zrugął mnie i uderzył w tył głowy tak mocno, że mnie

zamroczyło. Musiałam po sobie posprzątać, podczas gdy on najspokojniej w świecie zabrał kawałki mięsa, kompletnie nie przejmując się robalami. Z sucharami nie było lepiej, ponieważ zazwyczaj podgryzały je szczury, które mimo prób wytępienia zawsze jakoś zdołały przetrwać.

Całkowicie jednak straciłam apetyt w momencie, kiedy zdałam sobie sprawę, że w tym samym kotle, w którym rano przyrządzano kawę, po południu gotowano mięso. Gara oczywiście nikt nawet nie przemył wodą. Po obiedzie zdarzało się, że kucharz w tym samym kotle zaparzał popołudniową herbatę. Nikomu poza mną taka stawa nie przeszkadzała. Javi wraz z innymi członkami załogi zajadali się kaszą z mięsem bez żadnego grymasu. Suchary smarowali marmoladą z marchwi, a wszystko obficie popijali grogiem. Przy takich ilościach wypijanego codziennie alkoholu może nie czuli smaku potraw. Ja nie potrafiłam zmusić się do przełknięcia czego-kolwiek poza wodą.

Zazwyczaj czas wolny spędzałam w samotności, wciśnięta między beczki z wodą, próbując być niewidzialna. Kapitan krążył tam i z powrotem, bacznie mi się przyglądając. Odnosiłam wrażenie, że za każdym razem kurczę się coraz bardziej pod naporem spojrzenia jego złotej tęczęwki.

Po kilku dniach byłam już tak obolała, że przestałam zwracać uwagę na poranione dłonie czy poparzoną od słońca skórę. Straciłam rachubę, ile dni pozostawaliśmy na morzu. Żyłam w zasadzie od wachty do wachty. Nie nawykłam do znojów marynarskiego życia, byłam nieustannie głodna i wykonywałam prace ponad siły. Rozpieszczona dwunastoletnia księżniczka, której królestwo w ciągu zaledwie kilku chwil obrócono w pył. Zatem nie dziwota, że pewnego niezwykle dusznego popołudnia, podczas dźwigania wiader z wodą do przyrządzenia herbaty, po prostu straciłam przytomność.

41 Garłacz – broń strzelec-ka wyposażona w lufę, której wylot rozszerza się w formie spłaszczonego lub zaokrąglonego lejka.

42 Kambuz – kuchnia na statku.

Piąta szklanka

„Och, cały dla mnie grog, wesoły, wesoły grog,

Dla mnie tabaka i rum.

Poświęciłem całe życie na pijące gin dziewczyny,

Och, przez ocean muszę wędrować burzliwy”.

All for Me Grog, szanta

Marcos

Siedziałem na mostku kapitańskim. Na udzie położyłem kawałek papieru, który udało mi się znaleźć na spodzie jednego z kufrów, a w lewej ręce ścisnąłem węgiel. Od kilku dni robiłem wszystko, żeby jak najlepiej oddać to przerażone spojrzenie, którym obdarzyła mnie dziewczynka na pokładzie hiszpańskiego galeonu. Kiedy po raz kolejny zerknąłem w jej stronę, osunęła się bez przytomności na dek razem z wiadrami, rozlewając cenną wodę po deskach pokładu. Javier natychmiast porzucił pracę i pobiegł do niej. To było do przewidzenia. Obserwowałem ją i zauważyłem, że nic nie jadła. I ciągle wymiotowała. Nie rozumiałem tylko, dlaczego zacząłem się tym przejmować. I tak długo wytrzymała jak na to, że nigdy nie pływała na statku, a jedno-cześnie ciężko pracowała. Bo to musiałem jej przyznać: wszystkie prace, które zlecał jej Pierwszy, wykonywała starannie. Jak na szczeniaczkę lądowego radziła sobie całkiem nieźle.

– Co z nim zrobić? Nie możemy go docucić – poinformował mnie Julio, wspiąwszy się na mostek.

Przez moment wpatrywałem się w niego jak w jakiegoś kiepa, bo nie rozumiałem, o kim mówił. Dopiero po chwili dotarło do mnie, że przecież nadal nikt się nie zorientował, że nasz Paco to dziewczyna.

– Zanieście go do kubryku i spróbujcie napić. Rano powinniśmy dotrzeć na Wyspę.

W istocie, kiedy tylko wzeszło słońce, z bocianiego gniazda rozległ się entuzjastyczny okrzyk: „Wyspa na horyzoncie!”, który zbudził całą załogę. Zszedłem pod pokład zobaczyć, co z dziewczynką. Spała na koi Javiera, który siedział obok i wyglądał, jakby nie zmrużył oka. Odgarnąłem jej włosy z twarzy. Była blada jak papier. Dopiero teraz zauważyłem, jak bardzo straciła na wadze. Nie przypominała już tej pulchnej księżniczki o wydatnych policzkach i serdelkowatych palcach. Lica miała zapadnięte, usta popękane od wiatru, a dłonie były jedną wielką raną. Musiało ją to piekielnie boleć. A mimo to się nie skarżyła. Co prawda widziałem, jak chowała się za beczkami i popłakiwała, ale głowę bym dał, że to z powodu rodziców, nie odniesionych obrażeń.

– Pił coś? – spytałem chłopaka.

– Nie. Nie idzie go dobudzić – odparł z niepokojem.

W jego oczach dostrzegłem nieme pytanie. Lękał się o jej życie.

– Dopływamy do Wyspy. Tam ktoś się nim zajmie.

Ktoś, czyli moja matka Lerate. Każdego potrafiła postawić na nogi.

*

W końcu ostrożnie wpełnęliśmy pomiędzy ostry skalisty przesmyk. Wody były tu bardzo zdradliwe i niebezpieczne. Zawsze osobiście trzymałem ster – zbyt wielkim uczuciem darzyłem ten okręt, by oddać jego los w inne ręce. Płynęliśmy serpentynami, aż w końcu dotarliśmy do małej zatoczki, niewidocznej od strony oceanu. To tu znajdował się nasz bezpieczny raj – miejsce, gdzie my i nasi ludzie znaleźliśmy prawdziwy dom. Miejsce, o którym nikt poza nami nie miał bladego pojęcia.

Zrzuciliśmy kotwicę i spuściliśmy szalupy. Na jednej z nich umieściliśmy zdobycze. Nie było tego wiele, bo tym razem to nie grabież była celem naszego rejsu. Gdy dobiliśmy do brzegu, ledwie postawiłem stopę na suchym lądzie, otoczyła mnie gromada dzieci. Większość ciemnoskóra, tak jak członkowie mojej załogi. Uśmiechnąłem się do nich i rzuciłem pudła z pralinkami, które zabrałem z kajuty markiza. Kontynentalne słodkości były tu rzadkością i dzieciaki przyjmowały każdą ich ilość, jakbym co najmniej ofiarował im złoto w najczystszej postaci.

W mojej szalupie oprócz bosmana i Pierwszego płynął także Javier z nieprzytomną dziewczynką. Kątem oka widziałem, że Bienvenida i Crescencia również zacumowały ukryte za skalnym urwis-kciem. Od strony oceanu byliśmy właściwie niewidoczni. Ostre klify i wyłaniające się z wody spiczaste skały nie zachęcały do zapuszczania się bliżej brzegu. Byliśmy chronieni lepiej niż w niejednej twierdzy.

Czułem ciepły, miękki piasek pod stopami, kiedy zmierzałem w stronę gąszczy przed sobą. Tam, pomiędzy gęstwiną tropikalnych roślin, znajdowała się nasza osada. Mieliśmy tyle złota i skarbów, że z powodzeniem mogliśmy wybudować posiadłości, jakich nie powstydzilby się sam król Hiszpanii, woleliśmy jednak święty spokój i sielskie życie w bambusowych chatkach. Przynajmniej tak długo, jak to było możliwe. Zerknąłem na spiczaste wzniesienie znajdujące się mniej więcej w centralnej części wyspy. Wulkan. Przez wiele lat uśpiony, lecz od jakiegoś czasu coraz częściej przypominał o swoim istnieniu. Wiedziałem, że w końcu będziemy musieli poczynić jakieś kroki. Przyroda na Wyspie dostarczała nam owoców i warzyw, tuż nieopodal osady były mały wodospad i spory staw ze słodką wodą, a osiedleni mieszkańcy z powodzeniem hodowali zwierzynę. Do pełni szczęścia nie brakowało nam właściwie niczego. Byliśmy całkowicie samowystarczalni.

Gdyby nie wulkan...

Odrzuciłem nieprzyjemną myśl i odruchowo wyprostowałem się, wkraczając na ścieżkę ukrytą w płataninie krzewów i lian, gęsto zwisających z palm kokosowych.

Kiedy przedarłem się przez tropikalne zaroś-la, ujrzałem rozrzucone na planie koła zabudowania z bambusa i słomy. Pośrodku osady było miejsce na ognisko – to przy nim siadaliśmy do wieczery. Obejrzałem się przez ramię. Tuż za mną Javier niósł dziewczynkę. Gestem nakazałem mu poczekać i sam ruszyłem do chatki stojącej w centralnej części osady – do mojego domu. Nie zdążyłem przemierzyć nawet połowy dystansu, kiedy zza kotary z bambusa wynurzyła się moja matka. Nawet z tej odległości widziałem, jak w jej ciemnobrązowych oczach zabłyśły łzy szczęścia. Biegiem ruszyła w moim kierunku, zadzierając powłóczystą kolorową spódnice. Jednak kilka kroków przede mną zatrzymała się gwałtownie, a jej pulchna twarz przybrała srogi wyraz. Jej wzrok skupiał się na czymś, co znajdowało się za moimi plecami. Po chwili dobitnie dała mi do zrozumienia, co jej się nie spodobało. Najpierw poczułem uderzenie w twarz. Nie było na tyle mocne, żeby mnie zabołało, ale za to ugodziło moje ego. Z moją matką liczył się każdy na Wyspie. Łącznie ze mną, Cruzem i Severem. I choć to nie Lerate ich powiła, traktowała ich jak swoich synów. A oni szanowali ją i słuchali jej rad. Mimo że formalnie to Czarni Bracia zarządzali Wyspą, miała zwykle decydujący głos. Nawet milczący Severo cenil sobie zdanie Lerate, choć był od niej zaledwie sześć lat młodszy. Odniosłem wrażenie, że

w momencie, kiedy jej dłoń spotkała się z moim policzkiem, wokół nas nastąpiła grobowa cisza. I że tropikalne ptaki także przerwały swoje trele.

– Marcosie! – Jej głos był surowy.

– Też jestem niezmiernie rad, że cię widzę, *mamá* – rzek-łem spokojnie, czekając na rozwój wypadków.

Zadziwiająco, jak bardzo zmieniła się przez ten czas, kiedy nas nie było. Zauważyłem kolejne drobne zmarszczki na ciemnej skórze wokół oczu, ale mimo to nadal była dumna i piękna. Była pulchną niewiastą o szerokich biodrach i obfitym biuście, przepasanym kawałkiem materiału, który związywała na szyi. Jedna z nielicznych dam na Wyspie, które zakrywały piersi – większość byłych niewolnic jedynie ozdabiała szyje wieńcami z orchidei. Spódnicę z wielo-kolorowego atłasu nosiła nis-ko na biodrach. Na kostkach u nóg i nadgarstkach porzękiwały liczne złote bransolety. Czarne jak noc kręcone włosy zaplecione w malutkie warkoczyki przewiązała kolorową chustą. Była piękna. Emanowała siłą, której mógłby jej pozazdrościć niejeden z moich kamratów.

– Porwałś dziec-ko?! – spytała oburzona, zacis-kając rubinowe wydatne usta w wąską linię. – Obiecałeś, Marcosie! Obiecałeś, że nigdy nie skrzywdzisz żadnego dziec-ka.

– Nie skrzywdziłem. – To nie była do końca prawda, ale nie zamierzałem się wdawać w szczegóły. – Zabrałem tę dwójkę z hiszpań-skiego galeonu. Po tym, jak pomściłem ojca.

W oczach Lerate błysnęły łzy wzruszenia. Objęła miękkimi dłońmi moje policzki, stanęła na palcach i złożyła na moim czole pocałunek. Poczułem, jak jej długa spódnica łas-kocze mi stopy.

– Jesteś dobrym synem, Marcosie... – wyszeptała, po czym na jej twarzy znów pojawił się wyraz szczęścia.

Gdybyś tylko wiedziała, mamá, że na tego dzieciaka także wydałem wyrok śmierci, na pewno byś tego nie powiedziała.

Wymięła mnie i pobiegła do dwóch mężczyzn wyłaniających się z gęstwiny.

– Cruz! Severo!

Obróciłem głowę i przez ramię obserwowałem, jak po kolei obejmuje dłońmi ich policzki i składa na ich czołach pocałunki. Twarz Cruza rozświetlał zadziorny uśmiech, natomiast Severo jak zwykle był poważny. Falco, jego sokół, krążył nad drzewami, szukając zdobyczy. Severo łypnął na mnie i zgromił wzrokiem, marszcząc gniewnie czoło.

– Chodź! – zwróciłem się do Javiera, który cierpliwie czekał, trzymając na rękach dziewczynkę.

Ruszyliśmy w stronę chaty. Moi bracia postawili własne domostwa, tymczasem ja nadal tkwiłem przy matce. Trochę z lenistwa, a trochę z przyzwyczajenia. Lubiłem jej towarzystwo, jej nieustanne gderanie podczas pieczołowitego dbania o ognis-ko domowe. A może po prostu chciałem spędzić z nią jak najwięcej czasu, zanim zdradliwy los niespodziewanie mi ją zabierze, tak jak zabrał mi ojca.

Odgarnąłem bambusową zasłonę i znalazłem się w chłodnym, zatopionym w półmroku pomieszczeniu. Tuż pod otworem w ścianie, pełniącym funkcję okna, znajdował się mój siennik.

– Połóż go tu. – Wskazałem głową postanie.

Chłopak delikatnie położył nieprzytomną na okrywającym siennik wełnianym kocu i popatrzył na mnie wyczekująco. Nie dostrzegłem w jego spojrzeniu wcześniejszej wrogości. Teraz gościła tam obawa o życie jego seńority, którą starał się chronić. Nie zdawał sobie sprawy, że znam ich tajemnicę i będę czekał na odpowiedni moment, by dotkliwie ukarać ich oboje.

Delikatny szelest odsuwanych bambusowych witek sprawił, że przerzuciłem wzrok na przybysza, którym okazała się Lerate. Uśmiechnęła się ciepło do Javiera, omiotła

współ-czującym wzrokiem nieprzytomne dziec-ko i na sam koniec rzuciła mi wzburzone spojrzenie.

– To dziec-ko wygląda na wycieńczone – stwierdziła po dokonaniu szczegółowych oględzin. – A ręce... Marcosie, jak mogłeś dopuścić, żeby ktokolwiek z twojej załogi miał takie rany?! – zrugła mnie.

– Wyjdź! – zwróciłem się do wyrostka. Nie miałem zamiaru pozwolić na to, żeby przysłuchiwał się tej rozmowie.

– Wolałbym zostać, kapitanie. Paco...

– Paco jest w dobrych rękach, a mnie kończą się zapasy cierpliwości! Jeśli będziesz potrzebny, to po ciebie poślę. Idź do Hugona albo Julia, niech ci przydzielą kwaterę!

Przez moment obserwowałem moją twarz, jakby szukał potwierdzenia, że faktycznie „Paco” jest tu bezpieczna. Zmarszczyłem czoło i zacisnąłem pięści, szykując się do wygłoszenia tyrady, ale wtedy, jakby wyczuł moje zamiary, posłusznie opuścił chatę, mijając się w wejściu z moimi braćmi.

– Mogłabyś nie robić mi uwag przy mojej załodze, *mamá*? – spytałem dość opryskliwie.

– Co cię napadło, Marcosie?! Ile on ma lat? Dziewięć?! – fuknęła w odpowiedzi. W ogóle nie słuchała tego, co do niej mówiłem.

– Dwanaście – uściśliłem. – Nie przesadzaj, ja zacząłem pływać z ojcem, kiedy miałem sześć, i żyję. Poza tym powinienem być go zostawić na tym statku na pewną śmierć?!

– Gdybyś nie wytlukł całej załogi, dzieciak miałby z kim wrócić do Hiszpanii – wtrącił Severo.

Lerate popatrzyła na nas z konsternacją, po czym bez słowa zabrała się do oczyszczania zaropiałych dłoni dziewczynki. Po chwili wyjęła jakieś suszone zielsko i zaczęła ugniatać je na miazgę w sporej wielkości moździerzu.

– Nic nie powiesz? – spytał Cruz wyniośle.

– A od kiedy to ty jesteś obrońcą uciśnionych? – prychnąłem. – Jakoś nie zauważyłem, żebyś się zbytnio starał nie -zabijać!

– Ustaliliśmy, do stu piorunów, że oprócz żołnierzy, markiza i jego rodziny resztę puszczamy wolno! – ryknął Severo. – Właśnie przez to ojciec odłączył się od Brac-twa Wybrzeża! Przez niepotrzebne ofiary! A teraz ty...

– To byli Hiszpanie, do czorta! Żadna strata! Nienawidzę ich! Dobrze wiesz! Nie zamierzam ci się tłumaczyć! Pomściłem śmierć naszego ojca, Severo! – Zacisnąłem pięści. – Patrzyłem, jak go wieszają! Jak obrzucają go obelgami i plują mu w twarz! Dlaczego? Bo obrał taką, a nie inną drogę! Bo stanął w obronie niewolników! A dla nich, dla pieprzonych hiszpańskich psów, był tylko zwykłym piratem. – Wyplułem to słowo, jakby było trucizną. – Zwykłym piratem, do kroćset! – Pokiwałem głową z niesmakiem i wbiłem palce we włosy. – Więc nie praw mi tu morałów! Wszyscy oni, bez wyjątku, gdyby tylko mogli, bez mrugnienia okiem wbiliby nam sztylet w plecy. Nie byli warci ocalenia!

– Ustaliliśmy co innego, Marcosie! – rzekł Severo -stanowczo.

Domyśliłem się, że zabrakło mu argumentów.

– Jeżeli przestaniemy słuchać siebie nawzajem, staniemy się łatwym celem.

Już chciałem odpys-kować, ale Lerate odezwała się kojącym głosem:

– Chłopcy! Zakonotujcie, że to właśnie w waszej jedno-myślności tkwi wasza siła. Jesteście Czarnymi Braćmi. Działacie jak jeden organizm.

Zaiste...

Severo myśli tylko o strategii, ja o mordobiciu, a Cruz o tym, z kim dzisiaj pochędoży. Jedno-myślność jak w mordę strzelili!

– I dlatego jesteście niepokonani – dodała.

Podziwiałem jej mądrość i podzielność uwagi. Niby zajmowała się opatrywaniem dzieciaka, a jednak bacznie słuchała naszej zwady. Z szacunku do niej powstrzymałem cisnący mi się na usta niezbyt uprzejmy komentarz.

– Pomóż mi, Marcosie, trzeba go podnieść i spróbuję go -napoić.

– Cały czas zachodzę w głowę, dlaczego w takim razie nie zabiłeś tej dwójki – mruknął Severo, po czym wyszedł, nie czekając na moją odpowiedź.

Cruz przypatrzył mi się podejrzliwie spod ciężkich powiek, a na jego twarzy wykwitł głupkowaty uśmiezek, po czym podążył za bratem. Wkrótce i tak się dowiedzą. Nie zamierzałem pozwolić na ciągnięcie tej farsy w nies-kończoność. To jedynie dwójka dzieciaków. Tylko patrzeć, jak lada dzień popełnią błąd.

CHOMIKO - WARMIA

Szósta szklanka

„Myśleli, że miesiąc powstał z sera – Och tak, och,

Możesz w to wierzyć albo nie.

Sto lat temu myśleli o tym, że każdej nocy – Och tak, och,

To anioł dobry zapala gwiazdy, sto lat temu”.

A Hundred Years Ago, szanta

Francisca

Poczułam, jak ktoś wlewa mi do gardła zimną ciecz. Nie chciałam nic pić ani jeść. Nie chciałam znów wymiotować. Od nieustannego zwracania wszelkiego rodzaju pokarmu przełyk i gardło paliły mnie żywym ogniem. Zaczęłam jęczeć w proteście i wykręcać głowę na boki. Ucisk naczyń na moich wargach zelżał, a woda przestała zalewać mi usta. Byłam strasznie osłabiona. Czułam gorąco otaczające moje dłonie. Nie było nieprzyjemne. Wręcz przeciwnie, było jak ogień w kominku w zimny styczniowy wieczór.

Z trudem podniosłam powieki. W pomieszczeniu, w którym obecnie się znajdowałam, panował chłód i półmrok. I z pewnością nie był to okręt. Nie czułam uporczywego kołysania, które przyprawiało mnie o mdłości. Zaczęłam się rozglądać i wtedy mój wzrok padł na siedzącego obok posłania mężczyznę. Na jego widok skuliłam się ze strachu, a z mojego gardła wydobył się cichy jęk przerażenia.

– Nic ci nie grozi – odezwał się łagodnie, choć jego spojrzenie nie należało do przyjemnych.

Lękałam się go. Przypominał mi byka na corridzie, szykującego się do podstępного ataku na torreadora. Pozornie niezainteresowany capą⁴³, tylko czeka na dogodny moment, by uderzyć. Obok Marcosa jak spod ziemi wyrosła ciemnoskóra tęga niewiasta. Miała piękne, wzbudzające ufność ciemno-brązowe oczy i szeroki uśmiech ukazujący białe zęby. Jej biust był zakryty kolorowym materiałem, który związała na szyi. Przysiadła na posłaniu, wyciągnęła dłoń i matczynym gestem dotknęła mojego policzka. Ta pieśczoła wywołała w moich oczach łzy, które bezwiednie zaczęły płynąć po mojej buzi. Schowałam twarz w dłonie owinięte jakimiś liśćmi i zaczęłam płakać.

– Już dobrze, Paco.

Poczułam, jak jej ramiona mnie obejmują. Jej ciało było miękkie i pachniało owocami.

– Jesteś tu bezpieczny. Jestem Lerate, a to mój dom.

Odsunęła się dopiero wtedy, kiedy odrobinę się uspokoiłam. Przez moment nie odrywałam od niej czujnego spojrzenia.

Jest...

Z bólem serca zdałam sobie sprawę, że była taka, jaka matka być powinna. Ciepła, czuła. Emanowała miłością. Moja -matka zawsze zachowywała się w stosunku do mnie powściągliwie. Przykre, ale nie pamiętałam, żeby kiedykolwiek mnie przytuliła. Liczyła się dla niej tylko etykieta, dobre maniery i to, jak postrzegają ją inni. Była przecież markizą. Damie z wyższych sfer nie przystoi okazywać wylewnych uczuć. W stosunku do ojca też była chłodna

i zdystansowana.

Zalały mnie wspomnienia z ataku na nasz okręt. Przymknęłam powieki, starając się przepędzić myśli. Ucisk w piersi nie zelżał. Wręcz przeciwnie, znów widziałam krew papy zalewającą dłonie Marcosa i ciało matki opadające bezwładnie na deski. I to mrożące krew w żyłach spojrzenie bursztynowego oka, które bacznie nadzorowało wszystkie moje poczynania. Chwilę trwało, zanim się uspokoiłam i przegoniłam z głowy obrazy swoich martwych rodziców: puste matowe tęczęwki matki leżącej z głową skreconą pod dziwnym kątem i ciało ojca skąpane w czerwonej posoce. Lerate przemyła moją twarz wilgotną szmatką i przyniosła talerz parującej strawy. Spojrzałam na wodę, w której pływały mięso i warzywa. Skrzywiłam się i pokręciłam głową.

– Musisz jeść. Inaczej umrzesz – odezwał się karcąco mężczyzna.

Ostry ton jego głosu sprawił, że znów się skuliłam.

– Marcocie! – Lerate posłała mu gniewne spojrzenie. – On potrzebuje spokoju! To jeszcze dziec-ko!

Po dłuższym wahaniu wzięłam jednak talerz i ostrożnie zaczęłam jeść. Danie okazało się przepyszne i przyjemnie rozgrzewało od środka. Nadal było mi ciężko przyzwyczać się do tego, że zwracano się do mnie jak do chłopca. I nadal uparcie milczałam. Kiedy czegoś potrzebowałam, pokazywałam to gestami. Okropnie się bałam, że mój głos może mnie zdradzić.

Gdy skończyłam jeść, poczułam się o wiele lepiej. Jakby nagle wróciły mi siły. Lerate podała mi do wypicia jakiś śmierdzący napar, po czym wyszła z chaty. Zostałam sama z tym wzbudzającym strach mężczyzną. Chciałam, żeby Javi tu był. Tylko jemu ufałam i tylko w jego obecności nie czułam tak wielkiej trwogi. Odważyłam się spojrzeć na Marcosa. Przyglądał mi się badawczo, aż nagle wyciągnął rękę w moją stronę. Skuliłam się i zamknęłam oczy, obawiając się ciosu. Kiedy jednak nic takiego nie nastąpiło, ostrożnie spojrzałam na jego muskularną rękę. Na otwartej dłoni leżały trzy kakaowe pralinki.

– No dalej, bierz. Złupiłem je z kajuty markiza. Dodadzą ci wigoru – zachęcał.

Na wspomnienie ojca broda mi zadrżała. Zamrugałam gwałtownie, przepędzając łzy, i ostrożnie sięgnęłam po słodycze. Uwielbiałam smak kakao. Zresztą uwielbiałam wszystko, co słodkie. W domu zawsze dogadzano mi pod tym względem i miałam słodczy pod dostatkiem. Wszystkiego zawsze miałam pod dostatkiem. Może z wyjątkiem matczynej miłości.

– Idziemy, oprowadzę cię po naszej osadzie – oznajmił -Marcos. – Dasz radę?

Potaknęłam i mimo lekkich zawrotów głowy posłusznie zesłam z posłania. Kiedy moje bosc stopy dotknęły chłodnego klepiska, zaczęłam się rozglądać w poszukiwaniu pantofli. Dopiero po chwili dotarła do mnie absurdalność tej sytuacji. Rzuciłam spłoszone spojrzenie w stronę mężczyzny. Uśmiechał się drwiąco.

– Tu nie nosimy pantofli, Paco. – Popatrzył na mnie tak, że włoski zjeżyły mi się na karku.

Przez moment przemknęło mi przez myśl, że on wie. *Tylko skąd?* Porzuciłam to niedorzeczne przypuszczenie, czując, jak pod siłą jego spojrzenia zaczynam się kulić. Marcos sapnął, najwyraźniej zniecierpliwiony moim zachowaniem, po czym chwycił mnie stanowczo za kark i wyprowadził. Oślepiły mnie jaskrawe promienie słoneczne, przedzierające się przez okazałe palmowe liście, które tworzyły nad całą osadą coś na kształt baldachimu. Wciągnęłam głęboko wilgotne powietrze, z zachwytem chłonąc wzrokiem całą gamę kolorów, jakie rozpościerały się przede mną: słomkową barwę bambusowych chat na tle soczyście zielonych tropikalnych krzewów, obsypanych obficie różowym i białym kwieciem. Z drzew otaczających osadę zwisały kiście bananów i orzechy kokosowe. Od razu przypomniał mi się opis biblijnego Edenu.

– Witaj na Wyspie, Paco – odezwał się, a jego głos brzmiał inaczej. Łagodnie.

Odważyłam się na niego spojrzeć. Bursztynowe oko wpatrywało się przed siebie, twarz miał rozluźnioną i zauważyłam, że lekko się uśmiecha. Nawet żelazny uchwyt na moim karku zelżał. Marcos musiał bardzo kochać to miejsce. W oddali dostrzegłam Javiera – nosił z innymi szczapy i układał je na palenis-ku.

– Chodź, pokażę ci wszystko – zaproponował Marcos.

Odkąd jego stopy dotknęły stałego lądu, zaczął się zachowywać inaczej – spokojniej. Jakby na jego barkach nie spoczywał już ciężar odpowiedzialności. Byłam zdumiona, że to właśnie on postanowił mnie oprowadzić. Poruszał się żwawo, całą swoją postawą pokazując, że to on tu rządzi. Miałam problem, żeby za nim nadążyć. Byłam od niego znacznie niższa, a moje nogi były słabe. Potykałam się co chwila, za każdym razem z lękiem czekając na jego reakcję, ale nie usłyszałam żadnego komentarza. Wręcz przeciwnie, łapał mnie wtedy za ręce, chroniąc przed upadkiem. Był cierpliwy, a nawet parę razy posłał mi coś, co mogłabym nazwać uśmiechem.

Cały dzień spędził na oprowadzaniu mnie po Wyspie, pokazał mi jezioro z wodospadem. Zostaliśmy tam na dłużej. Usiadłam na rozległym kamieniu tuż przy brzegu i zmoczyłam stopy. Woda była przyjemnie ciepła. Spojrzałam w górę na niebo. Nie było na nim ani jednej chmurki, a jego kolor przypominał mi barwę oczu naszego bosmana Julia.

Do zbiornika wodnego można było dojść tylko od strony wioski, z pozostałych stron otaczały go gęste krzewy, a po lewej piętrzyła się ogromna skała, z której wytryskał wodospad. Nad drzewami wznosił się majestatyczny skalisty szczyt.

– Możesz się wykąpać, jeśli chcesz. Przy brzegu jest płytko. – Głos Marcosa wyrwał mnie z zamyślenia.

Gwałtownie obróciłam głowę w jego stronę i szybko nią pokręciłam. Nie ośmieliłabym się przy nim wejść do wody. Pokazałam mu swoje dłonie owinięte liśćmi. Chwycił je i ostrożnie odwinął opatrunki. Opuchlizna zesza i teraz było widać już tylko liczne gojące się zadrapania. Zaskoczyło mnie, że moje palce zrobiły się smukłe.

– A teraz?

Ponownie odmówiłam ruchem głowy. Przecież od razu by zauważył, że jestem dziewczynką. Marcos zaśmiał się i zaczął się rozbierać. Marynarze na statku nie krępowali się przebierać przy mnie, więc nawet jeśli wcześniej nie wiedziałam, jak bardzo się od siebie różnimy, po rejsie na Wyspę byłam aż nadto świadoma. Mimo to poczułam, jak na moją twarz wypełza rumieniec, i szybko odwróciłam głowę. Po chwili usłyszałam głośny plusk, a na moją twarz spadło kilka kropli ciepłej wody. Dopiero wtedy odważyłam się spojrzeć na mężczyznę. Stał po pas w wodzie. Jasnobrązową skórę na plecach pokrywały liczne blizny, a mokre kręcone włosy poskręcały się jeszcze bardziej. Odwrócił się w moją stronę i przez moment przyglądał mi się z zainteresowaniem. Na ułamek sekundy coś osobliwego pojawiło się w jego spojrzeniu, a potem nagle zanurkował. Przez dłuższą chwilę nie wynurzał się spod tafli wody, po czym pojawił się mniej więcej na środku jeziora. Widziałam, jak spokojnie dopływa do drugiego brzegu, zapiera się rękami i wychodzi z wody. Jego blade pośladki mignęły między sporej wielkości liśćmi niskich tropikalnych krzewów i zniknęły w zaroślach. Kiedy dłuższy moment się nie pojawiał, poczułam lekki niepokój.

Co, jeśli żyją tu jakieś niebezpieczne zwierzęta?

Może specjalnie mnie tu zostawił?

Wioska nie była daleko, ale wątpiłam, że trafię tam bez problemu za pierwszym razem. Przygryzłam wewnątrz policzka i uparcie wpatrywałam się w gęstą roślinność po drugiej stronie wody. W końcu coś poruszyło się między liśćmi i zza krzewów wyszedł Marcos. Trzymał coś w dłoniach. Spuściłam pospiesznie wzrok, zawstydzona jego nagością. Usłyszałam plusk. Po

dłuższej chwili siedział obok mnie. Na mokre ciało włożył pantalone, wilgotne włosy opadały mu na twarz. W dłoniach trzymał dziwnie wyglądające owoce. Wielkością i kształtem odrobinę przypominały orzech kokosowy, a skórkę miały czerwono-żółtawo-zieloną. Podał mi jeden. Obserwowałam, jak zębami zrywa z owocu cienką warstwę skórki i z apetytem wgrzyza się w pomarańczowy miąższ. Zrobiłam dokładnie to samo i wydałam z siebie pomruk zadowolenia, kiedy poczułam słodki smak na języku. Ten owoc był przepyszny.

– Smaczne, prawda?

Pokiwałam głową i z apetytem spałaszowałam całość, z zas-koczeniem trafiając w końcu na sporej wielkości pestkę. Spojrzałam na Marcosa. Przyglądał mi się z zaciekawieniem. Uśmiechnęłam się nieśmiało. Wtem, z ogłuszającym skrzekiem, wszelakie ptac-two spoczywające na gałęziach drzew jedno-czenie poderwało się w powietrze. Zapadła dziwna, zatrważająca cisza. Poczułam ukłucie niepokoju przebiegające niczym nieprzyjemny dreszcz wzdłuż kręgosłupa, a po chwili usłyszałam upiorne buczenie dobywające się jakby spod nas. Ziemia pod nami zadrżała. Z głośnym sykiem wciągnęłam powietrze, czując, że nadchodzi coś przerażającego, i odruchowo zacisnęłam palce na przedramieniu Marcosa. Jego oko momentalnie spojrzało na moją drobną dłoń. A wtedy wstrząsy ustały. Popatrzył na mnie i jakby to, co przed chwilą się stało, było czymś najzupełniej normalnym, mruknął:

– To tylko wulkan. – Kiwnął głową w stronę góry. – Czasem się odzywa. Nie ma się czego obawiać.

Miałam jednak wrażenie, że pod nosem dodał: „Na razie”.

Zawstydzona, cofnęłam pospiesznie dłoń i wbiłam wzrok w swoje uda. Dzikie ptaki zdążyły powrócić i przerwać grobową ciszę swoim radosnym śpiewem. Siedzieliśmy w milczeniu, dopóki zachodzące słońce nie zaczęło barwić nieba na pomarańczowo – ja z nogami zamoczonymi w ciepłej wodzie, Marcos z kolanami przyciśniętymi do klatki piersiowej i otoczonymi mus-kularnymi ramionami. Przyglądałam mu się ukradkiem. Wydawał się groźny i nieprzystępny, a przepas-ka na oku potęgowała to wrażenie. Kiedy miałam w końcu okazję poobserwować go z blis-ka, zrozumiałam, że jest bardzo młody. Już nie dziec-ko, ale jeszcze nie dojrzały mężczyzna.

– Oglądałem śmierć swojego ojca – odezwał się nagle, a ja poczułam, że zimny pot pokrył moje plecy. – Człowiek, którego zabiłem na statku, skazał go na śmierć przez powieszenie. W ostatnich słowach ojciec wykrzyczał, że ocean spłynie krwią jego i jego rodziny. Wykonałem jego wolę, ale nie do końca. Została jeszcze córka... – Przerwał nagle i wbił we mnie bezduszne spojrzenie.

O mało nie wpadłam do wody ze strachu. Nie miał pojęcia, że ja też byłam wtedy w Doku Straceń. Nie wiedział, że to ja jestem señorita Rodrigo.

– Znajdę ją... A wówczas... – Na jego ustach pojawił się krzywy, złowroźny uśmiech, a potem z powrotem wbił wzrok w przeciwległy brzeg.

Poczułam, jak niedawno zjedzony owoc podchodzi mi do gardła. Z trudem przełknęłam ślinę. Wsunęłam dłonie pod uda, żeby nie zauważył, jak drżą.

Co by zrobił, gdyby mnie rozpoznał?

Czy zabiłby mnie bez mrugnięcia okiem?

Poczułam nagle palącą chęć znalezienia się obok Javiera. A co, jeśli Marcos specjalnie mnie tu przyprowadził? Jeśli uśpił moją czujność i za chwilę mnie utopi? Broda zaczęła mi drżeć, a szczypanie w kącikach oczu zwiastowało nadchodzące łzy. Przygryzłam mocno wnętrze policzka i zamknęłam powieki.

– Czas na nas. – Marcos niespodziewanie podniósł się i przełożył koszulę przez głowę. – Zbliży się pora wieczery, a po zmroku lepiej unikać lasu. Jakkolwiek piękny wydawałby się za

dnia, nocą może się okazać twoim grobem – dodał ponuro.

Zadrżałam i pospiesznie podążyłam za nim. Kiedy naszym oczom ukazały się pierwsze chaty, wyminęłam go i pobiegłam szukać Javiera. Siedział przy ognis-ku razem z innymi członkami załogi. Gdy mnie zauważył, wstał. Bez zatrzymywania wpadłam w jego ramiona i zaczęłam łkać. Poczułam, że bierze mnie na ręce i gdzieś niesie.

– A wy dokąd? – Surowy głos Marcosa sprawił, że mocniej objęłam szyję Javiego.

– Zniosę go do chaty, jest...

– Teraz jest wspólne ognis-ko! – warknął tonem nieznoszącym sprzeciwu. – Zaniesiesz go po posiłku. I przestań się nad nim użalać, u kaduka!

Poczułam, jak brutalnie wrywa mnie z uścisk przyjaciela i stawia na ziemi.

– Przestań się mazgać! – Pchnął mnie tak, że upadłam. Stał nade mną, przesłaniając cały widok. Przerazał mnie. – Niepotrzebny mi taki majtek. Mogę cię od razu utopić!

Po moich policzkach pociekło jeszcze więcej łez. Nie podnosząc się z ziemi, odsunęłam się na bezpieczną odległość, po czym wstałam i pomknęłam przed siebie. Skryłam się w jednej z zagród z kozami i siedziałam tam, dopóki się nie ściemniło. Musiałam przysnąć, bo obudziły mnie głośne śmiechy. Wynurzyłam się zza paśnika i ruszyłam w stronę hałasów.

Płomienie ognis-ka wznosiły się na kilka metrów, a siedzący wokoło mieszkańcy wioski jedli strawę wśród przepełnionej radością wrzawy. Zapach jedzenia sprawił, że głośno zaburczało mi w brzuchu. Stałam obok jednej z chat i wpatrywałam się w ogarnięty wesołością tłum. Dostrzegłam mężczyznę z kózką bródką, który wziął do rąk gitarę i zaczął wygrywać skoczne dźwięki, śpiewając przy tym donośnym, melodyjnym głosem. Nie słyszałam słów, ale od radosnych dźwięków noga sama zaczęła mi podrygiwać. Nie odważyłam się jednak podejść bliżej. Dostrzegłam w grupie Javiera. Obejmował ramieniem jedną z tutejszych niewiast, a ona szepotała mu coś do ucha. Po chwili pocałowali się w usta. Skrzywiłam się z niesmakiem.

– Też nie lubię tłumów.

Na dźwięk męskiego głosu podskoczyłam przestraszona i odwróciłam się gwałtownie.

Serce łomotało mi w piersi jak szalone. Przyjrzałam się mężczyźnie, jedno-cześnie szykując się do ucieczki. Włosy miał identyczne jak Marcos, ale jego broda była długa i gęsta, zapleciona w kilka małych warkoczyków przewiązanych czerwonymi wstążkami. Światło pochodni ustawionej nieopodal pozwoliło mi dostrzec okropne blizny szpecące jego szyję. Przypomniałam sobie, że podczas abordażu był na statku razem z tym mężczyzną, który obecnie śpiewał i grał. Istotnie obaj musieli być braćmi Marcosa, bo dostrzegłam drobne podobieństwo, mimo że starsza dwójka miała skórę kilka tonów jaśniejszą. Na jego ramieniu siedział sokół i obserwował mnie ciemnymi ślepiami.

– Jestem Severo. Najstarszy z Czarnych Braci. Chcesz? – spytał, wyciągając w moją stronę kij ze sporym kawałkiem mięsa.

Pokiwałam głową. Wzięłam strawę i usiadłam obok chaty, opierając się plecami o bambusową ścianę. Mężczyzna kucnął przy mnie. W milczeniu przyglądaliśmy się zabawie wokół ognis-ka. Pozwoliłam sobie na obserwację Severa kątem oka. Wydawał się pogrążony w smutku. Kiedy się posiłam, odłożyłam kij na ziemię i ziewnęłam.

– Chata Lerate jest tam. – Wskazał na chatkę ustawioną w centralnym miejscu osady. – Tylko się nie zgub, Paco.

Kiedy się wyprostował, sokół wzbił się w powietrze, a mężczyzna odszedł powolnym krokiem.

Wstałam, otrzepałam pantalony i ruszyłam we wskazanym kierunku. Gdy miałam odsłonić bambusową kotarę, usłyszałam chichot. Wiedzioną ciekawością ruszyłam w stronę źródła dźwięku. Widziałam mężczyznę, który wcześniej grał na gitarze, idącego wraz z jakąś

damą w stronę lasu. Niewiasta śmiała się co chwila, oboje mieli problem, żeby ustać na nogach. Zawahałam się, ale mimo obaw podążyłam ich śladem. Ukryta między wysokimi krzakami śledziłam parę. Nagle mężczyzna odwrócił damę przodem do siebie i pchnął mocno na drzewo. Przestraszyłam się i przyłożyłam dłoń do ust, żeby nie krzyknąć. Tymczasem on przydusił ją swoim ciałem do drzewa i zaczął bardzo mocno całować. Poczułam, że oblewam się szkarłatem, gdy ujrzałam, jak odwraca ją tyłem do siebie, szarpie za włosy i unosi jej długą spódnicę. Z jej gardła wydobył się krzyk. Cofnęłam się o krok. Nie wiedziałam, co powinnam zrobić. Kiedy mężczyzna przywarł do niej biodrami i zaczął wykonywać dziwne ruchy, przerażona odwróciłam się na pięcie i omal nie wrzasnęłam. Za mną stał Severo. Popatrzył na mnie, po czym jego wzrok powędrował w kierunku, z którego było słyhać coraz głośniejsze jęki i posapywania. Zmarszczył brwi, a potem złapał mnie łagodnie za kark i zaczął prowadzić w stronę osady.

– Będzie lepiej, Paco, ażebyś akurat w tej kwestii nie brał przykładu z Cruza.

43 *Capa* (hiszp.) – płachta, którą torreador drażni byka.

Siódma szklanka

„Dziewczyny z Cape Cod grzebieni nie mają – ciągnij i w górę,

Czeszą włosy rybimi szkieletami – w drodze do Australii,

Czmychać stąd, niesforne draby – ciągnij i w górę,
Podnieś ją i nie hurkotaj – w drodze do Australii”.

Cape Cod Girls, szanta

Francisca

AD 1710

Kiedy sobie przypomnę, jak bardzo czekałam na swój urodzinowy prezent – swoją pierwszą morską podróż – za każdym razem dopadają mnie mdłości. Matka cały czas była sceptycznie nastawiona do tego pomysłu. Może coś przeczuwała? Do dziś mam w pamięci strzępy kłótni między rodzicami. Rejs, który miał być spełnieniem moich marzeń, okazał się najgorszym z koszmarów, niekiedy nękałym mnie nocami.

Początkowo, gdy te okropieństwa sniły mi się codziennie, próbowałam nie zasypiać, ale po katorżniczej harówce, jaką zgotowano mi na pokładzie *Lerate*, czasem nie byłam w stanie doczołgać się do własnego hamaka. Gdyby nie Javi, pewnie doprowadzona do ostateczności sama wskoczyłabym w morską toń. Były takie momenty, że wołałam utonąć lub zostać pożarta przez morskie potwory, niż wytrwać do kolejnego wybicia szklanki.

Szybko jednak nawykłam do życia na pokładzie fregaty. Z pulchnego szczura lądowego zmieniałam się w smukłego wilka morskiego. Byłam drobna i zwinna, toteż wkrótce okazało się, że potrafię najszybciej wspinać się na maszty i wejść w takie miejsca, gdzie żaden z marynarzy nie byłby w stanie się dostać. Z otyłej, rozpieszczonej dziewczynki przeistoczyłam się najpierw w zręcznego chłopca okrętowego, a później... w pirata z krwi i kości. Może nie miałam takiej krzepy jak mężczyźni, ale nie migałam się od żadnej pracy. Zapach panujący na pokładzie *Lerate* też przestał wywoływać u mnie torsje. Nie było tajemnicą, że załoga kąpała się w zasadzie tylko wtedy, kiedy postawiła stopę na stałym lądzie, a mieszanka potu i zapachu nierzadko nadpsutego jedzenia czy ryb nie należała do najprzyjemniejszych woni. Mój nos szybko zaczął ją ignorować. Uważnie obserwowałam członków załogi, jednak nigdy się z nimi nie integrowałam. Trzymałam się z boku i należycie wykonywałam zlecane mi prace. Zwykle jadałam sama, a w towarzystwie przebywałam wówczas, gdy zachodziła taka konieczność. Javier szybko się wpasował. On nie musiał uważać. Mógł być sobą. Ja wiecznie musiałam grać kogoś, kim nie jestem. Zostałam zmuszona do zachowania czujności i przewidywania wszystkiego. Zawsze byłam o jeden krok przed załogą. Dobrze wiedziałam, że jeden nieostrożny ruch z mojej strony wystarczy, by prawda wyszła na jaw. Nie mogłam sobie na to pozwolić. Nie teraz, kiedy w zasadzie pokochałam życie pod banderą *Lerate*.

W takich chwilach jak te – kiedy bolesne wspomnienia o rodzicach przygniatały – trawił mnie wstyd. Nie powinnam się cieszyć z takiego życia, tylko się nim brzydzić i pragnąć stąd czmychnąć przy pierwszej okazji. A mną targały zgoła sprzeczne emocje: mimo że robiłam wszystko, by nie żyć się z załogą, nie potrafiłabym ich porzucić. Przez długi czas nie dopuszczałam do siebie tej prawdy, ale ostatnia bitwa z angielską flotą handlarzy niewolników

dobitnie mi ją uświadomiła.

Statki Cruza i Severa dokonały abordażu dwóch fregat. Część załogi Lerate również pomagała w walce. Na pokładzie naszego okrętu zostaliśmy ja, kapitan oraz kanonierzy skupieni w baterii burtowej, gotowi do odpalenia dział na rozkaz Marcosa. Nie lubiłam walk, chociaż potrafiłam świetnie posługiwać się sztyletem i rapierem. Zwykle – tak jak nakazywał mi Javi – chowałam się w kubryku, a później pomagałam opatrywać rannych. Dzięki temu, że z żaglomistrzem spędzałam długie godziny na lataniu szmat⁴⁴, świetnie radziłam sobie ze zszywaniem ran. Tym razem coś, chyba intuicja, kazało mi wyściubić nos na spowity złowróbną ciszą pokład. Z zajętego okrętu Angoli dochodziły odgłosy walki. Czarna bandera z trupią czaszką, której jeden oczodół był zasłonięty przepaską, raz po raz powiewała na lekkim wietrze. U stóp grotmasztu dostrzegłam rannego Marcosa. Dał się podejść jednemu z angielskich żołnierzy. Prześlizgnęłam się za fas-kami z wodą i zerknęłam za burtę. W szalupie tkwiło jeszcze czterech żołnierzy, czekających zapewne na sygnał do ataku. Wtem ktoś zasłonił mi usta. Zaczęłam się szamotać.

– Spokojnie, to ja. – Kojący głos Javiera momentalnie mnie uspokoił.

– Nie walczysz? – Zdziwiłam się.

– Kazali mi pomagać w baterii burtowej. Czmychnąłem, żeby cię stąd zabrać. To nasza szansa.

– Szansa?

Zrozumiałam, że właśnie nadarzyła się okazja. Mogliśmy uciec. Mogliśmy zdradzić Anglikom, kim jesteśmy. Mieli Marcosa, a jego bracia prędzej zrezygnowaliby z łupu, niż poświęcili jego życie. Zerknęłam w stronę grotmasztu. Kapitan opierał się o niego i oddychał ciężko, przytrzymując dłoń na krwawiącym boku. Rapier leżał u jego stóp, a Anglik przyciskał końcówkę swojej szabli do jego gardła. Nie rozumiałam, co do niego mówił. Nie znałam angielskiego, lecz domyślałam się, że zmusza go do poddania się.

– Będziemy wolni, Paqui. – Usłyszałam słowa Javiego, ale wtedy Marcos mnie dostrzegł.

Jego bursztynowe oko na moment napotkało moje spojrzenie, po czym szybko popatrzył z powrotem na napastnika. Jakby nie chciał zdradzać mojej kryjówki. Wtedy pojęłam, że nie godzi się tak postąpić. Nie mogę go zostawić na pewną śmierć. Nie mogę uciec jak tchórz.

– Nie mogę, Javi – wyszeptałam.

– Co ty, do czorta, wyrabiasz?! – zapytał rozeźlony, łapiąc mnie za przedramię.

– To nasz kapitan – odparłam.

– To szatań-ski pomiot, który zabił twoich rodziców, a nas wziął w niewolę! – przypomniał mi dobitnie, ale ja już nie zwracałam na niego uwagi.

Instykt podpowiadał mi, że powinnam ocalić kapitana. Postanowiłam go posłuchać. Przypomniały mi się słowa Kamarii: „Niewiasta ma coś, czego pozbawieni są mężczyźni: intuicję, i to nią powinna się kierować w życiu”.

Sięgnęłam pod koszulę i wyjęłam maleńki sztylet spomiędzy żaglowego płótna, którym ciasno obwiązywałam tors, żeby zamaskować piersi. Na palcach zaszłam żołnierza od tyłu i stanęłam dokładnie za jego plecami. A potem bez zastanowienia dźgnęłam go w okolice nerek. Marcos odtrącił ostrze szabli ze swojego gardła, schylił się po rapier i wbił go napastnikowi prosto w trzewia. A potem obaj upadli na dek. W ostatniej chwili ochroniłam Marcosa przed bolesnym upadkiem, obejmując go ramionami. Jego ciężkie ciało przygniotło mnie do pokładu. Jęknął. Z baterii burtowej wybiegło dwóch kamratów i pomogło mi przenieść go do jego kajuty.

Kiedy zszywałam ranę Marcosa, nawet się nie skrzywił, mimo że igła, którą wbijałam w jego ciało, była potwornie tępa. Jego wytrzymałość przypuszczalnie potęgował wypity grog. Pod koniec zabiegu był już mocno pijany, jednakowoż jego spojrzenie wydawało się nad wyraz

trzeźwe i nie spuszczał go ze mnie ani na sekundę. A ja za każdym razem, kiedy moje palce mus-kały jego umięśniony brzuch, czułam w dole swojego dziwne ciepło, które jakimś cudem wykwitło też na moich policzkach. Staralam się nie podnosić głowy i specjalnie nie odgarniałam włosów z twarzy. Gdy już skończyłam, obficie polałam ranę alkoholem. Wówczas Marcos złapał mnie za zakrwawioną rękę i przyciągnął do siebie. Przełknęłam gulę w gardle, czując się jeszcze bardziej niezręcznie, a wtedy uśmiechnął się do mnie i wyszeptał:

– Dziękuję, Francisco. – Po tych słowach znowu stracił przytomność, a moje serce na chwilę przestało bić.

Francisca.

Nazwał mnie Francisca.

Co prawda mogłam się przestyszeć, bo belkotał za sprawą morza alkoholu, jakie w siebie wlał. Mimo wszystko poczułam strach, bo nagle do mnie dotarło, że mógł znać moją tajemnicę.

Tego dnia okrzyknięto mnie bohaterem i wyprawiono ucztę na statku na moją cześć. Prawdziwą ucztę, ze świeżym jedzeniem, bo angielskie fregaty wracały z niedawno uzupełnionymi zapasami żywności. Od tego dnia Javier przestał siadać ze mną na relingu rufy i nie mogłam już liczyć na jego towarzystwo. Zrozumiałam, że w tamtym momencie straciłam przyjaciela.

Od tamtych chwil zauważyłam coś jeszcze: wyraźną zmianę w zachowaniu kapitana. Od dnia, w którym dał mi pralinki, w zasadzie się do mnie nie odzywał, mimo że na Wyspie spaliśmy w jednej chacie. Jego spojrzenie wywoływało we mnie tylko negatywne uczucia: strach, żal i nienawiść. Pierzchałam za beczki z wodą, kiedy tylko się zbliżał, lub kuliłam się pod naporem jego surowego, lodowatego wzroku. Jego stosunek do mnie diametralnie się zmienił, gdy ocaliłam mu skórę. Przestał mnie ignorować. Ale i we mnie nastąpiła pewnego rodzaju przemiana. Początkowy lęk zaczął się przeradzać w przedziwne oczarowanie, podsycane tym, że coraz częściej przyłapywa-łam go, jak mi się przygląda. Niejednokrotnie ścis-kał wtedy w dłoni skrawek papieru, a krawędź drugiej miał czarną od węgla. Czasem – kiedy zajęty był pracą – pozwalałam sobie na podziwianie jego umięśnionego ciała. Gdy podłapywałam jego spojrzenie, oblewałam się rumieńcem i odnosiłam wrażenie, że wewnątrz mnie wybucha ogień. Nie pomagał fakt, że Marcos obłędnie pachniał. Nigdy nie zdawałam sobie sprawy, że zapach drugiego człowieka może doprowadzać do takich emocji. Niekiedy służył mi pomocą, gdy nie dawałam rady naciągnąć liny żaglowej przy wyjątkowo silnym wietrze. Stawał wtedy za mną i otaczał mnie swoimi ramionami. Czułam na plecach bijące od niego ciepło, a moje ciało pokrywała wtedy gęsia skórka. Zdarzało się, że opierał policzek o mój i instruował, w jaki sposób odpowiednio naciągnąć linę przy każdym z żagli. Gdy mówił, czułam jego oddech dokładnie za uchem; łaskotał przyjemnie, zalewając mnie niespotykanymi uczuciami. Niekiedy po mojej skórze przebiegał dreszcz. Nader osobliwy dreszcz, który wywoływał fale ciepła w mojej piersi i między nogami. Bliskość Marcosa była przyjemnie przytłaczająca. Obezwładniała umysł i ciało. Lubiłam, gdy mnie dotykał, cierpliwie tłumacząc, jak najprościej i najszybciej owinąć liną przedramię, żeby się nie wyslizgiwała i nie raniła dłoni. Nie muszę chyba dodawać, że nie docierało do mnie ani jedno jego słowo. Staralam się wtedy panować nad oddechem i sercem, które chciało się wyrwać z mojej piersi. Jego umięśniony tors napierał na moje plecy. Był zbyt blis-ko. Wbrew zdrowemu rozsądkowi pragnęłam się w niego wtulić. I nie miałam bladego pojęcia, co o tym sądzić.

Nie pomagało też to, że kapitan był pedantem, jeśli chodzi o wygląd i higienę. Wieczorem zawsze mył się w małej balii z wodą. Codziennie nosił czyste spodnie, włosy miał starannie uczesane i związane na karku czerwoną wstążką. Bródkę w kształcie kotwicy i hiszpański wąsik nosił starannie przycięte, a twarz miał dokładnie umytą. Całkowite przeciwieństwo mnie. Mimo że dbałam o higienę, zawsze celowo zostawiałam brudne policzki, a rozczochrane włosy

układałam pod czarną bandaną w taki sposób, żeby zasłaniały moje oblicze. Natury nie dało się jednak oszukać. Moje dziewczęce rysy były coraz bardziej wyraźne, a z ust załogi coraz częściej padały drwiące docinki, bo nadal nie miałam zarostu i odmawiałam chodzenia do zamtuza, żeby używać sobie z kurtyzanami. Usilnie walczyłam o przetrwanie na statku i przeraźliwie bałam się, że w końcu nadejdzie dzień, w którym będę zmuszona go opuścić. Na zawsze. Choćby po to, żeby Javier był bezpieczny. Za ukrywanie niewiasty na statku groziła śmierć. Choć mój przyjaciel obecnie traktował mnie jak powietrze, zawdzięczałam mu życie.

Nadal nie potrafiłam zrozumieć, dlaczego zdecydowałam się pływać pod rozkazami Marcosa. Dlaczego w ogóle po tym wszystkim, co mnie spotkało, podjęłam decyzję, by wieść żywot wilka morskiego. Czy spowodowane to było podświadomym pragnieniem przeżycia przygód, nawet za cenę służenia pod rozkazami mężczyzny, który z zimną krwią zabił moich rodziców? Zresztą Marcos sam był pełen sprzeczności: bywał bezwzględny, a jedno-cześnie potrafił oddać swoją część łupu bezdomnym dzieciom, które oblegały go jak muchy w jednym z portów. Zauważyłam, że zatrzymywaliśmy się zawsze w tych samych redach, a miejscowi cieszyli się na widok braci Noir. Traktowali ich jak dzielnych mężów i chwatów. Kolejnym zas-koczeniem były dla mnie wyprawy, podczas których napadaliśmy na statki i uwalnialiśmy przewożonych nimi czarnoskórych niewolników. Miałam wrażenie, że okręty łupiliśmy tylko przy okazji, a głównym celem napaści była właśnie chęć wyzwolenia więźniów spod jarzma handlarzy.

Przez te kilka lat moje negatywne uczucia do Marcosa też złagodniały, a może powinienam powiedzieć: ewoluowały. Nienawiść powoli przerodziła się w obojętność, aż w końcu chyba nawet zaczęłam go szanować. Był surowy, ale sprawiedliwy. I co więcej, nie migał się od pracy na statku. Nie był takim kapitanem jak ci z opowieści Javiera za czasów jego służby na hiszpańskim galeonie: wydającym rozkazy i odpoczywającym w kajucie, podczas gdy inni chodzili jak konie w kieracie. Marcos pracował równie ciężko jak jego załoga. Nieraz widziałam, jak dłonie krwawiły mu od szorstkich lin, jak pot lał się strumieniami po odsłoniętych plecach. Wszyscy, z wyjątkiem mnie, pracowali na statku bez kosztów.

Od czasu, kiedy musiałam dodatkowo używać pod koszulą długich pasów żaglowego płótna, żeby obwiązywać nimi piersi, miałam się jeszcze bardziej na baczności. Wielu rzeczy nie wiedziałam bądź nie rozumiałam. Nie było niewiasty, której mogłam się poradzić. A Javier, który do pewnego czasu był moim powiernikiem i bardzo mnie wspierał, nie mógł przygotować mnie na wszystko. A już na pewno nie na to, że nieodłącznym atrybutem dojrzałej niewiasty są comiesięczne krwawienia.

To było kilka miesięcy po pamiętnym ataku Anglików. Od kilku dni czułam nieprzyjemne klucie w dole brzucha, jednak sądziłam, że strułam się jedzeniem. Nie na darmo wołaliśmy na kucharza „truciciel”. Jednak pewnego dnia poczułam coś ciepłego spływającego po wewnętrznej stronie ud. Poszłam do kubryku i upewniwszy się, że nikogo nie ma, ściągnęłam spodnie. Kiedy zobaczyłam rozmazaną strużkę krwi, zamarłam z przerażenia. Dotknęłam się dłonią w okolicy krocza. Cała pokryła się posoką. Schowałam się wtedy na cały dzień pod pokładem i płakałam, bo sądziłam, że umieram.

– Jesteś tu?! Jest wieczerza! – Usłyszałam wołanie Javiera. – Paco?!

Od jakiegoś czasu Javier znów ze mną rozmawiał, ale zwyczajowa zażyłość zniknęła bezpowrotnie. Jednak tylko jemu mogłam zdradzić, że coś jest ze mną nie tak. Wyściubiłam nos spod jednej z koi i odezwałam się drżącym głosem:

– Tu jestem, Javi.

Podszedł i przyjrzał mi się uważnie.

– Płaczesz? Co się dzieje, Paqui? – Objął moje policzki dłońmi, a ja wybuchnęłam

jeszcze większym szlochem.

– Chyba umieram, Javi – wyszeptalam.

Wyczulam, jak cały się spiął. Uważanie obejrzał moje lico, sprawdził dziąsła, okolice włosów i przyłożył dłoń do czoła w poszukiwaniu oznak choroby. Zmarszczył brwi, nie znalazłszy ani objawów szkorbutu, ani malarii.

– Oprócz łez nie widzę niczego niepokojącego. – Jego głos brzmiał łagodnie jak kiedyś.

Odsunęłam się, włożyłam dłoń w spodnie i pokazałam mu krew. Przez moment wpatrywał się w nią bez słowa, a potem westchnął ciężko. Znowu ujął w dłonie moją twarz i odezwał się spokojnie:

– Nic złego się nie dzieje – zapewnił mnie. – Po prostu stałaś się... – Sapnął i pogładził kciukami skórę na moich policzkach. – Dojrzałaś, Francisco.

Pierwszy raz, odkąd wylądowaliśmy pod piracką banderą, nazwał mnie moim pełnym imieniem, a w jego oczach dostrzegłam niespotykany błysk.

– Dojrzałam?

– No... – cofnął ręce i podrapał się po głowie, wyraźnie zakłopotany – do bycia żoną i matką, Paqui.

– Żoną? – Zas-koczenie na mojej twarzy było tak widoczne, że parsknął śmiechem. – Matką? – To drugie słowo wypiszczalam przerażona.

– Tak. Widzisz, w wyższych sferach zaślubiny są później niż w niższych warstwach. My uznajemy, że niewiasta, która miała swoje pierwsze krwawienie, nadaje się na żonę.

– Jak to pierwsze?!

To będzie tego więcej?

Przecież...

Jak ja dam radę funkcjonować?

– Tak już teraz będzie przez kilka dni w miesiącu, Paqui – wytłumaczył. – Po prostu musisz jeszcze bardziej się pilnować. Zawsze możemy zbiec w najbliższym porcie...

Pokręciłam głową, na co na jego twarzy znów pojawił się srogi grymas. Nie wyobrażałam sobie obecnie innego życia. Pokochałam ten statek i pokochałam Lerate, matkę Marcosa. Była cudowna i z powodzeniem zastępowała mi oboje rodziców. Robiła to tak dobrze, że ból po ich utracie malał z każdą wizytą na Wyspie, aż w końcu był tylko delikatnym ćmieniem.

– Jak sobie chcesz – mruknął Javi. – Pamiętaj, że nikt nie może się o tym dowiedzieć, bo nas zabiją. Oboje. Piraci nie znają litości.

Zadrzałam. Javier wyszedł, po czym wrócił z czystymi spodniami i szarpiami⁴⁵, żebym w tym czasie mogła się jakoś zabezpieczyć. Obwiązywałam się nimi w kroczu, żeby chłonęły krew, i od tego dnia żyłam w jeszcze większym strachu.

Mimo grozy towarzyszącej mi każdego miesiąca to wspomnienie wywoływało u mnie uśmiech, bo od tamtego czasu znów każdego wieczora siadaliśmy z Javim na rufie i wpatrywaliśmy się w kilwater⁴⁶. Znów mogliśmy rozmawiać przyciszonymi głosami. Dopiero wtedy zrozumiałam, jak bardzo mi tego brakowało. Javier był mi jak brat. A nasze wieczorne spotkania stanowiły jedyny moment, kiedy się odzywałam. Opierałam głowę na jego ramieniu, a on zawsze składał pocałunek na mojej skroni. I za każdym razem czułam na plecach palące spojrzenie Marcosa, który przypatrywał się nam z drugiego końca nadbudówki. Nie potrafiłam odczytać uczuć wymalowanych na jego twarzy.

Leżąc w hamaku, spojrzałam na swoje połamane paznokcie. Jutro mieliśmy zacumować we francuskim porcie wojennym – Breście. Przestałam już liczyć, ile czasu upłynęło, odkąd

ostatni raz zawitaliśmy na stały ląd, i nie tylko ja byłam rada, że w końcu zejdziemy z pokładu. Jedzenie i woda stawały się powoli tak ohydne, że nawet najstarsze wygi narzekały na kowala⁴⁷. Tym bardziej że w ostatnie dni upał doskwierał tak bardzo, iż kilku z nas straciło przytomność, a stopy musieliśmy owijać szmatami, bo nie dało się stąpać bosy po des-kach pokładu.

Kilku z nas...

Przestałam już wierzyć, że wrócę do normalności. No dobrze, nie chciałam innego życia. Już nie opłakiwałam rodziców, choć ich śmierć widziałam za każdym razem, kiedy zamykałam oczy. Moja babka zwykła mawiać: „Uważaj, czego sobie życzysz, bo może się spełnić”. Moim marzeniem było podróżować na pokładzie statku i zwiedzać egzotyczne kraje. Wszystko się spełniło, tylko nie do końca tak, jak bym zamiarowała. A może właśnie taki los miałam zapisany w gwiazdach?

Zamknęłam oczy i westchnęłam cicho. Javi pełnił dziś pierwszą wachtę⁴⁸. Słyszałam pięć uderzeń w dzwon pokładowy wyznaczających godzinę dwudziestą drugą trzydzieści. Cieszyłam się, kiedy przychodziła moja kolej wybijania szklanek. Mogłam wtedy cały dzień skrywać się w cieniu beczek z wodą i odpocząć od innych obowiązków. Musiałam tylko pilnować klepsydry i w odpowiednim rytmie uderzać w dzwon.

Byłam świadoma, że gdyby ktoś umożliwił mi teraz powrót na stały ląd, nie umiałabym podjąć decyzji. W Hiszpanii nie miałam do czego wracać, a przez te kilka lat przyzwyczałam się do życia na statku. Pokusiłabym się nawet o stwierdzenie, że je polubiłam. Mimo krwi, potu i łez wylanych w pierwszych miesiącach stałam się wilkiem morskim. No i miałam Javiera. Bosman, Pierwszy i żaglomistrz też byli dla mnie mili. Nawiązałam z nimi nić przyjaźni, pozostałą część załogi mniej lub bardziej tolerowałam.

Do moich uszu dotarły przyciszone rozmowy kamratów sadowiących się na hamakach i kojach. Statek powoli szycował się do spoczynku. Delikatny stukot wody o kadłub szybko sprawił, że mimo moich usilnych starań sen przyszedł prędzej, niż się spodziewałam. Tej nocy śniłam o Marcosie. Kapitan coraz częściej pojawiał się w moich snach, tym razem umysł przywołał wspomnienie sprzed dwóch lat, kiedy to jego stosunek do mnie uległ dziwnej przemianie.

– Ruszyć się, parszywe lenie! – Ni stąd, ni zowąd do kubryku wpadł Hugo, postukując drewnianą nogą.

Kilku kamratów, którzy właśnie zasnęli po pełnieniu psiej wachty⁴⁹, zaczęło złorzeczyć i w ciągu kilku minut wywiązała się nie lada sprzeczka. Zwlekłam się z hamaka i ruszyłam na pokład. Przywitały mnie ciemnoszare chmury zasnuwające całe niebo. Powietrze było nieruchome i nieznośnie duszne, tak jak przez ostatnie dni. Dało się jednak wyczuć w nim dziwne napięcie, które napawało mnie podświadomym lękiem.

Przynajmniej nie jest gorąco, pomyś-lalam.

Za mną wynurzyło się jeszcze paru marynarzy. Na mostku kapitańskim stał Pierwszy i opierając się o reling, obserwował nas uważnie.

– Rapiery w dłoń! – nakazał. – Dobrać się w pary i szlifujemy fechtunek! Dość już obijania się, psia jego mać!

Bardzo często w ramach ćwiczeń stawaliśmy w szranki. Początkowo sztuki fechtunku uczył mnie Julio. Jednak kiedy załapałam podstawy, kazał mi fechtować z pozostałymi członkami załogi. Zazwyczaj był to Javier. Jak zawsze dbał, by nie stała mi się krzywda, choć broń do ćwiczeń była tępa, a tym samym niegroźna. Jedyne, czego można się było nabawić, to siniaki.

Kilkudniowy upał dał nam się we znaki, ale nikt nie chciał się narazić na pocałunek córki kanoniera⁵⁰, a wyraźnie dało się dostrzec, że Pierwszy wstał dziś lewą nogą. Posłusznie ruszyliśmy w stronę przyszykowanej broni. Rozejrzałam się po pokładzie, lecz nigdzie nie

dostrzegłam kapitana. Odetchnęłam z ulgą. Ostatnimi czasy jego obecność wywoływała we mnie dziwne uczucia. Onieśmiał mnie.

– Będziesz fechtować się ze mną. – Usłyszałam głos Javiera za swoimi plecami.

Odpowiedziałam mu uśmiechem. Już po chwili rozeszliśmy się po pokładzie i stanęliśmy w szranki. Ciszę rozdarł szcęk stali. Zdawałam sobie sprawę, że Javi znowu daje mi fory. Był dobrym szermierzem, ale nie starał się zbyt, by wygrać. Nasz pojedynek traktował raczej jako zabawę, dzięki czemu mogłam trenować precyzję pchnięć i z łatwością przewidywałam jego ruchy. Javier miał tendencję do wyprowadzania ataku z lewej strony, a cięcia z prawej. Przynajmniej podczas ćwiczeń ze mną. Nie liczyło się, czy atakuje z dołu, czy z góry. Wysunęłam prawą stopę do przodu i już miałam zrobić wypad z tej strony, by wykonać uderzenie poziome. Javi bezbłędnie odczytał mój ruch i odparował atak, ale nagle zdaliśmy sobie sprawę, że nasze rapieru skrzyżowały się w powietrzu z trzecim.

– Co to ma być, do czorta? – zachnął się Marcos.

Momentalnie spuściłam głowę, by uniknąć jego wzroku.

– Fechtujemy... – zaczął Javier, ale kapitan przerwał mu -ostro.

– Ty to nazywasz fechtunkiem?! Nie rozśmieszaj mnie. – Łypnął na niego surowo. – Staniesz w szranki z Juliem, pokaże ci, co to fechtunek, bo najwyraźniej w ostatnim czasie zapomniałeś. A ty – zwrócił się do mnie – stoczysz pojedynek ze mną.

Zabrzmiało to jak groźba. Lodowaty dreszcz przebiegł mi po plecach. Chwyciłam mocniej rapier w dłoń, która momentalnie pokryła się potem. Wiedziałam, jak walczy Marcos. Nawet podczas ćwiczeń był brutalny. Nigdy jednak nie fechtował się ze mną. Jego bursztynowa tęczówka odszukała moje spojrzenie, a potem powiedział złowroźnie:

– En garde⁵¹, Paco!

Zaatakował z taką stanowczością, że przy pierwszym uderzeniu o mały włos nie wypuściłam szabli z dłoni. Musiałam się wspomóc drugą ręką, żeby odeprzeć jego atak. Był zwinny, szybki i brutalny, a jedno-cześnie jego ruchy przypominały taniec. Jego sposób walki zmuszał mnie do ogromnego wysiłku, zarówno fizycznego, jak i umysłowego. W niczym nie przypominało to fechtunku z Javierem, z którym ćwiczenia teraz rzeczywiście kojarzyły mi się z zabawą. Stając w szranki z Marcosem, nie dało się przewidzieć żadnego jego ruchu. W pewnym momencie zmylił mnie i uderzył z całej siły obłękiem⁵² w twarz. Zachwiałam się i upadłam, upuszczając broń. Poczulałam krew w ustach. Otarłam je wierzchem dłoni. W istocie, miałam rozciętą wargę. Wbiłam spojrzenie w kapitana, który górował nade mną, po jego ustach błąkał się drwiący uśmieszek. Przyłożył koniec rapiera do mojego podbródka i wycedził:

– Już byłbyś martwy...

Zdałam sobie sprawę, że cała załoga zamarła i obserwowała nas w ciszy.

– Przegrałeś, Paco. Za karę wyszorujesz cały pokład. To nauczy cię, że należy się przykładać do fechtunku.

Poczulałam gniew. Szydził i mnie nie doceniał. Uderzenie obłękiem w twarz było nieczystym zagranieniem, ale on nigdy nie walczył czysto. Walczył tak, by wygrać. Jakby każda walka była tą na śmierć i życie. Odwrócił się do mnie plecami, by odejść, a wtedy podniosłam rapier i natarłam na niego.

– Marcos!

Posłałam wściekle spojrzenie w stronę tego, który go ostrzegł, ale natychmiast ponownie skupiłam się na przeciwniku – w ostatniej chwili odwrócił się i z ledwością zablokował mój cios. Znowu stanęliśmy w szranki. Mój oddech był ciężki i czułam spływającą po brodzie krew, a na skroniach krople potu, ale byłam tak rozsierdzona, że postanowiłam pokazać, co potrafię. Przez moment staliśmy ze skrzyżowanymi ostrzami i spojrzeniami. Tym razem nie dostrzegłam w jego

oku ani krzty drwiny.

– Szybko się uczysz... – wyszeptał.

A potem w kilku ruchach znów wytrącił mi rapier z dłoni i posłał mnie na des-ki. Załoga zarechotała. Siedziałam na pokładzie z obolałym tyłkiem i poobijaną dumą.

– Szybko, Paco. – Ukucnął, przybliżając twarz do mojej. – Ale nie dość szybko. Za to nieczyste zagranie dokładam ci drugi dzień szorowania pokładu.

Otworzyłam usta i o mały włos mu nie odpys-kowałam. W porę jednak zdałam sobie sprawę, jak by się to skończyło. Zostałabym zdemas-kowana. Złączyłam na powrót wargi, posyłając Marcosowi butne spojrzenie. W jego oku na moment pojawił się dziwny błysk.

– Chciałeś coś dodać? – Zaśmiał się, a załoga mu -zawtórowała.

Poczułam na policzkach palący rumieniec. Marcos odrobinę przekrzywił głowę, przyglądając mi się z rozbawieniem, po czym wstał, rzucił rapier na stertę leżącą obok fokmasztu i uniośł dłonie w geście zwycięstwa. Nie rozumiałam, co we mnie wstąpiło, ale gdy zobaczyłam go tryumfującego, zadziałałam instynktownie. Wyciągnęłam ukryty pod koszulką puginał i wskoczyłam mu na plecy, przykładając ostrze do jego szyi. Zamarł na chwilę z uniesionymi dłońmi, a potem błyskawicznie rzucił mnie na dek. Rąbnęłam głową o des-ki i na moment mnie zamroczyło. Potrząsnęłam głową i zdałam sobie sprawę, że kapitan siedzi na mnie okrakiem. W dłoni dzierżył mój nóż i teraz on przyciskał mi ostrze do szyi. Był wściekły. Wcale mu się nie dziwiłam. Ośmieszyłam go, ale to była jego wina – nie docenił przeciwnika. Chwyciłam jego rękę, próbując odsunąć chłodny metal od szyi, lecz był zbyt silny. Walczyłam jednak jak lew, wyginając ciało i wierzgając nogami, aby go zrzucić. Ostatecznie przygniótł mnie całym ciałem i wtedy się poddałam. Leżeliśmy tak dłuższą chwilę, a on wpatrywał się we mnie uporczywie. Coś zmieniło się w jego spojrzeniu, a ciężar i ciepło jego ciała wywołały we mnie cały wachlarz nieznanych dotąd uczuć, których na pewno nie mogłabym nazwać nieprzyjemnymi. Jego ciepły oddech las-kotał mi policzki. Twarde, umięśnione ciało utrudniało oddychanie, a mimo to... Jego usta znalazły się nagle bardzo blisko moich. Zadrżałam, a potem poczułam, co zaczęło się dziać z jego ciałem. Bezwiednie poruszyłam biodrami, sprawiając, że moje łono otarło się o twardą wypukłość. Spomiędzy warg Marcosa wydostał się syk. Nagle jakby cały świat stanął w miejscu. Jak gdyby wszystko dookoła rozmyło się we mgle, a my zostaliśmy sami. Przyjemny dreszcz przetoczył się delikatnie po moim karku. Czulałam, że klatka piersiowa kapitana unosi się i opada jak po bardzo długim biegu. Patrzyłam na jego pełne usta i zapragnęłam, by mnie pocałował. Marcos przymknął na chwilę powiekę, a potem zbliżył usta do mojego ucha i wyszeptał:

– Trzy dni, Paco. Szorujesz pokład trzy dni z rzędu. I osobiście dopilnuję, by błyszczał. A za to, co przed chwilą zrobiłeś, powinienem cię wybatożyć! – Wstał, rzucił nóż tuż obok mnie i bez słowa udał się do kajuty, po czym trzasnął drzwiami.

Javier podszedł do mnie i wyciągnął dłoń, by pomóc mi się podnieść. Kiedy ruszyłam po wiadro i szmatę, kilku kamratów nagrodziło mnie cichymi brawami. Po mojej twarzy przez moment błąkał się lekki uśmiech. Może i nie wygrałam tej potyczki, ale z pewnością utarłam nosa kapitanowi. Mimo że wieczorem skórę dłoni miałam zdartą do krwi, nie żalowałam. Jedno było pewne: tamtego dnia między nami wydarzyło się coś, co nie powinno mieć miejsca. I z całą pewnością zas-koczyło to zarówno mnie, jak i samego kapitana.

44 Szmaty – w żargonie marynarskim żagle.

45 Szarpie – dawny materiał opatrunkowy.

46 Kilwater – ś-lad na wodzie pozostawiany przez płynący statek.

47 Kowal – w slangu żeglarskim kucharz.

48 Pierwsza wachta – wachta w godzinach 20.00–24.00.

49 Psia wachta – wachta pełniona od północy do czwartej rano.

50 Pocałunek córki kanoniera – rodzaj kary chłosty, podczas której delikwenta przywiązywano do armaty.

51 *En garde* (fr.) – termin używany w szermierce oznaczający przyjęcie pozycji do walki.

52 Obłęk – część rapiera tuż przy rękojeści, mająca za zadanie chronić dłoń.

CHOMIKO – WARNIA

Ósma szklanka

„Zdawało mi się, że kapitan rzecze:

»Opuść łajbę, Johnny«.

Jutro dzień mzdy⁵³ nadchodzi,

Na deku czas skończony”.

Leave Her, Johnny, Leave Her, szanta

Marcos

Ze snu, w którym po raz kolejny główną i bardzo swawolną rolę odgrywała Francisca, wybudziło mnie uderzenie w dzwon okrętowy i krzyki Pierwszego:

– Okręt na sterburcie! Wstawać, morskie dupy! Atakują nas!

Po chwili usłyszałem huk armatniego wystrzału. Zerwałem się na równe nogi, po omac-ku szukając kataru i przywdziewając koszulę. Gdy otwierałem drzwi od swojej kajuty, napotkałem Hugona z pięścią zastygłą w powietrzu.

– Hiszpań-ski galeon, kapitanie – oświadczył poważnym -tonem.

– Cruz i Severo?

– Zdążyli przepłynąć. Mieliśmy pecha. Te skurwysyny wpłynęły centralnie na nasz kurs między wyspą Île-de-Sein a -Pointe du Raz. Zanim ten ślepiec w bocianim gnieździe, psia jego mać, zorientował się, że jesteśmy na kursie kolizyjnym, i to z galeonem hiszpań-skiej korony, było już za późno – tłumaczył -nerwowo.

– Upewnij się, że wszyscy są na stanowis-kach. Kanonierzy do baterii bur... – W tym momencie do moich uszu dotarł przeciągły świst, huk, a potem okrętem zatrzęsło, kiedy jeden z masztów zwałił się na dek. – Niech ich piekło pochłonie! – warknąłem, słysząc pełen bólu wrzask jednego z kamratów.

Przepchnąłem się obok Pierwszego z takim impetem, że byłby upadł. Wbiegłem na rufę i zobaczyłem jednego z majtków przygniecionego przez krojcmaszt. Leżał na brzuchu, a drzewce masztu przyduszało go do pokładowych desek w okolicach zadka. Dostrzegłem od razu, że nie porusza nogami.

Do stu piorunów!

Wtedy zobaczyłem ją. Kuciała tuż przy głowie rannego i trzymała go pod pachami. Dwóch innych marynarzy unosiło połamane drzewce, tak by można było wyciągnąć mężczyznę. Podszedłem powoli, obserwując, jak na umówiony sygnał Francisca z mozołem próbuje go wydostać. Był od niej ze trzy razy cięższy, a mimo to nie zawahała się ruszyć z pomocą. Zatrzymałem się i stałem jak słup soli, kolejny raz urzeczony jej zachowaniem. Wtedy, gdy zranił mnie angielski żołnierz, miała jedyną i niepowtarzalną okazję, żeby uciec. Dobrze wiedziałem, że właśnie do tego namawiał ją ten cały Javier. Coraz częściej łapałem go na tym, że bacznie mnie obserwuje. Nie ufałem mu ani trochę i byłem pewien, że to kwestia tygodni, może miesięcy, kiedy któryś z nas w końcu straci panowanie nad sobą. Zresztą ja już od mały włos bym stracił. Jego zachowanie w stosunku do Francis-ki ostatnimi czasy zaczęło wykraczać daleko poza ramy przyjaźni – czy braterstwa, bo przecież przed załogą udawali braci. A ona była albo ślepa, albo

do cna naiwna, skoro tego nie zauważała. Zacząłem ich śledzić. Także podczas ostatniego pobytu na Wyspie, kiedy Francisca poszła dokonać ablucji.

Z wiadomych względów nigdy nie zażywała kąpieli razem ze wszystkimi. I zawsze towarzyszyła jej ta psiajucha. Zatem gdy tylko zniknęli w zaroślach, podążyłem za nimi. Wspiąłem się na skałę, z której tryskał wodospad, i obserwowałem. Widziałem, jak Javier usiadł tyłem, podczas gdy dziewczyna pozbywała się odzienia. Zdjęła brudną koszulę i zaczęła powoli rozwiązywać materiał owinięty wokół klatki piersiowej. Stała plecami do mnie, ale zacząłem sobie wyobrażać, jak wyglądają jej piersi. Jak moje dłonie obejmują je, a usta zasysają sutki. Jak drży pod moim dotykiem. Niemalże słyszałem ciężki oddech wydobywający się spod jej rozchylonych warg.

Jak na Hiszpankę miała bardzo jasną karnację. Gdyby nadal mieszkała w Kadyksie, nie musiałaby używać bielidła.

Zsunęła spodnie i moim oczom ukazały się jędrne pośladki. Poczulem ból w okolicach krocza. Potrzebowałem kurtyzany. I to jak najprędzej. W sumie co mnie powstrzymywało? Zasady, które wpoił mi ojciec, o szanowaniu niewiast? Cruz z pewnością wykorzystałby okazję bez mrugnięcia okiem! Oj tak, mój braciszek zdecydowanie trunków i uciech cielesnych sobie nie odmawiał.

Zacisnąłem pięści, próbując pojąć, co się ze mną dzieje. Powinienem tam zejść i zakończyć tę całą farsę, która ciągnęła się już kilka lat. O kilka za dużo. Przy okazji pozbyłbym się tego całego czarciego pomiotu – Javiera. Skończyłby swój marny żywot przeciągnięty pod kilem za ukrywanie niewiasty na statku. A Franciscę miałbym w końcu dla siebie. Pragnąłem jej, więc dlaczego ciągle zwlekałem?

Zerknąłem w jej kierunku. Teraz obróciła się tak, że widziałem jej profil. Mój wzrok prześlizgiwał się po nagiej szyi, piersiach, na których odruchowo skrzyżowała ramiona, umięśnionym brzuchu i apetycznych nogach. Lekki wiatr targał jej niechlujnie ścięte włosy, odsłaniając kości policzkowe. Nos miała lekko zadarty, a nad prawym kącikiem ust widniał maleńki pieprzyk. Jej wzrok przez moment zatrzymał się na zaroślach. Bardzo żałowałem, że nie zabrałem ze sobą węgla i papieru. Oczami wyobraźni widziałem, jak spod mojej ręki wychodzi jej portret. Miękkie pociągnięcia znaczące jej tułów i zarys piersi, ostre krawędzie policzków i nosa. Rozmazana kreska na gęstych rzęsach. Musiałem ją narysować. Dokładnie tak, jak teraz stała.

I zdecydowanie muszę dziś pochędożyć.

Tymczasem ona ostrożnie wsunęła się do wody. Wiedziałem, że dobrze pływa, ale obserwowanie z góry jej nagiego ciała sunącego po tafli jeziora było czymś urzekającym. Wtem usłyszałem plusk. Javier rozebrał się i dołączył do niej, ale ona spostrzegła to, dopiero gdy znalazł się za jej plecami i przytulił do niej. Obróciła się gwałtownie i coś do niego krzyknęła. Nie słyszałem co, ale byłem gotów wkroczyć tam i go utopić, gdyby zrobił cokolwiek wbrew jej woli. W zasadzie: gdyby ją tylko tknął. W tym właśnie momencie podjąłem decyzję: jego dni na Lerate są policzone.

Francisca zasłoniła piersi dłońmi i pokręciła głową. Złapał ją za brodę i zbliżył twarz, wyraźnie rozeźlony. Kiedy znów go odepchnęła, chwycił ją za włosy i wymusił pocałunek. Uderzyła go z głośnym plaśnięciem i podплыnęła do brzegu. Jej ruchy były zapalczywe i śmiałe. Musiała być wzburzona. Ubrała się w pośpiechu i pomaszzerowała w stronę osady. Mógłbym zejść i utopić tego skurwysyna.

Jeszcze nie teraz, Marcosie.

Jeszcze nie teraz.

Cierpliwie czekałem, aż uda się do wioski, zanim zszedłem ze skały i podążyłem ich śladem.

Podczas wieczerzy nie spuszczałem Francis-ki z oka. Siedziała dokładnie naprzeciwko mnie i chyłkiem obserwowała -Javiera, który celowo ją ignorując, otwarcie umizgiwał się do jakiejś tutejszej dziewczki. Zawsze tak robił. Umyślnie sprawiał jej przykrość, bo odrzucała jego ksiuty. Gdy unosiła głowę, widziałem na jej twarzy smutek. Wtem nasze spojrzenia się skrzyżowały. Rozchyliła lekko usta, przypatrując mi się, a po chwili jej język przemknął leniwie po dolnej wardze. Wiedziałem, jak reaguje jej ciało, kiedy jestem blis-ko, ale ona chyba nie była świadoma, jak reaguje moje za każdym razem, gdy obserwuję ją choćby z oddali. Zacząłem się zatapiać w jej spojrzeniu. Tak bardzo jej pragnąłem. Dokładnie od tego dnia, gdy trzykrotnie pokonałem ją podczas fechtunku. Kiedy przygniatałem ją ciałem do pokładu, jej subtelny zapach rozbudził we mnie pożądanie, nad którym ledwom zapanowałem. Nie wiedziałem, czy celowo wykonała biodrami delikatny ruch, ale kiedy jej łono otarło się o mojego naprężonego kutasa, omal jej nie pocałowałem. Jej spierzchnięte pełne wargi aż prosiły się o to, by ich skosztować. Naówczas dotarło do mnie, że tuż pod moim nosem przeistoczyła się z dziec-ka w niewiastę. Diabelnie urodziwą niewiastę. A to, że nikt nie splamił jej honoru, nakręcało mnie jeszcze bardziej. I mimo że gardziłem zachowaniem Javiera, chyżo pochwyliłem pierwszą lepszą dziewczynę, która wdzięczyła się do mnie od paru wieczorów, i posadziłem ją sobie na kolanach. Zamknąłem oko i wyobraziłem sobie, że na jej miejscu siedzi Francisca, że to jej usta właśnie całuję, że to po jej ciele błądzą moje palce. Kiedy podniosłem powiekę, próbowałem odszukać ją wzrokiem, ale zniknęła. Chciałem, by trawiła ją zazdrość, lecz zamiast odczuwać tryumf, w moim ciele na nowo rozgorzał palący gniew. Tej nocy nie pozwoliłem miejscowej flammie zmrużyć oka. Liczyłem, że kiedy dam upust żądzy, pozbędę się Francis-ki z głowy choć na jakiś czas. Rankiem pojąłem, że były to płonne nadzieje. Gdy tylko jej ujmująca postać pojawiła się w zasięgu wzroku, moje ciało na nowo ogarnęła pożoga. Wówczas dotarło do mnie, że chyba jedynie ona będzie w stanie ją ugasić.

Nawet nie wiedziałem, kiedy znalazłem się obok niej, by pomóc wyciągnąć rannego kamrata. Połamany maszt runął z hukiem, kiedy dwaj piraci puścili go, dysząc ciężko i ocierając pot z czoła. Przewróciliśmy młodzika na plecy, ale zmagaliśmy się na próżno. Już nie żył. Dosłyszałem stłumiony szloch. Spojrzałem na Franciscę. Przycis-kała dłoń do ust i płakała. Każdego innego bym w tym momencie zrugął. Ba, normalnie ją także bym ofuknął, ale widziałem, jak wielki wysiłek i jak wiele serca włożyła w to, by mu pomóc. Wszystko na nic.

– To nie twoja wina, Paco. – Położyłem dłoń na jej ramieniu i ścisnąłem pokrzepiająco.

Wlepiła we mnie zdumione spojrzenie. Z trudem powstrzymałem się, by nie wziąć jej w ramiona. Wtem usłyszeliśmy krzyk Julia:

– Hiszpanie na pokładzie! Odeprzeć atak!

W nikłym świetle wschodzącego słońca dostrzegłem przerażenie na twarzy Francis-ki. Pierwszy raz, odkąd pływała na pokładzie Lerate, to my byliśmy atakowani. Złapałem ją za przedramię, żeby skupiła się na mnie.

– Wszystko będzie dobrze. Dobądź rapiera i trzymaj się mnie. Nie pozwolę cię skrzywdzić, Fran... Paco.

Kiwnęła lekko głową i ruszyła za mną. Na lewej dłoni umieściłem katar, w prawej trzymałem rapier. Usłyszałem szcęk ostrza tuż za plecami. Obróciłem się i dojrzałem dziewczynę odpierającą atak jakiegoś hiszpań-skiego skurwysyna. Zrobiłem krok, by pójść jej w sukurs, ale wtem poczułem pieczenie w lewym ramieniu. Dopiero po chwili zorientowałem się, że mnie postrzelono. Rana cholernie rwała, ale bez zwłoki ruszyłem na napastnika. Dostrzegł-szy moje rozjuszone oblicze, zbladł. Nie zdołał ani ponownie załadować broni, ani dobyć szpady, toteż próbował odeprzeć mój atak muszkietem. Rozbawił mnie tym tak bardzo, że wybuchnąłem gromkim śmiechem. W trzech szybkich ruchach pozbawiłem go tej namiastki

oręza, a potem rozplątałem mu gardło katarem. Zerknąłem przez ramię. Francisca właśnie wbijała ostrze w pierś nieszczęśnika, który odważył się ją zaatakować.

Zuch dziewczyna – pomyślałem z dumą. – Moja szkoła.

Zerknęła na mnie. Uniosłem pięść w geście zwycięstwa, na co na jej twarzy pojawił się szczerzy, aczkolwiek nikły uśmiech. Podbiegła do mnie i samowtór napaarliśmy na kolejnych hiszpańskich żołnierzy, którzy właśnie wspięli się na pokład. Rozkład sił zdawał się wyrównany, ale my mieliśmy jedną przewagę – dodatkowo napędzała nas chęć zemsty za mojego ojca. Nawet jeśli maczało w tym palce Brac-two Wybrzeża, to Hiszpanie go pojмали! To hiszpański markiz wydał na niego wyrok! I to ich krew miała się dziś zmieszać z wodami Zatoki Bas-kijskiej.

Niespodziewanie coś ciepłego chlusnęło mi na twarz. Otarłem pospiesznie zdrowe oko, by znów cokolwiek widzieć. Ze zdumieniem stwierdziłem, że to Francisca rozharatała gardło następnemu żołnierzowi. Walcząc z kolejnym przeciwnikiem, kątem oka obserwowałem jej zaciętą, skupioną na walce twarz. Usta miała zaciśnięte, a jej ruchy przypominały taniec, kiedy fechtowała, bez problemu odpierając ataki wyszkolonego Hiszpana. Nagle dotarło do mnie, że liczba napastników na naszym pokładzie znacznie zmalała. Pozbawiłem głowy kolejnego przeciwnika, gdy usłyszałem nawoływania Hiszpanów do odwrotu. *Darmopłochy!* Pierzchali niczym mrówki z rozkopanego mrowiska. Nawet nie szukali drabinek sznurowych, by zejść z powrotem do szalup. Kto mógł, wyskakiwał prosto w morską toń. Słyszałem donośny śmiech swoich kamratów, odprowadzający hiszpańskich rejterantów. Takich nawet nie warto było ścigać. A potem mój wzrok napotkał jeszcze jedną postać i poczułem, jakbym dostał obuchem w łeb. Javier, psia jego mać, stawał właśnie na relingu. Przelotnie zerknął na Franciscę, posłał mi pełne nienawiści spojrzenie i również wyskoczył. Usłyszałem brzęk upadającej tuż obok mnie szpady. Dziewczyna stała nieruchomo, a z jej pokrytej krwią twarzy dało się wyczytać tylko jedno: śmiertelne przerażenie. Zostawił ją. Samą. Na pastwę piratów. Teraz było tylko kwestią czasu, kiedy jej tajemnica wyjdzie na jaw. I ona zdawała -sobie z tego sprawę.

– Czy to, co widziałem, to było to, co widziałem? – Pełen niedowierzania głos Hugona rozległ się za moimi plecami.

– Widziałeś tchórza i zdrajcę, Hugonie! – warknąłem.

Francisca upadła na kolana i schowała twarz w dłoniach. Widziałem, jak jej ramionami wstrząsa niemy szloch. Kucnąłem obok. Na końcu języka miałem drwiący komentarz, ale potem pomyślałem, jak ja bym się poczuł, gdyby Cruz lub Severo zrobili mi coś podobnego. Położyłem dłoń na jej karku i odezwałem się stanowczo:

– Wiem, że to twój brat. Ale nie zasługuje na ani jedną twoją łzę, Paco. Tchórze i zdrajcy zasługują tylko na powolną i bolesną śmierć.

Wyrwała się z mojego uścisku i pobiegła pod pokład. Podniosłem się i szybko oceniłem straty. Ucierpiał krojmaszt. Wśród zaścielających pokład hiszpańskich trupów dojrzałem kilku naszych. Pospiesznie pozbyliśmy się hiszpańskich ścierw, po czym dokonaliśmy rytualnego pochówku naszych kamratów. Cała załoga stała w ciszy, na baczność, z prawą pięścią przyciśniętą do serca. Zgodnie z obyczajem owinęliśmy ciała w płótno żaglowe i obciążone ułożyliśmy na relingach bakburty.

– Wasza służba na ziemskim padole dobiegła końca! – odezwałem się uroczyście. – Oddajemy was zatem morzu, by dusze wasze mogły pływać po jego wodach aż po kres wieków, a ciała wasze niechaj spoczną w luku Davy’ego Jonesa⁵⁴.

– Niech Neptun przyjmie was z otwartymi ramionami! – odezwał się chór kamratów.

Marynarze wyznaczeni do pochówku zepchnęli ciała do morza. Rytuał powtórzyliśmy trzykrotnie, dopóki wszyscy moi polegli ludzie nie zaznali wiecznego spoczynku. Początkowo sądziłem, że Francisca nie wyściubi nosa z kubryku, ale po zakończonej ceremonii dostrzegłem

ją tuż przy wejściu pod pokład. Stała z pięścią przyciśniętą do serca, jednak czmychnęła w momencie, gdy tylko nasze spojrzenia się skrzyżowały. Mniemałem, że tego dnia pochowała nie tylko marynarzy, lecz także swoją przyjaźń. Potem przez całą noc wznosiliśmy toasty za bohaterstwo naszych poległych przyjaciół, ale ja myślami byłem przy Francisce, zastanawiałem się, jak – o ironio – wykaras-kać ją z tarapatów.

*

Do Brestu dotarliśmy nazajutrz wczesnym popołudniem. Z oddali dostrzegłem Crescencję i Bienvenidę. Zaczumowaliśmy nieopodal. Uzupełniliśmy zapasy i odebraliśmy broń zakupioną przez moich braci od handlarza, z którym byliśmy tu umówieni. Udało nam się także znaleźć cieś-lę, który miał naprawić nasz uszkodzony maszt.

Wieczorem w tawernie zdałem braciom szczegółową relację z potyczki z Hiszpanami, nie omieszkując wspomnieć o dezercji Javiera.

– Na łono Salacji! – obruszył się Cruz, uderzając swoim kuf-lem o stół tak mocno, że rozlał połowę swojego trunku.

– Wie, gdzie jest Wyspa – odezwał się złowroźnie Severo. – Musimy zatem przyspieszyć nasz plan. Już nie ze względu na wulkan, ale skoro ten chłystek dał dyla z żołnierzami hiszpań-skiej korony, możemy się spodziewać rychłych odwiedzin.

– Mnie też to spędza sen z powiek – przyznałem, wpatrując się w swój nietknięty rum.

– Nie pijesz? – wybełkotał Cruz, ledwie trafiając dłonią, by objąć mój kufel. – Chętnie się tym – czknał – zaopiekuję. Szkoda, by się zmarnowało. – Niemal wyrwał mi naczynie i opróżnił je duszkiem, po czym wstał i chwiejnym krokiem ruszył w stronę wyjścia, oznajmiając wszem wobec: – Wybaczcie, panowie, ale dama to nie okręt podczas flauty⁵⁵. Nie może czekać.

Popatrzyliśmy z Severem po sobie.

– Jego zamiłowanie do trunków zaczyna się wymykać spod kontroli – skomentowałem.

– Chciałeś rzec: wymknęło się spod kontroli – uściślił Severo, podając siedzącemu na jego ramieniu Falcowi surowy kawałek mięsa, które właściciel tawerny specjalnie naszykował. – Musimy zacząć go pilnować. Jego Pierwszy skarżył się, że cały rejs musiał pełnić obowiązki kapitana, bo Cruz leżał zalany w trupa w swojej kajucie. – Westchnął, po czym po chwili odezwał się ponownie: – Co do Javiera... Nie mogę pojąć jego decyzji. Nie zauważyłem, byś źle go traktował, więc jaki mógł mieć powód? Po ilu? Po pięciu latach pod twoją banderą dać dyla z Hiszpanami?

– Sześciu – poprawiłem go. – Minęło już sześć lat. Teraz żałuję, że pozostawiłem go przy życiu – przyznałem.

– A ja zachodzę w głowę, dlaczegoś to uczyniłeś, Marcosie. Złamałeś mój rozkaz. Wybiłeś całą załogę i zostawiłeś tylko tę dwójkę! Po kiego czorta?!

– Bo... – Przełknąłem ślinę, czując, że chyba nadszedł czas, by powiedzieć mu o Francisce, ale wtedy drzwi do tawerny otworzyły się z hukiem.

Do środka wpadło nieprzytomne ciało Cruza, a za nim weszła grupa mężczyzn. Od razu rozpoznałem ryżego przywódcę tej zgrai. Tej parszywej gęby nie pomyliłbym z żadną inną. Ahen Gallagher. Syn przywódcy Brac-twa Wybrzeża.

Szukaj wśród Brac-twa... – głos markiza rozbrzmiał w mojej głowie niczym okrętowy dzwon. Dokładnie pamiętałem rudą czuprynę, która mignęła mi tamtego feralnego dnia na jednym z wrogich okrętów. I gotów byłem postawić w zakład swoje drugie oko, że należała właśnie do tego czarciego pomiotu!

– Zgubiliście jakieś ścierwo! – ryknął Gallagher, a jego załoga zawtórowała mu gromkim śmiechem.

– Marcosie... – szepnął ostrzegawczo Severo, ale ja już stałem, uzbrojony w katar i z rapierem w prawej dłoni. – Nie daj się...

Za późno. Przed oczami miałem tylko rozbawioną twarz Ahena Gallaghera, bukaniera, którego ostatnie minuty właśnie zostały policzone.

– O! Kolejny bękart Noira? – zadrwił Ahen.

– Bękart zawsze ma szczęście – odparłem gniewnie znanym przysłowiem.

Ahen wyraźnie szukał zaczepki. A ja byłem dziś skory do mordobicia. Marzyłem, by zetrzeć mu z twarzy ten cyniczny uśmieszek. A najlepiej, by rozplątać mu bebechy i gardło -katarem.

– Ahenie! – Usłyszałem karcący, niemalże dziecięcy głos gdzieś z boku. – Powściągnij swój gniew!

Ze zdumieniem stwierdziłem, że ich szeregi zasila niewiasta. Tak samo ruda jak ich kapitan. Zatem musiała to być jego siostra. Napotkała moje rozwścieczone spojrzenie i uciekła wzrokiem w bok. Bała się.

I prawidłowo.

– Przymknij japę, kobieto⁵⁶! – warknął Ahen.

– Gallagher! – wtrącił się Severo. – Nie szukamy zwady...

– Owszem, szukamy! – przerwałem mu.

– A co, już ci spieszo do tatusia? – zadrwił, a ja w tym momencie zaatakowałem.

Ryk żądnej krwi gawiedzi rozszedł się echem po tawernie. W ostatniej chwili Ahen zdołał zablokować mój katar, który zatrzymał się kilka centymetrów od jego szyi. Impet uderzenia był tak potężny, że byłby upadł, gdyby nie przytrzymały go ramiona członków załogi.

– Ty bękarcu pomocię! – warknął i odepchnął mnie.

– Ahenie, u kaduka! – wydarła się jego siostra. – To nie czas i miejsce...!

– Obetnę ci ten ryży łeb, skurwysynu! – wysyczałem, gdy skrzyżowaliśmy ostrza. – I nabiję na bukszpryt! Twoje truchło będzie robić za mój galion⁵⁷!

Wyprowadziłem też cios katarem w jego bebechy, ale wykonał zmyślny unik. Przytrzymał nasze skrzyżowane szpady, a następnie kopnął mnie z całej siły w klatkę piersiową. Potknąłem się o leżącego bez życia Cruza i upadłem, uderzając głową o ziemię. Zobaczyłem, jak Gallagher staje nade mną i z diabolicznym uśmiechem bierze zamach. Wtem usłyszeliśmy strzał. Wrzawa ucichła. Ciszę rozdarł skrzek Falca. Ahen złapał się za brzuch. Na koszuli, tuż pod jego dłonią, zaczęła wykwiatać szkarłatna plama. Wycofał się, posyłając wściekłe spojrzenie w stronę tego, kto ośmielił się do niego strzelić.

– Mówiłem, że nie szukamy zwady. – Głos Severa był opanowany. Jak w większości sytuacji.

Podziwiałem go za ten spokój. Sokół na jego ramieniu rozpostarł skrzydła i zamachał nimi kilkakrotnie, mierzwiąc włosy mojego brata.

– O mój Boże, Ahenie! – Siostra Gallaghera dopadła do niego, wyraźnie zatrwożona, ale ten tylko ją odepchnął.

– Zostaw mnie, głupia! – warknął do niej, po czym spojrzał na mojego brata z mordem w oczach. – Słono za to zapłacicie!

– Drugi raz nie chybię, Gallagher.

W odpowiedzi Ahen uśmiechnął się urągliwie i opuszczając tawernę wraz ze swoją załogą, rzucił na odchodnym:

– Na twoim miejscu oglądałbym się co chwila przez ramię, Noir. W tym porcie rządzi Brac-two.

Drzwi zatrzasnęły się za nimi z hukiem. Podniosłem się z kamiennej posadzki. Severo

schował bandolet i mruknął:

- Za kwadrans wypływamy. Zbierz załogę. I niech ktoś zajmie się Cruzem.
- Nie wierzę, że go puścisz. Rodrigo mówił, że to oni maczali palce w schwytaniu ojca

i...

– Powiedziałem, do kroćset, że za kwadrans wypływamy! To nie podlega dyskusji, Marcocie! – wycedził przez zaciśnięte zęby, posyłając mi rozeźlone spojrzenie, ale na mnie takie rzeczy nie robiły żadnego wrażenia. Spojrzeniami mógł sztorcować swoją załogę, nie mnie.

Posłałem mu szyderczy uśmiech. W odpowiedzi chwycił mnie za ramię i wyszeptał, tak bym tylko ja dosłyszał:

– Chodzą słuchy, że Brac-two zaczęło się zajmować korsarstwem. Wierz mi, wolałbym nie sprawdzać na własnej skórze, jak szybko jest w stanie dotrzeć tu francuska armia i ile wyznaczyli za nasze głowy, więc z łaski swojej zabieraj rzyć, swoją załogę i zmywamy się stąd. Dasz radę płynąć bez krojmasztu, prawda?

Potaknałem, bo jego słowa kompletnie zbiły mnie z pantafelów. Tym razem bez sprzeciwu zebrałem załogę i ruszyliśmy w kierunku nadbrzeża. W istocie po niecałym kwadransie nasze okręty opuszczały zabudowania portowe Brestu.

Zanim ułożyłem się do snu, zszedłem do kubryku. Część kamratów zaległa już na swoich posłaniach. Zastałem Franciscę na jej hamaku, zwiniętą w kłębek i odwróconą plecami do ściany. Spała. Potargane kosmyki brązowych włosów otulały jej zakurzony policzek. Widziałem na nim pozostałości łez. Zdrada Javiera niewątpliwie była dla niej ciosem prosto w serce.

Nie pozwoliłem jej zejść na ląd, co przyjęła z pokorą. Obawiałem się, że dałaby nogę, bo bez swojego, pożałuj Boże, anioła stróża musiała się mieć szczególnie na baczności. Jeden nieostrożny ruch, jedna nieprzemysłana decyzja, i cała jej tajemnica wyszłaby na jaw. A ja nie mogłem pozwolić jej odejść. Już nie chodziło o zemstę, a o to, że nie potrafiłem sobie wyobrazić, że nagle jej zabraknie.

53 Mzda (arch.) – pensja.

54 Davy Jones – legendarna postać morskiego diabła, ducha lub potwora, prawdopodobnie pochodząca z przełomu XVII i XVIII wieku. Idiom „schować coś lub kogoś w luku Davy’ego Jonesa” oznacza „spocząć na dnie morza”.

55 Flauta – brak wiatru.

56 Do XVIII wieku słowo „kobieta” było uważane za obraźliwe.

57 Galion – charakterystyczna rzeźba na dziobie dużych żaglowców, zwykle umiejscowiona pod bukszprytem.

Dziewiąta szklanka

„Magnatka Jane wyszła w morze

Odziana jak żeglarz od stóp do głów.

Tylko sędziwy ojciec troszczył się

O tę przemytniczkę,

O tę przemytniczkę, która rozpaczy nie znała”.

The Female Smuggler, szanta

Marcos

Wplotłem palce we włosy i obserwowałem krajobraz za szybą bulaja. Zasnute chmurami niebo zwiastowało rychły deszcz. My potrzebowaliśmy jednak wiatru. Sprzyjał nam po opuszczeniu Brestu aż do momentu, kiedy minęliśmy Wyspy Zielonego Przylądka. Wtedy nasze żagle oklapły bez życia. Nie pamiętałem tak długiego okresu flauty, a pływałem już siedemnaście wiosen. Żarcie powoli robiło się nie do zniesienia, a wodę ledwie szło przełknąć. Zaczynałem wariować. Moje myśli nieustannie zajmowała Francisca. Brakowało mi porządnej stawy, a przede wszystkim brakowało mi niewiasty. Stąd pewnie cały ten galimatias. Ona po prostu była pod ręką. Przerzuciłem piętrzące się na stole szkice w poszukiwaniu czystej kartki i węgla. Musiałem dać upust emocjom, bo było mi coraz trudniej. Mógł-bym kazać po nią posłać. Zdemas-kować ją.

Nie!

Dlaczego?!

Biłem się z myślami. W końcu pośród mnogości jej portretów ostała się jedna czysta kartka. Rozprostowałem zgniecenia i przymknąłem powiekę, przypominając sobie nikły uśmiech, który posłała mi dziś, kiedy pochwaliłem ją za wyczyszczenie żagla. Była łasa na komplementy, jak każda niewiasta. To właśnie od tych lekko uśmiechniętych ust zacząłem kreślić jej portret. Delikatnie uniesiony lewy kącik, wydatniejsza górna warga... Palcem rozmasałem węgiel na całej jej długości.

Idealnie.

*

Ryk morskich bałwanów i krzyki załogi zbudziły mnie z wyjątkowo twardego snu. Czulem, jak statek kolebie się na boki, i nie było to zwykłe kołysanie. Od razu pojąłem, że znaleźliśmy się w samym centrum silnego sztormu. Błyskawica rozdarła panującą w kajucie ciemność i statkiem wstrząsnęło. Jednocześnie usłyszałem potworny huk. Trzask i odgłos masztu zwalającego się na deski pokładu sprawiły, że momentalnie zerwałem się na nogi. Płynęliśmy już bez krocemasztu. Utrata kolejnego mogła się skończyć katastrofą. Fregata była stosunkowo małym okrętem, ale jeden maszt mógł nie wystarczyć, byśmy dotarli na Wyspę.

Chwytając się ścian, wygramoliłem się na zewnątrz. Moim oczom ukazał się istny armagedon. Fale zalewały statek raz z jednej, raz z drugiej strony. Widziałem na własne oczy, jak

w ułamku sekundy bezlitosna woda zmiotła z pokładu dwóch kamratów. Trwająca prawie dwa tygodnie flauta uśpiła naszą czujność. Byliśmy sfrustrowani i zmęczeni nieznośnym upałem, piciem psującej się wody i jedzeniem, które w zasadzie wmuszały w siebie tylko po to, żeby przeżyć. Dostrzegłem bosmana trzymającego się wanty⁵⁸ i wykrzykującego coś w przestrzeń. Jakiś szaleniec tkwił po drugiej stronie i bezowocnie próbował ratować jeszcze te żagle, które choć w jakimś stopniu nadawały się do użytku. Z mozołem dostałem się do Julia. Kiedy tylko mnie zobaczył, wrzasnął, starając się przekrzyczeć wicherę:

– Nadeszło nagle! Straciliśmy fokmaszt!

Odetchnąłem z ulgą. *Z grotmasztem damy radę dotrzeć do Wyspy.*

– Co z takielunkiem?! – wykrzyczałem.

– Ratujemy, co się da!

W świetle błyskawicy starałem się ocenić stan otaklowania. Wiatr smagał nasze twarze, a morze i niebo zdawały się toczyć ze sobą walkę o to, które z nich bardziej złośliwie nam skórkę. Lerate tańczyła na falach niczym łupinka orzecha. Byliśmy jak nieznacząca zabawka dla szalejących wiatru i wody. Niczym natrętny insekt, którego starały się utopić. Zastanawiałem się, w jakim stanie są Crescencia i Bienvenida. To nie pierwszy sztorm, z jakim musieliśmy się zmierzyć, ale ten był wyjątkowo pas-kudny. Dodatkowo przytłaczał nas fakt, że byliśmy tak blisko Wyspy i gdyby nie przeklęty sztil⁵⁹, przeczekałibyśmy burzę bezpieczni w chatach.

Mój wzrok ponownie spoczął na drobnej postaci, trzymającej się kurczowo jednej z want po drugiej stronie pokładu.

Francisca!

Napiąłem wszystkie mięśnie, gotowy w każdej chwili ruszyć jej na pomoc. Wtem potężna szara fala naparła na nią z siłą tarana. Widziałem, jak oburącz trzyma się liny, ale nie była w stanie przeciwstawić się niszczycielskiej sile wody. Potęga uderzenia sprawiła, że puściła linę, z impetem uderzyła o reling i padła nieprzytomna na deski. Miałem wrażenie, że moje serce stanęło. Puściłem wantę i ruszyłem w kierunku leżącego bezwładnie ciała, całkowicie ignorując nawoływania Julia. Jedna z fal powaliła mnie na kolana, ale uparcie parłem w stronę nieprzytomnej dziewczyny. Pośród porykiwania huraganu słyszałem krzyki i bluzgi bosmana. Czuję, jak słona woda pali moje poranione kolana, lecz w końcu do niej dotarłem. Leżała na boku, więc obróciłem ją na plecy i dostrzegłem ranę na skroni. Krwawiła obficie. Musiałem ją stąd zabrać, aczkolwiek wiedziałem, że żadne miejsce na statku nie jest obecnie bezpieczne. Jej powieki drgnęły i fala ciemnych rzęs powędrowała w górę, a zielone tęczęwki skupiły się na mnie. Objąłem dłońmi jej policzki i wykrzyczałem:

– Jesteś cała?!

W jej oczach na moment zagościła trwoga, a ja zdałem -sobie sprawę, co zrobiłem.

Cała... Do czorta!

Gwałtownie cofnąłem dłoń.

– W porządku?! – ryknąłem, starając się przekrzyczeć pogwizdywania szalejącego huraganu.

Pokiwała głową, nadal wpatrując się we mnie z przestachem. Wyglądała tak krucho i niewinnie. Jak, do kroćset, mogłem kiedyś sądzić, że będę w stanie ją skrzywdzić? Jeśli miałem ją zabić, trzeba to było zrobić dawno temu. Teraz, gdy nasze spojrzenia się spotkały, nie słyszałem już szumu wiatru ani huku fal. Nie czułem oblewającej nas lodowatej wody. Widziałem tylko te piękne długie rzęsy, zielone jak morska toń tęczęwki i pełne usta.

– Marcocie, do stu piorunów!

Poczułem szarpnięcie i zobaczyłem stojącego obok mnie Julia.

– Musicie się schronić!

– Pomóż mi! – wrzasnąłem.

Pomogliśmy jej wstać i na tyle szybko, na ile to było możliwe, zesłiliśmy pod pokład. W baterii burtowej opatrywano rannych. Zobaczyłem zaniepokojone spojrzenia reszty załogi i coś we mnie pękło. Puściłem Franciscę i wydarłem się, zacis-kając pięści:

– Gdzieście byli, u kaduka?!

Wszyscy zamilkli, przypatrując mi się, jakbym postradał rozum. I chyba właśnie tak się stało.

– On jeden miał dość odwagi, żeby zostać na pokładzie! A wy pochowaliście się jak szczury!

Nastąpiła taka cisza, że wyraźnie dało się odróżnić dmący wiatr od odgłosów grzmotów. Statkiem nadal rzucało na boki, ale pod pokładem przynajmniej było sucho.

– Wyślij dwóch ludzi na wachtę, Hugonie. Trzeba być czujnym, gdyby statek zaczął iść na dno. Wybierz trójkę, niech sprawdzą dolne pokłady i zęzę⁶⁰ – zwróciłem się spokojniej do Pierwszego. – A jemu trzeba zszyć głowę. – Wskazałem na uwieszoną na ramieniu Julia dziewczynę.

Sam stanąłem przed bulajem i obserwowałem szalejącą na zewnątrz wodę. To samo działa się teraz w mojej głowie. Moje myśli obijały się jedna o drugą. Nigdy nie spełnię -ostatniej woli ojca, bo nie będę w stanie jej zabić. Ani teraz, ani nigdy. Zacisnąłem pięści, tłumiąc pelzający pod skórą gniew.

Co się, u licha, ze mną dzieje?

Przy błysku kolejnej błyskawicy przecinającej nocne niebo dostrzegłem w oddali okręt. Miałem nadzieję, że to Crescencia albo Bienvenida. Patrzyłem, jak darmożjad⁶¹ Tau starannie oczyszcza ranę Paco i po chwili łączy brzegi skóry. Dziewczyna ścis-kała w dłoni bukłak z rumem, ale nie wzięła do ust ani łyka. Zacis-kała wargi, lecz nie uroniła ani jednej łzy. Dość ich wylała w ostatnim czasie przez tego podłego zdrajcę Javiera. I doprowadzało mnie to do białej gorączki. Po kimś takim nie powinna była płakać.

Czyżby trawiła mnie zazdrość?

Z pewnością. Pamiętałem, jak wspólnie przesiadywali na rufie. Przed oczami miałem momenty, gdy całował ją w skroń, a ja zastanawiałem się, jaki smak ma jej skóra. Widziałem, jak rozmawiają, a ja tłumilem w sobie ochotę, by podejść tam i zrzucić go do morza. Pragnąłem usłyszeć jej głos. I pragnąłem być tym, którego pierwszego pocałuje. Nie rozumiałem, jak pozostali kamraci mogą być tak ślepi. Przyznaję, Francisca robiła wszystko, żeby zakryć swoje piękne lico. Ale pozostawał jeszcze zapach. Nie cuchnęła jak większość na tym statku. Jej zapach był subtelny. Rozpalał mnie. I sprawiał, że kiedy czasem stawałem za nią, żeby pomóc jej ciągnąć linę, miałem ochotę zatopić nos w zagłębieniu jej szyi i wdychać tę woń niczym perfumy. Czasem nie mogłem się powstrzymać i podczas naciągania lin stawałem za nią i opierałem policzek o jej ciepłe lico. Wystarczyłoby, żeby lekko obróciła twarz, a nasze usta by się spotkały. Pożądałem jej ciała... Potrząsnąłem głową, przepędzając natrętne myśli.

Sztorm na szczęście nie trwał długo i zakończył się wraz z jutrzeńką. Z całą pewnością należał jednak do najgwałtowniejszych, jakie przeżyłem. Straciliśmy dziesięciu chłopca oraz wszystkie żagle. Fokmaszt nadawał się tylko na rozpałkę. Pierwszy marudził coś o przecięciu na pół jednego ze starych bomów⁶² i wykorzystaniu go niczym łupków przy złamanej nodze, ale kazałem mu o tym zapomnieć. Przynajmniej dopóki nie dotrzemy na Wyspę. Powinniśmy mieć jeszcze w zapasie drzewo sosnowe, żeby wyciosać nowe fokmaszt i krojcmaszt. Jak żyję, Lerate nie doznała takich szkód. Na razie i tak nie mieliśmy żagli. To była obecnie najpilniejsza kwestia. Musiałem wyznaczyć kurs na Wyspę. Miałem nadzieję, że Cruz i -Severo też tam dotrą w miarę bez szwanku.

Stanąłem nad mapą, przejechałem palcami po konturach Półwyspu Iberyjskiego oraz Afryki. Sięgnąłem pod stół po las-kę Jakuba⁶³ i astrolabium⁶⁴. Mimo że na pokładzie miałem -gwiazdołapa, w większości przypadków wolałem sam wyznaczać kurs. Mapy były moim konikiem. Ojciec zadbał o to, żebyśmy potrafili czytać, pisać, a także nauczył nas czytania map i podstaw nawigacji. Uważał, że każdy prawdziwy kapitan powinien mieć takie umiejętności.

Donośne pukanie wyrwało mnie z rozmyślań. Zanim zdążyłem się odezwać, do mojej kajuty wparował czerwony ze złości żaglomistrz. Był jednym z niewielu Europejczyków pływających na moim statku. Krzepki Irlandczyk o ogromnym kałdunie, rudej czuprynie i brodzie tak gęstej, że czasem zastanawiałem się, w jaki sposób trafia jedzeniem do ust.

I jak dużą kolonię wszy tam hoduje.

– Coś się stało, Renny?

– Krucafiks! Nie mam czym latać żagli, *sir*!

– Jak to? – Zdziwiłem się. Odłożyłem przyrządy nawigacyjne na miejsce i łypnąłem na niego groźnie. – Podczas pobytu w Breście mieliście sprawdzić, czy wszystko jest, do kroćset! Myślałem, że każdy zna swoje obowiązki...

– Sprawdziłem, *sir*. Miałem łaty. Trzymam je zawsze w jednym miejscu, lecz teraz okazało się, że zniknęły. Zostało parę pas-ków. Może uda mi się coś zrobić z resztek foka i bezana, ale...

Uniosłem dłoń, żeby zamilkł. To nie wróżyło niczego dobrego. Ktoś nam gwizdnął płótno żaglowe. Tylko po kiego czorta?! Komu z załogi zależałoby na tym, żebyśmy tu pomarli? Javierowi? Nie mógł wiedzieć, że zaatakują nas Hiszpanie. Potrzebowaliśmy choć jednego całego żagla, żeby ruszyć statek.

Opuściłem kajutę. Poprosiłem Pierwszego, żeby zwołał całą załogę na pokład. Bez wyjątku. Po kilku chwilach wszyscy kamraci stanęli przede mną. Byli wymęczeni, brudni, a gros miało mniejsze lub większe obrażenia odniesione podczas zmagania ze sztormem. Wszedłem na mostek kapitański, żeby mnie lepiej widzieli.

– Sytuacja jest zaiste nieciekawa! – oznajmiłem. – Straciliśmy dwa maszty, nie mamy żagli, a żaglomistrz twierdzi, że nie ma czym załatać jedyne płótno, które nadawałoby się do czegokolwiek. Bo ktoś zwędził mu materiał!

Odpowiedziała mi cisza. Załoga popatrzyła po sobie, a następnie zwróciła oczy na mnie. Wszyscy milczeli jak jeden mąż.

– Dobrze, zatem zostajecie tutaj, a Renny i Julio idą przeszukać kubryk.

Uważnie zlustrowałem kamratów. Nie zauważyłem żadnego popłochu. Absolutnie nic, co wskazywałoby na to, że ktokolwiek z załogi jest za to odpowiedzialny. A jednak szmaty raczej nóg nie dostały. Po dłuższej chwili spod pokładu wynurzyli się najpierw Renny, a potem Julio z naręczem płótna żaglowego, przypominającego długie szarpie. Żaglomistrz się nie zatrzymał, dopóki nie przepchnął się przez cały tłum i nie stanął naprzeciwko osoby znajdującej się na samym końcu. Złapał ramię winowajcy i zaczął go ciągnąć naprzód, a Julio stanął obok mnie i odezwał się spokojnie:

– Były w hamaku Paco, ukryte pod posłaniem.

Ponownie skupiłem wzrok na Rennym. Zatrzymał się w takim miejscu, żebym dobrze go widział. Brutalnie pchnął dziewczynę, tak że upadła na kolana. Nie podniosła jednak głowy. Wpatrywała się w deski pokładu.

– Masz coś do powiedzenia, Paco? – zwróciłem się do niej z przyganą. Zastanawiałem się, jakim cudem się z tego wykaraska.

Ona jednak uparcie milczała i nawet na mnie nie popatrzyła.

– Czyli przyznajesz się do winy? – spytałem.

Uniosła głowę. Nawet z tej odległości widziałem łzy błyszczące w jej oczach, ale przytaknęła, zacis-kając usta w wąską linię. Miała na tyle odwagi, żeby nie zaprzeczać.

– Karą za kradzież jest chłosta – odezwał się Pierwszy. – Dziesięć batów.

Widziałem, jak krew odpływa jej z twarzy. Po chwili jej lico kolorem przypominało płótno żaglowe, które gwizdnęła. Powoli podniosła się z kolan i stanęła, patrząc mi uparcie prosto w oko. Broda jej drżała. Bała się. Renny chwycił ją za ramię i podprowadził do grotmasztu. Mogłem to przerwać. Powinienem to przerwać, do kroćset! Ale zżerała mnie ciekawość, jak to się dalej potoczy. Tymczasem bosman zdążył zejść z mostka kapitań-skiego i przekazał Renny’emu odzys-kane skrawki płótna. Ten spojrzął na nie i westchnął niezadowolony.

– Nie załatam tym grot! Są za małe! Za wąs-kie! Zbyt poszarpane! – krzyknął w moją stronę, a na jego twarzy malowało się przerażenie.

Miał prawo się bać, bez żagla nigdzie nie dopłyniemy i groziła nam śmierć. Szanse na to, że znajdą nas Cruz albo Severo, były nikłe. Nie wiedziałem nawet, w jakim stanie były ich statki po tym sztormie.

– Nie rozumiem, po co porwał to na takie małe kawałki – jęknął Renny.

Julio stanął obok dziewczyny, dzierżąc w rękę córkę kapitana⁶⁵. Wzdrygnąłem się na wspomnienie tego, jak sam byłem smagany za nieposłuszeństwo. Nie raz. Ojciec nigdy nas nie faworyzował. Gdy pływaliśmy pod jego rozkazami, traktował nas na równi z pozostałymi członkami załogi.

– Zdejmuj koszulę! – rozkazał Pierwszy, a głowa dziewczyny obróciła się gwałtownie w jego stronę.

Nawet widząc tylko jej profil, dostrzegłem, jak bardzo była złękciona. I domyś-lałem się, że nie spowodowała tego wizja kary, ale myśl, że jej sekret zostanie odkryty. Tak jak się spodziewałem, pokręciła głową, odmawiając wykonania polecenia. Jej błagalne, pełne trwogi spojrzenie na moment spoczęło na mnie. Lecz nadal tkwiła nieruchomo.

– Do stu piorunów, ściągnij tę przeklętą koszulę! – ryknął Julio.

Znow pokręciła głową. Widziałem, że Pierwszemu skończyła się cierpliwość. Złapał dziewczynę za ramię, ale się wyszarpnęła. Wyciągnęła spod koszuli marynars-ki puginał i pewnie dzierżąc go w dłoni, przygotowała się do obrony. Wyglądała cholernie pociągająco. Musiałem przestać myśleć o niej w takich kategoriach, bo znow poczułem nieznośne napięcie w kroczu.

– To są, kurwa, jakieś żarty! – ryknął Pierwszy i ruszył na dziewczynę, ale musiał odskoczyć, bo zamachnęła się i drasnęła go w ramię.

Zapomniał chyba, że sam uczył ją posługiwania się bronią. I że od dwóch lat fechtowała tylko ze mną. Może nie była tak krzepka jak mężczyźni, ale świetnie pracowała nogami i cechowała ją niezwykła gibkość. Powoli zacząłem schodzić z mostka, nie spuszczać wzroku ze sceny rozgrywającej się na pokładzie. Pierwszy dotknął dłonią rany, zas-koczony ilością krwi. Dziewczyna ugięła kolana, gotowa do kolejnego starcia, lecz nie spodziewała się, że Renny zajdzie ją od tyłu. Złapał jej rękę i wyszarpnął nóż. Próbowwała go uderzyć, ale powalił ją mocnym ciosem na des-ki i rozdarł koszulę. Wśród załogi zapanowała grobowa cisza. Wszyscy wpatrywali się w klęczącą bez koszuli niewiastę. Jej klatka piersiowa była ciasno owinięta płótnem. Przez pokład przetoczył się pomruk niedowierzania.

– Co, do czorta?! – warknął Renny.

Wziął nóż i rozciął materiał na plecach Francis-ki, który opadł na des-ki pokładu, a ona momentalnie zasłoniła klatkę piersiową ramionami. Bojaźliwym wzrokiem rozglądała się po załodze, aż jej przerażone spojrzenie ponownie spoczęło na mnie. Jej piękne oczy momentalnie

wypełniły się łzami.

– A co my tu mamy? – odezwał się cierpko, stając tuż przed nią.

Nie odwróciła wzroku, nawet kiedy łzy spłynęły po jej policzkach. Chwyciłem ją pod brodę, udając, że muszę się jej uważnie przyjrzeć.

– Okazuje się, moi kamraci, że mamy dziewczkę na pokładzie! – oznajmiłem. – Oszukałaś swojego kapitana – mruknąłem, puszczając jej twarz i krążąc wokół niej niczym lew. – Oszukałaś swoich kamratów! – Widziałem, jak drży. Jak z trudem przełyka ślinę.

– Za burtę z nią! – ryknął Adrien.

– Ale najpierw się z nią zabawimy! Przeciagniemy ją po naszych masztach! – krzyknął Delmar.

Odpowiedział mu chóralny szyderczy śmiech.

Po moim trupie!

Zacisnąłem pięści, bo gniew zaczął we mnie buzować na myśl o tym, że mogliby sobie z nią użyć. Jeden po drugim. Pospiesznie wyrzuciłem te obrazy z głowy.

Z gardła Francis-ki wydobył się stłumiony szloch. Renny podszedł do niej i gwałtownie szarpnął ją za ramię. Stanął za jej plecami i zacisnął przedramię wokół jej szyi, unieruchamiając ją w miejscu.

– Co z nią zrobić, kapitanie?

Złapała obiema dłońmi za jego rękę, próbując ją odsunąć. Już nie przejmowała się tym, że od pasa w górę jest naga. A ja musiałem włożyć wiele wysiłku w to, żeby oderwać wzrok od jej pełnych piersi. Mimo sytuacji, w jakiej się znalazła, nadal nic nie powiedziała. Przez cały ten czas, odkąd stała się częścią mojej załogi, nie odezwała się przy nas ani słowem.

Nagle poczułem mocne pchnięcie. Zachwiałem się, a potem zobaczyłem tylko, jak Francisca dobiega do sterburty i opierając się na jednej ręce, przes-kakuje nad nią. Po chwili do moich uszu dotarł cichy plusk.

58 Wanta – lina służąca do bocznego usztywnienia masztu.

59 Sztil – brak wiatru na morzu.

60 Zęza – najniższe miejsce na statku, gdzie zbiera się woda ze wszystkimi zanieczyszczeniami.

61 Darmozjad – tu: lekarz okrętowy.

62 Bom – pozioma belka masztu.

63 Las-ka Jakuba – przyrząd nawigacyjny.

64 Astrolabium – przyrząd astronomiczny służący do wyznaczania szerokości geograficznej i pomiaru czasu.

65 Córka kapitana – tu: bicz dziewięciorzemienny.

Dziesiąta szklanka

„Moja stara matka rzekła,
Płyń, Blood Red Roses, płyń,
Kochany synu, z morza wróć,
Płyń, Blood Red Roses, płyń,
Och, róże i kwiatki,
Płyń, Blood Red Roses, płyń”.

Blood Red Roses, szanta

Francisca

Ucieczka Javiera podkopała moje morale. Nawet Marcos zostawił mnie w spokoju, widząc, jak bardzo dotknęła mnie zdrada mojego towarzysza. Od dawna planował wydostanie się spod kurateli Czarnych Braci, mnie też próbował do tego namówić. Ale ja nie mogłam tego zrobić. Nie potrafiłam tak po prostu porzucić Lerate... Marcosa... Teraz miałam ponieść karę za swoją głupotę.

Ten hiszpań-ski galeon, który zaatakował nas na francus-kim wybrzeżu, okazał się dla Javiera wybawieniem. Nie mog-łam się pogodzić z jego decyzją. Porzucił mnie. Obiecał, że będzie mnie chronił, po czym bez mrugnienia okiem zostawił mnie na pewną śmierć. Ostatnio nasze stosunki się ochłodziły, bo oczekiwał czegoś więcej. Czegoś, czego nie mogłam mu dać. Bywał nachalny. Momentami tak bardzo, że zaczynałam się go bać. Parokrotnie po alkoholu dobierał się do mnie, lecz zawsze Marcos go przepędzał. Jakby wyczuwał, że grozi mi niebezpieczeństwo. Paradoksalnie to on był wtedy moim wybawicielem. Kochałam Javiera, ale było to platoniczne uczucie. Podczas ostatniego pobytu na Wyspie znów zaczął się do mnie przystawiać. Kiedy odrzuciłam jego awanse, w spojrzeniu Javiera coś się zmieniło. Pierwszy raz tak na mnie patrzył: chłodno i lekceważąco. A potem chwycił mnie mocno za brodę i wycedził takim tonem, że zjeżyły mi się włosy na karku: „Ocaliłem twoje życie. Codziennie, do czorta, nadstawiam dla ciebie karku, głupia dziewucho! Chyba nie sądzisz, że będę robił to za darmo. Przyszedł czas na spłatę długu”.

Następnie szarpnął mnie za włosy i wymusił pocałunek. Uderzyłam go w twarz. Zdumiał się i mnie puścił, ale od tamtej pory nie siadaliśmy już razem na rufie. Rozmawiał ze mną, pomagał, jednak odniosłam wrażenie, że robił to raczej z przyzwyczajenia i tylko wtedy, kiedy zachodziła konieczność. A ja czułam się taka samotna.

Teraz odkryto moją tajemnicę. Wszystko przez nieostrożność. Niestety, jak na złość, tym razem krwawienie pojawiło się w czasie sztilu i potrzebowałam na gwałt szarpi. A jedyne płótno, jakie znalazłam, to płótno żaglowe. Kto mógł przypuszczać, że nagle przyjdzie sztorm tak silny, że porwie wszystkie szmaty.

Ramię Renny’ego zacis-kające się wokół mojej szyi utrudniało oddychanie. Czułam na swoim ciele spojrzenia wszystkich kamratów. Słyszałam ich lubieżne docinki. Wiedziałam, że

mnie skrzywdzą. Szczególnie brutalny bywał Delmar – to jego bałam się najbardziej. Bardziej niż śmierci z rąk piratów. Byłam przekonana, że i tak ostatecznie właśnie taki czeka mnie los. Niewiasty na statku przynoszą pecha. Okłamałam kapitana. Co więcej, byłam z rodu Rodrigów. Byłam córką człowieka, który skazał na śmierć jego ojca. Dokładnie pamiętałam, co uczynił moim rodzicom. I co powiedział mi wtedy na Wyspie: „Została jeszcze córka... Znajdę ją... A wtedy...”.

Chciałam krzyknąć! Chciałam błagać o litość, ale jedyne, co wydobywało się z mojego gardła, to szloch. Po kolejnym niewybrednym komentarzu zadziałałam instynktownie. Przymknęłam na moment powieki i zrobiłam jedyną rzecz, która przyszła mi na myśl: wbiłam zęby w ramię otaczające moją szyję. Usłyszałam wrzask i poczułam krew w ustach, ale zacisnęłam szczęki mocniej, dopóki uchwyt nie zelżał. Zas-koczony Renny odepchnął mnie, wyjąc z bólu. Wyplułam odgryziony fragment skóry i -zanim ktokolwiek zmiarkował, co właściwie się stało, pędem ruszyłam w stronę sterburty. Pchnęłam mocno Marcosa, który stał mi na drodze i właśnie odwracał głowę, żeby dowiedzieć się, co wywołało zamieszanie za jego plecami. Zachwiał się i omal nie upadł. Bez wahania podparłam się dłonią o reling, wybiłam nogami i poszybowałam w dół, w stronę ciemnych wód Atlantyku.

Zderzenie z lodowatą wodą na moment pozbawiło mnie tchu. Wynurzyłam się i łapczywie zaczerpnęłam powietrza. Nie oglądając się za siebie, zaczęłam płynąć. Liczyłam, że może jakimś cudem dopłynę do lądu.

Albo umrę.

Szybko przepędziłam tę myśl z głowy, chociaż wołałam śmierć w wodach oceanu niż tortury. Lub co gorsza, by wszyscy sobie ze mną używali. Dość się naoglądałam, do czego byli zdolni moi kamraci. *Moi kamraci...* Te słowa wydały mi się absurdalne, a jedno-cześnie z żalu ścisnęło mi się serce.

Wtem do moich uszu dotarł głośny plusk. Obejrzałam się w momencie, gdy z morskiej toni wynurzała się kruczo-czarna głowa, a bursztynowe oko przeszyło mnie karcącym spojrzeniem.

Nie, błagam, nie!

Z Marcosem nie mam najmniejszych szans.

Przyspieszyłam ruchy. Byłam dobrą pływaczką, ale Marcos był ode mnie znacznie szybszy. Moje płuca płonęły z wysiłku. Zaczęłam opadać z sił. I wtedy niespodziewanie poczułam ostre szarpnięcie. Coś złapało mnie za stopę i pociągnęło w tył. Próbowałam się wyrwać, ale byłam zbyt słaba. Mimo to szarpałam się i walczyłam zaciekle. Gdy wepchnął mi głowę pod wodę, podwoiłam wysiłki. Jednak nie byłam w stanie się wyswobodzić.

To koniec, pomyślałam i skapitulowałam.

*

Mocne zderzenie z des-kami pokładowymi przywróciło mi odrobinę świadomości. Potężny cios między łopatki wywołał kaszel i w ułamku sekundy uniosłam się na drżących ramionach, by zwrócić zalegającą w płucach wodę. Zachłannie łąpałam oddech i dotarło do mnie, że oto znowu jestem zdana na łaskę jednego z najgroźniejszych piratów – Marcosa Noira. Odszukałam go wzrokiem. Był przemoczony i właśnie wstawał, opierając się o burtę. Tak jak ja próbował unormować oddech. Nasze spojrzenia się skrzyżowały i poczułam, że drzę. Jego bursztynowe oko zdawało się przenikać moją skórę i mięśnie, czytać w moich myślach i obezwładniać. Nie mogłam się poruszyć. Zresztą i tak nie miałam dokąd uciec. Marcos odgarnął z twarzy mokre loki, wstał i żwawo ruszył w moją stronę. Instynktownie się skuliłam. Jego palce zacisnęły się na moim ramieniu i poczułam ostre szarpnięcie, które postawiło mnie na nogi.

Odruchowo zasłoniłam piersi.

– Kapitanie?

Usłyszałam niepewny głos Pierwszego.

– Niech nikt nie waży mi się teraz przeszkadzać! – Nad wyraz spokojny ton Marcosa nie wróżył nic dobrego.

Trzymając mnie mocno za ramię, skierował się do swojej kajuty. Nogi mi się plątały i potykałam się co chwila, ale na nim nie robiło to żadnego wrażenia. Czułam, że to moje ostatnie chwile.

Dlaczego za mną popłynął?

Chce osobiście wymierzyć sprawiedliwość?

Poderżnie mi gardło?

Skrzywdzi mnie?

Wbije swój katar i rozplata trzewia?

A może skręci mi kark?

Dlaczego po prostu mnie nie utopił?

Różno-rakie wizje nieuchronnej śmierci galopowały w mojej głowie, doprowadzając mnie niemalże do utraty przytomności. Odprowadzana nieobyczajnymi komentarzami załogi, spójrzałam po raz ostatni na ocean, gdzie pomarańczowe słońce znikало za widnokregiem, po czym zostałam wepchnięta do kapitań-skiej kajuty. Chciałam być niezłomna i nie okazywać lęku, wszelako strach zaczął mnie obezwładniać. To było niebywałe. Nie wahałam się skoczyć w morską toń, choć właściwie było to samobójstwo, a teraz drżałam jak osika. Brałam szybkie, gwałtowne wdechy, strząsały mną spazmy. Spuściłam głowę i wpatrywałam się w podłogę. Łzy spływały mi po policzkach. Poza głośnym oddechem nie wydałam z siebie żadnego dźwięku. Słyszałam odgłos plaśnień bosych stóp o des-ki. Kiedy przez dłuższą chwilę nic się nie wydarzyło, ośmieliłam się unieść wzrok. Marcos stał przy bulaju, tyłem do mnie, całkiem nagi, w jednej dłoni trzymał pantaloney. Skupiłam się na grubych bliznach na jego plecach – pamiętce po chłóście. Raptem odwrócił się, jakby wyczuł, że go obserwuję.

– Myślisz, że nie wiem, kim jesteś? – prychnął, a ja pospiesznie wbiłam spojrzenie w podłogę.

Z mojego gardła wydostał się jęk.

– Wiesz, co powinienem teraz zrobić, SEÑORITO? – Ostatnie słowo wyraźnie podkreślił.

Milczałam, kiedy wygłaszał tyradę:

– Powinienem cię oddać w ręce załogi. Wielu z nich marzy o dziewczce. Może wyświadczę im przysługę? A kiedy już sobie z tobą użyją... – Złowróżbny głos zalał moje ciało lodowatym przerażeniem.

Wbiłam połamane paznokcie w skórę, chcąc zachować świadomość, bo strach zaczął odbierać mi zmysły.

– Francisca... Rodrigo... Lopez... – Wypowiedział te słowa tak, jakby się nimi rozkoszował. Litera „r” wibrowała w jego ustach.

Kiedy do moich uszu znów dotarł odgłos kroków, cała się spięłam. Słyszałam, jak zabiera coś ze stołu. Szczęk metalu sprawił, że zaczęłam dygotać.

Zabije mnie.

Byłam tego pewna. Wyciągnął mnie z pokładu tylko po to, żeby osobiście zadać mi śmierć. Staralam się panować nad oddechem, ale strach zaburzył zdolność kontrolowania odruchów. Już nie władałam ani ciałem, ani umysłem. Po chwili zobaczyłam stopy kapitana dokładnie naprzeciwko swoich. Wytatuowany na jednej z nich kogut zdawał się ze mnie

naigrywać. A potem moim oczom ukazał się katar, przymocowany do lewej dłoni Marcosa. Kiedy przyłożył mi go do pępka, przymknęłam powieki, czekając na pchnięcie. Sądziłam, że bez zawahania wbije ostrze w moje trzewia, tak jak to zrobił mojemu ojcu. Jednak nic takiego nie nastąpiło. Zamiast tego poczułam, jak przesuwają chłodny ostry koniec w górę, środkiem mojego brzucha. Gdy dotarł do skrzyżowanych na piersiach ramion, opuściłam je gwałtownie po bokach ciała i zacisnęłam pięści w oczekiwaniu na śmiertelny cios. Tymczasem ostrze kataru przesunęło się między piersiami, aż dotarło do szyi, zmuszając mnie, bym uniosła głowę. Przełknęłam gulę w gardło i przygryzłam wewnątrz policzka tak mocno, że poczułam smak krwi. Nacisk ostrza nagle zniknął.

To koniec!, przemknęło mi przez myśl.

Suponowałam, że wzięty zamach i za chwilę rozpląta mi gardło. W uszach słyszałam już tylko głośne dudnienie własnego serca. Aż dziw, że nie omdlałam.

Jakież było moje zdumienie, kiedy zamiast bólu -poczułam ciepłą dłoń otulającą mój policzek. Odruchowo cofnęłam się o krok, trafiając na ścianę. Raptownie otworzyłam oczy i ujrzałam złotą tęczę. Broda zaczęła mi drżeć, a w oczach poczułam kolejną falę łez. Dłoń Marcosa zsunęła się na mój podbródek. Uniósł moją twarz, a drugą ręką zdjął mi z głowy mokrą bandanę, po czym odgarnął wilgotne pasma włosów za uszy. Jego kciuki musnęły moje policzki, lewym przejechał po pieprzyku. Przez jego oblicze przemknął nieznamy mi dotąd grymas. Obserwowałam go uważnie, ale nie dostrzegłam w jego oku żadnych oznak gniewu, wręcz przeciwnie. Jego spojrzenie było... przychylne? Łagodne? Czułe? Byłam zdezorientowana. Myślałam, że chce mnie skrzywdzić, zabić. Tymczasem jego obecne zachowanie całkowicie temu przeczyło.

– I co ja mam z tobą zrobić, señorito? – spytał, a francuskie „r” zawibrowało w moich uszach, przypominając mi o gęsią skórce. Teraz już nie brzmiało złowrogo, raczej wywoływało przyjemne mrowienie na karku.

Moje ramiona momentalnie powędrowały do klatki piersiowej. Skrzyżowałam je, ponownie zasłaniając piersi. Jeden z kącików jego ust uniósł się, co nadało mu odrobinę szelmowski wygląd. Na twarzy Marcosa rzadko pojawiał się uśmiech. Nawet gdy ucztował ze swoją załogą na statku czy na Wyspie, zawsze cechowały go ostrożność i powściągliwość. Nigdy nie widziałam, żeby pił tak jak Cruz. Jednak daleko mu też było do śmiertelnej powagi Severa, który zwykle zniknął po zaspokojeniu głodu bądź jadał w samotności.

Chciałam go zapytać, co zamierza ze mną zrobić. Otworzyłam usta, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk. Nie potrafiłam zrozumieć, dlaczego nadal nie byłam w stanie się odezwać. Przecież prawda i tak wyszła na jaw. Przy Javierze...

Javier...

Na wspomnienie przyjaciela, który zostawił mnie na pewną śmierć, znów poczułam pod powiekami łzy. Przyłożyłam dłoń do ust i stłumiłam szloch. Czułam na sobie badawcze spojrzenie kapitana, a potem ciepłe dłonie na nagich drżących ramionach. Kciuki delikatnie masowały skórę, dodając mi otuchy, ale wywołało to wręcz odwrotny efekt. Strząsnąwszy jego dłonie, targana rozpaczą, zgięłam się wzdłuż i osunęłam na podłogę. Zwinęłam się w kłębek i pozwoliłam sobie na prawdziwy płacz. Taki, jaki towarzyszył mi przez wiele dni po śmierci moich rodziców, a przecież Javi nie zasługiwał na moje łzy.

– To i tak by się wydało, señorito – Marcos usiadł nieopodal mojej głowy, opierając się plecami o ścianę – prędzej czy później. – Po dłuższej chwili milczenia zapytał: – Od jak dawna krwawisz? Bo to zapewne dlatego ukradłaś żaglowe płótno?

Nie odpowiadałam, co chwila pociągałam nosem. Przypominałam sobie, jak bolały mnie płuca domagające się powietrza, kiedy zostałam wepchnięta pod wodę. Śmierć przez utonięcie

musiała być wyjątkowo bolesna.

– Zadałem ci pytanie, Francisco!

Wyczułam nutę zniecierpliwienia.

Usiadłam, odsuwając się od niego. Oplotłam ramieniem kolana, a drugą ręką pokazałam trzy palce.

– Od trzech lat?

Pokiwałam głową. Nabierałam coraz większej pewności, że prawdo-podobnie nie zamierza pozbawić mnie życia. Wstał i nie patrząc w moją stronę, podszedł do kufra. Wyjął z niego suchą koszulę i kuloty, a także kilka skrawków szarpi. Jego zachowanie było dla mnie zagadką. Rzucił suche ubrania w moją stronę, a sam stanął ponownie przy bulaju.

– Odziej się! – rozkazał.

Ostrożnie ściągnęłam pantalony i wtedy nagle z hukiem otworzyły się drzwi do kajuty.

– Mówiłem, do kroćset, żeby tu nie wchodzić! – ryknął Marcos, po czym ruszył pędem w moją stronę i stanął tak, by mnie zasłonić.

– O! – To był Cruz. Ton jego głosu wyrażał zdumienie.

– Precz z moich oczu! – wrzasnął Marcos.

– To ci siurpryza. – Cruz zaśmiał się, całkowicie ignorując brata i starając się uważniej mi się przyjrzeć.

– Cruzie, morska dupo! Nie zmuszaj mnie do użycia siły!

– Na łono Salacji! Marcosie, gdzie twoje maniery? Nie przedstawisz mnie damie? – zadrwił Cruz.

– Opuść moją kajutę, a chyżo! W przeciwnym razie nie ręczę za siebie, wyrzucę cię za burtę!

– Severo nas oczekuje – odparł, jakby nie dosłyszał słów brata.

Skłonił się nis-ko i mrugnął do mnie, uśmiechając się przy tym szelmowsko, po czym wyszedł.

Marcos stanął przodem do mnie. Starłam się zasłonić rękami, ale wyraźnie widziałam, jak jego wzrok prześlizguje się po moim ciele. Twarz paliła mnie ze wstydu. Nawet Javiemu nie pozwalałam się do siebie zbliżać, kiedy byłam w całkowitym negliżu. Wbiłam wzrok w podłogę, by nie napotkać jego spojrzenia, bo dostrzegłam w nim coś, co sprawiło, że przez moje ciało przebiegł przyjemny dreszcz. Zaiste nie rozumiałam reakcji swojego organizmu. Poczułam jego dłoń pod swoją brodą. Jego dotyk parzył.

– Odziej się i pod żadnym pozorem nie ruszaj się z mojej kajuty, señorito – wymruczał.

Po czym wyszedł, zostawiając mnie samą.

Jedenasta szklanka

„I choć ich uśmiech mnie rozgrzewa,

Nie ugnę się pod ich urokiem,

Bo moje serce dryfuje z powrotem do wyspy Erin,

Do dziewczyny, którą opuściłem”.

The Girl I Left Behind Me, szanta

Marcos

Wyszedłem, zatrzaskując z impetem drzwi od kajuty. Cruz stał przy burcie z urągliwym uśmiechem na ustach i założonymi na piersiach rękoma. Jedną dłonią gładził powoli swoją kocią bródkę. Podrapał się po nosie, a potem z charakterystyczną dla siebie niefrasobliwością rzekł:

– Braciszku, ty to się zawsze potrafiłeś urządzać...

Zmierzyłem go nieprzychylnym spojrzeniem, a potem złapałem linę i nie czekając na niego, przes-koczyłem na pokład Bienvenidy. Po chwili usłyszałem odgłos stóp plas-kających o dek tuż za mną. Ocenilem stan galeonu. Dwa żagle w strzępach, ale maszty całe. Odszukałem wzrokiem Crescencję. Też nie wyglądała źle. Najwyraźniej mój statek oberwał najmocniej. Westchnąłem ciężko i wszedłem do kapitań-skiej kajuty. Severo siedział przy stole, wpatrując się w rozłożoną na nim mapę. Falco drzemał na żerdzi, nieopodal bulaja.

– Zanim przejdziemy do meritum, możesz nas oświecić, co się wydarzyło na twoim pokładzie? – zapytał Severo.

– Już opanowałem sytuację... – zacząłem, ale Cruz wszedł mi w słowo, rechocząc przy tym.

– O tak, Marcos z pewnością coś opanował... a raczej -KOGOŚĆ...

– Musimy tylko naprawić grot. – Zlekceważyłem jego infantylne docinki.

– Marcocie, nie rób z nas imbecyli – odparł Cruz, siadając półdupkiem na stole.

– Zabieraj rzyć z mojej mapy! – zrugął go Severo, po czym odezwał się do mnie, mrużąc podejrzliwie oczy: – A więc, Marcocie? Co sprowokowało dwie wys-kakujące za burzę postacie do takiego czynu?

– Przypominam ci, Severo, że każdy jest kapitanem u siebie. Nie muszę ci się z niczego spowiadać...

– Nasz najmłodszy braciszek przewozi flamę – wtrącił Cruz, szczerząc zęby w uśmiechu.

– Licz się ze słowami! To nie jest żadna flama, morska dupo! – warknąłem odrobinę za ostro, przez co od razu zorientował się, że mi na niej zależy.

– Jakim cudem masz niewiastę na pokładzie? – zainteresował się Severo. – I dlaczego jeszcze nie wylądowała za burzą?

– Gwoli ścisłości to wylądowała – westchnąłem ciężko. Wiedziałem, że mi nie odpuszczą.

Usiadłem przy stole, chwyciłem stojącą na nim butelkę z grogiem i pociągnąłem sporo

prosto z gwinta. Z naszej trójki tylko Cruz wiecznie wlewał w siebie każdy rodzaj alko-holu. Severo pił rzadko. Ja piłem w zależności od sytuacji. A teraz czułem, że muszę zwilżyć gardło, żeby wszystko im opowiedzieć. Bo to, że będą drażnić temat tak długo, aż poczują się usatysfakcjonowani, było bardziej niż pewne. Może Severo by odpuścił, ale w oczach Cruza widziałem błysk ciekawości.

– To córka Rodriga. – Od razu przeszedłem do sedna.

– Tego Rodriga?! – krzyknęli moi bracia niemal jedno-cześnie.

Przytaknąłem.

– Javier ukrywał ją przez ostatnich kilka lat, przebraną za chłopca. Dziś jej tajemnica wyszła na jaw, a ona zapędzona w kozie róg wyskoczyła za burtę.

Głupia, przemknęło mi przez myśl.

– A ty skoczyłeś za nią – drażył Cruz, zapamiętałe gładząc palcami swoją kozią bródkę.

– Tylko po co? Wiesz, jak traktujemy kurtyzany...

– Ile razy mam ci powtarzać, że ona nie jest ladaczną! – zaperzyłem się.

– Wystarczy, że ma kuciapkę i...

– Zamilcz, Cruz! – rozkazał Severo, wyraźnie rozeźlony, po czym rzekł do mnie nadzwyczaj chłodno: – Podaj mi jeden logiczny powód, dla którego skoczyłeś za nią i wciągnąłeś ją z powrotem na pokład.

Nie odezwałem się. Jedyne powód, jaki w tym momencie przychodził mi do głowy, to taki, że jej pragnąłem. Pożądałem jej, odkąd z dzieciaka zmieniła się w niewiastę. Ale tego nie zamierzałem im mówić. Przełknąłem ślinę i niewzruszenie wpatrywałem się w oczy Severa, który ściągnął brwi w gniewnym grymasie.

– Masz się jej pozbyć – oświadczył twardo.

– Zostawię ją na Wyspie. Z Lerate.

– Masz się jej pozbyć. Teraz. Niewiasta na statku zwiastuje nieszczęście...

– Oj, Severo, do kroćset! – jęknąłem. – Pływa pod żaglami Lerate od lat i jakoś nie mieliśmy pecha. Naprawę wierzyć w te banialuki?!

– Straciłeś dwa maszty i wszystkie żagle – zauważył Cruz. – Niech skonam, jeśli to nie nieszczęście.

– To po prostu zbieg okoliczności, nie pech!

Severo skrzyżował tylko ramiona na klatce piersiowej i taksował mnie zasadniczym spojrzeniem. Cruz podobnie, ale na jego twarzy zamiast powagi dostrzegłem głupkowaty uśmiech.

– Nie rozumiem, braciszku, dlaczego aż tak bardzo ci na niej zależy. Tym bardziej że parę lat temu zamierzałeś ją zabić – odezwał się. – Nie pojmuję, co się od tego czasu zmieniło.

Wszystko!

– Bo wiedziałeś, kim jest, od samego początku, czyż nie? – zapytał Severo.

W milczeniu pociągnąłem kolejny łyk grogu. Intensywny smak cytrusów przyjemnie chłodził i gasił pragnienie.

– Wiedziałem od momentu, kiedy znalazłem ją w kubryku. Była na egzekucji w Doku Straceń. Poznałem ją po oczach i pieprzyku nad górną wargą, z prawej strony... – zacząłem wymieniać, ale Cruz ponownie wszedł mi w słowo.

– Niewątpliwie zdołałeś uważnie się jej przyjrzeć, Marcosie... – Zaśmiał się.

– Dlaczego zatem zwłóczyłeś z uśmierceniem jej? – Głos Severa był wycuty z wszelkich emocji.

– Początkowo wydawało mi się to zabawne. – Wzruszyłem ramionami. – Przypuszczałem, że nie da sobie rady i zdechnie, nim dopłyniemy do Wyspy...

– Prawie tak się stało – przypomniał Cruz nienaturalnie jak na niego poważnym głosem.
– I coś mi świta, że nalegałeś później, by ją odratować.

– Byłem ciekaw, kiedy się podda. Ale ona ciężko pracowała. Jest jednym z lepszych marynarzy na moim statku... Jest...

– Uhuhuhu! – zawył Cruz. – Znam to spojrzenie. – Pokiwał w moim kierunku palcem, jakby beształ niesforne dziec-ko.

Zamknąłem powiekę, starając się za wszelką cenę nie dać się wyprowadzić z równowagi. Przyłożyłem butelkę do ust i zdałem sobie sprawę, że opróżniłem ją całą.

– Uratowała mi życie, Severo – zwróciłem się do najstarszego z braci. – Nie stanowi zagrożenia. Rok temu, gdy byłem ranny, mogła uciec z tymi Angolami. Ocaliła mnie. Umie opatrywać rany, potrafi oporządzić takielunek...

– Oby serce nie przesłoniło ci trzeźwego osądu, Marcosie – odparł Severo, przesywając mnie surowym spojrzeniem. – Masz rację. To twój statek. Nie mogę ci niczego nakazać, jednak powinieneś przedyskutować to wszystko z załogą, zanim przestaniesz ci ufać. Wiesz, czym to się może skończyć? Wybiorą innego kapitana, bo mają do tego prawo. A on może nie być tak łaskaw dla señority Rodrigo.

W kajucie nastąpiła śmiertelna cisza. Nawet Cruz darował sobie swoje zwyczajowe docinki. W końcu wypuściłem powietrze, nie zdając sobie sprawy, że przez cały czas je wstrzymywałem. Dotarło do mnie, że chyba za bardzo zależy mi na tej dziewczynie. I nie umiałem stwierdzić, czy to dobrze, czy może wręcz przeciwnie.

– Nie mam żadnego żagla – odezwałem się w końcu, sprytnie zmieniając temat. – Mocno nas ten sztorm poobijał.

– Poproszę żaglomistrza, żeby czegoś poszukał w naszych zapasach – rzekł Severo. – Nie rozumiem tylko, jakim cudem nie zaopatrzyliście się w porcie. To niedopuszczalne!

– Długa historia – mruknąłem pod nosem.

– Chętnie posłucham. Mamy czas – wtrącił Cruz, uśmiechając się głupkowato.

– Zajmę się wyznaczeniem kursu i przyślę Renny'ego.

Nie zareagowałem na jego zaczepkę. Momentami bywał taki dziecinny.

Wyszliśmy z kajuty kapitańskiej w stronę burt, żeby przeskoczyć na nasze okręty. Kiedy chwytałem linę, usłyszałem jeszcze komentarz Cruza.

– Gdy ci się znudzi, chętnie sobie z nią poużywam. W końcu chyba już od dawna sformowana z niej panienka.

Z lubieżnym rechotem odbił się od desek pokładu i w ciągu kilku sekund znalazł się na Crescencii. Na pożegnanie pokazał mi kilka sprośnych gestów.

Zamknąłem oko i wziąłem głęboki wdech, żeby ochłonać. Kiedy moje stopy dotknęły rozgrzanego pokładu Lerate, Pierwszy i bosman czekali na mnie przed wejściem do mojej kajuty. Widziałem, jak załoga – niby zajęta swoimi obowiązkami – chyłkiem przypatruje się całej scenie. Hugo i Julio stali z założonymi na piersiach rękoma, a na ich twarzach gościł gniewny grymas. Domyśliłem się, że będą żądali wyjaśnień w sprawie Paco... Paqui... *Do kroćset!*

– Nie teraz! – warknąłem, przepychając się do kajuty i zatrząskując im drzwi przed nosem.

Oparłem się o nie plecami i spojrzałem na sufit. To było tchórzostwo z mojej strony, ale musiałem dokładnie przemyśleć, co im powiem. Od tego, jak przedstawię sytuację, prawdopodobnie zależało życie Franciszki. Odszukałem ją wzrokiem. Stała przy stole, na którym rozłożyłem mapy, i wpatrywała się we mnie z wypiekami na twarzy. W dłoni trzymała papier. Zmrużyłem gniewnie oko, bo zrozumiałem, co znalazła.

– Nikt nie nauczył cię, że nie wypada grzebać w cudzych rzeczach?! – wycodziłem,

ruszając w jej kierunku.

Przestraszona upuściła rysunek na podłogę i wycofała się w okolice bulaja, przywierając plecami do ściany. Podniosłem kartkę z podłogi, jeden z ostatnich rysunków, jakie naszkicowałem. Jak stoi naga przy wodospadzie. Przejechałem palcami po konturach rysunku, po czym wbiłem w nią wzrok. Widziałem, jak dygoce spłoszona, a w jej oczach gości strach. Odłożyłem szkic na stół i stanąłem naprzeciwko niej. Pospiesznie spojrzała na swoje stopy.

– Nic ci przy mnie nie grozi – odparłem łagodnie.

Nie powinienem był jej rugać. W zasadzie nie zrobiła nic złego, nie mogła wiedzieć, że nikomu nie pozwalam oglądać swoich rękorysów. Uniosła głowę i popatrzyła na mnie. Jej policzki nadal pokrywał nikły rumieniec. Moja dłoń powędrowała do zszytej rany na jej skroni. Dotknąłem jej lekko palcami, a potem przesunąłem nimi po konturach policzka. Teraz, kiedy jej tajemnica w końcu wyszła na jaw, nie mogłem się powstrzymać przed dotykaniem jej. Jej skóra była taka delikatna. Zatrzymałem kciuk na pieprzyku. Oblizła dolną wargę, a ja poczułem się tak, jakbym dostał obuchem w łeb. Gwałtownie cofnąłem rękę.

– Dlaczego nie mówisz? – spytałem, starając się unormować oddech, który ni stąd, ni zowąd gwałtownie przyspieszył.

Wzruszyła ramionami.

– Ale umiesz mówić? Widziałem, jak rozmawiałaś z -Javierem.

Potem przypomniałem sobie, jak rozmawiała ze służącą, podczas gdy jej ojciec – niech go piekło pochłonie – wieszał mego.

Potwierdziła lekkim skinieniem głowy.

– Boisz się mnie?

Ponownie wzruszyła ramionami. Nie była pewna. Dobrze. Nie chciałem, żeby się mnie bała. Chciałem... Sam nie wiedziałem, czego chcę. Westchnęła cicho. Przygryzła wargę, -zasysając ją na moment, po czym przymknęła powieki. Rozchyliła usta, a ja wpatrywałem się w tę scenę jak urzeczony. Pragnąłem usłyszeć jej głos.

– Co... Co teraz ze mną będzie, kapitanie? – wydusiła z trudem, a ja zamarłem. Ton jej głosu był ujmujący i melodyjny, mimo że w zasadzie szeptała.

– A co ma być? – spytałem tylko po to, żeby znów musiała się odezwać.

Zamilkła, mrugając gwałtownie, bo w jej oczach znów zaszklily się łzy. Chwyliła materiał koszuli i zaczęła go miętosić między palcami. Teraz, kiedy nie miała pod spodem bandaża, wyraźnie widziałem zarys piersi pod materiałem. Zamknąłem oko, starając się skupić na tym, żeby nie zrobić jakiegoś głupstwa i jej nie przestraszyć. Kiedy tak milczała, przyjrzałem się jej uważnie. Cerę miała lekko opaloną, postrzępione, proste jak druty, nierówno obcięte włosy założyła za uszy. Zanim się odezwała, przygryzła kciuk i odszukała mój wzrok. Podobało mi się, że w zależności od tego, jak padało światło, jej tęczęwki miały różny odcień. Od ciemnej morskiej zieleni po kolor szmaragdu.

– Powinieneś był mnie tam zostawić, kapitanie. Znam zasady. Niewiasty...

– Ale cię nie zostawiłem! – przerwałem jej ostro, na co się spięła. *Do czorta!* – Wracasz ze mną na Wyspę. Później pomyślimy, co dalej – dodałem łagodnie.

– Chciałaś mojej śmierci, kapitanie – powiedziała cicho, a ja skrzywiłem się na te słowa.

– Prawda to – potwierdziłem bez wahania. – Ale już nie chcę.

Wpatrywała się we mnie tymi wielkimi zielonymi oczami. Wyglądała na zagubioną. Miałem ochotę się schylić i ją pocałować. Jej malinowe wargi były spierzchnięte od słońca, a mimo to nie pamiętam, żebym kiedykolwiek widział usta, które bardziej zachęcałyby do tego, by ich posmakować.

– Dlaczego? – spytała, a ja nie potrafiłem odpowiedzieć.

Jak na kogoś, kto w zasadzie milczał przez kilka lat, nagle zrobiła się niebywale rozmowna. Jej głos z każdym słowem stawał się pewniejszy, bardziej wyrazisty. Nie zdążyłem nawet zastanowić się nad tym, co jej odpowiedzieć, bo ktoś załomotał pięścią w drzwi mojej kajuty, które po chwili otworzyły się z hukiem. Do środka wszedł Hugo. Jego drewniana noga wybijała równy rytm na sosnowych des-kach.

– Załoga domaga się wyjaśnień, kapitanie – oznajmił hardo. – Zgodnie z zasadami. „Każdy ma równe prawa”.

– „W kwestiach spornych decydujący głos ma kapitan statku” – przypomniałem.

– Marcosie... Właśnie dlatego, że jesteś ich kapitanem, powinieneś ich wysłuchać. Ufają ci i darzą cię szacunkiem. – Cały czas spozierał na dziewczynę.

Zmarszczyłem brwi, bo nie podobało mi się to, jak na nią patrzył.

– Niech będzie – oświadczyłem. – Wysłucham ich. Chodź, señorito.

– Ona powinna zostać...

– Rozmowa będzie dotyczyć jej, prawda? Zatem ma prawo wiedzieć, jaki los przewiduje dla niej załoga!

Pierwszy tylko pokręcił głową i posłał Paqui nieprzychylnie spojrzenie. Chwyciłem ją delikatnie za ramię i poprowadziłem. Wyczułem, jak zeszywniała ze strachu, kiedy wyszliśmy na pokład. Nie spodziewałem się, że zastanę tu wszystkich członków załogi. Stali w półokręgu i wrogimi spojrzeniami taksowali coraz bardziej wystraszoną dziewczynę. Miałem ochotę przeciągnąć ich pod kilem. Każdego z osobna! *Kiepy!* Kiedy nie zdawali sobie sprawy, że pod męskimi łachmanami, za kotarą postrzępionych włosów ukrywa się niewiasta, nikomu nie wadziła.

– Podobno chcecie gwarzyć! Słucham zatem – odezwałem się, krzyżując ramiona na piersi, kiedy żaden z tchórzy nie raczył się odezwać.

Dziewczyna stanęła za mną. Widziałem, jak odruchowo się zgarbiła, włosy palcami zaczesła na twarz. Przeświadczenie, że musi ukrywać swoją tożsamość, było w niej bardzo głę-boko zakorzenione. Nie chciałem, żeby się chowała. Nie, kiedy byłem obok.

– Ona nie może tu być – odezwał się w końcu Delmar, lustrując ją od stóp do głów.

– Niewiasty przynoszą nieszczęście – rzucił kolejny śmiałek, stojący z nim ramię w ramię. – To przez nią sztorm zniszczył...

– Nie bądź głupi. – Zaśmiałem się. – Pływa z nami od kilku lat.

Nastąpiła cisza, po czym usłyszałem głos Julia.

– Nie dziw im się, kapitanie. Nie bez powodu niewiastę na statku określiła się mianem diabłego balastu.

– Nie chcemy jej tu! – krzyknął Adrien, stojący całkiem z tyłu.

– Och, doprawdy? – Zaśmiałem się gorzko. – A kto nie tak dawno chciał ją chędożyć?

Adrien zamilkł, jednak po chwili usłyszałem inny głos.

– Nie mamy *holystone*⁶⁶! Trzeba zetrzeć ś-lady jej stóp...

Wziąłem głęboki wdech. Wiedziałem, że będzie ciężko, ale nie sądziłem, że przesady przyćmią ich zdrowy rozsądek. W tej chwili dotarło do mnie, że dys-kusja nie ma sensu. Swoją drogą, to byli prości ludzie, często bez żadnego wykształcenia.

– Jestem waszym kapitanem – odparłem. – Wybraliście mnie jedno-głośnie. Czy od tamtego momentu kiedykolwiek was zawiodłem?

Nastąpiła głucha cisza. Kilka osób wydało z siebie coś na kształt niewyraźnego „nie”.

– Czy moje decyzje kiedykolwiek doprowadziły do nieszczęścia? – spytałem głośnie.

Wpatrywali się we mnie i tym razem większość krzyknęła: „Nie!”.

– Czy kiedykolwiek we mnie zwątpiliście?!

Odpowiedziało mi chóralne „nie”.

– A może uważacie, że marny ze mnie dowódca?!

– Jesteś dobrym kapitanem, Marcosie – odezwał się bosman.

Jako jedyny stał na mostku kapitańskim i obserwował wszystko z góry.

– Zatem zaufajcie mi i tym razem, kamraci! To señorita Rodrigo. Francisca Rodrigo Lopez. Córka markiza Rodriga.

Z każdą kolejną rewelacją szum przyciszonych zdumionych westchnień niósł się echem po pokładzie.

– Tego samego, który zabił waszego poprzedniego kapitana! Tego samego, którego krew przelałem tymi rękami. – Uniosłem do góry dłonie. – Wiercie mi, jestem pierwszą osobą, która powinna chcieć, aby ta niewiasta zniknęła w wodach -Atlantyku!

Entuzjastyczny ryk przetoczył się po pokładzie okrętu.

– Ale nie chcę... – dodałem ciszej, a oni zamilkli.

Na ich twarzach gościł grymas zas-koczenia.

– Zasługuje na szansę – tłumaczyłem. – Przez prawie sześć lat ukrywała się w męskim odzieniu. Ciężko pracowała, nie możecie zaprzeczyć. Czy do dnia dzisiejszego ktokolwiek z was mógł jej coś zarzucić?! – Odsunąłem się, żeby mogli na nią popatrzeć.

Skuliła się zawstydzona. Dopiero teraz dotarło do mnie, jak bardzo nie lubiła być na świeczniku.

– Zawsze wykonywała wszystkie prace, nawet te najcięższe – wtrącił Julio, a ja posłałem mu pełne wdzięczności spojrzenie.

– Zszyła moją ranę, kiedy odbiliście mnie z rąk Anglików – odezwał się jeden z kamratów, który na pokładzie był naj-krócej.

– Miała tyle okazji, żeby nas zdradzić. Kiedy... Gdy zostałem ranny podczas potyczki z Anglikami, mogła uciec. Ten rejterant Javier namawiał ją do tego. Wiedziała, co może się stać, gdy odkryję, kim jest. A mimo to postanowiła zostać – dodałem. – W czasie sztormu ona jedyna została na pokładzie, starając się ratować takielunek. I tak jej odpłacacie?

Teraz już nikt na nią nie patrzył. Zaczęło do nich docierać, że – czy tego chcą, czy nie – ona jest częścią załogi. Była jedną z nas.

– Uratowała mi życie. – To był mój ostatni argument. – I chociażby dlatego nie pozwolę, żeby włos spadł jej z głowy. Dopłynię z nami na Wyspę. A jeśli zadecydujecie, że podjąłem złą decyzję, możecie wybrać innego dowódcę.

– Zaiste, kapitanie. – Na przedzie zgromadzenia pojawił się Delmar, a z każdym jego słowem rosła we mnie pewność, do czego zmierza. – Czyż jednak ta dziewczka nie powinna zostać ukarana za kradzież? Gwizdnęła żaglowe płótno, narażając nas, kamraci, na niebezpieczeństwo. Gdyby nie statki Cruza i Severa... Myślę, że zgodzicie się, że nawet jeśli darujemy jej życie, powinna ponieść karę za kradzież. Zgodnie z kodeksem, pod którym się podpisała. Własną posoką.

Miał rację. Nawet jeśli był jednym z tych ludzi, których najchętniej wyrzuciłbym za burtę na środku oceanu, to gadał mądrze. A ja, skoro chciałem nadal mówić o sobie, że jestem sprawiedliwym kapitanem, musiałem poprzeć jego żądanie. Utrata autorytetu nie wchodziła w rachubę. Musieli wiedzieć, że traktuję wszystkich równo. Tak jak robił to mój ojciec. Mój wzrok powędrował w stronę dziewczyny. Była blada, lecz kiedy popatrzyłem w jej oczy, dostrzegłem w nich odważny błysk.

– Przynies ferulę, Julio – zwróciłem się do pierwszego oficera.

Zniknął pod pokładem, a za moment pojawił się z powrotem, dzierżąc w dłoni płaski skórzany pas. Było to najdelikatniejsze narzędzie do wymierzania chłosty. Uderzyłem ferulą

w otwartą dłoń. Głośne plaśnięcie niosło się po pokładzie. Francisca drgnęła, wbijając spojrzenie w pas.

Zawsze byłem bezwzględny. Skory do bijatyk „złotooki chłopiec” nie trwożył się przed niczym ani nikim. Lubiłem czuć pod pięściami łamane kości, słyszeć ten chrzęszczący dźwięk. Lubiłem czuć krew na dłoniach, jednak teraz po raz pierwszy nie miałem ochoty kogoś karać. Nie chciałem tego robić. Wszelako nie mogłem pokazać załodze, że mam za nic nasz piracki kodeks. To ja stanowiłem prawo. Byłem jego wykonawcą. Byłem ich kapitanem. Większość była ode mnie sporo starsza, a mimo to szli za mną jak jeden mąż, bo nigdy nie zawiodłem ich zaufania. Zerknąłem na dziewczynę.

Nie ma innego wyjścia.

Napotykać jej spojrzenie, pojąłem, że dobrze o tym wiedziała.

– Przywiążcie ją do grotmasztu – nakazałem. – Karę wymierzę sam. Dziesięć batów.

Szepty ustały i wszyscy obserwowali rozgrywane się na ich oczach widowisko. Chyba nie spodziewali się, że sam zechcę być katem. Zwykle to Hugo zajmował się batożeniem. Tym razem jednak wiedziałem, że muszę zrobić to sam. Żeby zrozumieli, że dla nikogo nie będzie taryfy ulgowej. Nawet dla dziewczki, którą ostatecznie postanowiłem oszczędzić.

Julio i Renny podprowadzili Franciscę do głównego masztu. Przywiązali jej dłonie do haka umieszczonego nad jej głową, żeby ograniczyć jej ruchy. Zadarli jej koszulę, by odsłonić plecy. Gładka jasna skóra sprawiła, że się zawahałem.

– Jesteś pewien, że chcesz to zrobić? – spytał Hugo tak cicho, że tylko ja byłem w stanie to usłyszeć.

– Dlaczego pytasz? – Sililem się na lekceważący ton.

– Nie jestem ślepy, Marcosie. – Poblężliwe spojrzenie, które mi posłał, utwierdziło mnie tylko w przekonaniu, że muszę wykonać chłostę osobiście. Inaczej straciłbym w oczach załogi.

Podszedłem do skazanej i stanąłem w odpowiedniej odległości. Wyważyłem pas w dłoni i zanim wzięłem zamach, jeszcze raz jej się przyjrzałem. Oddychała szybko. Ściągnęła ramiona na tyle, na ile pozwoliła jej pozycja, w której się znalazła, a skrępowane dłonie zacisnęła w pięści. Bała się. Moja ręka powędrowała w górę i wraz z pierwszym uderzeniem na jej nieskazitelnej skórze pojawiła się czerwona pręga. Jej ciało wygięło się, a z ust wydostał się zdławiony jęk. Oddychała gwałtownie i płytko. Uderzyłem kolejny raz. I kolejny. Odgłos cięgów kaleczył moje uszy. Mimo że pod koniec ugięły się pod nią kolana, a przy dziesiątym razie skórę zabarwiła krew, z jej ust nie wydobył się ani jeden krzyk. Stłumiła wszystko w sobie.

Oddałem ferulę w ręce Julia, a sam podszedłem do dziewczyny. Bez słowa zasłoniłem jej nagie plecy, starając się nie patrzeć na wybroczyny, i rozwiązałem jej ręce. Syknęła z bólu. Napiętki miała poprzecierane do krwi od sznura, którym je skrępowano. Wskazałem jej dłonią drogę do swojej kajuty, ofiarowując ramię. Nie zaszczyciła mnie spojrzeniem ani też nie przyjęła mojej ręki. Przeciwnie, ruszyła z dumnie uniesioną głową. Załoga milczała, odprowadzając nas wzrokiem.

Gdy drzwi kajuty zamknęły się z cichym trzaskiem, jej postawa diametralnie się zmieniła. Zatrzymała się obok stołu i zgarbiła ramiona, które po chwili zaczęły lekko drżeć. Pojąłem, że płacze.

– Francisco – odezwałem się łagodnie. Nie czułem się dobrze z tym, że ją wychłostałem.

– Francisco, popatrz na mnie – rzekłem, kiedy nie zareagowała.

Nadal stała odwrócona do mnie plecami. Wyszedłem na moment z kajuty i udałem się do kambuza. Odprowadzany podejrzliwym spojrzeniem truciciela wzięłem misę, która wydawała mi się najczystsza. Następnie wyszedłem na pokład i przepłukałem ją słodką wodą. Poprosiłem Tau o kawałek szarpi i wróciłem do kajuty. Dziewczynę zastałem dokładnie w tym miejscu, w którym

stała poprzednio. Podeszedłem do niej, wręczyłem jej misę i powiedziałem:

– Udaj się za potrzebą. – Wskazałem na naczynie. Popatrzyła na mnie wyraźnie skonfundowana. – Nie mamy już dziegiu⁶⁷, a wolę przemyć ci ś-lady po chłóście. – Mimowolnie się skrzywiłem. Nie byłem dumny z tego, że to ja przyczyniłem się do jej cierpienia. – Zatem pozostaje nam uryna.

Kiwnęła tylko głową i bez słowa wykonała moje polecenie. Odwróciłem się, by dać jej trochę prywatności. Po chwili podeszła do mnie z wypełnioną do połowy miską. Zignorowałem zapach moczu i wziąłem od niej naczynie.

– Chodź, zasiądź na koi. Obmyję ci rany.

Nie zaoponowała. Zapewne nieobca jej była wiedza o uzdrawiających właściwościach uryny. Lerate zwała ją nawet wodą życia, a i ja nieraz byłem świadkiem, jak Tau przemywał moczem obrażenia, gdy zabrakło rumu.

Francisca usiadła na posłaniu i zadarła koszulę, ukazując plecy poprzecinane siniejącymi pręgami. Spocząłem tuż za nią. Namoczyłem gałganek w cieczy i ostrożnie zacząłem przemywać ś-lad, który krwawił. Kiedy tylko mokry materiał musnął jej skórę, syknęła. Staralem się przynieść jej odrobinę ulgi, jednak wzdrygała się przy każdym dotknięciu. Po chwili uryna zmieniła odcień na bladoróżowy, ale pręgi na jej skórze nie były już takie zaognione. Delikatnie przemyłem też otarcia na nadgarstkach. Odstawiłem naczynie na podłogę i -ostrożnie zakryłem jej plecy. Nadal uparcie milczała. Czy żywiła do mnie urazę? Nie sądzę. Prędzej uznałbym, że pali ją poczucie wstydu z powodu kary, której doświadczyła.

Pozbyłem się nieczystości, przemyłem dłonie wodą i powróciłem do kajuty. Zastałem ją popłakującą cicho, z twarzą ukrytą w dłoniach. Cała dygotała, targana spazmami. Stałem i wpatrywałem się w nią, bo nie wiedziałem za bardzo, co zrobić. W końcu, wiedziony jakimś wewnętrznym instynktem, usiadłem naprzeciwko niej i ostrożnie przyciągnąłem do siebie, zważając na jej plecy. I o mało od razu jej nie odsunąłem, zdumiony tym, jaki wpływ ma na mnie blis-kość jej ciała. Nie chodziło nawet o to, że od dłuższego czasu diabelnie jej pożałowałem. To było coś więcej. Chciałem, żeby została w moich ramionach już na zawsze. Moja dłoń powędrowała pod jej brodę i uniosłem jej twarz, tak żeby na mnie spojrzała. Oczy błyszczały jej od łez. Przejechałem palcami po mokrym policzku, a mój wzrok prześlizgnął się na jej usta. Nie myśląc za wiele, po prostu zniżyłem głowę, jednakowoż zatrzymałem się w porę. Czułem jej ciepły oddech na swoich wargach. Słyszałem, jak z każdą sekundą robił się coraz szybszy i bardziej urywany. Przełknąłem ślinę i nie ruszając się ani o milimetr, odszukałem jej spojrzenie. Jej źrenice rozszerzyły się ze zdumienia, a policzki pokraśniały, ale nie odsunęła się ode mnie.

Zamknąłem oko i wziąłem głęboki wdech. Musiałem ochłonać. Musiałem być cierpliwy, bo czułem ciężar odpowiedzialności spoczywający na moich barkach. Odpowiedzialności za tę niewiastę, która bez wątpienia rzuciła na mnie jakiś urok.

– Zostajesz tu ze mną – poinformowałem ją, zwiększając dystans między nami. – Są tu sami mężczyźni. Teraz, gdy wiedzą, kim naprawdę jesteś, dla twojego bezpieczeństwa będzie lepiej, byś nie wracała do kubryku.

– Ty też jesteś mężczyzną – zauważyła, rumieniąc się jeszcze bardziej.

Szelmowski uśmiech wprost pchał się na moje usta, kiedy odpowiedziałem, zniżając głos do szeptu:

– Obawiasz się mnie?

Pochyliłem się w jej stronę. Widziałem, jak drga jej szyja, gdy przelykała ślinę. Ogarnęła mnie paląca potrzeba sprawdzenia, jak w tym miejscu smakuje jej skóra.

Do czorta!

– Po prostu... – Na moment uciekła wzrokiem w stronę moich ust, po czym pospiesznie

spojrzała na swoje dłonie. – Wiem, czego oczekujesz... oczekują mężczyźni – poprawiła się szybko. Ta rozmowa wyraźnie ją konfundowała. – Widziałam wiele. Nie tylko w tawernach. Nie dziw się zatem, że i w twoim towarzystwie się lękam.

– Ja – ująłem ją pod brodę – potrafię nad sobą panować.

To, co działo się w mojej głowie, przeczyło moim słowom. Zdecydowanie nie miałem ochoty nad sobą panować.

– A – przełknęła ślinę – co będę musiała zrobić w zamian?

– Skąd pomysł, że będę żądał zapłaty?

– Javier był moim przyjacielem i nawet on domagał się rekompensaty za swoją pomoc.

Nas nic nie łączy...

– To ci wtedy powiedział nad jeziorem?! – warknąłem, czując, jak krew zaczyna buzować w moich żyłach.

– Byłeś tam?

– Byłem. Wszak widziałaś rysunek. Powinienem być go wtedy zabić! – Zacisnąłem pięści.

– Mnie też dziś powinieneś zabić. Powinieneś być oddać mnie załodze, żeby... – Zamilkła, jakby dalsze słowa nie mogły jej przejść przez gardło, po czym dodała ciszej: – A potem powinnam była wylądować za burtą. Nie zrobiłeś tego.

Odszukałem jej piękne zielone oczy. Przyglądała mi się spod rzęs. Ufnie. Wyglądała tak niewinnie.

– Nie zrobiłem.

– Mimo że wiedziałeś, kim jestem.

– Zaiste. Ale to już dawno przestało mieć znaczenie.

– Dlaczego? – dociekała, z lekkim wahaniem obejmując moje kułaki swoimi dłońmi.

Drgnęła.

Poczułem dziwne ciepło rozchodzące się od miejsc, gdzie skóra jej dłoni, lekko zrogowaciała od ciężkiej pracy, dotykała mojej. To przyjemne mrowienie powoli zawładnęło całym moim ciałem. Chciałem czuć te dłonie wszędzie. Jej kciuki lekko głas-kały moją skórę. Wtem zbliżyła usta do mojego policzka, szepcząc:

– Dziękuję, Marcosie.

Marcosie...

Jakim cudem moje imię w jej ustach było w stanie wywołać gęsią skórę. Ciepły oddech połas-kotał skórę na policzku, zanim poczułem w tym miejscu jej miękkie usta. Zdumiony przekręciłem głowę. Nasze wargi otarły się o siebie. Moim ciałem wstrząsnął dreszcz, a z ust Francis-ki wydostało się westchnienie. Odsunęła się gwałtownie. Jej klatka piersiowa unosiła się szybko. Podniosła dłoń do ust i musnęła je palcami, jakby niedo-wierzając temu, co się wydarzyło, a moje opanowanie szlag trafił. Zawładnęło mną pożądanie. Pchnąłem ją, przyduszając całym ciałem do siennika. Już miałem zerwać z niej tę cholerną koszulę, gdy z jej gardła wydobył się przepelniony bólem jęk, a twarz wykrzywił bolesny grymas. Zawisłem nad nią, starając się zapanować nad szalejącym pożądaniem i oddechem.

– Marcosie... – szepnęła.

Pochyliłem się w stronę jej ust, gdy wtem rozległo się wezwanie na posiłek. Przymknąłem oko i westchnąłem zrezygnowany. Wychynałem z kajuty tylko po to, by nakazać chłopcu okrętowemu, żeby przyniósł nam strawę. Zerknąłem na dziewczynę. Nadal tkwiła na koi, ale gdy napotkała mój wzrok, unios-ła lekko kąciki ust. Odwzajemniłem uśmiech. I nie byłem w stanie przywołać w pamięci ani jednej chwili, kiedy czułem się tak jak natenczas.

66 *Holystone* – święty kamień, rodzaj miękkiego pias-kowca służący do szorowania pokładu;

rytuał szorowania pokładu był spełniony, kiedy marynarze wykonywali go na kolanach.

67 Dziegieć – ciecz otrzymywana podczas destylacji drewna, o właściwościach anty-septycznych i grzybobójczych.

CHOMIKO – WARNIA

Dwunasta szklanka

„Rzekł William: Szła samotnie dama,

Choć słońce już zgasło, a noc u bram.

Wtem, z twarzą we łzach, wskazała:

To ten ciemnooki żeglarz, to ten ciemnooki żeglarz,

Który odebrał mi wianek”.

The Dark Eyed Sailor, szanta

Francisca

Lubiłam, kiedy się uśmiechał. Nie lękałam się go wtedy tak bardzo. Nie żywiłam do niego urazy za to, że mnie wybatożył. Po prawdzie byłam wdzięczna, że użył feruli, a nie córki kapitana. Nieraz widziałam, jakie blizny pozostawały na plecach nieszczęśników, których wychłostano biczem dziewięcio-rzemiennym. Zastanawiało mnie, dlaczego nie pozwolił mi utonąć. Dopuszczał się oszustwa. Kradzieży. A mimo to nie pozwolił mnie zabić. Nie oddał w łapy kamratów, żeby mnie skrzywdzili.

Rzekł, że „to już dawno przestało mieć znaczenie”. Czy zabijając moich rodziców, ukoił swój gniew na tyle, by darować mi życie? A może chodziło o coś zupełnie innego. Widziałam, jak na mnie patrzy, i garnęłam się do niego. Chociaż mnie onieśmielał, przy nim czułam się bezpiecznie.

Przyjemnie było obserwować różne jego oblicza. Kiedy nie był kapitanem, tylko po prostu Marcosem, dało się zauważyć, jaki jest młody. Różniło nas zaledwie pięć lat.

Obiad spożyliśmy w jego kajucie. Przez cały czas czułam na sobie napór jego spojrzenia. Przenikliwy, a zarazem pełen ciekawości. Głośne rąbnięcie w drzwi, które zapewne miało być pukaniem, przstraszyło mnie. Do środka wkroczył żaglomistrz z naręczem poszarzałego materiału.

– Severo dał stary grot. Jest podziurawiony, ale z tego i resztek naszego uda się coś poczynić – oznajmił, przypatrując mi się kątem oka. Jako jedyny nie był na pokładzie podczas rozmowy Marcosa z załogą, przeto stanowiłam dla niego nie lada atrakcję.

– Napatrzyłeś się już, Renny? – zachnął się kapitan.

– Ja... to znaczy... – zająknął się Renny, pospiesznie odwracając spojrzenie i drapiąc się po bujnej rudej czuprynie.

– Ile ci to zajmie? – zapytał Marcos, opierając ręce na biodrach i starając się wyglądać groźnie.

– Gdybym miał parę rąk do pomocy, powinienem skończyć przed zmrokiem, *sir* – oznajmił, spozierając w moją stronę.

Poczułam się niezręcznie. Po latach mas-kowania się i znikania wszystkim z oczu nie byłam przyzwyczajona do takiego zainteresowania swoją osobą.

– Zaraz... Moment... Chcesz, żeby Francisca służyła ci pomocą? – Marcos był wyraźnie zas-koczony.

– Dobrze fastryguje...

– Przecież to „diabli balast” – zacytował Marcos jednego z kamratów. W jego głosie pobrzmiwała drwina.

Skrzywiłam się na to określenie.

– Diabli czy Boży, pal licho – mruknął Renny. – Dla mnie liczą się jej umiejętności. Reszta może mnie cmoknąć w rzyć.

Zachichotałam.

– To co, Francisco? – zagadnął kapitan. – Dasz radę mimo swoich pleców? Zechcesz pomóc?

Popatrzyłam na Renny’ego. Uśmiechnął się do mnie zachęcająco. Poruszyło mnie to, że poprosił o wsparcie. Po reakcji załogi byłam święcie przekonana, że do końca rejsu nie wyściubię nosa z kapitań-skiej kajuty.

– Przybędę w sukurs – odezwałam się układnie.

– Ona mówi! – Renny się zdumiał. – To ci dopiero... Chodź, Paco... To znaczy... ekhm... *milady*...

Przepuścił mnie w drzwiach, a kiedy tylko poczułam na skórze ciepłe słoneczne promienie, zgarbiłam się, jedno-cześnie zgarniając palcami włosy, tak by zasłaniały mi twarz. Plecy paliły mnie niczym ogień, kiedy materiał koszuli przesuwiał się po nich. Czułam na sobie spojrzenia całej załogi. Renny kroczył za mną, wesoło pogwizdując. Udaliśmy się do żaglowni umiejscowionej niedaleko kambuza. Stary grot leżał pod ścianą kajuty i był w opłakanym stanie. Po przeciwnej stronie ułożono żagiel, który dostaliśmy od Severa. Od razu przystąpiliśmy do pracy. Pocięliśmy stare płótno na duże łaty i rozciągnawszy materiał najmocniej, jak się dało, przystąpiliśmy do żmudnego cerowania szwem zygzakowatym. Musiałam robić przerwy co jakiś czas, bo wychłostane plecy dawały mi się we znaki. Grot od Severa nie ucierpiał na szczęście tak bardzo jak nasz. Toteż po trzech godzinach nieustannego fastrygowania i dwukrotnym sprawdzeniu ściegu mogliśmy uznać naszą pracę za zakończoną.

– Jesteś swój chłop... To znaczy... – Renny lekko zmieszany podrapał się po rudej czuprynie. – Nigdy nie miałem zastrzeżeń do twojej pracy, *milady*.

– Możesz mi mówić „Paco” – oświadczyłam, wpatrując się w jego zielone oczy. Ich kolor przypominał mi cyprysy, które otaczały mój dom w Kadyksie. – Nawykłam do tego imienia. Renny? – zagaiłam po chwili, a on popatrzył na mnie z zaciekawieniem. – Wybacz, że cię ugryzłam.

Zerknął na świeżą ranę, po czym posłał mi szeroki uśmiech. Brakowało mu kilku zębów.

– Nie żywię do ciebie urazy. – Mrugnął do mnie lekko rozbawiony.

Złożył żagiel i udaliśmy się na śródokręcie. Z pomocą kilku kamratów żaglomistrz wspiął się na grotmaszt, by następnie starannie zamocować płótno na swoim miejscu. Słońce schowało się za nieboskłonem, barwiąc niebo na purpurowo, kiedy rozwinięto połatany grot. Momentalnie naprężył się pod naporem wiatru. Przez ten cały czas nikt nie odezwał się do mnie słowem. Ba, odniosłam wrażenie, że z wyjątkiem nielicznych ukradkowych i nieprzychylnych spojrzeń traktowano mnie jak powietrze. Uważne oko Marcosa czuwało nade mną w każdej chwili. Kiedy ruszyłam w kierunku jego kajuty, zszedł z mostka kapitań-skiego i otworzył dla mnie drzwi. Dopiero wtedy poczułam, jak bardzo jestem zmęczona.

– Z tymi plecami będzie ci wygodniej spać na koi – oznajmił, dostrzegając zapewne, że słaniam się na nogach.

Kiwnęłam głową, zgadzając się z jego decyzją. Głęboko zakorzeniony strach przed odezwaniem się nadal tkwił w mojej głowie. Dzisiejszy dzień był mieszaniną tak wielu wydarzeń i emocji, że nie miałam siły tknąć czekającej na stole wieszki, tylko podążyłam prosto

w kierunku posłania i niemalże od razu zmorzył mnie sen.

*

Obudziłam się, gdy pierwsze promienie jutrzeńki musnęły moje powieki. W kubryku zawsze było ponuro, tymczasem tu koja znajdowała się naprzeciw bulaja, a sama kajuta była bardzo jasnym pomieszczeniem. Marcos spał twardo w hamaku, tuż pod świetlikiem. Gdy się poruszyłam, wychłostana skóra na plecach zaprotestowała. Syknęłam z bólu. Zsunęłam się ostrożnie z posłania i usłyszałam głośne burczenie w brzuchu. Z wczorajszej wieczerzy na stole pozostały tylko suchary. Chwyciłam dwa w dłoń i już miałam wyjść na zewnątrz, kiedy zobaczyłam leżące na wierzchu papier i węgiel. Ostrożnie odwróciłam kartkę i zamarłam. Z wrażenia aż przyłożyłam dłoń do ust. Rękorys wykonany w całości węglem rysunkowym przedstawiał mnie w czasie snu. Wiedziałam, że kapitan lubuje się w węglu. Widziałam też jego wcześniejsze rysunki przedstawiające moją osobę. Ale ten był jakiś inny. Jakby nagle zaczął postrzegać mnie zupełnie inaczej. Te rysunki dawały mi sposobność, by zobaczyć siebie jego oczami. Zerknęłam na srebrną paterę. Zrzuciłam z niej okruchy i uniósłszy ją, porównywałam swoje odbicie ze szkicem Marcosa. Jednego byłam pewna: na szkicu wyglądałam powabniej.

Zerknęłam na jego postać pogrążoną w głębokim śnie i poczułam dziwne ciepło w klatce piersiowej. Odłożyłam papier na miejsce i wyszłam na zewnątrz. Chłodny monsunowy wiatr momentalnie rozwiał moje włosy. Nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo urosły. Teraz, kiedy nie miałam na nich bandany, spostrzegłam, że sięgają mi do łopatek. Idąc w kierunku rufy, zerknęłam na napięty do granic możliwości połatany grot. Im dłużej się poruszałam, tym łagodniejszy stawał się ból pleców. Usiadłam na relingu rufy, przrzuciłam nogi za krawędź, tak by swobodnie zwisały nad wodą, i w niedalekiej odległości dojrzałam Crescencię oraz Bienvenidę, sunące leniwie po ciemnej oceanicznej tafli. Czerwone niebo zmieniało powoli barwę, w miarę jak słońce wędrowało po niebie. Niedługo koralowy kolor miał być tylko wspomnieniem, ustępując miejsca błękitowi. Chwyciłam suchara między zęby i zagryzłam mocno. Popatrzyłam na swoje dłonie, pokaleczone po wczorajszym fastrygowaniu żagla. Miałam wrażenie, że boli mnie całe ciało, ale poranne rześkie powietrze dodało mi sił. Odruchowo przechyliłam się w lewo, gdzie zwykł siadywać Javier, by oprzeć głowę na jego ramieniu. Kęs suchara utknął mi w gardle i nie byłam w stanie go przełknąć. Zamiast tego z moich ust wydobył się głośny szloch. Starałam się powstrzymać płacz, ale na nic to się zdało. Zaczynało brakować mi tchu, a ból w trzewiach uderzył z taką siłą, że omal nie spadłam prosto w morską toń. Trzymając się jedną ręką w okolicach brzucha, ostrożnie zsunęłam się na des-ki pokładu. Skóra na plecach ponownie zaprotestowała. Przed oczami pojawiły się czarne plamy, a duszności powoli pozbawiały mnie powietrza. Jak przez mgłę dotarły do mnie dźwięki wybijanej szklanki i zaczęłam się osuwać na pokład. Miast tępego uderzenia o dek poczułam, jak oplatają mnie czyjeś ramiona.

– Francisco, słyszysz mnie? – Kapitan był zaniepokojony.

Nie pojmowałam, dlaczego się o mnie martwi. Przytrzymał mnie w pozycji siedzącej i przyłożył mi do ust cynowy kubek z wodą. Mimo jej mocno nieświeżego smaku zmusiłam się do wypicia kilku łyków. Wyswobodziłam się z objęć Marcosa, usiadłam, pochyliłam nis-ko głowę i wzięłam kilka głębokich wdechów. Znów poczułam ból rozchodzący się w piersi niczym pajęcza sieć. Przyłożyłam dłoń zwiniętą w pięść do mostka, chcąc przynieść sobie chwilową ulgę.

– Chcesz wrócić do środka?

– Nie – odpowiedziałam cicho. – Chcę tu zostać.

Chwytając się krawędzi burty, podniosłam się z klęczek. Wiatr targał mi włosy

i rozmywał na policzkach łzy, które ani na moment nie przestawały płynąć. Skierowałam spojrzenie w stronę wody, na kilwater niemrawo ciągnący się za nami.

– Brakuje mi go – wyszeptałam z trudem. – Zostawił mnie na pewną śmierć, a ja nadal za nim tęsknię. Przez tyle lat był mi opoką.

Kątem oka widziałam, jak Marcos siada na rufie, dokładnie tak jak ja przed chwilą. Z tej perspektywy dostrzegłam dwie głębokie bruzdy na jego policzku – blizny po ranach, których doznał niedługo przed egzekucją swojego ojca. Do teraz miałam przed oczami świeże szramy na umęczonej bólem chłopięcej twarzy.

– Nienawidzę Hiszpanów – oznajmił takim tonem, jakby mówił o czymś oczywistym. Spozierał gdzieś przed siebie, jak gdyby nie chciał patrzeć mi w oczy.

Zesztywniałam i poczułam pełzający pod skórą lęk. Czy chciał mi w ten sposób coś przekazać? W zasadzie mógł zmienić zdanie i zepchnąć mnie prosto w fale.

– Mój ojciec był Francuzem. Jako dwunastolatek zaciągnął się do Marine nationale⁶⁸ i po kilku latach służby trafił do jakiegoś hiszpań-skiego portu. Tam poznał matkę Severa Bienvenidę. Zakochał się i postanowił założyć rodzinę. Jednak ani kapitan, ani tym bardziej rodzina jego wybranki nie wyrazili na to zgody. Przełknął gorycz porażki i posłusznie popłynął pod francuską banderą w kolejny rejs. Okazało się, że udali się po czarny heban. Czarna goryczy przelała się w momencie, kiedy załoga statku postanowiła wziąć siłą porwane dziewczyny. Stał w obronie jednej z nich. Został uznany za zdrajcę i uwięziony. Zdawał sobie sprawę, że po powrocie do ojczyzny czeka go stryczek. Miał jednak szczęście, bo statki Brac-twa Wybrzeża upatrzyły sobie jego okręt za cel. Wymordowali całą załogę, uwolnili niewolników, a jemu zaproponowali przyłączenie się do bukanierów. Nie miał nic do stracenia. Płynął pod banderą Brac-twa Wybrzeża przez dziesięć lat i wraz z innymi zbiegami holenderskiej, angielskiej i francuskiej narodowości napadał na hiszpań-skie okręty. W tym czasie w jednej z tawern poznał Crescencję, matkę Cruza. Nie zapomniał jednak o swojej pierwszej miłości. Udało mu się zobaczyć z nią dwa razy. Wyobraź sobie, jakież było jego zdziwienie, kiedy za pierwszym razem okazało się, że trzyletni bękart chowający się za jej spódnicą to jego syn. Bukanierzy byli znani ze swojego okrucieństwa wobec wrogów, jednak ojciec swoich marynarzy zawsze traktował z szacunkiem. Jego drogi z Brac-twem Wybrzeża się rozeszły, kiedy pod osłoną nocy z wierną załogą, uwolniwszy wszystkich niewolników, których Morvin chciał sprzedać, opuścił na zawsze szeregi bukanierów. Nie chciał jednak porzucać dotychczasowego życia. Podczas ucieczki z Tortugi ojciec natrafił na hiszpań-ski okręt przewożący niewolników. Wymordował wszystkich Hiszpanów, a niewolnikom zaproponował przyłączenie się do swojej załogi. Wśród nich była piętnastoletnia Lerate, dla której dosłownie stracił głowę. Długo tułali się po wodach Atlantyku, aż natrafili na Wyspę. Tam postanowili uzupełnić zapasy i zdecydować, co dalej. Wtedy okazało się, że Lerate jest przy nadziei, a Wyspa to istny raj. Krótco potem ojciec wrócił po Bienvenidę, ale na skutek zdrady służącej zginęła na oczach Severa podczas próby ucieczki. Ojciec zabrał go ze sobą na pokład, by podszkolić w żeglarskim rzemioś-le. Po jakimś czasie wziął pod swoje skrzydła i Cruza. Miałem wtedy pięć lat i byłem piekielnie zazdrosny o ojcowską uwagę. A już najbardziej nie mogłem przeboleć, że Cruz i Severo wypływali z ojcem w morze. Nie trwało długo, aż dopiąłem swego: skończywszy sześć wiosen, ukryłem się w jednej z beczek do magazynowania pekeflejszu⁶⁹. Kiedy odkryto mój podstęp, było już za późno, by odstawić mnie na Wyspę. Choć zapłaciłem chłostą za swój wybryk, to wiesz co? – Spojrzał na mnie z iskrą przekory w oku. – Było warto. Dopiąłem swego, bo ostatecznie ojciec ugiął się i zostałem chłopcem okrętowym najszybciej z naszej trójki.

– Teraz rozumiem, skąd pochodzą nazwy statków – odparłam, ze zdumieniem spostrzegając, że udało mu się odciągnąć uwagę od Javiera.

Przyjemnie słuchało się opowieści Marcosa. Do tego stopnia, że zajęłam miejsce obok niego i zaczęłam chrupać resztki sucharów.

– Ojciec starał się przekazać nam nie tylko wiedzę dotyczącą żeglugi. Uczył nas języków, alfabetu, pisma. A także szacunku. Do dziś pamiętam, jak tłumaczył, że nie ma ludzi lepszych i gorszych. Że to, jaki ktoś ma kolor skóry czy majątek, nie określa tego, czy jest dobrym człowiekiem. Atakowaliśmy tylko te statki, które przewoziły niewolników. Ojciec nie mógł się pogodzić z tym, że biali uważali się za lepszych.

Pomyślałam o swoich rodzicach i o tym, jakie mieli zapatrywania. W naszym domu wszyscy służący z wyjątkiem kucharki byli niewolnikami. Pamiętam opowieści Kamarii. Pamiętam, jak płakałam nad jej losem. I nagle pojęłam, że w zasadzie nie mogłabym nazwać swoich rodziców dobrymi ludźmi. Ta świadomość bolała chyba bardziej niż ich utrata. Przez tych kilka lat pływania pod piracką banderą nauczyłam się dostrzegać to, na co wcześniej pewnie nigdy nie zwróciłabym uwagi. Nie liczył się kolor skóry, lecz serce. Otoczona dobrobytem, obserwowałam tylko namiastkę rzeczywistości, jaką pozwolono mi ujrzeć. Biernie egzystowałam, a nie żyłam.

– Mój ojciec był bukanierem... Był piratem, ale nigdy nikogo nie uczynił niewolnikiem. Zresztą – z ust Marcosa wydobyło się coś na kształt prychnięcia – z wyjątkiem Julia i Renny'ego, większość załogi statku to dawni niewolnicy. Gdyby nie ojciec, Julio zatańczyłby z Jackiem Ketchem⁷⁰ na jednej z rejsów hiszpańskiego statku handlowego. A ten rudy Irlandczyk... – Marcos zamyślił się przez chwilę, po czym przyznał: – Po prawdzie nawet nie wiem, jak znalazł się wśród załogi ojca. – Zamilkł i wpatrywał się w linię horyzontu.

Czerwień była obecnie tylko wspomnieniem, wyparta przez wyrazisty błękit, na którego tle słońce wznosiło się coraz wyżej, pnąc się ku zenitowi.

– Tamtego dnia nie mogliśmy znaleźć Cruza. Ojciec kazał mi płynąć z Severem, a sam zdecydował się poczekać na tego obiboka. Wpadli w zasadzkę, którą zastawiła Armada Española⁷¹. Może gdybyśmy płynęli całą flotyllą... – Zacisnął pięści, a przez jego twarz przebiegł gniewny grymas. – Strażnik w bocianim gnieździe przyuważał, że Crescencia i Lerate zostały zaatakowane. Popłynęliśmy im z odsieczą. To wtedy Severo został poważnie ranny, ledwie przeżył.

– Blizny... – wyszeptałam cicho, przypominając sobie jego pobrużdżoną szyję, a Marcos potwierdził moje domysły skinieniem głowy.

– Ojciec... – Zacisnął gniewnie pięści. – Chcieli tylko jego. – Spojrzał na mnie z dozą współczucia. – Gdyby Cruz mnie nie powstrzymał, zabiłbym cię w Doku Straceń, Francisco. Kiedy tak radośnie oświadczyłaś, że to twój ojciec stoi na podeście szubienicy i skazuje mojego na śmierć... – Westchnął ciężko. – Byłem tylko dzieckiem, które pragnęło zemsty. – Odszukał moją dłoń i ostrożnie splótł nasze palce, jakby się obawiał, że się wyrwę.

Moje ciało natychmiast wypełniło się ciepłem. Było to dla mnie coś nowego. Javi mnie przytulał i czasem składał pocałunki na mojej głowie, ale nigdy nie wziął mnie w ten sposób za rękę. To było przyjemne. Wprawdzie wspomnianie Javiera nadal bolało, jednak powoli zaczynałam pojmować sposób, w jaki Marcos postrzegał świat.

– Przez cztery lata omijaliśmy basen Morza Śródziemnego i szlaki, którymi zwykli pływać Hiszpanie. Poprzysiągłem sobie wykonać wolę ojca, choćby miała to być ostatnia rzecz, jakiej dokonam za żywota. Atlantyckie morze miało spłynąć krwią rodziny Rodriga. Severo zakazał zabijać załogę. Nie posłuchałem go. To był ten jedyny raz, kiedy postanowiłem się nie hamować.

– Uwierzyłeś w fortel, który wymyślił Javier?

– Od razu wiedziałem, że jesteś Francisca Rodrigo Lopez, ale postanowiłem ciągnąć tę farsę. Początkowo dlatego, że liczyłem na twoją śmierć... w męczarniach – dodał po chwili.

Wzdrygnęłam się, słysząc jego słowa. Chciałam zabrać rękę, lecz ścisnął ją mocniej i spojrział mi prosto w oczy. Jego bursztynową tęczęwką przepelniała niema prośba o wybaczenie. Wolną dłonią dotknął mojego policzka. Miałam wrażenie, że smaga moją skórę żywym ogniem, ale nie potrafiłam przerwać kontaktu wzrokowego. Jakby rzucił na mnie jakiś czar. Jak wtedy, kiedy parę miesięcy temu włóczyłam się wieczorem po jednym z portowych miast.

Nie miałam ochoty przesiadywać w tawernie i przyglądać się, jak kamraci obściskują urzędujące tam kurtyzany. Czulałam się wtedy niezręcznie, tym bardziej że nie szczędzili mi przytyków, żebym także sobie użyła. W takich chwilach marzyłam o tym, żeby zapaść się pod ziemię. Nawet Javier zdawał się zapominać o moim istnieniu, gdy błękitnooka, obdarzona sporymi walorami kokota siadała mu na kolanach i szeptała do ucha czułe słówka. Czasem miałam wrażenie, że robił to, by ukarać mnie za stanowcze odrzucanie jego umizgów.

Noc była wyjątkowo duszna i spodziewałam się, że może nadejść sztorm, chociaż gwiazdy świeciły jasno, a księżyc nie przesłaniała ani jedna chmurka. Zatrzymałam się w przystani i starałam się wypatrzeć gwiazdozbiór Argo, nazwany tak na cześć mitycznego okrętu Argonautów. Czasem siadałam blisko ogniska na Wyspie i przysłuchiwałam się opowieściom snutym przez bajarkę Demane. Ta legenda wyjątkowo zapadła mi w pamięć. Często prosiłam Javiera, żeby mi ją opowiadał, jednakowoż nie miał daru bajarki.

Mityczny okręt Argo pod dowództwem Jazona udał się w rejs do Kolchidy. Celem Argonautów było tajemnicze złote runo, czyli skóra skrzydlatego złotego barana. Wisiało na dębowym drzewie w gaju Aresa i strzeżone było przez potężnego smoka. Sam statek – galera – zbudowali Argos i Atena. Po zakończonej sukcesem misji Jazon wyciągnął statek na ląd Przesmyku Koryncyjskiego i tam poświęcił go jako wotum dla Posejdon. Po śmierci Jazon bóg mórz umieścił galera Argonautów na niebie jako pamiątkę przygód jej kapitana.

I wtedy usłyszałam niewieści chichot. Wiedzioną ciekawością ruszyłam w kierunku ślepego zaułka pomiędzy tylnym wyjściem z tawerny a ścianą sąsiadującego z nią szynku. Wyjrzałam zza rogu i poczułam, jak moje serce przyspiesza. Tuż obok wyjścia z tawerny ujrzałam kurtyzanę w towarzystwie Marcosa. Kapitan stał naprzeciwko niej i spozierał na nią z obojętnym wyrazem twarzy. Kurtyzana oparła się plecami o kamienną ścianę. Góra jej sukni nie pozostawiała za wiele wyobraźni, ukazując obfity biust. Spódnica miała rozcięcia po bokach, tak że gdy tylko kobieta rozchyliła lekko jej warstwy, widać było nogę obleczonej w pończochę. Z tej perspektywy widziałam, jak wzrok Marcosa prześlizgnął się po jej udzie, a potem zawisł z powrotem gdzieś w okolicach oczu kurtyzany.

– Dawno cię tu nie było, Złotooki Chłopcze – zagadnęła uwodzicielsko, zmniejszając dzielącą ich odległość. Bez pardonowo oparła dłoń na jego torsie i rzuciła zalotne spojrzenie.

Na jego ustach pojawił się cień szelmowskiego uśmiechu. Tego, który podobał mi się u niego najbardziej, ale nie było mi dane często go oglądać.

– Nie powinno cię to trapić, pani. Chyba nie narzekasz na brak zajęcia?

Ponownie zachichotała. Nie spodobał mi się ten śmiech ani tym bardziej to, jak się do niego wdzięczyła. Zas-koczyło mnie to nowe uczucie.

– Och, Marcosie – przejechała dłonią po jego policzku, a ja poczułam ukłucie gniewu – czyżby ktoś się pojawił?

– Może... – mruknął.

Miałam ochotę podejść i ją odepchnąć. Byleby go nie dotykała. Tymczasem jego ręka mimowolnie spoczęła na jej talii. Przyciągnął ją bliżej, a ona przygryzła dolną wargę i dotknęła jego krocza. Poczułam, że zaczynam się czerwienić.

– To w takim razie co tu robisz, Złotooki? – spytała, chwytając go za koszulę.

– *Może próbuję zapomnieć – odparł tak cicho, że ledwie zrozumiałam, po czym gwałtownie pchnął ją na ścianę.*

Jego -dłonie wślizgnęły się pod jej spódnicę. Uniósł ją tak, by oplotła go nogami, a potem spojrzał prosto na mnie.

Nie mogłam się ruszyć.

– *Może jest kimś, kogo nigdy nie będę mógł mieć – dodał jeszcze i zaczął poruszać biodrami, nie spuszczając ze mnie wzroku ani na chwilę.*

Nawet wtedy, kiedy smakował jej ust, cały czas przeszywał mnie spojrzeniem. Jego wargi sunęły wzdłuż jej szyi, a ja czułam coraz większą falę gorąca opanowującą moje ciało i to dziwne uczucie w dole brzucha. Policzki paliły mnie żywym ogniem, kiedy do moich uszu docierały ich ekstatyczne jęki. W pewnym momencie na jego ustach znów pojawił się szelmowski uśmiech. Nie pojmowałam dlaczego, ale wiedziałam, że był przeznaczony tylko dla mnie.

To, co wtedy czułam, bardzo przypominało doznania, których doświadczałam, gdy teraz mnie dotykał. Ciepło rozchodzące się w piersi, łas-kotanie w okolicach pępka. Może gdybym mogła porozmawiać o tym z jakąś niewiastą, rozumiałabym, co też, u licha, się ze mną działo.

– Chodź, niedługo pora posiłku. Zjemy w mojej kajucie – oznajmił i posłał mi uśmiech, od którego omal nie ugięły się pode mną nogi.

Kiedy przekroczyliśmy próg, usłyszałam, jak Marcos cicho westchnął, po czym odezwał się niemalże szeptem, jakby prosił o wybaczenie:

– Tak bardzo chciałem cię zabić, Francisco... Ale... Nie mogę... Nie jestem w stanie spełnić ostatniej woli ojca.

Zastygłam jak słup soli.

– Dlaczego? – zapytałam cicho i dopiero wtedy odwróciłam się i odważyłam na niego spojrzeć.

Budową ciała nie różnił się od Javiera, ale twarz miał bardziej surową i drapieżną. Może była to zasługa szram na policzku i przepas-ki na oku, które wbrew pozorom wcale go nie oszpecały, lecz sprawiały, że chciałam być na miejscu tamtej ładacznicy spod tawerny. Marzyłam, by to moja dłoń znalazła się na jego policzku, by jego ręka dotykała mojej talii. Wiedziałam jednak, że brakuje mi jej walorów. Nie potrafiłam czarować mężczyzn.

– Naprawdę się nie domyślasz? – Pokręcił z niedowierzaniem głową, po czym złapał mnie za rękę i przyciągnął do siebie.

Tęczęwka jego oka pociemniała, a oddech zrobił się ciężki. Dokładnie tak jak mój. Drugą dłoń położył na moim karku. Czułam, jak pod dotykiem jego skóry moja zaczyna płonąć. Całe moje ciało mrowiło i drżało. Był tak blis-ko, a ja nie pojmowałam, co się ze mną dzieje. Moje policzki pokrywał rumieniec i nie mogłam oderwać wzroku od jego pięknego bursztynowego spojrzenia. Jakby rzucił na mnie urok. Zaklinał, żebym robiła to, co chce.

– Podobało ci się to, co widziałas na tyłach tawerny? – spytał nis-kim szeptem, który przyjemnie łechtał moją skórę.

Zmartwiałam. Czyżby czytał mi w myślach? To niezwykle zbieg okoliczności, że akurat wspomniął to samo zdarzenie, o którym śniłam na jawie. Przełknęłam ślinę, bo w istocie podobało mi się to, co widziałam. Choć początkowo myślałam, że to złe, reakcje mojego ciała mówiły mi coś zupełnie innego. To, jak Marcos całował tę kobietę, miało w sobie więcej pasji niż flamenco, którego pokaz dane mi było obserwować dawno temu na miejskim targu. Zamknęłam oczy i znów słyszałam ich zmysłowe jęki, widziałam nogi kurtyzany oplatające Marcosa w pasie, jego powolne, acz stanowcze ruchy, wzrok wbity we mnie i łobuzerski uśmiech. Znów oblała mnie fala gorąca, ale poczułam jeszcze coś. Bolesne ukłucie zazdrości.

– Odpowiedz, Francisco – wymruczała, a wibracje francuskiego „r” w moim imieniu

poczułam w całym ciele.

Z trudem stłumiłam jęk. Czułam, jak jego kciuk delikatnie gładzi skórę na moim karku.

– Podobało – potwierdziłam cicho.

Zamknęłam oczy i poczułam jego oddech na swoich wargach. Znow zadrżałam, kiedy położył moją dłoń na swoim torsie. Pod materiałem jego koszuli dało się wyczuć galopujące serce. Jego dłoń powędrowała do mojej talii. Przysunął moje ciało bliżej. Nogi drżały mi tak mocno, że bałam się, iż za chwilę upadnę.

– Wiesz, Francisco...

Czułam, jak jego spierzchnięte od morskiej bryzy i soli wargi delikatnie ocierają się o moje usta. Tak jak wczoraj, kiedy w podzięcie złożyłam pocałunek na jego policzku, a on obrócił głowę. Wydałam z siebie ciche westchnienie, bo to doznanie było dla mnie zbyt intensywne.

Bałam się pocałunków. Przez Javiera nie kojarzyły mi się z przyjemnością. Dopóki były to przyjacielskie cmoknięcia w głowę, absolutnie mi nie przeszkadzały, jednak potem Javi robił się coraz bardziej nachalny. Miarka jednak się przebrała, kiedy wskoczył za mną nagi do stawu na Wyspie. Wtedy go spoliczkowałam. Słowa, które do mnie wyrzekł, sprawiły, że w naszej przyjaźni pojawiła się wyrwa i już nigdy się nie zasklepiła.

Im byłam starsza, tym bardziej do mnie docierało, że interesowałam Javiera jedynie wtedy, gdy nie miał innej niewiasty pod ręką. Kiedy tylko wchodził do tawerny i pojawiały się kurtyzany, całkowicie mnie ignorował. W zasadzie dla niego nie istniałam.

– Tak bardzo chcę cię teraz pocałować... – Nis-ki zmysłowy szept rezonował w moim ciele.

Głośno wciągnęłam powietrze, całkowicie zas-koczona tym wyznaniem i uczuciami, które obezwładniły i ciało, i umysł. Przyjemne dreszcze przetoczyły się po kręgosłupie. A on po prostu złączył nasze usta. Dotyk jego warg był niespodziewanie przyjemny, a z jego gardła wydobył się nis-ki pomruk. Kiedy delikatnie poruszał ustami, całe moje ciało mrowiło, a serce łomotało głośno w piersi. Jego pocałunki były niespieszne, łagod-ne i czułe. Jakby sprawdzał... nie... jakby się obawiał, że go odtrącę. To było kolejne oblicze Marcosa, które pokazał tylko mnie. Złapałam go za ramiona i wbiłam palce w ciało, bo bałam się, że upadnę. Z mojego gardła wydobył się cichy jęk i kiedy bezwiednie rozchyliłam usta, poczułam, jak jego język lekko łas-kocze mój. Nawet nie wiedziałam, że tak mogą wyglądać pieszczoty, że można je czuć tak intensywnie. W każdej części ciała.

Kolana się pode mną ugięły, lecz Marcos ścisnął mnie mocniej w talii, nie pozwalając mi upaść. Nigdy wcześniej się nie całowałam, ale miałam wrażenie, że jemu też podoba się ta pieszczota. Przechylił moją głowę tak, żeby pocałunek stał się jeszcze bardziej namiętny i głęboki. Kiedy w końcu z ociąganiem rozłączył nasze usta, miałam wrażenie, że latam. Objął obiema dłońmi moje rozpalone policzki i wyszeptał:

– Już cię nie wypuszczę, Francisco. Zdajesz sobie z tego sprawę, prawda?

Popatrzyłam prosto w jego bursztynowe oko i utonęłam w tym spojrzeniu. Było pełne ciepła i tros-ki. Powoli zbliżyłam twarz do jego twarzy i z lekką obawą zainicjowałam kolejny pocałunek. Mruknął z zadowoleniem i odpowiedział na niego z taką pasją, że znow musiałam się go przytrzymać, by nie upaść.

68 Marine nationale – francus-ka marynarka wojenna.

69 Pekeflejsz – peklowane mięso.

70 Jack Ketch – znany angielski kat. Idiom „zatańczyć z Jac-kiem Ketchem” oznacza „zawisnąć na szubienicy”.

71 Armada Española – marynarka wojenna Hiszpanii.

Trzynasta szklanka

„Zabrałem ją do tawerny i postawiłem wino.

Sądziłem, że niezbyt jest cnotliwa.

Dotknąłem jej, objąłem ją i ku memu zas-koczeniu

Była niczym brander⁷² w przebraniu”.

The Fire Ship, szanta

Marcos

Nie mogłem spać, kiedy była tak blis-ko. Wprost na wyciągnięcie ręki. Leżała na brzuchu na koi i oddychała miarowo. Zapaliłem lampkę olejną i przeniosłem ją, tak żeby wyraźnie widzieć jej twarz. Teraz skąpana była w lekkim świetle płomienia i mogłem obserwować taniec cieni na jej policzku. Długie rzęsy wydawały się jeszcze gęstsze, jakby sięgały połowy twarzy. Ostrożnie odgarnąłem kosmyki włosów, które opadły, zasłaniając jej lico. Westchnęła przez sen, ale się nie poruszyła. Usta miała odrobinę rozchylone. Gdybym przyjrzał się uważniej, dostrzegł-bym pewnie odrobinę za mocno wysunięte przednie zęby. Przechyliłem głowę lekko w prawo, starając się ocenić, pod jakim kątem najlepiej usiąść, by idealnie oddać spokój malujący się na jej obliczu.

Sięgnąłem po papier i węgiel. Sprawdziłem przy okazji, czy mam jeszcze mięksiz chlebowy do wymazania zbędnych kresek czy smug. Przygryzając koniuszek języka, pewnie chwyciłem węgiel w lewą dłoń i narysowałem pierwszą kreskę. Zacząłem od prostej linii nosa, lekko zadartego, pamiętając, by nie zdeformować kształtu jej górnej wargi, ukrytej w jego cieniu.

Kiedy skończyłem, byłem pod wrażeniem tego, jak idealnie udało mi się odwzorować kontury twarzy. Dopiero teraz odczułem zmęczenie. Rozmasowałem kark i popatrzyłem na śpiącą Franciscę. Najchętniej położyłbym się obok niej za plecami i wtuliłbym twarz w jej szyję. Westchnąłem ciężko, porzucając tę absurdalną ideę. Położyłem rysunek na stole, a na nim przybory rysownicze, po czym ległem w hamaku i momentalnie zapadłem w sen.

*

Obudziły mnie promienie słońca, leniwie przenikające przez zmatowiałe szkło bulaja. Sen zmorzył mnie na krótko, czułem jego niedostatek w skroniach pulsujących tęnym bólem. Przyłożyłem dłonie do głowy, żeby ją rozmasować, i wtedy zauważyłem, że koja jest pusta. Zerwałem się z hamaka jak oparzony i wyszedłem z kajuty. Od razu skierowałem się w stronę rufy, gdzie zwykła przesiadywać. Nie myliłem się. Tkwiła tam jak zawsze, z nogami po drugiej stronie burty. Patrzyłem na jej postać, skąpaną w świetle jutrzeńki, tak wyraźną na tle porannego nieba, którego kolor mienił się intensywnym różem. Zrobiłem krok w tył, z zamiarem przyniesienia papieru i węg-la, ale wtedy poruszyła się lekko. A potem skuliła się, jej ciało zadrżało i zaczęła się osuwać na des-ki pokładu. W ułamku sekundy znalazłem się przy niej, amortyzując upadek.

– Francisco, słyszysz mnie? – Nawet nie starałem się ukryć trwogi w głosie.

Co się ze mną, u kaduka, wyprawia?!

Kiwnąłem na jednego z kamratów, który wynurzył się spod pokładu. Na migi pokazałem mu, że potrzebuję wody. Uwinął się w mgnieniu oka. Przyłożyłem kubek, który mi podał, do jej ust i kazałem mu się wynosić. Skrzywiła się, co ani trochę mnie nie zdumiało. Woda była już stęchła, jej smak był ohydny. Upiła kilka łyków, po czym ostrożnie wyswobodziła się z moich ramion. Nawet nie zdawałem sobie sprawy, że ją obejmowałem. Znow się skuliła, przykładając dłonie do klatki piersiowej.

– Chcesz wrócić do środka?

– Nie. Chcę tu zostać. – Jej głos był cichy, ale stanowczy.

Dopiero teraz zauważyłem, że płacze. Pociągnęła nosem i trzymając się krawędzi burty, wstała. Stanęła plecami do mnie i wpatrywała się w fale, które zostawialiśmy za sobą.

– Brakuje mi go, choć bacząc na jego ostatnie zachowanie, chyba nie powinno.

– Javier jest skurwysynem. – Nie mogłem się powstrzymać od komentarza. To, co dla niej było tragedią, ja odbierałem jako kolejne zwycięstwo. – Po tym, czego od ciebie zażądał nad jeziorem na Wyspie, powinnaś nim gardzić, nie za nim tęsknić!

– Powiedział, że ocalił mi życie i powinnam spłacić dług... – wyszeptła.

Zacisnąłem dłonie w pięści. Miałem jeszcze większą ochotę go zabić. Bydlak.

– Dług... – sarknąłem, kręcąc z niedowierzaniem głową. – I on ośmielał się zwać twoim przyjacielem? Tak nie postępują przyjaciele, Francisco. Przyjaźń winna być bezwarunkowa.

Odszukałem jej wzrok. Oczy miała smutne, ale chyba zaczęła pojmować, jakim człowiekiem był Javier. Uzależnił ją od siebie, dając złudne poczucie bezpieczeństwa. Domyślałem się, że obiecał markizie chronić Franciscę, jednak gdy zorientował się, że nie jest zainteresowana „pogłębieniem” znajomości, w zasadzie przestał się nią przejmować. Podejrzywałem, że któregoś dnia wypiłby taką ilość rumu, że uspiłby swoje sumienie i wziąłby ją siłą. Po prawdzie ostatnim razem niewiele brakowało.

Usiadłem na rufie tak jak wcześniej ona. Widziałem, że mnie obserwuje, choć starała się stwarzać pozory, że tak się nie dzieje. A potem moje usta jakby same się otworzyły i zacząłem jej się zwierzać. Ze wszystkiego. Począwszy od swojej nienawiści do Hiszpanów, przez historię ojca i moment, gdy postanowiłem zaatakować okręt, na którym płynęła z rodziną. Moja dłoń bezwiednie odszukała jej i splotłem nasze palce. Jej skóra kontrastowała z moją. Jakby ustawić kawę przy mleku zabarwionym nasionami kakaowca. Moja matka urodziła się na Czarnym Łądzie i chociaż ojciec był biały, karnację i tak miałem ciemną. Francisca natomiast pomimo skóry smagniętej słońcem nadal wyglądała przy mnie niczym pergamin przy węglu. A jej dłoń przypominała rękę dziec-ka, chociaż ona dziec-kiem już nie była. Od trzech lat krwawiła. Gdyby mieszkała na łądzie, zapewne miałyby już obiecane go męża, chociaż w wyższych sferach coraz częściej preferowano późniejsze zamęście.

Gdy przyznałem, że początkowo liczyłem na jej rychłą śmierć, skrzywiła się i próbowała zabrać dłoń. Ścisnąłem ją mocniej i spojrzałem na nią. Policzki miała zarumienione. Odszukałem jej wzrok. Chciałem, żeby dostrzegła w moim spojrzeniu uczucia, które od tamtego momentu skrajnie się zmieniły. Mój oddech zrobił się cięższy, a gdy moje palce dotknęły jej policzka, serce załomotało mi w piersi. *Do stu piorunów!* Miałem ochotę posiąść ją tu i teraz. Wyobrażałem sobie, jak wije się pode mną. Jak moje usta smakują jej bladą skórę. Przełknąłem ślinę. W jej towarzystwie trzymanie rąk przy sobie było coraz trudniejsze. Odszukałem resztki silnej woli, zmusiłem się do uśmiechu i zaprosiłem ją na posiłek do swojej kajuty.

Najgorsze w tym wszystkim było to, że dostrzegłem, iż nie jestem jej obojętny. Mimo okropieństw, jakich się dopuściłem, mimo tego, jaki bywałem okrutny, i pomimo że zabiłem jej rodziców, pożałowała mnie. Z jej policzków nie schodził rumieniec, skórę pokryła gęsia skórka, a oddech przyspieszył tak jak mój. Zamknąłem drzwi kajuty i przymknąłem oko. Wypuściłem

powietrze, które wstrzymywałem, i wyznałem wszystko, co ciążyło mi na sercu. A ona zdawała się nic nie pojmować. Miałem ochotę się roześmiać.

Moja Francisca...

Uwielbiałem brzmienie jej imienia w moich ustach. Było delikatne jak ona i przypominało pieśczość. Przyciągnąłem ją do siebie. Położyłem dłoń na jej karku, chociaż marzyłem, by złapać ją mocno za włosy i złożyć na jej ustach żarliwy pocałunek. Czułem, jak drży. Rozpoznałem to, co czało się w jej spojrzeniu. Pragnęła mnie, chociaż zapewne nie była tego do końca świadoma. Tak samo patrzyła na mnie, kiedy używałem sobie z kurtyzaną. Nie mogła wiedzieć, że przed oczami miałem wtedy ją. To jej nogi oplatały mnie w pasie, jej dłonie błędziły po moim ciele i jej usta pożądały moich. Już znacznie wcześniej zawładnęła moimi myślami. Pochyliłem się i zatrzymałem usta tuż nad jej wargami. Chwyciłem jej dłoń i położyłem na swojej klatce piersiowej. Chciałem czuć jej dotyk. Kciukiem masowałem jej kark, a drugą ręką złapałem ją tuż powyżej biodra i przyciągnąłem do siebie.

U kaduka!

Teraz rozumiałem słowa Cruza: „Czarownica, nie dama”. Istotnie Francisca Rodrigo Lopez rzuciła na mnie czar. I nie miałem ochoty wyswobadzać się spod jego działania. Przyłgnąłem wargami do jej ust. Smakowała wybornie, aż zakręciło mi się od tego w głowie. Czułem przyjemne dreszcze na całym ciele. Skubnąłem zębami jej górną wargę, uwielbiałem ją. Wielbiłem każdy fragment jej ciała, ale usta miała idealne do pocałunków. Nie mogłem się nią nasycić. Zacisnąłem palce na jej biodrze, gdy bezwiednie pozwoliła, aby mój język odszukał jej. Gdyby ktokolwiek mi powiedział, że tak mogą smakować usta niewiasty... Miałem wrażenie, że dotychczas błędziłem we mgle i w końcu odnalazłem swoją przystań.

Swoją Franciszę.

Przerwałem pocałunek, objąłem dłońmi jej rozpaloną pożądaniami twarz i wyszeptalem:

– Już cię nie wypuszczę, Francisco. Zdajesz sobie z tego sprawę, prawda?

W odpowiedzi wspięła się na palce. A gdy ponownie złączyła nasze usta, usłyszeliśmy głośny wrzask z bocianiego gniazda:

– Wyspa na horyzoncie!

*

Zwykle podczas przeprawy łodziami ze statku na ląd towarzyszyły nam radosne rozmowy. Tym razem cała moja załoga milczała. Widziałem, jak spozierają na Franciszę, i ani trochę mi się to nie podobało. Powietrze było parne i duszne. Skórę pokryły słone krople potu. Ciemne chmury w oddali zwiastowały nadejście kolejnego sztormu, wszak pogoda o tej porze roku bywała kapryśna. Cieszyłem się, że spędzimy ten czas na lądzie.

Wysiadłem pierwszy i podałem dziewczynie dłoń, pomagając jej opuścić szalupę. Złoty piasek był tak rozgrzany, że aż parzył podeszwy stóp. Momentalnie otoczyła nas gromada dzieciaków, które podskakiwały wokół, skomlać o jakieś słodczyce z kontynentu. Wyciągnąłem schowaną za plecami rękę, w której trzymałem gotowany cukier umieszczony na drewnianych patyczkach – zajaśniała się nim europejskie chmyzy.

Nie puściłem ręki Francis-ki ani na chwilę, co zapewne wprawilo załogę w jeszcze większe osłupienie. Szła obok ze spuszczoną głową. Gdy znaleźliśmy się w osadzie, widziałem, jak wszystkie oczy zwracają się w naszą stronę. Mieszkańcy nawet nie kryli się z tym, że rozmawiają o nas. Francisca skuliła się jeszcze bardziej, jakby się wstydziła. Dobrze wiedziałem jednak, że to wyćwiczony przez lata mechanizm obronny. Dotychczas robiła przecież wszystko, by nie -rzucać się w oczy.

Z naszej chaty wyszła Lerate, przemierzyła jak zwykle kilka stóp, a potem zamarła w pół

kroku. Jej wzrok spoczął najpierw na mojej dłoni ciasno oplatającej drobną pięść Francis-ki, a następnie przeniósł się na jej postać.

– Marcosie? – Z jej ust wydobyło się tylko to jedno słowo, które zawierało pytanie o wszystko.

– Wejźmy do chaty, *mamá* – poprosiłem.

Cofnęła się i odchyliła bambusową kotarę. Przepuściłem dziewczynę przodem, powstrzymując się w ostatniej chwili, by nie dotknąć jej pleców. W środku było odrobinę chłodniej niż na zewnątrz. Podeszedłem do beczki z wodą, napełniłem kubki i podałem Francisce jeden z nich. Wychyliła całą jego zawartość duszkiem, a potem wbiła przestraszone spojrzenie w Lerate.

– Jestem... – zaczęła *mamá*, ale nagle zamilkła. Zamiast tego podeszła do Francis-ki i przyjrzała jej się z bliska. Odgarnęła jej włosy za uszy, otoczyła spracowanymi dłońmi policzki, po czym złożyła na jej czole matczyne pocałunek. – Jak mogłam nie zauważyć? Przez tyle lat... – Pokręciła głową z niedowierzaniem. – Domyślam się, że to długa historia, ale wiedz, że zawsze chciałam mieć córkę. Usiądź, zaraz znajdę ci odpowiednie szaty. Nie będziesz nosić męskich łachów.

W tym momencie do chaty wkroczyli Cruz i Severo, ten pierwszy z głośnym okrzykiem:

– A więc tu przeniosła się powitalna hulanka!

– Witajcie, chłopcy.

Lerate odłożyła wyjęte z kufra ubrania i poszła ucałować na powitanie każdego po kolei, łącznie ze mną, jakby dopiero teraz przypomniała sobie o moim istnieniu.

Cruz podeszedł do Francis-ki i objął ją ramieniem, przyciągając do siebie. Jego ramię zawadziło o jej plecy. Skrzywiła się, a z jej ust wydostał się głośny syk.

– Ktoś już się tobą zaopiekował, gołabeczku? – spytał. – Bo jeśli nie, to pamiętaj, ja zawsze jestem chętny...

– Daj jej spokój, Cruzie – odezwaliśmy się we troje jak jeden mąż.

Lerate podeszła do nich i wyswobodziła Franciscę z jego objęć, po czym wypędziła nas na zewnątrz, tłumacząc, że potrzebują prywatności.

– Na twoim miejscu – rzucił rozbawiony Cruz, kiedy oddaliliśmy się od chaty – zacząłbym sobie stawiać chałupę. Bo oto właśnie twoja matka stanęła na straży wianuszka señority -Rodrigo. No chyba że już zdążyłeś skorzystać z dobrodziejstwa między jej nogami. – Poruszył teatralnie brwią. – Wtedy tym bardziej omijałbym Lerate szerokim łukiem.

Zarechotał, po czym zostawił mnie oniemiałego na środku osady.

72 Brander – statek napełniony materiałem wybuchowym, służący do wzniesienia pożaru we flocie nieprzyjaciela.

Czternasta szklanka

„Jego loki i czarne jak węgiel oczy

Tudzież piękna mowa serce me skradły.

Nobliwy on był, nie kołek jak ty.

I niewieście podszeptał, i niewieście podszeptał,

By od wilka stroniła morskiego”.

The Dark Eyed Sailor, szanta

Francisca

Wpatrywałam się w klepis-ko nawet wtedy, kiedy mężczyźni opuścili domostwo Lerate. Słyszałam jej ciche kroki, aż w końcu zobaczyłam ciemne stopy i mlecznobiałe paznokcie wyzierające spod kolorowej spódnicy.

– Mam nadzieję, że żaden cię nie skrzywdził. – Usłyszałam jej ciepły matczyzny głos. – Ani nie zhańbił!

Czułam rosnącą kulę w gardle, kiedy dotarło do mnie, że moja matka nawet w rzadkim przypływie uczuć nie potrafiła tak do mnie przemawiać. Wtem Lerate, wiedziona zapewne matczynym instynktem, położyła dłoń na moich plecach. Syknęłam i cofnęłam się gwałtownie. Podniosłam głowę i zobaczyłam niewiastę z ręką zastygłą w powietrzu i gniewnym grymasem na twarzy. Ostrożnie zbliżyła się do mnie i uniosła tył koszuli. Usłyszałam, jak z głośnym świstem wciąga powietrze. Przez dłuższą chwilę tkwiła nieruchomo, po czym poprosiła łagodnie:

– Ściągnij ją.

Wykonałam polecenie i już po chwili poczułam kojący chłód mazidla, które z niezwykłą delikatnością nanosiła mi na wybroczyny.

– To dziegieć – oświadczyła.

Gdy skończyła, stanęła przede mną i położyła ciepłe dłonie na moich ramionach, a ja spojrzalam jej w oczy. Już wiedziałam, po kim Marcos odziedziczył ich kształt.

– Wychłostano cię? – Zabrzmiało to bardziej jak stwierdzenie niż pytanie. – Zaiste nie mogę pojąć, jakim cudem się nie zorientowałam, że jesteś niewiastą. Na duchy przodków, nikt się nie zorientował. Mieszkałaś tu ze mną pod jednym dachem, na statku z tą bandą niewyżytych szubrawców... I wszystkich udało ci się bałamucić przez tyle lat.

W jej głosie dało się słyszeć podziw. Mówiła bardzo szybko, grzebiąc jedno-cześnie w jednym z kufrow, w których trzymała swoje odzienie. Stanęła przede mną z naręczem kolorowej tkaniny i posłała mi ciepły uśmiech.

– Javier mi pomagał – odezwałam się nieśmiało, czując ścis-kanie w piersi na samo wspomnienie przyjaciela.

– Tam, do licha! Ty nawet mówisz! – Zdumiała się. – Zatem jak cię zwać, dziec-ko?

– Francisca, señoro – odparłam uprzejmie.

Mimo że minęło sześć lat, odkąd bywałam wśród wyższych sfer, nadal pamiętałam o dobrych manierach i zasadach savoir-vivre’u wpajanych mi przez matkę i señorę Morenę.

– Mów mi „Lerate”, Francisco. Chyba że wolisz „*mamá*”, tak jak mówią chłopcy. Odkąd tylko pojawiłaś się w mojej chacie, traktowałam cię jak swoje dziec-ko.

Chłopcy... Ogrom miłości, który zawarła w tym słowie, sprawił, że w moich oczach zaszkliły się łzy. Broda zaczęła mi drżeć.

– Co cię trapi, dziec-ko? – spytała.

Wybuchnęłam niepohamowanym płaczem. Wszystko mnie przerosło. Pod wpływem jej matczynego ciepła przytłoczyły mnie wszystkie tragiczne wydarzenia z tych sześciu lat. W końcu znalazł się ktoś, komu mogłam powierzyć ten ciężar. Ktoś, kto mógł wysłuchać moich wspomnień i postarać się zrozumieć szalejące we mnie sprzeczne emocje, z którymi nie umiałam sobie sama poradzić. I może będzie potrafiła mi wytłumaczyć, jak można chcieć oddać serce komuś, kogo powinno się nienawidzić.

– Skrzywdzili cię? – spytała podejrzliwie. – Który z moich synów cię skrzywdził? Cruz?! Zmusił cię?! Po nim można się...

– Nikt mnie nie skrzywdził, señoró – odparłam cicho, starając się opanować płacz.

– Jeśli... – Zaczęła przybierać srogą minę.

– Nie, Lerate – przerwałam jej. – Nadal jestem nietknięta.

– Czyli dobrze wychowałam tych trzech szelmów. – Chwyciła się pod boki, wciąż w jednej ręce trzymając szaty.

Przytaknęłam, siląc się na uśmiech. Zastanawiałam się, czy dalej będzie tak uważała, gdy pozna całą moją historię. Nie chciałam jednak dłużej dusić jej w sobie. Czułam, że oto nadszedł kres tajemnic. Nim jednak zdołałam otworzyć usta, Lerate chwyciła mnie za dłoń i pociągnęła za sobą.

Wyszliśmy z chaty i skierowałyśmy się w stronę jeziora. Gdy dotarłyśmy na miejsce, Lerate kazała mi się wykąpać. Ostrożnie umyła mi plecy, mruczając pod nosem coś w suahili. Domyśliłam się, że zapewne złorzeczy na tego, kto mnie wybatożył. Na wysuszoną skórę ponownie nałożyła mi mazidło, a następnie podała mi czystą koszulę oraz długą wielo-barwną spódnice, która miała rozcięcia po bokach. Nie krępowała ruchów, jednak czułam się w niej niezręcznie. Podeszłam do brzegu jeziora i zerknęłam w jego taflę. Mokre kosmyki połas-kotały mój policzek. W zniekształconym odbiciu dostrzegłam lekko przestraszone zielone oczy. Śnieżnobiały materiał koszuli wyraźnie kontrastował z opalonym licem. Dawno nie przypatrywałam się swojemu odbiciu, raczej go unikałam. A teraz ze zdumieniem odkryłam, jak bardzo się zmieniłam. Nie sądziłam, że mogę wyglądać tak... ujmująco.

Gdy wróciłyśmy do chaty, Lerate chwyciła pokancerowany grzebień i z namaszczeniem rozczesując nim moje włosy, odezwała się wreszcie:

– To może zacznij od początku. Skąd wzięłaś się na pokładzie statku Marcosa? To znaczy...

Dobrze wiedziałam, co miała na myśli. Znała historię, jednak najwidoczniej nie potrafiła umieścić mojej osoby w tym całym chaosie. W końcu przez ostatnie lata -udawałam chłopca.

– Jestem Francisca Rodrigo Lopez – oznajmiłam.

Gdy tylko to wyznanie opuściło moje usta, dłoń Lerate na moment znieruchomiała, ale po krótkim zawahaniu ponownie wróciła do wcześniejszej czynności.

– Jesteś tą, której tyle lat szukał Marcos, by wypełnić ostatnią wolę André... – wyszeptała.

– Tak – potwierdziłam. Sama nie pojmowałam, dlaczego wciąż żyję. – Żeby uchronić mnie od śmierci, Javi wymyślił, że zrobi ze mnie chłopca okrętowego. Wiedział, że piraci raczej nie mordują załogi, i liczył, że fortel się uda. Nikt z nas wtedy nie przypuszczał, że pozostaniemy na pokładzie przez tyle lat. Ja byłam tylko przerażonym dziec-kiem, a Javier przysiągł mojej

matce, że ocali mi życie.

– Gdzie jest zatem twój przyjaciel Javier?

– Zrejterował i uciekł na hiszpańskim galeonie. – Moje oczy wypełniły się łzami. – Zostawił mnie...

Wytężyłam wszystkie siły, by się nie rozplakać. Przed oczami miałam swojego przyjaciela, swojego anioła stróża, jak wpatruje się we mnie lekceważąco, a potem ucieka ze statku.

Po prawdzie nie zasługiwał na ani jedną moją łzę. „Ocaliłem twoje życie. Przyszedł czas na spłatę długu” – te okrutne słowa były niezbitym dowodem, że nie zasługiwał na moją przyjaźń. A mimo to za nim tęskniłam.

– Lękałam się, że mnie zabiją... To, co mówili, kiedy wszystko wyszło na jaw... Wyskoczyłam za burtę. Wolałam utonąć, niż... – Wzięłam głęboki wdech. – Marcos skoczył za mną i mnie wyciągnął – dodałam wtulona w objęcia Lerate, która zaprzestała czesania i ostrożnie przygarnęła mnie do siebie.

W jej ramionach czułam się tak bezpiecznie jak w chwilach, kiedy przytulała mnie Kamaria. To kuriozalne, że matkę zastępowały mi zupełnie obce osoby.

Nagle Lerate chwyciła mnie za ramiona i odsunęła od siebie, żeby spojrzeć mi prosto w oczy.

– Dlaczego cię wychłostano?

Otworzyłam usta, żeby odpowiedzieć, ale weszła mi w -słowo.

– Jak Marcos mógł na to pozwolić?! Podnieść rękę na niewiastę, toż to...

– Ukradłam żaglowe płótno, bo krwawiłam. To z tej przyczyny odkryto moją tożsamość. Zostałam ukarana zgodnie z kodeksem. Marcos i tak zarządził najłagodniejszy jej -wymiar...

– Marcos cię wybatożył?! – Ton jej głosu był surowy i pobrzmiwało w nim niedowierzanie.

– Gdyby tego nie zrobił, straciłby szacunek załogi. Nie żywię do niego urazy, ale...

– Ale? – ponagliła.

– Nie umiem poradzić sobie z tym, co się tu dzieje. – Wskazałam palcem swoją głowę. – Powinnam go nienawidzić... Zabił mi rodziców... I na początku się go bałam. Przerazał mnie do cna. Nie spuszczał z oka. Teraz mam świadomość, że od początku wiedział, kim jestem, i czekał tylko na moje potknięcie. Tyle że przez te sześć lat wszystko się zmieniło... Marcos się zmienił. Zrobił się dla mnie... miły. Nie pozwolił mnie zabić, mimo że jestem „diablim balastem”...

Nie wspominałam jej o tym, że znalazłam jego rysunki ani że mnie pocałował, co wywołało we mnie istny sztorm uczuć. Nie mogłam zaprzeczyć emocjom, które mną targały, kiedy czułam smak jego ust. *Powinnam go nienawidzić, bo zabił moich rodziców.* Tylko że moje ciało i serce uważały zgoła inaczej.

– Francisco, popatrz na mnie.

Podniosłam wzrok i napotkałam jej ciemne tęczówki. Nie potrafiłabym określić, jaki miały kolor, lecz przypominały -niebo pozbawione blas-ku gwiazd.

– To mój syn. Bardzo go kocham, ale miej się na baczności. Marcos może i jest urodziwy, może i potrafi zauroczyć, jednak to tylko mężczyzna. A im zależy wyłącznie na jednym.

– Jestem tego świadoma – odparłam, wpatrując się w swoje stopy. – Javier zażądał TEGO jako zapłaty za pomoc! – warknęłam wzburzona, bo nagle pojęłam, jakim był draniem.

– Jeśli tak, to nie zasługiwał na twoją przyjaźń ani tym bardziej na to, byś po nim płakała. – Pogłas-kała mnie czule po policzku. – Twoja rodzina jest tutaj. – Wykonała kolistą ruch ręką.

Jej słowa mnie wzruszyły. Rzuciłam się jej w objęcia i przytuliłam mocno. Przeniosłyśmy się na zewnątrz, do miejsca, gdzie stał ogromny stół, przy którym niewiasty zwykły przygotowywać wieczerze. Czułam się niezręcznie, kiedy Lerate tłumaczyła wszystkim moją zagmatwaną historię, ale po chwili okazało się, że zupełnie niepotrzebnie. Gdy jedna z najstarszych mieszkanki wioski jako pierwsza wzięła mnie w objęcia i wyszeptwała: „Witaj w domu”, wiedziałam, że tak właśnie będę się teraz czuć. Jak w domu.

*

Zmierzczało, kiedy wszyscy zaczęli się zbierać wokół rozpalonego na środku ogniska. Służyło ono bardziej jako miejsce przekazywania sobie opowieści zasłyszanych w portach, które odwiedziliśmy, niż jako miejsce przygotowywania posiłku. Dzikie świnie opiekano na pomniejszych paleniskach, by wszyscy otrzymali ciepłe mięso na czas. Tęskniliśmy za świeżą żywnością, szczególnie że ostatnia flauta dała nam ostro w kość. Chociaż podczas przygotowań podjadałam krojone warzywa i próbowałam smaku fufu⁷³ oraz sosu z dodatkiem zielonej okry, skręcało mi trzewia, kiedy do nozdrzy dotarł zapach pieczonego świniaka.

Wielkie gliniane garnce gorącej stawy pomogli nam zanieść mężczyźni, którzy pierwsi zeszli z pokładu Lerate. Wiedziałam, że nie próżnowali i od razu zabrali się do naprawy uszkodzonych masztów. Gdy kładłam na stole wielkie kulki fufu, usłyszałam przeciągły gwizd. Odwróciłam się w stronę jego źródła i zamarłam. Bracia Noir stali w niedalekiej odległości i obserwowali mnie z zainteresowaniem. O ile w oczach Cruza dostrzegłam zwyczajowe rozbawienie, a wzrok Severa jak zawsze zdawał się przewiercać mnie na wskroś, o tyle pod naporem spojrzenia Marcosa moje policzki pokryły się rumieńcem. Jego bursztynowe oko zdawało się mnie rozbierać. Odwróciłam się pospiesznie i udawałam, że bardzo interesują mnie liście bananowca, służące nam za prowizoryczne talerze.

– No, powiem ci, Paco – usłyszałam wesoły głos środkowego z braci – że w tej wersji podobasz mi się znacznie bardziej. Co nie, kamraci?! – wrzasnął głośno, a odpowiedział mu chór męskich głosów.

Najwyraźniej wszyscy zaczęli się już zbierać do posiłku. Poczułam nagłą potrzebę, by się ukryć. Teraz, kiedy stałam na placu koło ogniska i czułam na sobie zaciekawione spojrzenia niemalże wszystkich mieszkańców Wyspy, zaczęłam tęsknić za byciem nierzucającym się w oczy Paco. Po chwili dołączyły do mnie pozostałe niewiasty, przynosząc resztę potraw. Garbiąc się i rozglądając niepewnie, postanowiłam ukryć się między drzewami. Nie zdążyłam ująć nawet kilku kroków, gdy poczułam czyjąś dłoń na karku. Nie byłam przyzwyczajona do dotyku. Obróciłam się gwałtownie i wyswobodziłam, posyłając natrętowi karcące spojrzenie. Przed sobą zobaczyłam postać Marcosa. Na jego obliczu wykwitł lekko kpiący uśmiešek. W dłoni trzymał bukłak, zapewne z rumem.

– Dokąd to, Francisco?

Na ognie świętego Elma... To, co jego głos robił z moim imieniem, przyprawiało mnie o szybsze bicie serca i rozpałało dziwną, nieznaną potrzebę w dole brzucha. Podobną do tej, którą czułam, kiedy podczas fechtunku przygniótł mnie całym ciałem do pokładu. Przygryzłam wewnątrz policzka i starałam się nie odwracać wzroku, mimo że wszystko w środku mnie krzychało, że powinnam czym prędzej odejść. „Miej się na baczności. To tylko mężczyzna. A im zależy wyłącznie na jednym”.

Jego dłoń musnęła moją, aż nasze palce się splotły. Westchnęłam cicho, czując przyjemne ciepło jego skóry. Nie chciałam, żeby mnie puszczal. Przelknęłam gulę w gardło i zaczerwieniona przeniosłam spojrzenie na jego przystojną twarz, przesuając wzrok od złotego oka aż po spierzchnięte usta. Pamiętałam to uczucie, kiedy napotkały moje i kiedy drażniły moją

skórę...

– Marcosie! – Przepętniony ledwie wyczuwalną surowością głos Lerate przywrócił mnie do rzeczywistości. – Pozwól do mnie na chwilę.

Posłusznie, acz z wyraźnym ociąganiem ruszył w stronę matki. Miałam ochotę krzyknąć, żeby tu wrócił i znów wziął mnie za rękę. Nic więcej. Pragnęłam tylko dotyku jego cieplej skóry na swojej dłoni.

73 Fufu – potrawa przyrządzana z mąki maniokowej lub kukurydzianej, typowa dla kuchni afrykańskiej i karaibskiej.

CHOMIKO - WARNIA

Piętnasta szklanka

„Na miejskim targu Dublina, gdzie piękne niewiasty zastaniesz,

Gdziem po raz pierwszy ujrział słodką Molly Malone,

Popychała swą taczkę wzdłuż wąskich i szerokich ulic,

Wrzeszcząc: »Żywe małże i omułki, ach, żywe!«”.

Cockles and Mussels, szanta

Marcos

Niech mnie piekło pochłonie!

Stanąłem jak wryty, kiedy zobaczyłem ją krzątającą się przy jednym ze stołów ze strawą. Kolorowa jedwabna spódnica rozcięta po bokach przy każdym ruchu odsłaniała jej długie, zgrabne nogi, których nie miałem okazji wcześniej podziwiać, bo wciąż odziewała je w pantalony. Włosy puściła luźno, przewiązując je wstążką, by nie opadały na oczy. W wyobraźni widziałem, jak zacis-kam na nich pięść, by nakierować jej usta na swoje. Ciągle czułem na języku jej słodki smak.

– Ahoj, ziemia na horyzoncie! – wrzasnął mi do ucha Cruz, pstrykając palcami tuż przed moim nosem.

Odepchnąłem jego dłoń. Miał już nieźle w czubie, a mimo to nadal nie rozstawał się ze swoim bukłakiem. Ja też postanowiłem sobie pofolgować i po raz pierwszy od niepamiętnych czasów zaopatrzyłem się w rum. Cruz gwizdnął przeciągle, aż zaboląły mnie uszy. Francisca odwróciła się w naszą stronę i zamarła. Tak jak ja. Miałem wrażenie, że ktoś zdzielił mnie obuchem w łeb. Ona nie była piękna. Jej uroda dosłownie zapierała dech w piersiach. Była jak prąd wsteczny, który wciąga cię głębiej i głębiej, aż nie jesteś w stanie wypłynąć. Tonąłem. Nie mogłem oderwać od niej wzroku, pod którego naporem spłonęła się, a potem pospiesznie odwróciła. Udawała, że pochłania ją układanie sterty liści bananowca. Na moich ustach wykwitł szelmowski uśmieszek. Nie miałem wcześniej do czynienia z nieśmiałą niewiastą i czułem, że zdobycie jej będzie zaiste dobrą zabawą.

– No, powiem ci, Paco – wybełkotał Cruz do Francis-ki między jednym a drugim łykiem rumu – że w tej wersji podobaś mi się znacznie bardziej. Co nie, kamraci?! – wrzasnął głośno, a gromadzący się wokół ognia mężczyźni ochoczo odpowiedzieli.

Widziałem, jak dziewczyna zaczyna się kulić, i czekałem, aż będzie próbowała czmychnąć. Kiedy przy stole zebrały się pozostałe niewiasty, cichaczem – myśląc, że nikt tego nie spostrzeże – ruszyła w stronę drzew. Pociągnąłem łyk rumu dla kurażu i ruszyłem za nią. Kiedy byłem na wyciągnięcie ręki, lekko złapałem ją za kark. Obróciła się krewko i wyswobodziła, posyłając mi wrogie spojrzenie. Uśmiechnąłem się kpiąco.

– Dokąd to, Francisco? – wymruczałem, a jej policzki zrobiły się jeszcze bardziej czerwone.

Mimo to nie odwróciła wzroku. Ostrożnie, nie chcąc jej spłoszyć, dotknąłem jej dłoni, a kiedy nie zaoponowała, spłotłem jej palce ze swoimi. Skóra przyjemnie mrowiła pod wpływem tego dotyku. Spostrzegłem, że jej spojrzenie zatrzymało się na moich ustach.

Do stu piorunów!

Tak bardzo pragnąłem znów poczuć jej wargi na swoich.

– Marcocie!

Omów nie jęknąłem, kiedy poirytowany głos matki dotarł do moich uszu.

– Pozwól do mnie na chwilę.

Nie chciałem odchodzić, do czorta! Nie chciałem puszczać dłoni dziewczyny i czułem, że ona też tego nie chce, ale zdawałem sobie sprawę, że Lerate nie da mi spokoju. Kochałem swoją matkę, ale potrafiła być naprzykrzającym się wrzodem na rzyci. Z ociąganiem ruszyłem w jej kierunku. Dłonie zwinięte w pięści oparła na szerokich biodrach i posłała mi karcące spojrzenie. Podszedłem bliżej i racząc się przyjemnie palącym gardło rumem, czekałem na nadciągającą tyradę.

– Wiedziałaś od początku, prawda?!

– Zamierzasz prawić mi morały, jak powinienem postępować ze SWOJĄ załogą na pokładzie SWOJEGO okrętu, *mamá*? – obruszyłem się.

– Skazałaś ją na potworny los...

– Nie zauważyłem, żeby utys-kiwała. – Wzruszyłem ramionami, starając się wytrzymać karcące spojrzenie.

– Prawie zginęła, gdy...

– Mogłem zabić ją od razu! – zachnąłem się. – Wiedziałem, kim jest. Darowałem jej życie. Ba, pozwoliłem zobaczyć Wyspę, wiedząc, że pewnego dnia może czmychnąć. Więc wytłumacz mi z łas-ki swojej, dlaczego jesteś na mnie zła!

– Wychłostałaś ją! – odezwała się Lerate z wyrzutem. – Podniosłaś rękę na niewiastę! Twój ojciec...

– Nie mieszaj do tego ojca! – rzuciłem gwałtownie. – Nie było cię tam, *mamá*! Nie masz pojęcia, jak wyglądała sytuacja...

– Francisca wszystko mi opowiedziała! – wycodziła przez zaciśnięte zęby. – I nie pojmuję, jak może nie żywić do ciebie urazy po tym wszystkim, co ją spotkało!

– Bardzo szanuję twoje zdanie, *mamá* – odparłem, siląc się na spokój – aliści obowiązywały ją takie same zasady jak każdego członka mojej załogi. Podpisała kodeks własną krwią. A ja jestem sprawiedliwy. Powinna wylądować za burtą! Byłem nad wyraz łas-kawy...

– Łas-kawy?! Doprawdy...?!

– Skazałem ją na dziesięć batów. Wybrałem ferule. Samodzielnie dokonałem chłosty. Wyobraź sobie, jak by wyglądała, gdybym pozwolił na to komuś innemu. Gdyby karę wymierzono córką kapitana!

Przez moment milczała, zacis-kając gniewnie usta i marszcząc brwi. Często dostrzegałem dokładnie ten sam grymas u siebie. Dezaprobata. Tak, to było odpowiednie określenie.

– Widzę, co się święci, Marcocie! Przestań bałamucić tę biedną dziewczynę! – Zniżyła głos do rozeźlonego szeptu.

– A więc o to chodzi. – Zaśmiałem się w głos, a ona w odpowiedzi dźgnęła mnie palcem w klatkę piersiową.

– Mam nadzieję, że jej nie skrzywdzisz! To jeszcze dziec-ko! – wysyczała.

Byłem zgoła odmiennego zdania, ale zachowałem je dla siebie. Pierwszy raz widziałem swoją matkę tak rozsierdzoną.

Rozejrzałem się w poszukiwaniu dziewczyny, która ukryła się w leśnej gęstwinie. Dotychczas nigdy nie siadała przy ognis-ku. Zamierzałem to czym prędzej zmienić. Nie musiała się już chować. Nie chciałem, żeby się chowała. Za to pragnąłem, by wszyscy widzieli, że należy do mnie.

– Zaprawdę powiadam ci, zacznij stawiać sobie chatę. – Cruz podszedł i klepnął mnie w ramię odrobinę za mocno. – Czy odniosłem dobre wrażenie, że *mamá* postanowiła stać na straży cnoty naszego Paco?

– Nie nazywaj jej tak! – warknąłem. – Ma na imię Francisca!

– U hu, hu, hu! – zawył mi tuż koło ucha, chwiejąc się i rechocząc w głos. – Lerate ma nosa, nie ma co...

Zignorowałem go i pociągnąłem spory łyk z bukłaka. Zaczynałem odczuwać przyjemne otępienie. Ramię Cruza oplotło moją szyję i brat pociągnął mnie na bok. Ledwie trzymał się na nogach.

– Powiedz mi, mój „Złotooki Chłopcze”... – zadrwił, używając przydomka nadanego mi przez kurtyzany – posiadłeś ty kiedyś taki apetyczny kasek, jakim jest cnotka?

– Nie będę z tobą rozprawiał na temat swoich uciech, Cruzie... Znajdź sobie inną ofiarę.

– Bo wiesz, mógłbym ci udzielić kilku cennych wskazówek... – Poruszył znacząco krzaczastymi brwiami.

– Nie rozśmieszaj mnie.

– Z moich wnikliwych obserwacji wynika, że chędożyłeś tylko kurtyzany, które nie wymagały zbytniego poświęcenia z twojej strony. Jeśli zamierzasz tak podejść do señority Rodrigo, to, no cóż, serdecznie jej współ-czuję.

– A co ty możesz na ten temat wiedzieć?!

– Jak myślisz, dlaczego do mnie wracają? – spytał, a jego spojrzenie nagle stało się zadziwiająco trzeźwe. – Bo dają im to, czego nie dają im mężowie. Wiem, jakie są ich potrzeby. Dostrzegam znaki wysyłane przez ich ciała. Słucham szeptów wypowiedzianych pod wpływem rozkoszy, jakiej doświadcniają. To jest jak sztuka, jak... jak twoje rysowanie. Ja jestem węglem, a one moim pergaminem.

Niech skonam, jeśli to nie była najrozsądniejsza wypowiedź mojego brata, jaką słyszałem!

– Nie powinieneś zmienić trunku? – szydziłem.

– Będzie ją bolało. Cholernie! – odparł, jakby nie dosłyszał mojego komentarza. – Więc musisz o nią zadbać, sprawić, by twoje dłonie i usta posłały ją ku niebiosom, by nie skupiała się na bólu... Inaczej nie wróci do ciebie, za to ja... – na jego twarzy pojawił się grymas błógiego uniesienia – ja z chęcią się nią zaopiekuję. – Roześmiał się pijac-kim rechotem.

– Jeśli ją tkniesz... – Złapałem go za koszulę i przysunąłem jego twarz do swojej, tak że czułem przesiąknięty alkoholem oddech.

– Smakowałeś kiedyś niewiastę? Ale tak prawdziwie? – spytał, a w jego oczach pojawił się ogień. – To zacznij od tego. Posmakuj jej... – Zamknął powieki, a jego twarz ponownie przybrała rozmarzony wyraz. – Tylko wszędzie, bracie. Wszędzie...

Puściłem go, popychając lekko. Zachwiał się i ruszył chwiejnym krokiem w stronę jednego z pieczonych nad ogniskiem świniaków. Jego słowa nie dawały mi spokoju. Morska dupa istotnie miał rację. Nigdy nie byłem z dziewicą, a wewnętrzny głos podpowiadał mi, że o tej kwestii akurat Cruz może mieć jakieś pojęcie. W końcu chędożył każdą, która wykazała jakie-kolwiek zainteresowanie jego osobą.

– Chyba ma na dzisiaj dosyć. – Głos Severa rozległ się znikąd, przygotowując mnie o szybsze bicie serca.

Mój najstarszy brat potrafił się poruszać bezszelestnie niczym wąż. Uścisk też miał niczym boa dusiciel. Nie chciałem być na miejscu jego ofiar, które ginęły w męczarniach, nie mogąc złapać ostatniego tchu.

– To mu to powiedz.

– Też miarkujesz, że zapija przeszłość?

Wzruszyłem ramionami i spojrzałem w kierunku podpitego brata. Właśnie objął rękoma dwóch kamratów ze swojego okrętu i opierając się o nich, ruszył w kierunku beczek z rumem. Cruz miał swoje mroczne tajemnice, którymi nigdy się z nami nie podzielił. Wiedzieliśmy tylko tyle, że przez dziesięć lat wychowywała go kurtyzana. Znając okrucieństwo niektórych kamratów, domyślałem się, czego naoglądał się jako chmyz. A odkąd pamiętam, alkohol traktował niczym wodę. Miałem wrażenie, że pochłaniał go jeszcze więcej po śmierci ojca. Jakby czuł się winny.

– Może powinniśmy zmusić jego załogę, żeby umieszczali w beczkach grog, a nie rum?
– zaproponowałem.

Rozcieńczony wodą rum może i tracił walory smakowe, jednak patrząc na Cruza, obawiałem się, że pewnego dnia po prostu zachleje się na śmierć.

– Musimy ruszyć na północ. Niezwłocznie. – Słowa Severa wywołały we mnie irracjonalny lęk. – Marcosie... Nie pływaliliśmy po wodach Morza Irlandzkiego, odkąd zginął ojciec. Rozmawiałem z mieszkańcami Wyspy. Wulkan odzywa się coraz częściej, a wstrząsy są coraz silniejsze. Musimy...

– Wiem, co musimy, Severze! – warknąłem, zacis-kając pięści.

Wspomnienie bitwy, która rozegrała się na Morzu Celtyckim pomiędzy flotą hiszpańską a naszymi trzema okrętami, na zawsze wryło mi się w pamięci. Zginęło wtedy wielu kamratów i tylko cudem udało się nam ocalić okręty. Czego nie można powiedzieć o naszym ojcu. Zapłacił za tę wyprawę życiem. Odruchowo dotknąłem blizn na policzku. Pamiętałem ból rozcinanej skóry, jakby to było wczoraj. Byłem wtedy takim gówniarzem. Wydawało mi się, że jestem niepokonany. Niemalże nieśmiertelny. Tamta bitwa morska uświadomiła mi, w jak ogromnym byłem błędzie. Moja buta omal nie doprowadziła i do mojej śmierci.

– Marcosie...

– Zrobimy, co będzie trzeba, bracie – zapewniłem go, spoglądając mu prosto w oczy. Dostrzegłem w nich troskę.

Severo zawsze się o wszystkich troszczył i z nas trzech był najspokojniejszy. Był nam niczym drugi ojciec.

– Chciałem spytać o tę dziewczynę... Rozmówiłeś się z załogą?

– Tak. Francisca dostała dziesięć batów. Zgodnie z kodeksem. Sam wymierzyłem karę. Moja załoga ma mnie słuchać, a jeśli im się nie podoba, zawsze mogą się przenieść na wasze okręty.

– Marcosie, powinieneś wysłuchać ich racji...

– Wysłuchałem, do czorta! – prychnąłem, wzruszając ramionami.

– Chciałbym po prostu zrozumieć, co się nagle zmieniło. – Nie ustępowałem. – Mam ci przypomnieć, że to ty pierwszy poprzysiągłeś, że ją zabijesz, gdy tylko ją znajdziesz? Ostatnie słowa ojca...

– Wiem, do krośset, jak brzmiały ostatnie słowa ojca, Severze! Byłem tam! Patrzyłem, jak go wieszają! W przeciwieństwie do ciebie!

Nie musiałem widzieć twarzy brata, żeby wiedzieć, że przesadziłem. Gdyby wtedy nie walczył o życie, tkwiłby w Doku Straceń razem ze mną i z Cruzem. Czekałem, aż mi przyłoży. Należało mi się. On jednak tylko ciężko westchnął.

– Nie mogłem pozwolić na to, by wyrzucili ją za burtę. Ja...

– Nie skrzywdź jej, Marcosie – wszedł mi w słowo. – Mężczyźni z rodu Noirów mają to w genach...

– Co to, u licha, znaczy...? – Chciałem, żeby wytłumaczył mi to dziwne stwierdzenie,

ale już szedł w stronę ognis-ka.

*

Stała oparta o pień palmy kokosowej i obserwowała buchające na kilka metrów w górę płomienie głównego ognis-ka. Nie mogłem się na nią napatrzeć. Mógł-bym tak sterczeć i przyglądać się jej bez końca. Teraz była prawdziwą Franciscą. Nie wiedziała, że ktoś bacznie się jej przypatruje, więc zachowywała się naturalnie. Widziałem, jak jedną z dłoni trzyma przy twarzy, zapewne obgryzała paznokcie. Zastanawiałem się, czy gdyby nie została zmuszona do ukrywania się, byłaby kimś zupełnie innym. Czy stałaby się pewną siebie niewiastą, czy może bojaźliwość leżała w jej naturze? A może to przezorność? Przecież do końca nie mogła być pewna, czego się po nas spodziewać. Być może podświadomie czuła, że ja jej nie skrzywdzę, ale reszcie załogi nie mogła ufać. W końcu chcieli wyrzucić ją za burtę na środku Atlantyku. Z pewnością nie była tchórzem. Nikt tchórzliwy nie zdobyłby się na to, co zrobili z Javierem. W zasadzie dopiero niedawno dotarło do mnie, że wtenczas była tylko przerażonym dzieckiem. A ja, kiep, miałem satysfakcję, obserwując, jak niemalże czołga się z wysiłku, starając się -doszorować pokład. Łajdak ze mnie. I nie mogłem zaprzeczyć, że była dobrym marynarzem.

Ruszyłem w jej stronę, ostrożnie rozsuwając zaroś-la i krzewy. Stąpałem cicho, by mnie nie usłyszała. Kiedy stanąłem za jej plecami, zbliżyłem głowę tak, by móc wyszeptać prosto do jej ucha:

– Nie powinnaś przebywać w lesie po zmroku.

Podskoczyła i krzyknęła przestraszona, odwracając się gwałtownie. Dłoń przyłożyła do piersi i dostrzegł-szy, że to ja, starała się uspokoić.

– Przestraszyłeś mnie – odezwała się drżącym głosem.

– Las nie jest bezpieczny nocą, Francisco.

Głośno westchnęła i wbiła wzrok w swoje stopy, wystające spod długiej spódnicy. Ramiona miała opuszczone wzdłuż ciała i widziałem, jak w drobnych piąstkach miętoli kolorowy materiał.

– Dla mnie nigdzie nie jest bezpiecznie, Marcosie.

Powiedziała to tak cicho, że przez moment miałem wrażenie, że sobie to wyobraziłem.

– Nikt nie zrobi ci krzywdy...

– Czyżby? – Podniosła głowę i wbiła we mnie wzrok. – Twój kamraci nie byli szczęśliwi, kiedy nie przystałeś na to, by się mnie pozbyć! – warknęła, a gdy zdała sobie sprawę, w jaki sposób się do mnie odezwała, pobladła. – Wybacz...

– Nikt nie zrobi ci krzywdy – powtórzyłem dobitnie. – Mnie także nie musisz się obawiać.

– Nie ciebie się lękam – odparła, a jej policzki zaczęły się rumienić. – Boję się tego, co we mnie wywołujesz.

– A co w tobie wywołuję? – Zbliżyłem się do niej tak, że niemal stykaliśmy się czołami.

Nie odpowiedziała, ale też nie przerwała kontaktu wzrokowego. Blask ognis-ka rzucał lekkie światło na jej lico i widziałem, że jeszcze bardziej spąsowiała. Odszukałem jej rękę, moje palce musnęły wewnątrz jej dłoni. Byłem tak blis-ko, że czułem, jak jej ciałem wstrząsnął dreszcz. Moje palce powędrowały wyżej. Mus-kałem jej ramię przez materiał koszuli, przesuwając dłoń w górę i w dół jej ręki, a jej oddech z każdym ruchem robił się cięższy, dokładnie tak jak mój. Kiedy moja dłoń znalazła się na jej karku, przymknęła powieki.

– Patrz na mnie – wychrypiałem.

Posłusznie otworzyła oczy i wbiła we mnie zakłopotane spojrzenie. Wsunąłem palce w jej włosy i zbliżyłem usta do jej warg. Mimowolnie przejechała po nich językiem. Zdusiłem jęk,

musiałem pamiętać, że była ode mnie znacznie młodsza. I nieświadoma. Czułem, jak wplata palce w moje włosy, przyłgnąłem do niej ciałem i już miałem złączyć nasze usta, gdy od strony ognis-ka zabrzmiał śpiew:

– „Pływał raz marynarz, który chuja miał jak trzy armaty i wytryskiem z tej giwery zatapiał fregaty”⁷⁴.

Oboje parsknęliśmy śmiechem, słysząc pijackie zawrośnięcie Cruza, który przygrywał sobie na gitarze gwizdniętej podczas jakiegoś abordażu.

Zastanawiałem się, kiedy mojemu bratu skończą się pomysły na kolejne zwrotki tej szanty. Straciłem rachubę przy trzydziestej, a każda kolejna była coraz bardziej sprośna. Popatrzyliśmy na siebie i Francisca przyznała nieśmiało:

– Nie lubię, jak na mnie patrzą.

– To będziesz musiała się przyzwyczaić. – Chwyciłem ją za dłoń i pociągnąłem w stronę zgromadzonej gawiedzi.

W miarę jak zbliżaliśmy się do ognis-ka, oczy wszystkich zaczęły się zwracać w naszą stronę. Usiadłem na swoim zwykłym miejscu. Przewrócone wyheblowane pnie drzew służyły nam za ławki. Bez zwłoki wciągnąłem Franciscę na swoje kolana. Wyczułem, jak się spięła, a jej dłoń zacisnęła się na mojej. Nie patrzyła na mnie. W zasadzie nie patrzyła na nikogo, tylko wbiła wzrok w płomień. Podano nam strawę. Z rozkoszą zatopiłem zęby w soczystym udźcu. Podczas rejsów najbardziej brakowało mi smaku świeżo pieczonego mięsa. Czułem bijące od Franciszki ciepło, kiedy siedziała na moich kolanach i palcami skubała swoją porcję. I nagle dotarło do mnie, jakie to właściwe. Że w zasadzie to jest miejsce, w którym powinna była się znaleźć od samego początku. Pojąłem, jakim byłem skończonym kiepsem, bo gdyby nie jej siła i determinacja, nie byłoby jej teraz tutaj. Przypomniałem sobie, jak podczas pierwszego rejsu zasłała. Miałem teraz przed oczami ten moment, jak osuwa się wraz z ciężkimi wiadrami wody i upada, uderzając policzkiem o dek.

– Francisco – wyszeptałem, a ona zwróciła na mnie swoje duże zielone oczy, które w świetle płomieni mieniły się kilkoma barwami.

Była tak diabelnie piękna. Wiedziałem, że wypity rum zdążył już uderzyć mi do głowy, a mimo to nigdy wcześniej nie czułem się tak trzeźwy. Wszystkie dźwięki dookoła nas ucichły, kiedy wpatrywaliśmy się w siebie. Na spłonionej twarzy dziewczyny pojawił się lekki uśmiech i wtedy ją pocałowałem. Mimo że to nie był nasz pierwszy pocałunek, odczułem go najintensywniej ze wszystkich. Serce galopowało mi w piersi niczym narowisty ogier podczas szaleńczego biegu. Objąłem dłońmi jej rozgrzane policzki i zatraciłem się w tym, co się między nami działo. Nie obchodziło mnie, że dookoła nas zrobiło się naprawdę cicho. Miałem wrażenie, że nawet bierwiona przestały trzaskać w ogniu. Byliśmy tylko my dwoje. Ja i moja Francisca. Przerwałem pocałunek, a wtedy usłyszałem, jak Cruz szarpie struny i przepitym głosem śpiewa:

– Oooooch! Proszę wszystkich, Marcos szelma życie ocalił niewieście, skończy mu się chędożenie w każdym innym -mieście!

Nie mogłem się powstrzymać i zacząłem się głośno śmiać. Bo byłem szczęśliwy. Prawdziwie szczęśliwy. Popatrzyłem na Cruza, który wyszczerzył zęby w uśmiechu i mrugnawszy do mnie, począł wymyślać kolejną, jeszcze bardziej kuriozalną zwrotkę szanty. Po raz pierwszy w moim życiu wszystko było na swoim miejscu.

⁷⁴ *Morskie opowieści*, szanta, <http://www.morskie-opowieści.kwasniewska.pl/morskie.htm>, dostęp: 14.01.2023.

Szesnasta szklanka

„Szerokich wód przebyć nie zdołam,

A skrzydeł mi brak, by w górę się wznieść.

Daj mi, proszę, łódź, co zmieści nas dwoje,

Byśmy mogli wiosłować, mój ukochany i ja”.

The Water Is Wide, szanta

Francisca

Kiedy miesiąc wszedł wysoko na nieboskłon, w końcu podano nam soczyste mięso. Po tylu dniach spożywania starej przesolonej wołowiny i twardych jak kamień sucharów krucha świeża pieczeń wprost rozpływała nam się w ustach. Siedziałam wtulona w ramiona Marcosa. Opierając głowę na jego torsie, wpatrywałam się w płomienie ognis-ka. Czułam na sobie jego spojrzenie. Moje oczy odszukały jego bursztynową tęczę, w której dostrzegłam palące pragnienie. Ja też pragnęłam znów posmakować jego ust, mimo że moje były nadal nabrzmiałe od pocałunków. Na powrót przytuliłam głowę do jego klatki piersiowej, czując, że moje policzki pokryły się czerwienią.

Uderzono w bębny, a na środek wyszła nasza bajarka Demane. Lubiłam jej opowieści. Snuła je w taki sposób, że słowa zdawały się ożywać i na naszych oczach zamieniać w obrazy.

– Dziś opowiem wam baśń o księżniczce, która straciła włosy. – Zamilkła na moment, a potem, kiedy gwar ustał, tak że słychać było tylko granie cykad i trzask bierwion w ogniu, jej słowa poniosły się wokół nas echem.

Dawno, dawno temu w ciepłej krainie mieszkała nad wyraz powabna księżniczka o włosach tak pięknych, że mieniły się czernią i złotem. Pewnego dnia do krainy przybył szkaradny ptak o piórach zielonych niczym morskie glony. Sfrunął niedaleko księżniczki i przypatrzył się jej swoimi czerwonymi ślepiami. Upodobał sobie włosy księżniczki, jednak ta nie chciała ich oddać. Przepędziła ptaszys-ko, które odlatując, zaskrzeczało:

– Gdy nadejdzie pora sucha, liście z drzew zaczną opadać, a włosy dziewczyny zaczną wypadać z głowy. Gdy przyjdzie pora deszczowa, liście na drzewach odrodzą się, ale czy dziewczynie odrosną włosy?

W istocie wraz z przyjściem pory suchej opadły liście z drzew, a i włosy księżniczki zaczęły wypadać, dokładnie tak jak zapowiedziało ptaszys-ko. Złężniona, pobiegła do ojca i opowiedziała mu o ptaku. Król nie uwierzył córce. Wyśmiał ją tylko. Wraz z nastaniem pory deszczowej pojawiły się liście na drzewach, lecz księżniczce nie urosły nowe włosy. Nadto ostatni włos z głowy właśnie wypadł i dziewczyna została kompletnie łysa. Wyglądała okropnie, a król zmartwił się jej losem. Nie pomogły modły mędrców ni maści czy eliksiry. Księżniczka pozostawała łysa.

Pewnej nocy dziewczynę nawiedził sen: śniła o chłopcu, który tańczył, a podczas tańca siał drzewa. Magiczne drzewa. Ich owoce pękały, a ze środka wypadały ludzkie włosy. Zaraz po przebudzeniu księżniczka opowiedziała sen ojcu, a on niezwłocznie wydał dekret:

– Ten, który odnajdzie drzewo rodzące ludzkie włosy, otrzyma ode mnie mnóstwo złota.

Wśród gawiedzi zawrzało, każdemu bowiem marzyło się bogac-two. W kraju tym mieszkał też chłopak zwany Muoma. Postanowił, że również wyruszy na poszukiwania. Pierwej przemierzył pustynię, później dżunglę, aż dotarł do krainy, gdzie zwierzęta i rośliny mówiły ludzkim głosem. Były tam także drzewa mające oczy i takie, które chodziły. Muoma był dobrej myśli, bo sądził, że znalazł drzewo, którego wszyscy szukają. Niestety. Ruszył przeto dalej, docierając do bezkresnych wód morza. Wyciosał łódkę i wypłynął ku kresowi horyzontu. Płynął i płynął przez wiele dni, aż dotarł do nieznanego lądu. Była to mała wyspa, a na niej rosnęło jedno jedyne drzewo. Muoma myślał, że oto osiągnął cel swej wędrówki, ale i tym razem nie było to drzewo, którego szukał. Podszedł jednak bliżej i okazało się, że jest ono magiczne: było całe ze szczerego złota, a pomiędzy liści wystawały czerwone fasolki. Muoma nazbierał cały płócienny worek fasolek, a następnie, nie tracąc czasu, wskoczył do łódki. Płynął przez długi czas, aż nagle usłyszał ptasi skrzek. Kiedy się obrócił, dostrzegł ptaka z czerwonymi ślepiami siedzącego na krawędzi łódki. Ptak zamachał obrzydliwie zielonymi skrzydłami i przemówił ludzkim głosem:

– Proszę, pomóż mi. Czy możesz mnie nakarmić?

Muoma bez zastanowienia poczęstował zwierzę fasolkami, a gdy ptak się nasycił, zaczął wypytywać chłopca o jego podróż w tak dalekie strony. Chłopiec opowiedział mu o tysej księżniczce i o tym, że szuka drzewa rodzącego ludzkie włosy. Kiedy skończył swą opowieść, ptaszys-ko zaskrzeczało:

– Muszę się przyznać, że to przeze mnie księżniczka wyłysiała, bo nie chciała podzielić się ze mną swoimi włosami. Ale ty mi pomogłeś, więc wskażę ci drogę do drzewa, którego szukasz. Musisz się kierować na wschód. Gdy dotrzesz na ląd, wejdź na ścieżkę pomiędzy palmami. Na samym końcu znajdziesz ogromny kamień. W tym kamieniu będą małe złote drzewiczki, a nad nimi napis: „Wejdzie ten, który wie”. Wtedy musisz zaśpiewać piosenkę. – Ptak zatrzepotał skrzydłami i zaintonował: – „Ja jestem ten, który wie, wie, a rzeka rwie, rwie. Ja jestem ten, który wie. Ja jestem ten, który wie, wie, że wichur dmie, dmie. A rzeka rwie, rwie. Ja jestem ten, który wie”.

Skończywszy śpiewać, ptak natychmiast odleciał, Muoma zaś obrał kurs na wschód. Nic go nie powstrzymało: ni silny wiatr, ni okrutny sztorm. Wreszcie dotarł na ląd. Wszedł na ścieżkę pomiędzy palmami. Na końcu odnalazł ogromny kamień. Obszedł go dookoła, aż dostrzegł małe złote drzewiczki, nad którymi widniał napis: „Wejdzie ten, który wie”. Muoma zaśpiewał zatem przyśpiewkę, której nauczył go obrzydliwie zielony ptak. Gdy tylko ostatnie słowo opuściło jego usta, drzewiczki stanęły przed nim otworem. Chłopiec przecisnął się przez nie, a kiedy się wyprostował, zobaczył przed sobą drzewo pełne ludzkich włosów. Cieszył się, że dotarł do celu. Zebrał dwa pełne worki nasion i włosów, a potem ruszył w drogę powrotną.

Gdy dotarł na dwór króla, dumnie pokazał władcy zawartość worków. Włożyli włosy na głowę księżniczki, a te się zakorzeniły. Dziewczyna zrozumiała, że źle postąpiła, nie pomagając ptakowi. Od tej pory dzieliła się wszystkim tym, co miała. A Muoma? Muoma stał się bardzo bogaty, bo otrzymał nie tylko obiecane złoto, ale i rękę księżniczki. Wyprawiono huczne wesele, na którym wszyscy tańczyli i śpiewali przez siedem dni i siedem nocy...⁷⁵

– To dopiero była hulanka, co nie, kamraci?! – ryknął Cruz, przerywając magię roztoczoną przez bajarkę. Skoczył na równe nogi, chwiejąc się nieznacznie, odepchnął jednego z bębniarzy, po czym wrzasnął: – Muzyka! – Zaczął wybijać szaleńczy rytm, zamykając przy tym oczy i pozwalając całkowicie ponieść się muzyce.

Kilka niewiast podniosło się z ziemi i zaczęło kuszaco kręcić biodrami w takt wybijanych dźwięków. Po chwili do Cruza dołączyli kolejni bębniarze.

– Chodź! – Marcos wstał gwałtownie, wyrывая mnie z transu i ciągnąc za sobą. – Nie mam ochoty na to pijac-kie widowis-ko.

Szliśmy leniwie w stronę piaszczystego brzegu, z dala od zgiełku biesiady i szaleńczych dźwięków kilku djembe⁷⁶. Dłoń Marcosa delikatnie obejmowała moją. Gdy znaleźliśmy się na otulonej nocą plaży, położyliśmy się na ciepłym pias-ku. Ostrożnie ułożyłam się na miękkim podłożu, starając się dobrać wygodną pozycję. Dzięki dziegciowi ś-lady po chłóście nie dokuczały tak bardzo, ale ostatecznie musiałam się położyć na boku. W ciszy obserwowaliśmy niebo usiane gwiazdami. Miesiąc świecił tak jasno, że bez trudu widziałam twarz mężczyzny znajdującego się tuż obok mnie.

– Sądziś, że tam coś jest? – spytałam, przenosząc wzrok na gwiazdozbiory i odnajdując Wielki Wóz.

Znałam niektóre konstelacje jeszcze z czasów, kiedy byłam małą dziewczynką. Ojciec pasjonował się morskimi podróżami i godzinami opowiadał mi o nawigowaniu statkiem. Często, wbrew matce, budził mnie w środku nocy i zabierał na plażę za domem, by położyć się ze mną na ciepłym pias-ku i opowiadać o gwiazdach.

– Moim zdaniem tak. – Nis-ki głos Marcosa zawibrował, całkowicie zagłuszając nikły szum fal. – Sądzę, że kiedyś człowiek znajdzie sposób, by się tam dostać. Słyszałem o dwóch uczonych. Jeden mieszkał w Holandii, nazywał się Lipperhey. Wyobraź sobie, że zbudował urządzenie do obserwacji gwiazd, planet i Księżyca. Niestety jego nazwa mi umknęła. Ojciec wspominał także o Włochu Galileuszu. Myś-lę, że skoro człowiek dokonuje takich rzeczy, niedługo znajdzie sposób, by wzbic się w powietrze.

– Masz bardzo dużą wiedzę – przyznałam.

– A co, spodziewałaś się raczej skorego do bijatyk przygłupa? – Zaśmiał się.

– Chodziło mi o to – zawstydyłam się, bo nie chciałam, żeby uznał moje słowa za przytyk – że piraci zawsze kojarzyli mi się z przygodami i niebezpieczeństwem. Wcześniej nie zdawałam sobie sprawy, ile tak naprawdę wiesz o świecie. Mnie uczono tylko śpiewu, kaligrafii, czytania i francus-kiego, z którego i tak za wiele nie rozumiem. Ojciec czasem pokazywał mi mapy i opowiadał o morskich podróżach, ale ty...

– Odkąd sięgam pamięcią, po chacie i kapitań-skiej kajucie ojca wały się stopy map i przyrządy nawigacyjne, a także księgi. Mnóstwo ksiąg. Ojciec uwielbiał czytać. Postawił sobie za punkt honoru wyrobić w nas ten nawyk. Uczył nas też języków. Wbrew pozorom bycie kapitanem statku, nawet, a może zwłaszcza pirac-kiego, wymaga sporej wiedzy.

Zamilkliśmy. Z daleka było słychać odgłosy biesiadowania, jednak nie przytłumiały one dźwięku naszych spokojnych oddechów i fal uderzających o piaszczysty brzeg. Zdumiało mnie to, jak dobrze mi się z nim rozmawia, tym bardziej że jeszcze parę dni temu byłam dla niego Paco i postrzegałam go jako śmiertelne zagrożenie. Poczułam, jak jego palce zaczęły delikatnie mus-kać skórę mojej dłoni.

– Wiesz – przymknęłam oczy, poddając się temu doznaniu i jedno-cześnie wsłuchując się w szum morza – ten dźwięk zawsze kojarzył mi się z kołysanką. Moja matka nienawidziła odgłosu fal i rugała mnie za każdym razem, kiedy zastawała w moim pokoju okno otwarte na noc. A ja od zawsze kochałam ten rytmiczny dźwięk. Nadal go kocham. Tak jak od zawsze marzyłam o podróżach statkiem – dodałam ciszej.

Słyszałam, jak Marcos się porusza. Spojrzałam w jego stronę i nasze oczy się spotkały. W jego złotej tęczówce błysnęło zaciekawienie. Leżał teraz tak jak ja, na boku, z głową wspartą na łokciu, i przypatrywał mi się z ciekawością skrząca się w jego bursztynowej tęczówce.

– Powiadasz, że mieszkałaś przy plaży?

– Tak.

– To by tłumaczyło, dlaczego umiałaś pływać.

– Pamiętam, jaki byłeś zdumiony, kiedy kilka dni po moim przybyciu tutaj zabrałeś mnie

do szalupy, a potem wrzuciłeś do wody. Sądziłeś, że utonę, a ja bez problemu wypłynęłam. – Uśmiechnęłam się.

A on po prostu na mnie patrzył. Złota tęcza -lśniła w ciemności, a ja odnosiłam wrażenie, że jego spojrzenie jest swego rodzaju pieszczotą. Było czułe i prześlizgiwało się po moim ciele, wywołując przyjemne dreszcze. Moja dłoń powędrowała do szram na jego policzku. Mimo licznych blizn na ciele, pamiątek po ranach odniesionych zapewne podczas walk, był niezwykle przystojny. Nawet pirac-ka przepas-ka na oku nie szpeciła, tylko dodawała mu swoistego uroku.

– Pamiętam je – odezwałam się szeptem, przejeżdżając opuszkami po bliznach.

Przymknął oko i westchnął cicho.

– Pamiętam, jak stałeś pośród tłumu. Byłam dziec-kiem, a jednak ciągle mam w pamięci tamten dzień. Stałeś obok nas i miałeś taką zaciętą minę. Wiedziałam, że cierpisz. A gdy na mnie spojrzaleś, czułam, że mnie nienawidzisz. I... – Przełknęłam ślinę i zagryzłam wnętrze policzka. – Nie wiedziałam, że mój ojciec... że on...

– Oboje byliśmy wtedy dziećmi, Francisco – odparł chłodno, ponownie mi się przypatrując, ale w jego głosie nie dosłyszałam gniewu.

– Gdy chwyciłeś za rapier, pojęłam, że chcesz mnie zabić – oświadczyłam, ani na moment nie przerywając kontaktu wzrokowego. – I potem, kiedy zobaczyłam cię na statku. Kiedy dotarło do mnie, jak bardzo nas nienawidzisz... Bałam się, Marcosie. Tak jak nigdy w życiu... Każdego dnia czekałam, aż w końcu odkryjesz moją tajemnicę...

Westchnął ciężko, po czym spuścił wzrok na piasek. Przez moment przesypywał go między palcami, a potem odezwał się skruszony:

– Nie rozumiem, dlaczego po tym wszystkim, co ci zrobiłem, chciałaś zostać.

– Nie chciałam. Na początku codziennie zastanawiałam się, kiedy ten koszmar się skończy. Kiedy wreszcie się z niego obudzę. Ale to nigdy nie nastąpiło. A potem... potem zdałam sobie sprawę, że w zasadzie nie mam dokąd pójść. Że bycie Paco to moja jedyna szansa. Miałam Javiera. Opiekował się mną. Był mi jak brat.

– Mogłaś z nim uciec. Już wtedy, gdy zaatakowali nas Ang-licy – zauważył. – A mimo to zostałeś i mi pomogłaś. Pomog-łaś człowiekowi, który wydał na ciebie wyrok.

– Nie będę cię zwodzić: przez chwilę rozważałam ucieczkę. Ale po prawdzie nie miałabym dokąd pójść, a... – Głos mi zadrżał i po policzku spłynęła łza, którą Marcos otarł kciukiem. Po chwili wydusiłam z siebie: – Wiele się zmieniło, odkąd pierwszy raz postawiłam stopę na pokładzie Lerate...

– Co się zmieniło? – spytał zaintrygowany.

– To. – Wskazałam na swoją klatkę piersiową, na miejsce, gdzie teraz galopowało moje serce. – Pojęłam, że nie będę w stanie odejść, w momencie, w którym nie potrafiłam pozwolić, żeby ten angielski żołnierz cię zabił.

– Uratowałaś mi wtedy życie – wyszeptał, otulając swoją szorstką dłonią mój policzek. – Choć wiedziałaś, że pragnę twojej śmierci.

– Po raz pierwszy zaczęłam się obawiać, że znasz prawdę. – Odszukałam jego spojrzenie. – Nigdy nie zapomnę tej chwili, gdy cię zszyłam, a ty złapałeś mnie za dłoń i zanim straciłeś przytomność, nazwałeś mnie Franciszą.

Nie odpowiedział, tylko przysunął się bliżej i złączył nasze usta. Nadal smakował rumem, ale o ile nie znosiłam alkoholu, o tyle ten smak mi się podobał. Bardzo. Tym razem jego pocałunek znów był inny. Delikatny i powolny, jakby delektował się każdą sekundą tej blis-kości. Lekko pociągnął mnie w swoją stronę, nie przerywając pieszczoty. Zważając na moje plecy, wciągnął mnie na siebie. Jego dłonie wędrowały powoli od moich ramion przez talię.

Otoczał mnie swoim ciepłem. Nadal smakował moje wargi, wsuwając między nie język. Jęknęłam cicho, moje dłonie powędrowały do jego włosów.

– Tak bardzo cię pragnę, Francisco – wyszeptał mi do ucha. – Tak bardzo...

*

Nad ranem obudził mnie cichy szmer. Otworzyłam ostrożnie oczy i dostrzegłam Lerate zakradającą się do swojego posłania. Na zewnątrz świtało. Słyszałam ciche pochrapywanie Marcosa, ale nie odważyłam się podnieść. Zastanawiałam się, gdzie podziewała się jego matka przez całą noc. Wydawała mi się taka stateczna, a tymczasem też miała swoje tajemnice.

Kiedy byłam pewna, że zasnęła, usiadłam na posłaniu i dotknęłam palcami ust opuchniętych od pocałunków. Nadal je czułam, gdy tylko zamknęłam powieki. Emocje, które mi natenczas towarzyszyły, wracały ze zdwojoną siłą, szczególnie pojawiające się coraz częściej w obecności Marcosa dziwne palące pragnienie w dole brzucha. Zawstydyłam się, przypominając sobie, jak bardzo chciałam, żeby mnie tam dotknął, jak wiłam się, gdy jego palce błędziły wzdłuż mojego uda, a ja pragnęłam więcej i więcej, wszelako nie odważyłam się wypowiedzieć tego na głos. Kiedy leżałam na nim, czułam jego twardą męskość ocierającą się o mnie powoli. Wstydyłam się, gdy moje biodra poruszały się za każdym razem, kiedy jego palce przesuwaly się z uda na poś-ladek. Ścisnęłam mocniej nogi i powiodłam spojrzeniem w stronę posłania Marcosa. Widok jego postaci skulonej na sienniku zalał moje serce falą ciepła. Wstałam ostrożnie i starając się nie narobić hałasu, wyszłam przed chatę.

Powietrze o tej porze było chłodne. Objęłam się ramionami i rozmasowałam je, kiedy na moim ciele pojawiła się gęsia skórka. Lekki wiatr delikatnie trzącał palmowe liście, które swoim szumem przywodziły na myśl odgłos morskich fal. Kilka zbudzonych rajskich ptaków śpiewało smutną melodię. Powiodłam wzrokiem po koronach drzew, ale nie mogłam dojrzeć żadnego z nich. Ruszyłam przed siebie, w stronę plaży. Nigdy nie miałam okazji podziwiać wschodu jutrzienki na Wyspie. Mimo że chłód był dość nieprzyjemny, uparcie kroczyłam w stronę przybrzeżnych skał. Wspięłam się na tę znajdującą się najbliżej brzegu. Była to dość mozolna wędrówka, ale dzięki temu po uczuciu chłodu pozostało zaledwie wspomnienie. Kiedy dotarłam na szczyt, słońce właśnie wynurzało się znad horyzontu, pokrywając niebo kolorem dojrzałej pomarańczy. Otarłam zroszone potem czoło i uśmiechnęłam się na ten widok.

– Też nie możesz spać? – Niespodziewane pytanie padło zza moich pleców.

Pisnęłam przestraszona i odwróciłam się. Za mną oparty o skałę siedział Cruz. Obok jego uda leżał, zapewne pusty, bukłak. Oczy miał podkrążone, a ich białka były wyraźnie przekrwione. Dostrzegłam to nawet z daleka. Koszulę miał rozchełstana tak bardzo, że widać było umięśnioną, pokrytą czarnymi włoskami klatkę piersiową i fragment tatuażu na lewej piersi. Powiodłam wzrokiem niżej i natychmiast tego pożałowałam. Pantalony miał spuszczone do połowy ud. Poczulałam, jak oblewam się rumieńcem, na co na twarzy Cruza wykwitł urągliwy uśmiezek.

– Ta... – wystękał i podrapał się ostentacyjnie po przyrodzeniu. Podniósł się z trudem i próbował podciągnąć kuloty. – To była bardzo przyjemna noc... – Czknął. – Mój braciszek też szybko zniknął... razem z tobą, Paco. Też miałaś tak przyjemną noc jak ja?

Zaczął iść w moim kierunku chwiejnym krokiem, nadal się uśmiechając. Przekrwionych oczu ani na moment nie odrywał od moich. Lekki niepokój zaczął we mnie kiełkować w momencie, kiedy zdałam sobie sprawę, że w razie niebezpieczeństwa nie będę miała dokąd uciec. Rozejrzałam się dookoła – kilka kroków za mną skalna półka kończyła się i ostro opadała w dół, prosto w spienione fale. Odwróciłam głowę z powrotem w stronę środkowego z braci Noirów. Był już kilka kroków ode mnie. Dopiero teraz dotarło do mnie, jak bardzo – pomimo

fizycz-nego podobieństwa – różnił się od Marcosa. Oczy miał ciemne tak jak Severo. Na twarzy nie dało się dostrzec żadnej szramy, podobnie na klatce piersiowej. Widziałam niejednokrotnie, że nie stronił od walki. Ba, był brutalny i zadawał szybkie, zwykle śmiertelne ciosy. Jednak odniosłam wrażenie, że w przeciwieństwie do najmłodszego z braci walczył tak, by jego ciała nie tknęła żadna broń. Jakby skaza na skórze była dla niego ujmą. *Krasny na zewnątrz, a zgnily od środka*, przemknęło mi przez myśl, kiedy przypomniałam sobie wczorajszą baśń opowiadaną przy ognis-ku. Cruz był lekkomyślny. Zachowywał się tak, jakby sensem jego życia były hulanki i swawole. Nieraz opóźnialiśmy wyjście statku z portu, bo kapitan Crescencii -zabawił u którejś ze swoich dulcynei. Nie wątpiłam jednak, że pod maską bawidamka chował swoje demony.

– Nie ma co, oszachrowałaś nas wszystkich. – Zaszedł mi drogę tak, że byłam w potrzasku, i zaśmiał się w głos, widząc strach w moich oczach. Głos miał zachrypnięty, jakby całą noc stał na szczycie skały i krzyczał w przestrzeń. – Zastanawia mnie tylko, co teraz z tobą zrobimy... – Jego dłoń powędrowała w kierunku mojej twarzy, lecz zrobiłam dwa kroki w tył.

Nie chciałam, by mnie dotykał.

– Wiem, co najchętniej zrobiłbyś z tobą Marcos, ale co potem? Hmm? Nie możemy cię wypuścić, bo znasz położenie Wyspy. Wiesz, że już jej nie opuścisz, Paco?

– Czego ode mnie chcesz? – odważyłam się zapytać, na co zaśmiał się złowroźnie.

– Wierz mi, wolałabyś nie wiedzieć, co JA chciałbym z tobą zrobić.

Jego słowa wywołały we mnie trwogę.

– Ale ja jestem rycerski – uśmiechnął się krzywo – czego nie mogę powiedzieć o reszcie tych drabów.

Palcami dotknął moich włosów. Założył mi je za ucho i przejechał wierzchem dłoni po policzku.

Poczułam się tak, jakby po skórze prześlizgiwał mi się wąż. Wzdrygnęłam się. Cruz nagle spoważniał, a po moich plecach przetoczył się nieprzyjemny dreszcz.

– Na twoim miejscu nie szwendałbym się samotnie po Wys-pie. – Zbliżył twarz do mojej, tak że czułam jego przesiąknięty rumem oddech, i wyszeptał mi do ucha: – Kto wie, jakie myśli czają się w głowach innych kamratów, señorito Rodrigo.

Zrobił mi przejście. Biegiem ruszyłam w stronę zejścia ze skały. Kalecząc sobie dłonie i stopy, w zawrotnym tempie zsuwałam się na dół odprowadzana szaleńczym, pijac-kim śmiechem Cruza, a potem usłyszałam jego bełkotliwy śpiew:

– Paqui Cruza nie słuchała, po Wyspie chodziła sama, toć ją szelma zbałamucił, cnota odebrana...

Potyając się, pobiegłam najszybciej, jak mogłam, w stronę chaty. Dopiero za bambusową kotarą przystanąłam i opadłam na kolana, próbując złapać oddech. Pojęłam, że znajduję się w takim samym niebezpieczeństwie jak wtedy, kiedy udawałam chłopaka. Tyle że teraz nie groziło mi ono ze strony Marcosa. Cruz miał rację. Dokładnie pamiętałam spojrzenia kompanów, kiedy odkryli moją tajemnicę. Nikt poza Rennym nie był mi przychylny. Czy jednak byłiby w stanie mnie skrzywdzić, skoro miałam kapitana po swojej stronie?

– Nie śpisz? – Usłyszałam cichy głos Lerate. Dostrzegł-szy zapewne moją minę, usiadła na sienniku i przyjrzała mi się z troską. – Coś się stało? Jesteś biała jak płótno żaglowe.

– N... nic... – skłamałam. – Byłam za potrzebą.

Wstałam z klepis-ka i położyłam się na swoim posłaniu, ale już nie mogłam zasnąć. „Na twoim miejscu nie szwendałbym się samotnie po Wyspie” – te słowa odbijały się echem w mojej głowie i za każdym razem, kiedy przymykałam powieki, widziałam krzywy uśmieszek Cruza, zwiastujący nieuchronne nieszczęście.

*

Naprawa masztów Lerate dobiegała końca i zauważyłam, że załoga zaczyna gromadzić zapasy na kolejny rejs. Powietrze dziś było parne i ciężkie, co zwiastowało nadciągającą burzę. Nad horyzontem dostrzegłam granatowy płaszcz chmur, leniwie zmierzający ku Wyspie. Najmniejszy wysiłek sprawiał, że cała pokrywałam się potem. Po chłości pozostało tylko niemiłe wspomnienie, jednak nie żywiłam urazy do Marcosa. Pomagałam właśnie przy przygotowaniu popołudniowej stawy i z tęsknotą spoglądałam w stronę zacumowanego okrętu. Nowe, świeżo smołowane i dziegciowane żagle Lerate niemal zlewały się z granatem nieba w oddali. W piersi poczułam żal. Pojęłam, że raczej już nigdy nie wypłynę w morze. Zerknęłam na zagojone dłonie. Już nigdy nie będę musiała się mierzyć z ranami powstałymi na skutek prac przy takielunku, nie będę musiała wyjmować drzazg z podeszew stóp. Już nigdy nie stanę na rufie, a woda nie zrosi mi twarzy. Nie zobaczę już ścieżki, jaką wyznacza kilwater. Nie będę musiała pić stęchłej wody ani jeść suszonego mięsa, na którym wcześniej uctowały larwy. Nie będę modlić się o to, by suchary nie połamały mi zębów. Nie będzie groził mi szkorbut. Nie doświadczę już trudów sztalu ani niebezpieczeństw gwałtownych sztormów. Nigdy nie sięgnę po swój rapier, by...

– Francisco?

Poczułam czyjąś dłoń na ramieniu i dopiero wtedy dotarło do mnie, że płaczę.

Wyszarpnęłam ramię i z twarzą schowaną w dłoniach pognałam w stronę drzew. Ta wszechogarniająca mnie pustka na myśl o pozostaniu na stałym lądzie była nie do zniesienia. Czułam się tak, jakbym wpadła w morską kipieli i fale podtapiały mnie jedna za drugą, nie pozwalając zaczerpnąć tchu, a prąd wsteczny wciągał głębiej i głębiej. Opadałam bezwładnie na dno, bo nie byłam w stanie, a raczej nie miałam jak z tym walczyć, albowiem wiedziałam, że załoga nigdy nie zgodzi się, bym do nich dołączyła.

Stracę tutaj zmysły!

Nie zdawałam sobie sprawy, jak długo biegłam. Przystanąłam dopiero w momencie, kiedy całkowicie zabrakło mi tchu. Upadłam na kolana i zaszlochałam rzewnie. Rozpaczłam nad tym wszystkim, co zapewne bezpowrotnie utraciłam. Dusiałam się na tej wyspie. Morskie wyprawy rekompensowały wszystkie trudy ostatnich lat. Wtedy czułam się naprawdę wolna. Jakbym była do tego stworzona. Morze zawsze mnie do siebie wzywało. Nocą, gdy szumem fal wyśpiewywało swoją tęskną pieśń, i za dnia, kiedy mamało wszystkimi odcieniami błękitu. Było dla mnie niczym syreni śpiew pośrodku oceanu. Nawet jeśli musiałam się ukrywać pod postacią Paca, rejsy były spełnieniem moich dziecięcych marzeń. Nie była mi straszna forsowna praca na statku, nawet w kambuzie. Nigdy nie zaznałam takiego poczucia wolności jak wtedy, gdy stałam na rufie i czułam na sobie podmuch morskiej bryzy. Nigdy nie czułam się bardziej szczęśliwa i spełniona. Pewnie dlatego tak łatwo było mi przebrnąć przez żalobę po rodzicach, bo wkładałam w to marynarskie życie całe serce. Ujawnienie mojej tożsamości zaprzepaściło te marzenia. Świadomość, że od teraz moim życiem będzie ciągłe przygotowywanie posiłków i oporządzanie domostwa, była przygnębiająca. Nie wyobrażałam sobie, że będę to robić aż po jego kres.

Prędeż rzucę się do morza.

Nie należę do lądu.

Mam sól we krwi, bo należę do oceanu.

On jest mi prawdziwym domem.

– Musi tu gdzieś być!

Drgnęłam zaniepokojona. Znałam ten głos. Należał do jednego z członków naszej załogi, ale nie mogłam sobie przypomnieć do kogo. Skuliłam się za dość okazałą juką i starałam się nie

oddychać. Dostrzegłam ich, zanim oni zobaczyli mnie. Było ich czterech, trzech ciemnoskórych i jeden o karnacji podobnej do mojej. W dłoniach dzierżyli pałasze zdobyte podczas ostatniej walki z Hiszpanami. Byłam tak pochłoniętą obserwacją tej czwórki, że nie usłyszałam, jak piąty osobnik skrada się za moimi plecami. Z jego obecności zdałam sobie sprawę dopiero wtedy, kiedy poczułam chłód ostrza przyłożonego do karku.

– Obróć się, ladacznico! – warknął, po czym się wydarł: – Tu się skryła!

Przełknęłam ślinę. Byłam sama pośrodku lasu, otoczona nieprzychylnymi mi mężczyznami. Wątpiłam, żeby przybyli tu po to, by zaprowadzić mnie do Marcosa. Utwierdziło mnie w tym przekonaniu spojrzenie tego, który mnie trzymał, z cynicznym uśmiechkiem błakającym się na ustach. Nie zdołałam się odwrócić, kiedy dołączyli do niego kompani. Ostrożnie wstałam i rozglądając się wokoło, rozważałam możliwe sposoby wykaras-kania się z tej sytuacji. Ku swojemu przerażeniu nie znalazłam żadnego.

– Czego ode mnie chcecie? – spytałam, starając się, by mój głos nie drżał.

Jeden z czarnoskórych mężczyzn, Delmar, chwycił mnie za ramię i pchnął na ziemię. Upadłam, a on roześmiał się rubaszenie. Przyglądałam się jego prawie bezzębnym dziąsłom i starałam się wyrzucić z pamięci wszystkie te momenty, kiedy widziałam, jak obchodzi się z kurtyzanami. Był potworem.

– Nie ma tu twojego kapitana, co? – spytał Adrien, który mnie znalazł.

Wiedziałam, że dawniej był bukanierem tak jak ojciec Marcosa. I że był równie okrutny jak Delmar.

Pozostała trójka wpatrywała się we mnie z nieukrywaną nienawiścią. Adrien przyłożył mi koniec pałasza do brody, tak bym na niego spojrziała. Czułam, że cała dygocę ze strachu. Mężczyźni powiedli wzrokiem po moich odsłoniętych nogach. Były to tego rodzaju spojrzenia, od których włos jeży się na karku. Musieli wyczuć mój strach, bo Delmar oblizwał wargi i zatarł z zadowoleniem ręce.

– Zaraz sprawdzimy, czy zaiste byłabyś warta tego, by pływać na pokładzie Lerate. Jeśli nas odpowiednio przekonasz, może namówimy załogę, by spojrziała przychylnym okiem na kapitańską propozycję. Dlaczego tylko Marcos ma czerpać z tego korzyści, co, kamraci?

Ryknęli w odpowiedzi nader entuzjastycznie. Delmar pewnym krokiem zbliżył się do mnie, lecz nie wziął pod uwagę tego, że nie byłam jak inne niewiasty. Jeśli wymagała tego sytuacja, potrafiłam o siebie zadbać. Brałam udział w bitwach na morzu, ramię w ramię z innymi piratami. Choć Marcos często robił wszystko, żebym nie znalazła się w samym centrum walki, świetnie posługiwałam się nożem i rapierem. A i walka wręcz nie była mi obca. Zatem gdy tylko Delmar znalazł się w odpowiedniej odległości, z całej siły wymierzyłam mu kopniaka w słabiznę. Skulił się, jęcząc, a ja rzuciłam się na niego i go przewróciłam. Wyszarpnęłam jego broń z pochwy, przeturlałam się na bezpieczną odległość i wstałam chyżo. Stopy ustawiłam szeroko, nogi zgięłam w kolanach – dokładnie tak jak mnie nauczono. Broń dzierzoną w prawej dłoni, blis-ko ciała, lekko wysunęłam do przodu.

– Niech cię piekło pochłonie! – wygęgał Delmar, podnosząc się z kłęczek i kurczowo trzymając za przyrodzenie.

Obserwowałam pozostałych napastników, którzy zaczęli mnie otaczać z cierpkimi uśmiechkami na twarzach. Adrien rzucił Delmarowi swojego lewaka⁷⁷. Byłam na przegranej pozycji, chociaż uparcie starałam się wyrzucić tę myśl z głowy. Nikt, nawet tak biegły w sztuce walki rapierem jak Marcos czy Severo, nie dałby rady w pojedynkę pięciu rosnącym osobnikom. Ale nie zamierzałam się poddać bez walki. Nie słyszałam ich urągliwych komentarzy, kiedy zaczęli zacieśniać krąg wokół mnie, tylko rytm głośno łomoczącego przerażonego serca. Skupiłam się na oddechu. Wybrzmiewał mi w uszach niczym uspokajająca melodia. Kątem oka

przyuważyłam ruch z lewej strony. Odskokczyłam w tył, a napastnik runął jak długi na ziemię. Jego kamraci ryknęli śmiechem, a ja poczułam, jak czyjeś ramię oplata moją szyję. Wypuściłam rapier z rąk i z całej siły wbiłam paznokcie w zacis-kające się wokół -mojej szyi mięśnie.

– I co teraz, señorito? Znalazłaś się w potrzasku. – Adrien podszedł blisko, omiatając mnie lubieżnym wzrokiem.

Czułam dłoń wędrującą pod moją koszulą. Słyszałam sapanie w lewym uchu. Drugie ramię zacis-kało się na mojej szyi tak mocno, że coraz trudniej było mi złapać dech. Nie przerywałam jednak kontaktu wzrokowego z Adrienem. Kiedy dłoń drugiego napastnika ścisnęła moją pierś, zgromadziłam resztkę sił, wybiłam się i obiema nogami kopnęłam Adriena tak mocno, że upadł. Trzymający mnie mężczyzna zachwiał się i oboje runęliśmy na ziemię. Nie puścił jednak mojej szyi, mimo że robiłam wszystko, by się wyswobodzić.

– Zaraz się przekonamy – Adrien stanął nade mną – cóż za przyz chowasz między nogami, señorito...

Chciałam krzyknąć, ale ten, który mnie trzymał, wyciągnął dłoń spod mojej koszuli i zakrył mi usta dłonią. Po prawdzie byłam daleko od osady, więc i tak nikt by mnie nie usłyszał. Poczułam pierwotny, paniczny lęk, kiedy Adrien zaczął się nade mną pochylać. Czułam jego szorstkie paluchy zacieśniające się na moich kostkach, by unieruchomić mi nogi. Zaciśnięte na szyi przedramię oraz dłoń na ustach skutecznie utrudniały mi oddychanie. Widok zamazany przez łzy dodatkowo zniekształcały teraz ciemne plamy. Słyszałam już tylko szum i basowe dudnienie serca. Aż nagle zdałam sobie sprawę, że Adrien znieruchomiał. Zamrugałam pośpiesznie i dostrzegłam, że oczy uciekły mu w głąb czaszki. Zanim padł nieżywy, zauważyłam wystający z boku jego szyi trzonek sporych rozmiarów sztyletu.

Uchwyt na mojej szyi nieznacznie się poluzował. Zaczęłam jeszcze bardziej się szamotać, aż otaczające mnie ramię puściło. Gdy się odwróciłam, pojęłam, że mój oprawca ma wbity lewak w oko. Obok jego głowy ktoś stał. Powiodłam spojrzeniem w górę i ze zdumieniem odkryłam, że to najstarszy z braci Noir.

– Severo... – wychrypiałam, wkładając w to imię tyle wdzięczności, na ile było mnie stać.

Dłonią wymacałam porzucony wcześniej rapier i podniosłam się z trudem. Nogi trzęsły mi się jak galareta. Ledwie potrafiłam ustać. Ten strach był chyba gorszy niż wtedy, gdy Marcos zajął nasz okręt.

– Stań za mną – wycedził Severo przez zaciśnięte zęby, nie spuszczać wzroku z pozostałej trójki.

Posłusznie wykonałam jego rozkaz, starając się za wszelką cenę przepędzić lekkie zawroty głowy, spowodowane zapewne tym, że mnie podduszono. Serce nadal łomotało mi w piersi, ale nie zamierzałam zostawiać Severa samego. Ugięłam nogi w kolanach i przyszykowałam się na atak. Delmar wraz z czarnoskórymi kamratami uśmiechali się lekceważąco. Nie spodobało mi się to. Powinni byli darzyć Severa szacunkiem. Był jednym z kapitanów naszej floty.

Naszej...

Ich floty, poprawiłam się w myślach, czując bolesny skurcz w piersi. Nie wiedziałam, czy kiedykolwiek przejdę nad tym do porządku dziennego.

– Tak traktujesz damę, Delmarze? – spytał Severo ze stoickim spokojem.

Tylko dłoń zaciśnięta kurczowo na rękojeści rapiera świadczyła o tym, że jest wściekły. Oparł stopę o głowę martwego pirata leżącego tuż przed nim i wyciągnął lewak, po czym wytarł go w kuloty.

– Damę? – Delmar zaśmiał się histerycznie. – To czarownica. Wiedźma! Rzuciła urok na

Marcosa! Oświadczył nam dzisiaj, że wypływamy na północ i że ona – wskazał na mnie palcem z odrazą malującą się na pas-kudnej twarzy – płynie z nami. Świadomie chce zabrać diabli balast!

„Ona płynie z nami?” – odbiło się w mojej głowie niczym echo. – *Marcos chce mnie zabrać w rejs.* Nie mogłam w to uwierzyć. Euforia o mało nie przesłoniła mi zagrożenia, w jakim się obecnie znajdowałam.

– Więc postanowiliście ją zabić? – prychnął zniechęcony Severo. – Pięciu chłopów na jedną bezbronną niewiastę? Żałośni z was tchórze, Delmarze. Marcos jest waszym kapitanem, do stu piorunów! – ryknął. – To, czego się dopuściliście, to -hańba!

– Na szczęście nigdy się o tym nie dowie – odparł Delmar, po czym ruszył z impetem, uderzając z całej siły swoim pałaszem.

Severo zablokował jego cios bez najmniejszego wysiłku. Ale dwóch pozostałych piratów przymierzało się, żeby nas okrążyć.

– Zmykaj stąd! – warknął Severo w moim kierunku. – A żywo!

– Nie zostawię cię z nimi samego! – odparłam.

– To nie czas na zgrywanie bohaterki, Francisco! – syknął i z trudem zablokował lewakiem i rapierem uderzenie -Delmara.

– Nie! – zaprotestowałam.

– Francisco, do krośset! – wrzasnął, kiedy zaatakował go drugi z kamratów, a na mnie naparł ten trzeci.

Bez większych trudności odparłam atak. Mój napastnik był dość przysadzisty, a sporej wielkości bandzioch pozbawiał go zwinności. Odpierałam jego szarżę, kątem oka obserwując poczynania Severa, którego piraci zaczęli zapędzać w gęstwinę, by uniemożliwić mu manewr. Kiedy mój przeciwnik niespodziewanie popełnił błąd, odsłaniając lewy bok, pchnęłam z całej siły. Z jego gardła wydobył się dziki wrzask, a ja wyszarpnęłam rapier i biorąc zamach, wykonałam ostre cięcie na jego szyi. Poczulałam, jak obryzgują mnie krople krwi. Mężczyzna znieruchomiał, upadł na kolana, a potem wyłożył się bez życia tuż pod moimi stopami. Pospiesznie spojrzałam na Severa, który usilnie starał się odpierać ciosy napastników. Byliśmy dość daleko od siebie. Biegiem ruszyłam w jego stronę, by mu pomóc, a wtedy Delmar wykorzystał moment, kiedy jego kamrat wykonał ostre pchnięcie, które zmusiło Severa do ustawienia się do niego bokiem. W chwili, gdy pałasz Delmara wbił się głęboko w brzuch Severa, miałam wrażenie, że świat stanął w miejscu. Severo jęknął, ale nie tracąc przytomności umysłu, wykorzystał okazję, że Delmar napawa się swoim zwycięstwem, i wbił lewak prosto w serce drugiego napastnika. Potem upadł na kolana, trzymając się kurczowo za brzuch, w którym nadal tkwił pałasz. Widziałam, jak jego palce momentalnie pokrywają się szkarłatną posoką.

Nie!

Podbiegłam do Delmara i łapiąc oburącz swój rapier, z głośnym krzykiem wbiłam go z całych sił w jego tułów. Niestety ostrze tylko prześlizgnęło się po jego skórze, zadając mu dość dużą, wszelako nie śmiertelną ranę. Spojrzał na mnie z wyrzutem, a potem uciekł, ale ja już skupiałam się na Severze, który klęczał, głośno dysząc.

– Severo... – zas-komlałam złęknioma.

– To... nic... takiego... – zełgał.

Gdybym nie była biegła w sztuce opatrywania i zszywania ran, pewnie bym mu uwierzyła.

– Pomóż... mi... – Upadł na bok.

– Severze! – krzyknęłam spanikowana. Nagle cała moja wiedza znachorska czmychnęła

mi z głowy.

– Wyj... wyjmij... to... cholera! – wystękał.

To moja wina!

To wszystko moja wina!

Myśli przegalopowały przez moją głowę niczym stado dzikich koni, siejąc popłoch i tratując tłącą się nadzieję, że się z tego wykaras-ka. Widziałam już takie rany. Obrażenia brzucha były najgorszym, co mogło się przytrafić. Rzadko ktoś wychodził z tego żywy. A my byliśmy daleko od osady.

– Francisco, do kroć... set piorunów! – stęknął. – Pomóż... mi... to... wyjąć...

Pospiesznie zdarłam koszule z nieżywych piratów. Wiedziałam, że muszę zatamować czymś posokę. A będzie jej mnóstwo. Słyszałam, jak oddech mężczyzny staje się urywany i coraz szybszy. Podbiegłam z naręczem szmat i chwyciłam za rękę pałasa. Ostrze przeszło na wylot. Przez moment patrzyłam prosto w ciemne oczy Severa. A potem, kiedy nieznacznie skinął głową, z całej siły pociągnęłam broń do siebie. Ciszę rozdarł krzyk mężczyzny.

– Trzymaj. – Podałam mu zrolowany materiał jednej z koszul i przycisnęłam do brzucha.

Jego drżące, zakrwawione dłonie powędrowały do opatrunku i wykonały moje polecenie. Drugą koszulę przyłożyłam mu do pleców, a następnie rozerwałam zębami trzecią i zaczęłam pasami obwiązywać dookoła tułów mężczyzny, by przytrzymać opatrunki.

Staralam się nie myśleć, jak mało mamy czasu, żeby mu pomóc. Musiałam się skupić. Widziałam, że robił się coraz bardziej blady, zaczął coraz szybciej oddychać.

– Severze, w którym kierunku jest osada? – spytałam drżącym głosem.

– Tam – wyjęczał, wskazując palcem kierunek.

– Dasz radę iść? – spytałam.

– Zostaw mnie i biegnij po pomoc – wydukał z trudem.

– Nie ma mowy! – zachnęłam się. – Nie zostawię cię samego! Wstawaj! – rozkazałam, ale posłał mi tylko pełne cierpienia spojrzenie. – Wstawaj! No wstawaj, u kaduka! – wydarłam się na niego przez łyżę. Szarpnęłam go za ramię, starając się zmusić do ruchu. – Wstawaj, Severze! Proszę... Nie możesz mi tego zrobić! – Płacząc, próbowałam za wszelką cenę go podnieść, ale był za ciężki. – Nie możesz tego zrobić Marcosowi, rozumiesz?! Wstawaj! Wstawaj! Wstawaj... – powiedziałam cicho i upadłam na kolana.

Severo przesunął swoją głowę tak, by ułożyć ją na moich kolanach, i przymknął powieki.

– Tylko chwilę... odpoczne, Paco... Chwilę... – wyszeptał. – Jestem taki zmęczony...

Jego oddech stawał się coraz spokojniejszy. Stłumiłam szloch i przeczesalam palcami jego ciemne włosy, tak bardzo podobne do włosów Marcosa. Moją klatkę piersiową przeszył potworny ból, kiedy zdałam sobie sprawę, że jego także mogłabym w ten sposób stracić.

Jakie „także”?!, zrugalam się w duchu.

– Nie pozwolę ci umrzeć, Severze! – zapewniłam nieprzytomnego mężczyznę.

Ostrożnie położyłam jego głowę na miękkim poszyciu. A następnie na drżących nogach pędem ruszyłam we wskazanym wcześniej kierunku, wrzeszcząc na całe gardło o ratunek.

75 *Baśń o księżniczce, która straciła włosy,* za:
<http://www.basniogranie.pl/basnie/-basnie-afrykanskie>, dostęp: 14.01.2023.

76 Djembe – afrykański bęben.

77 Lewak – duży sztylet trzymany w niewiodącej ręce, używany do odpierania bądź blokowania ataków w parze z rapierem lub ze szpadą.

Siedemnasta szklanka

„Najgorsze, z czym przyszło zmierzyć się:

Brak sprzętu na czas niepogody,

Bom stracił mamonę w porcie,

A wołałem umrzeć, niż nie wyjść w morze”.

Go To Sea No More, szanta

Marcos

Patrzyłem na białą jak żaglowe płótno twarz brata. Powieki miał przymknięte, a oddech powolny i spokojny. Tau skończył zszywać jego ranę na brzuchu. Polał ją obficie rumem rozcieńczonym z wodą i przykrył szarpianami. Następnie spojrzał na mnie z marsową miną.

– Jeśli przeżyje do rana, to jest szansa, że się wyliże. Zrobiłem, co mogłem.

Zacisnąłem pięści i wbiłem wzrok w Severa. Wydawał się taki spokojny, jakby był pogrążony w głębokim śnie. *Mamá* stała obok z dłonią przyciśniętą do ust i szlochała bezgłośnie. Widziałem, jak drżą jej ramiona, a ja starałem się skupić na poszarpanych bliznach pokrywających gardło mojego najstarszego brata. Raz już udało mu się uciec kostusze spod kosy. Czy tym razem będzie miał tyle samo szczęścia? Gardziłem sobą, bo w obliczu tej tragedii czułem ulgę, że Francisca jest cała i zdrowa. Kiedy wybiegła z dżungli, pokryta krwią i wołająca o ratunek, poczułem się tak, jakby ziemia nagle osunęła mi się spod stóp. Nadal nie dowiedziałem się, co zaszło w lesie. Ale widok czterech trupów i ledwie żywego Severa niemalże wbił mnie w ziemię.

Francisca siedziała przed chatą, oparta plecami o ścianę. Objęła kolana ramionami i przyciągnęła je do klatki piersiowej. Nadal była cała pokryta plamami posoki. Wpatrywała się w jakiś punkt w oddali. Na policzkach widać było ślady łez, które utorowały sobie ścieżki poprzez zaschnięte krwawe bryzgi.

Wróciłem do chaty i ogarnęła mnie całkowita bezradność. Lerate siedziała na sienniku Severa i obmywała mu twarz, płacząc przy tym. Podszedłem do jednego z kufrów i wyjąłem odzienie dla Francis-ki. Następnie znów udałem się na zewnątrz. Usiadłem obok dziewczyny, położyłem przyodziewek po przeciwnej stronie i pozwoliłem, żeby oparła głowę o moje ramię. Siedzieliśmy w ciszy, ignorując ukradkowe spojrzenia mieszkańców wioski. Liczyło się tylko to, że Francisca jest bezpieczna. Ból, który poczułem, myśląc, że została ranna, był gorszy niż wtedy, gdy straciłem oko. Poruszył coś głęboko wewnątrz mnie i nadal się tam tlił, lekko przytłumiony. Nie doświadczyłem czegoś takiego, nawet gdy zabili mi ojca. Katusze – to było dobre określenie. To był moment, w którym dotarła do mnie siła uczucia, jakie do niej żywię.

– Nie chcę, żeby umarł – wyszeptwała tak cicho, że ledwie ją usłyszałem. – Nie umiałam mu pomóc, ja...

– Uratowałaś go, Francisco – zapewniłem ją, obejmując ramieniem i przytulając mocniej do boku. – Gdybyś nie przybiegła... – Nawet nie chciałem mówić tego na głos i byłem rad, że mi przerwała. Jednak z każdym jej słowem czułem, jak krew zastyga mi w żyłach.

– To on uratował mnie, Marcocie. Było ich pięciu...

– Pięciu?

Nie odpowiedziała. Ująłem ją pod brodę i zmusiłem, żeby na mnie spojrzała.

– Znaleźliśmy cztery truchła...

– Delmar uciekł po tym, jak zraniłam go rapierem – wyszeptała, wzdychając ciężko. – Chcieli... chcieli mnie skrzywdzić, bo... bo dowiedzieli się, że zamierzasz zabrać mnie w rejs. Powiedzieli, że to sprowadzi na statek nieszczęście. Gdyby nie Severo...

– To nie twoja wina – wycodziłem przez zaciśnięte zęby, czując żądzę mordy. – To oni dopuścili się buntu. Podważyli decyzję kapitana. Jutro zwołam załogę i dowiem się, kto jeszcze podziela ich zdanie! Parszywe chamy!

Musiałem zająć czymś myśli. Byłem tak rozsierdzony, że rozszarpałbym na strzępy każdego, kto ośmieliłby się mi w tym momencie przeciwstawić. Dostrzegłem Julia i kiwnąłem na niego, by podszedł do mnie.

Jeśli ten skurwysyn Delmar przeżył, zapłaci po stokroć za to, co uczynił.

Gdy Pierwszy zbliżył się do nas, wstałem gwałtownie.

– Zbierz ludzi i udaj się do lasu – rozkazałem. – Znajdźcie mi Delmara. Podobno jest ranny. To on poharatał brzuch -Severowi.

Francisca uniosła głowę i obserwowała nas zmęczonym wzrokiem. Kiedy Julio się oddalił, podniosłem czyste szaty z ziemi i podałem jej dłoń. Dobrze było poczuć jej dotyk. Pomogłem jej wstać i przyciągnąłem ją do siebie, obejmując ramieniem. Wtuliła się, przycis-kając twarz do mego boku, a ja znowu uświadomiłem sobie, że tu właśnie jest jej miejsce. W moich ramionach.

Poprowadziłem ją w las, ku jezioru. Musiała się wykąpać i pozbyć tych zakrwawionych łachów. Chciałem je spalić. Najchętniej spaliłbym truchła tych podłych zdrajców, ale nie zamierzałem poświęcać nawet chwili na to, by przenieść ich ciała do wioski. Miałem nadzieję, że rozszarpią je zwierzęta. I liczyłem, że Delmar przeżył.

Zgotuję mu taki los, że nikt więcej nie ośmieli się nawet pomyśleć o podważaniu moich rozkazów. Parszywy obłudnik!

*

Staliśmy nad brzegiem jeziora i wpatrywaliśmy się w nasze odbicia, które pojawiły się na niczym niezmaconej tafli wody. Wyglądaliśmy na wycieńczonych. Rzuciłem na ziemię przyodziewek dla Franciszki i lekko pocałowałem jej włosy. One również pachniały krwią.

– Musisz się wykąpać.

Przytaknęła i wyswobodziła się z moich ramion. Poczulem się, jakbym nagle stracił jakąś część ciała. Dziewczyna zaczęła rozwiązywać troczki koszuli, po czym przerwała i spoj-rzała na mnie.

– Mógł-byś...?

Uśmiechnąłem się krzywo, odwróciłem plecami do niej i ruszyłem w kierunku drzewa pomarańczowego, na którym zauważyłem kilka dojrzałych owoców. Kiedy usłyszałem cichy plusk, pozwoliłem sobie spojrzeć w jej kierunku. Widziałem jej nagie ciało, sunące gładko pod powierzchnią wody. Po chwili dopłynęła do wodospadu i wynurzyła się pod strumieniem wody, plecami do mnie. Uniosła twarz i pozwoliła, by letnia woda oblewała jej skórę. Kilkakrotnie splukała włosy, po czym znowu zanurzyła się w kąpielis-ku i zaczęła wracać. Odwróciłem się ponownie w stronę drzewa i zerwałem dwa owoce, które wydały mi się najbardziej dojrzałe. Słyszałem, jak wychodzi na brzeg. Dałem jej jeszcze chwilę, po czym się obróciłem. Stała plecami do mnie i wciągała czystą koszulę.

– Nie znalazłem spódnicy, na razie muszą wystarczyć ci pantaloney... – odezwałem się.

Spojrzała na mnie i posłała mi lekko zawstydzony uśmiech. Jej mokre włosy zdążyły już zmoczyć tył gieźła⁷⁸. Odgarnęła je za uszy nerwowym gestem.

– Po prawdzie wolę spodnie – przyznała. – Łatwiej w nich walczyć. – Zagryzła wargę i dostrzegłem, jak jej broda zaczyna drżeć. Zaciśnęła pięści i zamrugła kilkakrotnie, powstrzymując łzy. – Naprawdę nie mogłam nic więcej... – wydusiła cicho.

Podszedłem do niej i otoczyłem ją ramionami, dodając otuchy. Wcześniej nie miałem sposobności obserwować, jak radzi sobie z emocjami. Dopóki była Paco, unikała mnie jak ognia. Teraz pojąłem, jak forsowne musiało być nie tylko odgrywanie roli chłopca, ale i ukrywanie targających nią emocji. Kiedy zabiłem jej rodziców, była dwunastoletnią dziewczynką. Córką markiza, nawykłą do wygod i przepychu, nieznającą znojów morskiej żeglugi. Nie brakowało jej strawy, spała w miękkim łożu i miała służbę na każde kiwnięcie palcem. Zaiste dokonała prawie niemożliwego: przeżyła. Co więcej, zapracowała na moje zaufanie, udowadniając bezwzględną lojalność wobec mnie i załogi. Zaprawdę odwagą mogłaby obdarzyć połowę moich marynarzy.

– Wyliże się – zapewniłem, choć zastanawiałem się, kogo bardziej próbuję przekonać: ją czy siebie. – Już raz wykaras-kał się ze znacznie gorszej opresji.

– Mówisz o tych bliznach na szyi? – Uniosła głowę, spoglądając na mnie.

Przytaknąłem, myśląc tylko o tym, że wystarczy się pochylić, by móc skosztować jej ust. Ująłem ją pod brodę i pozwoliłem sobie na chwilę zapomnienia, zatracając się w dotyku jej miękkich, gorących warg. Potem usadowiłem się na brzegu stawu. Pociągnąłem za sobą Franciszę. Tak jak ja zanurzyła stopy w ciepłej wodzie i oparła głowę o moje ramię.

Opowiedziałem jej, jak Severo został ranny w trakcie bitwy, podczas której pojmano mego ojca. Odruchowo pochwyciłem w pięść niedźwiedzią ząb. Amulet, który ojciec przekazał mi tego feralnego dnia, oddelegowując mnie pod banderę Severa. Jakby spodziewał się, że coś może pójść nie tak.

Natenczas wyjątkowo płynąłem na Bienvenidzie, bo ojciec czekał na spóźniającego się Cruza. Gdy zorientowano się, że Armada Española zaatakowała ich okręty, Severo nakazał zawrócić i ruszyć z odsieczą. Skupiwszy całą uwagę na odparciu ofensywy okrętów atakujących Lerate i Crescencię, zlekceważyliśmy obronę własnego statku. Ten błąd kosztował nas bardzo wiele. Pierwszy raz się bałem. Pierwszy raz to my byliśmy ofiarami. Severo kazał zamknąć mnie pod pokładem, ale czmychnąłem jego bosmanowi. Zanim się zorientował, tkwiłem już w najlepsze w ferworze walki. Jeden z hiszpańskich żołnierzy miał zamiast lewaka takie niespotykane ostrze w kształcie trójzębu. Zaatakował Severa pałaszem, a kiedy ten odparł atak, wykorzystał jego chwilową nieuwagę i przejechał trójzębem po jego szyi. Nie bacząc na własne życie, ruszyłem z odsieczą. Z dzikim wrzaskiem zaatakowałem tego żołnierza. Byłem nie do zatrzymania. W końcu powaliłem go na dek i usiadłem na nim okrakiem. Rapier wypadł mu z dłoni, był poza jego zasięgiem, a ja uniosłem dłoń z puginałem i krzyknąłem na całe gardło:

– Przybyłem z piekła i tam cię zabiorę! – Po tych słowach zatopiłem ostrze w jego tułowiu.

Ponoć tak długo wbijałem mu sztylet w brzuch, że wnętrzności walały się po pokładzie. Zniemałym trudem odciągnięto mnie od truchła. Byłem tylko szalejącym z rozpacz trzynasto-letnim knotem⁷⁹, który widział, jak jego ojciec trafia do niewoli. Wiedziałem, że wkrótce miał zatańczyć na sznurze. I natenczas byłem też przekonany, że właśnie zabito mi brata. Nie potrafiłem zapanować nad wypełniającymi mnie gniewem i bezsilnością.

Zamilkłem nagle, bo uświadomiłem sobie, że to dokładnie taki sam ból, jaki zapewne czuła Francisca, gdy odbierałem życie jej rodzicom. Zerknąłem na nią. Słuchała z uwagą, skubiąc skrawek swojej koszuli, z głową na moim ramieniu. Teraz jeszcze bardziej nie pojmowałem, jakim cudem pałała do mnie tak żarliwym uczuciem.

W milczeniu chwyciłem jedną z pomarańczy i przekroiłem ją nożem, po czym podałem jedną z połówek dziewczynie. Owoc był tak dojrzały, że gdy obierała skórkę, sok ciekł jej między palcami. Wgryzła się w pierwszy kawałek, a kropla słodkiego nektaru spłynęła jej po brodzie. Przystałem jeść i obserwowałem wędrówkę soku po jej skórze. Kiedy chciała zetrzeć go wierzchem dłoni, złapałem gwałtownie jej nadgarstek. Wpatrywałem się w nią, czując, jak w moim ciele rośnie podniecenie. Francisca nie odrywała ode mnie wzroku, a jej policzki pokraśniały. Gdy odgryzła następny kawałek owocu, kolejne krople leniwie spłynęły po jej szyi i wpadły za dekolt. Serce galopowało mi szaleńczo w piersi, a oddech stał się ciężki. Nadal trzymałem jej dłoń. Kiedy przełknęła niepogryziony kawałek i oblizała usta, zbliżyłem jej dłoń do swoich warg i polizałem skąpane w pomarańczowym nektarze palce. Gwałtownie nabrała powietrza, a ja przeniosłem usta na jej podbródek. Chciała się cofnąć, lecz wolną ręką chwyciłem ją za kark, przytrzymując w miejscu. Zasysałem jej słodką skórę, a mój język błędził śladami wyznaczonymi przez smak pomarańczy. Przypomniała mi się rada Cruza, bym posmakował niewiasty. Kiedy zadrżała, wydając przy tym cichy jęk, moje usta powędrowały niżej.

– Francisco – zniżyłem głos. Zacząłem rozwiązywać troczki jej koszuli, a ona bez najmniejszego sprzeciwu się temu poddała. – Moja słodka Francisco – wyszeptałem, gdy zsuwałem koszulę z jej ramion, odsłaniając jasną skórę.

Odruchowo chciała się zasłonić, ale wówczas ścisnąłem swoją połówkę pomarańczy tuż nad jej piersią, zalewając skórę sokiem, który bardzo dokładnie zlizalem. Czułem, jak drży. Palce Francis-ki powędrowały do moich włosów i szarpały je lekko, kiedy degustowałem jej ciało. Przymknęła powieki i odchyliła głowę do tyłu, więc ponownie przeniosłem usta na szyję, skupiając się na zagłębieniu tuż przy linii obojczyka. A potem zawładnąłem jej ustami. Bez wahania odpowiedziała na gorące pocałunki, przez cały czas lekko targając moje czarne loki. Posadziłem ją sobie na kolanach okrakiem i wtedy do mnie dotarło, co za chwilę nastąpi. Przerwałem pocałunek i spojrzałem prosto w jej oczy. Nie mogłem jej tego zrobić. Nie chciałem, żeby wiązała swój pierwszy raz z tymi potwornymi wydarzeniami dnia dzisiejszego. Przytuliłem ją do siebie i sapnąłem sfrustrowany. Z pewnością miałem cierpieć, ale za bardzo mi na niej zależało. Siedzieliśmy wtuleni w siebie i wsłuchiwalismy się w śpiew ptaków. Kiedy nasze oddechy się uspokoiły, odezwałem się cicho:

– Wracajmy...

Nic nie powiedziała, tylko wyswobodziła się z moich ramion i z płonącymi policzkami pospiesznie naciągnęła na siebie koszulę. Nie była w stanie związać troczków trzęsącymi się dłońmi, więc ochoczo ją wyręczyłem. Dzięki temu miałem sposobność jeszcze przez moment nacieszyć oko widokiem jej idealnych piersi. Na koniec objąłem jej policzki i złożyłem na ustach lekki pocałunek.

*

Nie zdawałem sobie sprawy, ile czasu minęło, odkąd wyszliśmy z osady. Dopiero widok chowającego się słońca uzmysłowił mi, że spędziliśmy nad jeziorem dobrych kilka godzin. Niebo w oddali wyglądało, jakby ktoś starał się rozetrzeć na nim kurz za pomocą miotły z różeg. Na moment oderwało mnie to od rzeczywistości, bo rzadko miałem okazję oglądać taki pejzaż i już zacząłem sobie wyobrażać, w jaki sposób naszkicowałbym go węglem. Dopiero wyslizgująca się z mojej dłoni Francis-ki wyrwała mnie ze snu na jawie. Dziewczyna, widząc krzątające się niewiasty, w poczuciu obowiązku udała się do nich. Zwykle pomagała w przygotowaniu posiłków, chociaż – jak mi ostatnio zdradziła – nie przepadała za tym. Odprowadzałem ją spojrzeniem, dopóki nie zniknęła za jedną z chat. Wszedłem do swojej chałupy. *Mamá* spała skulona obok Severa. Podszedłem do postania i przyłożyłem dłoń do czoła brata. Gorączkował.

Falco śpiący na żerdzi łypnął na mnie ciemnymi ślepiami. Czuwał nad swoim panem.

– Marcos? – Usłyszałem zaspany szept Lerate.

Uniosła się na łokciu i spojrzała z troską na rannego. Na policzkach miała resztki łez. Wyglądała na wyczerpaną i starszą, niż rzeczywiście była.

– Trawi go gorączka – oznajmiłem, starając się, by brzmiało to spokojnie.

Oddech miał przyspieszony i płytki, a skórę mokrą od potu. Odsunąłem materiał osłaniający ranę i skrzywiłem się, widząc gromadzącą się ropę. *Mamá* jęknęła i tłumiąc płacz, ruszyła do miejsca, gdzie trzymała zioła. Trzęsącymi się dłońmi wyciągnęła tłuczek oraz moździerz. Przystąpiła do gorączkowego ugniatania ziół, mamrocząc coś pod nosem i pociągając nim raz po raz. Co chwila ocierała policzki przedramieniem.

– Mam zawołać Tau? – spytałem, ale pokręciła głową.

– Sprawdź, czy... – westchnęła, starając się zapanować nad drżeniem głosu – czy mam jeszcze eukaliptus bądź echinaceę. Ustaw je obok posłania w tym. – Wskazała na gliniane naczynie przypominające miseczkę z wysoką podstawką, z otworem w kształcie półkola z boku.

Wrzuciłem na podstawkę trochę zaszuszonej ściółki i kilka maleńkich gałązek, a następnie podpaliłem. Przejrzałem nagromadzone przez Lerate zioła i te, które udało nam się zagrabić z innych statków lub – jak w przypadku eukaliptusa – kupić za dobrą cenę. Znalazłem resztki eukaliptusowego suszu i wyspałem je na górę naczynia. Po chwili do mojego nosa dotarł charakterystyczny zapach. *Mamá* zawsze ogrzewała ziołowy susz, kiedy byliśmy chorzy lub ranni.

Usłyszałem jej ciche kroki na klepis-ku i już po chwili stała koło mnie z moździerzem wypełnionym jakąś ciemnozieloną papką. Objąłem ją ramieniem i przytuliłem do siebie. Ciągłe nie mogłem się nadziwić, ile miłości musiała mieć w sercu, skoro pokochała Severa i Cruza, mimo że nie byli jej rodzonymi dziećmi.

Zdjęła opatrunek, odrzuciła go na bok i pieczołowicie oczyściła ranę, a następnie posmarowała ją zieloną mazią. Z ust Severa wydobył się jęk. Wziąłem gliniany kubek, napełniłem go wodą i usiadłem koło brata. Odrobinę uniosłem jego głowę i starałem się go napoić. Nie wyglądało to dobrze. Nie chciałem martwić matki, ale Severo był w gorszym stanie niż wtedy, kiedy rozszarpano mu szyję. Obawiałem się, że nie dożyje rana. Pomogłem jeszcze przekręcić brata, tak by dało się oczyścić ranę na plecach i nałożyć lekarstwo, i usłyszałem wezwanie na wieczerzę.

– Idź – powiedziała Lerate zmęczonym głosem.

– Zostawmy go na boku – poradziłem. – I nie okrywajmy. Może dostęp świeżego powietrza do rany coś da.

Mamá przytaknęła. Położyliśmy go na zdrowym boku, uginając mu lekko nogi, by się nie przeturlał. Dłonie ułożyłem mu pod policzkiem. Lerate spoczęła za plecami Severa i z czułością przeczesowała palcami jego wilgotne włosy.

– Przyniosę ci strawę, *mamá* – oznajmiłem, kierując się na zewnątrz. Odsunąłem bambusową zasłonę i wyszedłem na świeże powietrze.

Słońce chyliło się ku zachodowi, a ogień pośrodku osady płonął coraz większym płomieniem. Mężczyźni dorzucali do niego wielkie konary, by utrzymać go aż do środka nocy. Ruszyłem w tamtym kierunku, kiedy usłyszałem za sobą czyjeś kroki. Bez problemu rozpoznałem chód Cruza. Zrównał się ze mną, pytając:

– Co z nim?

Obejrzałem się za siebie, by ocenić, czy Lerate może nas jeszcze usłyszeć, ale byliśmy już dość daleko.

– Źle. Bardzo źle – dodałem po chwili.

– Na łono Salacji! Co tam się właściwie stało? – Pociągnął łyk alkoholu z bukłaka.
– Poszli za nią. Adrien, Delmar i jeszcze trzech ze starej załogi ojca. – Zacisnąłem pięści.
– Nie spodobało im się, kiedy oznajmiłem, że Francisca płynie z nami na północ.
– A płynie? – Cruz zatrzymał się gwałtownie.
– Też jesteś przeciw temu?! – warknąłem. – Pływa pod naszą banderą od kilku lat, jest...
– Jest niewiastą, Marcosie. Nie dziw im się... – Uniósł palec wskazujący, by powstrzymać mnie od przerwania jego wypowiedzi. – Mierzi mnie to, ale, na ognie świętego Elma, część z nich jest tak przesadna, że nie wystarczy im twój rozkaz. Jeśli naprawdę ma płynąć, musisz postawić sprawę jasno, ale jedno-cześnie wysłuchać ich, tak by myśleli, że jednak dajesz im prawo głosu. Inaczej czeka cię bunt. A bunt na morzu... Twoja słodka Francisca mogłaby się zdziwić, do czego zdolni są piraci.

Przez moment nie mogłem wydobyć z siebie słowa. Cruz rzadko udzielał rad, a jeśli to robił, raczej nie nadawały się do tego, by z nich korzystać. Tym razem miałem wrażenie, że opętał go duch Severa. Wzdrygnąłem się na tę myśl. Już miałem odpowiedzieć, gdy na twarzy mojego brata pojawił się cwaniac-ki uśmiezek. Domyśliłem się, że nagła iluminacja minęła tak szybko, jak się pojawiła, za to powrócił stary, dobry Cruz...

– Podobało jej się, co? – Poruszył sugestywnie brwiami, uśmiechając się głupkowato.

Sporunowałem go wzrokiem.

– Co masz na myśli?

Upił spory łyk z bukłaka, po czym wyciągnął go w moją stronę. Odmówiłem.

– Ach, te jej słodkie jęki... Kiedy okrasiwszy sokiem, lizał jej nadobną skórę, jęki wydawała takie, że aż grotmaszt poszedł w górę! – Zaśmiał się. – U kaduka, aż musiałem sobie ulżyć...

– Śledziłeś nas?! – Dobyłem noża i zrobiłem krok w jego kierunku.

Dostrzegłem błysk strachu w jego oczach. Miał się czego obawiać, bo w tym momencie pragnąłem poderżnąć mu gardło.

– Wiesz, że lubię popatrzeć....

– Zabiję cię, Cruzie... Przysięgam na mój okręt, że jeśli jeszcze raz dowiem się, że nas podglądałeś, obetnę ci jaja!

Skrzywił się, po czym, przedrzeźniając mój francuski akcent, odparł:

– Na twoim miejscu bardziej martwiłbym się przyszłością twojej Francis-ki na pokładzie Lerate.

Tylko ja z naszej trójki miałem manierę wymawiania wibrującego „r”, bo jako jedyny od początku wychowywałem się z ojcem, który mówił do mnie tylko po francusku. Na niewiasty działało to jak miód na pszczoły, jednak za młodu byłem z tego powodu obiektem drwin moich braci. Cruz, jak widać, nadal nie dorósł. Nie spuszczał oka z noża, obszedł mnie szerokim łukiem i zanim się zorientowałem, siedział już przy ogniu, obejmując ramieniem jedną z miejscowych kurtyzan.

Dostrzegłem Franciszę. Pomagała ustawiać jedzenie na podłużnych stołach. Dzieciaki plątały jej się pod nogami, bawiąc się w berka i podkradając ze stołu co smaczniejsze kąski suszonego mięsa czy krojonych warzyw. Młode niewiasty starały się pokazać z jak najlepszej strony, w końcu było to jedyne miejsce, gdzie mogły znaleźć męża.

Tradycję wspólnych wieczery wprowadził ojciec. Każde domostwo przygotowywało własną strawę lub zajmowało się dostarczaniem składników, jeśli niewiasty ustaliły, że przygotowują wspólny posiłek dla wszystkich. Osadnicy upodobali sobie te spotkania do tego stopnia, że kontynuowali je nawet wtedy, kiedy ojciec wraz z większością mieszkańców wypływał w morze. Pomijając hulanki, tańce, śpiewy i snucie opowieści, podczas długich

wieczornych spotkań często planowaliśmy także nasze wyprawy i rozwiązywaliśmy sporne kwestie.

Leniwym krokiem zmierzałem ku Francisce. Uśmiechnęła się do mnie i podała mi posiłek. Przez moment wpatrywaliśmy się w siebie, a żadne z nas nie chciało być tym, które pierwsze odwróci wzrok. Widziałem, jak rumieniec wypełza na jej policzki. Objąłem wolną dłonią jej rozgrzane lico i złączyłem nasze usta. Gwałtownie wciągnęła powietrze. Wypuściła je powoli prosto w moje usta, drżąc na całym ciele, kiedy mój język leniwie musnął jej. Jakiś chmyz, uciekając przed dziewczynką z mnóstwem warkoczyków na głowie, wepchnął się z głośnym pis-kiem między nas, rozdzielając gwałtownie nasze ciała. Miałem ochotę ponownie ją pocałować, ale wtedy usłyszałem Cruza intonującego kolejną – zapewne wymyśloną na poczekaniu – zwrotkę szanty:

– „Kiedy bosman trypra złapał, obciął sobie własnym nożem, a gdy rzucił go za burzę, to wezbrało morze...”

– „Hej, ha! Kolejkę nalej! Hej, ha! Kielichy wnieśmy...”⁸⁰ – odpowiedziała chórem jego załoga pośród ogólnego śmiechu, jaki wywoływały piosenki Cruza.

Po chwili ktoś przyniósł cztery djembe i czterech marynarzy zaczęło wybijać na nich dzikie rytmy. *Proszę, nawet nie zdążyliśmy zacząć się posilać, a im już w głowie hulanki.*

Nie miałem serca przerywać im dobrej zabawy, ale w chacie nieopodal o życie walczył mój brat, a rano ktoś próbował skrzywdzić moją... No właśnie. Spojrzałem na dziewczynę, której biodra kołysały się lekko w rytm wybijany na bębnach. Urzeczony podziwiałem tę namiastkę tańca i próbowałem zrozumieć, kim dla mnie była. Ukochaną? To chyba za mocne słowo, jednak zależało mi na niej. Bardzo. Momentami nawet za bardzo.

Kilka niewiast z wioski, odzianych w kolorowe spódnice i z zawieszonymi na piersiach wieńcami z orchidei, zaczęło dziki, uwodzicielski taniec wokół ogniska. Jedna z nich zatrzymała się przed Cruzem. Nie musiała się zbyt długo wdzięczyć. Wzrok mojego brata leniwie omiótł jej walory. Dostrzegłem lubieżny błysk w jego spojrzeniu, gdy wciągał ją na swoje kolana, a potem zanurzył twarz pomiędzy jej nagimi piersiami. Francisca drgnęła u mojego boku. Spojrzałem na nią. Wpatrywała się z zakłopotaniem w mojego brata i jego dzisiejszą wybrankę.

– Konfunduje cię to? – zapytałem, zbliżając usta do jej ucha i lekko skubiąc wargami jego płatek.

Widziałem, jak jej szyja momentalnie pokryła się gęsią skórą. Miałem ochotę przejechać po niej językiem, a potem ją ssać. Popatrzyła na mnie, nie wiedząc, co odpowiedzieć, ale jeszcze wyraźniejszy rumieniec na jej policzkach mówił wszystko. A ja najchętniej zabrałbym ją teraz do chaty i poszedł w ślady Cruza. To, co wydarzyło się nad jeziorem, tylko rozbudziło mój apetyt. Francisca była idealna. Niewinna. I z pewnością to pociągało mnie w niej najbardziej. Kątem oka widziałem, jak Cruz podnosi się razem z niewiastą z pnia, na którym siedział, i udają się w stronę jego chaty. Wtem pomiędzy drzew wynurzyło się kilka postaci. Gdy byli bliżej, ujrzałem Julia, który prowadził Delmara. Podeszedłem do muzykantów, gestem dając im do zrozumienia, że mają przestać. Podrygujący wokół stosu dość liczny już tłum zastygł i zwrócił spojrzenie w moją stronę, a po chwili przeniósł je na nadchodzących kompanów. Gdy byli koło ogniska, Julio z całych sił pchnął skrupowanego Delmara. Ten upadł, ryjąc twarzą po ziemi. Dostrzegłem rozciętą koszulę na jego plecach, spod której wyzierała podłużna świeżo zasklepiona rana. Zapewne zadana przez Franciscę.

– Spocznijcie – nakazałem głośno, stając koło głowy jeńca, tak żeby wszyscy dobrze mnie widzieli. – Zapewne doszły was słuchy, że Severo został dziś bardzo ciężko ranny. Nie wiadomo, czy przeżyje noc.

Przez tłum zebranych przebiegły ciche, pełne grozy szepty.

– A wszystko dlatego, że piątka kamratów, tfu... – splunąłem z odrazą – skurwysynów, którzy pływali pod banderą Lerate, ośmieliła się podnieść na nią rękę. – Wyciągnąłem dłoń w stronę Francis-ki, a ta pobladła.

Uparcie lustrowała wzrokiem leżącego na ziemi mężczyznę, który nie ośmielił się podnieść.

– Powinna wylecieć za burtę, dobrze o tym wiesz! – odezwał się w końcu Delmar. – A ty nie dość, że darowałaś jej życie, to jeszcze postawiłaś załogę przed faktem dokonanym...

– Podejź tu. – Skinąłem na Francisę.

Niepewnie, z takim grymasem na twarzy, jakby wołała się zapaść pod ziemię, zbliżyła się do mnie. Odwróciłem ją plecami do tłumu i uniosłem koszulę tak, by oczom wszystkich ukazały się ś-lady po chłóście.

– Francisca została ukarana za kradzież zgodnie z pirac-kim kodeksem. Myś-lałem, że wszystko jest jasne.

– To Francisca Rodrigo Lopez! – ryknął Delmar, podnosząc się na klęczki, a w tłumie rozległy się okrzyki zdumienia.

Wszyscy znali nazwis-ko Rodrigo i wiedzieli, za co był odpowiedzialny. I do czego ja się zobowiązałem. Dostrzegłem spojrzenia rzucone w kierunku dziewczyny. Nie były przychylnie.

– Wiedziałem od początku, że to nie chłopiec, a umiejętnie przebrana dziewczynka – przyznałem spokojnie.

Pełen niedowierzania pomruk przetoczył się wśród zebranych. Uniosłem dłoń i natychmiast zamilkli.

– Mało tego, wiedziałem, że to najprawdopodobniej córka Miguela Rodriga Virdego. Jednak dałem jej szansę wykazania się jako Paco. Przez sześć wiosen... sześć długich lat pływała pod banderą Czarnych Braci. Czy migąła się od obowiązków? Czy nie była spolegliwa? A może kiedykolwiek was zawiodła, kamraci? – Popatrzyłem na swoją załogę, a oni pokręcili przecząco głowami. – Więc wytłumacz mi, do krośset, Delmarze, jakim prawem postanowiliście zrobić jej krzywdę po tym, jak ogłosiłem, że płynie z nami na północ?!

Zapadła cisza tak głęboka, że słyhać było wyraźnie odgłosy cykad i strzelające od żaru żagwie w palenis-ku.

– To tylko ładacznica – wysyczał Delmar przez zaciśnięte zęby.

– Ona nie jest ładacznicą! Za to ty jesteś podłym zdrajcą. Dobrze wiesz, jak karzemy zdrajców. Dla takich jak ty przewidziałem specjalny rodzaj śmierci.

Przez moment patrzyliśmy sobie w oczy, a potem rzekłem spokojnie:

– Hugonie, przynieś linę i naftę.

Dostrzegłem przebłysk strachu w oczach Delmara. Język ognia był karą, przed którą wszyscy drżeli. A ja chciałem ją dodatkowo urozmaicić. Zwykle do ust nieszczęśnika wkładano linę nasączoną smołą i podpalano. Ja zamierzałem napoić zdrajcę naftą, wepchnąć mu nasączoną nią linę do ust i zająć ogniem. Miał spłonąć od środka, a widok miał być przestrogą dla reszty. Nikt nie mógł śmieć podnosić ręki na kogoś, kto był blis-ki memu sercu. I nikt nie ośmielił się nigdy więcej sprzeciwić moim rozkazom.

Skazaniec poderwał się gwałtownie na nogi, jednak tłum zaszedł mu drogę. Nawet jeśli mieli obiekcje co do moich decyzji, szanowali i kochali Severa. Renny oraz Pierwszy Severa podeszli do skazańca i pchnęli go na kolana. Przytrzymując go za ramiona, czekali cierpliwie, aż podejdę. A ja się nie spieszyłem. Byłem nadzwyczaj spokojny. Wziąłem naczynie z naftą, które przyniósł Julio. Zanurzyłem w niej linę, po czym zbliżyłem się do zdrajcy.

– Pij. – Przystawiłem mu misę do ust.

Skręcił głowę, zacis-kając usta. Spojrzałem na Renny'ego. Wiedział, co robić. Razem

z pierwszym oficerem -Bienvenidy unieruchomił głowę Delmara i zatkał mu nos. Mężczyzna miotał się zaciekle, ale miałem pewność, że w końcu pragnienie zaczerpnięcia tchu będzie silniejsze i otworzy usta. Kiedy z głośnym, przepelnionym furją krzykiem nabrał powietrza, momentalnie wlałem mu ciec do gardła. Zaczął się krztusić, ale szybko zatkałem mu dłońią usta, by nie wypuł nafty. Potem znów podjęliśmy próbę wepchnięcia mu liny między zęby. Jedno musiałem mu przyznać: walczył zajadle do samego końca, jednak nie miał z nami najmniejszych szans. Kiedy tylko lina znalazła się w jego ustach, Renny złapał go za włosy i odchylił mu głowę do tyłu. Otaczający nas tłum milczał i obserwował wszystko w absolutnej ciszy. Pojąłem, że niektórzy prawdopodobnie po raz pierwszy są świadkami egzekucji.

Zatrzymałem się na moment i spojrzałem na twarz Delmara, wykrzywioną w grymasie nie to przerażenia, nie to wściekłości. Ale w oczach dostrzegłem nieme błaganie o przebaczenie. O darowanie życia. Lęk przed śmiercią okazał się silniejszy niż duma. Uśmiechnąłem się z satysfakcją. Przepelniało mnie teraz to samo uczucie co przed odebraniem życia markizowi Rodrigowi Virdemu. Podszedłem do ogniska i odpaliłem pochodnię. Kiedy zwróciłem się w kierunku Delmara, kręcił głową, wydając z siebie przytłumione krzyki. Nie spieszyłem się. Powoli, krok po kroku, wydłużałem jego mękę. Schyliłem się, by patrzeć prosto w jego oczy. Cuchnął naftą, której smugi spływały mu po podbródku.

– Przybyłem z piekła i tam cię zabiorę!

Wyprostowawszy się, przyłożyłem pochodnię do wystającej z jego ust liny, która szybko zajęła się ogniem. Gardłowe wrzaski mężczyzny przybrały na sile. Dopiero wtedy Renny i drugi kamrat go puścili. Delmar turlał się przez moment po ziemi, po czym zastygł w bezruchu, a jego ciało pochłonął ogień. Do mojego nosa dotarł swąd spalonego mięsa. Nie byłem w stanie odwrócić spojrzenia, po prawdzie pierwszy raz widziałem płonące ciało. Ku zdumieniu wszystkich nagle jego ręce i nogi się poruszyły. Część zebranej gawiedzi krzyknęła zas-koczona. Sam nie dowierzałem temu, co widzę. Szeptano o pomocie szatana, opętaniu i tym podobne farmazony. Kiedy objęte pożogą ciało znowu znieruchomiało, zerknąłem na Franciscę. Stała z ustami zaciśniętymi w wąską linię i z odrazą wpatrywała się w truchło Delmara, którego nieruchome kończyny pozostawały podkurczone. Wtem spojrzała na mnie. Zdumiałem się, bo sądziłem, że będzie się mnie lękać, jednak jej wzrok wyrażał jedno: wdzięczność.

– Pozostawcie to ścierwo w lesie. Zdrajcy nie zasługują na pochówek – oznajmiłem bezbarwnym głosem.

Julio wraz z dwójką kompanów, których wyznaczył, zajęli się zwęglonymi szczątkami, a ja podszedłem do Francis-ki. Czekałem na jej reakcję. Widziała wiele okropieństw w moim wykonaniu, ale po dzisiejszym dniu byłem niemal pewien, że ogarnie ją trwoga. Ku mojemu zas-koczeniu, kiedy tylko znalazłem się naprzeciwko, wtuliła się we mnie bez jakiegokolwiek zawahania. Objąwszy ją ramieniem, powiodłem spojrzeniem po zebranych mieszkańcach. Nikt nie odezwał się ani słowem.

– Wyruszamy za dwa dni – obwieściłem w końcu, kiedy nikt nie ośmielił się ruszyć z miejsca.

Czekali na mój rozkaz. Na moje pozwolenie.

– Przez niesubordynację mojej załogi nasza flotylla uda się w drogę osłabiona. Bez jednego kapitana. Bez jednego okrętu. Nie możemy pozwolić sobie na opóźnienie rejsu o kolejne tygodnie. Pewnie zauważyliście, że wulkan daje o sobie znać coraz częściej. Nie próżnowaliśmy w tej kwestii i wspólnie z braćmi podjąłem starania, by przenieść naszą osadę na ziemię, które znalazł dla nas mój ojciec. To odległa wyspa. Na północy, gdzie będzie już potwornie zimno o tej porze roku. Dla wielu z was to nieznanne tereny, warunki bytowe są zgoła odmienne od tych, do których nawykliście. Ale nie mamy wyboru, jeśli chcemy pozostać samowystarczalni, wolni

i zapewnić wszystkim bezpieczeństwo. Co więcej, na Wyspie nie możemy uprawiać wszystkiego. Nie jesteśmy w stanie hodować każdego rodzaju trzody. A robi się nas coraz więcej. Potrzebujemy przestrzeni. Cywilizowanych warunków. Chciałbym rozbudować flotyllę o kolejne okręty, ale nie mogę tego zrobić, bez przerwy kryjąc się w zatokach. Ojciec dobrze o tym wiedział i od początku taki był jego plan. – Przerwałem, przypominając sobie tamten dzień, kiedy go pojmano. To był najgorszy dzień w moim życiu. Wziąłem głęboki haust powietrza, odganiając nieprzyjemne wspomnienia, i kontynuowałem: – Rozumiem, że boicie się przesądów! Ale zabobony doprowadziły do tego, że Severo walczy teraz o życie. Twierdzicie, że niewiasta na pokładzie przynosi pecha?! Do kroćset, pływała z nami przez szmat czasu! Czy cokolwiek się zmieni tylko dlatego, że teraz macie świadomość, że nie ma kutasa między nogami?! Opatrywała wasze tłuste dupska, fastrygowała żagle, przygotowywała strawę i pracowała równie forsownie, jeśli nie bardziej, co każdy z was! – Dyszałem ciężko, rozglądając się po swoich kamratach i czekając na jakąkolwiek reakcję.

Obserwowali mnie z zaciętymi minami, niektórzy szeptali między sobą. Zacisnąłem pięści tak mocno, że czułem, jak paznokcie ranią mi skórę.

– Ja tam nie mam nic do niej, *sir*. – Pierwszy odezwał się Renny. – Wiele razy mi pomogła. Nigdy nie zawiodła. Jest pracowita.

– Jest lojalna – dodałem ciszej. – Miała okazję, żeby się mnie pozbyć, a uratowała mi życie. Wiedziała, co może ją czekać z moich rąk, gdy prawda ujrzy światło dzienne. A mimo to mnie ocaliła.

– A może – wtrącił Hugo – niech Paco... to jest Francisca... sama się wypowie. Może wcale nie ma ochoty być częścią naszej załogi. Może woli wieść spokojny żywot wśród pozostałych niewiast w osadzie?

Zamarłem. Nie wziąłem pod uwagę tej możliwości. Z góry założyłem, że będzie chciała wyjść z nami w morze. Szczególnie po tym, co powiedziała wtedy, na plaży. Poczułem, jak jej ciało się spina. Pochyliłem głowę, odnajdując jej ciepłe spojrzenie. Gdy nasze oczy się spotkały, uśmiechnąłem się zachęcająco. Widziałem, jak się waha, a potem przenosi wzrok na zgromadzonych.

78 Gieźło – koszula.

79 Knot – mały chłopiec.

80 *Morskie opowieści*, szanta, <http://www.morskie-opowieści.kwasniewska.pl/-morskie.htm>, dostęp: 14.01.2023.

Osiemnasta szklanka

„Żegnaj, żegnaj, miłości ma,

Rozstanie przynosi ból.

Gwiazdą przewodnią będziesz mi,

Aż powrócę znów”.

The Faithful Sailor Boy, szanta

Francisca

Życie przez kilka lat w przebraniu wyrobiło we mnie nawyki, które ciężko mi było przezwyciężyć. Wezwana przez Pierwszego do wyrażenia własnego zdania miałam ochotę czmychnąć i się schować. Musiałam jednak zacząć stawiać czoła swoim lękom. Mężczyzna, który kiedyś zagrażał mi najbardziej, obecnie był moim najzagorzalszym obrońcą. Lubowałam się w jego ciepłym spojrzeniu. Dodawało mi kurażu. Czułam się tak, jakby otaczał mnie tarczą, i wiedziałam, że w jego obecności nic mi nie grozi. Ciepło bijące od jego ciała napawało mnie poczuciem bezpieczeństwa. Przypomniałam sobie, jak mnie całował, i stłumiłam westchnienie.

– Marzyłam o pływaniu po morzach, odkąd byłam małą dziewczynką – odezwałam się, ale miałam wrażenie, że to nie ja mówię, tylko przysłuchuję się z boku. – Ten... feralny rejs... to był prezent z okazji moich zaręczyn. I gdybym miała taką możliwość, by ponownie znaleźć się w tamtym czasie, nie zmieniałabym nic. Kochałam rodziców. Ich śmierć... – przełknawszy ślinę, skupiłam wzrok na kapitanie – z rąk Marcosa była dla mnie, dwunastoletniej wtedy dziewczynki, ciosem prosto w serce. Aliści ponownie wybrałabym taki los. Morze zawsze mnie wzywało. Nocą usypiając do snu, w dzień będąc ucztą dla ucha i oka. Uwielbiałam się wpatrywać w morskie bałwany, kochałam słuchać ich szumu, szczególnie podczas sztormu. Jakby opowiadało jakąś mrozącą krew w żyłach historię. Pytałeś, Hugonie, czy chcę z wami pływać. O niczym innym nie marzę. Chcę być częścią waszej załogi. Tylko na pokładzie statku jestem naprawdę -wolna. Wtedy czuję, że żyję.

Nastąpiła cisza. Strawa zapewne zdążyła już dawno wystygnąć, ale nikt nie ruszył się, żeby zacząć posiłek. Wszyscy, nawet ci, których sprawa nie dotyczyła, z uwagą wyczekiwali, jak to się skończy. Nie dziwiłam się załodze. Po części rozumiałam ich punkt widzenia. Nie wiedziałam tylko, czy będę umiała spędzić tu resztę swoich dni zamknięta niczym koza w zagrodzie.

– Nie zrozum mnie źle, señorito – zwrócił się do mnie Julio. – Absolutnie nie pochwalam tego, co uczynił Delmar. Nie tak rozwiązuje się sporne kwestie. Ale widzę, jak nasz kapitan na ciebie patrzy. Obawiamy się, że gdy dojdzie do klinczu, to twoje dobro postawi na pierwszym miejscu.

– Zawsze na pierwszym miejscu będzie mój okręt! – zapewnił Marcos. – Jestem jego kapitanem. Uważasz, Julio, że porzuciłbym statek?! Że naraziłbym kogokolwiek z załogi?! Nigdy! Kapitan zawsze schodzi z pokładu ostatni! Nie pojmuję, jak mogliście we mnie zwątpić...

– Po prostu wiemy, co potrafi zrobić serce, Marcosie – wtrącił się Hugo. – W niektórych sytuacjach zagłusza rozum. Tego się obawiamy. Jesteś młody. Byłeś zmuszony przejąć

obowiązki ojca zbyt wcześnie. Daliśmy ci kredyt zaufania, a ty go spłaciłeś. Teraz jednak wymagasz od nas naprawdę ogromnych pokładów wiary w ciebie.

– Dobrze zatem. – W głosie Marcosa pobrzmiwała uraza. – Nie będę nikogo przymuszał. Francisca płynie ze mną, skoro taka jest jej wola. Jeśli ktoś z załogi się z tym nie zgadza, może zmienić banderę. Chcę znać decyzję do jutra rana, żebyśmy wiedział, w jakim składzie wyjdziemy w morze.

Odwrócił się, wypuściwszy mnie z objęć, i skierował ku stołowi. Nałożył sporą porcję jedzenia do glinianej mis-ki i udał się do chaty. Po chwili ciszę zaczął wypełniać gwar rozmów, a tubylcy powoli podchodzili do stołów. Nikomu najwyraźniej nie przeszkadzał odór zwęglonego ciała nadal unoszący się w powietrzu, jednak po hulaszczym nastroju pozostało jedynie wspomnienie. Nikt już nie pałał chęcią do tańców czy śpiewów.

– Nie dziw im się, *milady*. – Usłyszałam głos żaglomistrza. – Stare wilki morskie nie lubią zmian.

– A diabli balast zapewne bardzo im ciąży – dodałam z -ironią.

– Jak dla mnie możesz płynąć. – Poklepał mnie przyjacielsko po ramieniu i ruszył ku stołom z jedzeniem.

Na mojej twarzy pojawił się uśmiech. Lubiłam Renny'ego. W zasadzie nigdy nie czułam anty-patii do nikogo z załogi Lerate. Miałam się tylko na baczności w pobliżu Delmara i Adriena. Okazało się, że nie bez powodu.

Dostrzegłam w ciemnościach sylwetkę Marcosa zmierzającego w stronę plaży. Wszędzie poznałabym jego charakterystyczny majestatyczny chód. Kroki prawdziwego przywódcy. Zabrałam ze stołu naczynie z sosem i dwie kule fufu, po czym podążyłam za nim.

Zastałam go siedzącego na brzegu. Wpatrywał się w zacamowane przy klifie okręty. Usiadłam obok, postawiłam naczynie z sosem między naszymi nogami i podałam mu kulę fufu. Pokręcił tylko głową.

– Wątpią we mnie... – W jego głosie dało się słyszeć głęboki żal. – Po tylu latach we mnie zwątpili. Jak mogę być ich kapitanem...?

– Marcocie – dotknęłam jego dłoni – nie muszę płynąć...

Z trudem wypowiedziałam te słowa. Moje serce aż się rwało, by znów znaleźć się na deku Lerate.

– Ale chcesz – odparł.

– To prawda, jednak nie zawsze...

– Jak mogli pomyśleć, że w razie niebezpieczeństwa porzuciłbym okręt? – spytał z wyrzutem.

Czułam jego ból. Był niemalże namacalny, widoczny w jego postawie i w spojrzeniu. Odłożyłam fufu na podolek i dotknęłam dłonią jego policzka, a następnie powoli złączyłam nasze usta. W uszach słyszałam dudnienie własnego serca, mieszające się z cichym szumem fal rozbijających się o piasek niedaleko nas. Dłoń Marcosa znalazła się na moim karku. Wplótł palce w moje włosy i zacisnął je w pięści, a potem przechylił moją głowę, tak by pocałunek z czułego i delikatnego stał się zaborczy i pełen pożądania.

– Nie umiem nazwać tego, co się ze mną dzieje – wyszeptał, opierając czoło o moją głowę i starając się uspokoić oddech. – Czuję... Jeszcze nigdy nie czułem czegoś takiego, Francisco. Tu. – Położył dłoń na klatce piersiowej, w okolicach serca.

Przykryłam ją swoją, a nasze palce znów się splotły. Pragnęłam znowu go pocałować, ale wstał i pociągnął mnie w stronę łodzi.

– Chodź! – rozkazał.

Zepchnął łajbę na fale. Nie przejmując się tym, że moczę sobie spodnie, wlażłam po

kolana do wody i sprawnie wskoczyłam do łodzi. Szalupa niebezpiecznie zachybotała, kiedy Marcos do mnie dołączył. Objęłam dłońmi chwytaki pagajów, przyzwyczajona do tego, że kapitan nigdy nie wiosłował, ale Marcos popatrzył na mnie rozbawiony i rzekł:

– Chyba sobie kpisz, Francisco. – Usiadł na desce naprzeciwko mnie i delikatnie zdjął moje dłonie z chwytaków. – To moje zadanie.

Zanurzył pióra i bez najmniejszego wysiłku skierował łajbę w stronę czarnego kształtu, który musiał być Lerate. Woda w zatoce była spokojna, a drobne fale delikatnie uderzały o burty łódki, wprawiając ją w lekkie kołysanie. Przymknęłam powieki i wzięłam do płuc spory haust morskiego powietrza. Pamiętałam dokładnie, jak na początku kołysanie wywoływało u mnie chorobę morską. Teraz czułam się nieswojo, kiedy stawiałam stopy na lądzie.

Dobiliśmy do burty Lerate. Marcos sprawnie przywiązał szalupę, a następnie wspieliśmy się po sznurowej drabince na pokład. Miło było usłyszeć plaśnięcie naszych stóp o dek. Okręt znaleźliśmy jak własną kieszeń, więc ciemności ani trochę nie przeszkodziły nam w dotarciu do kapitańskiejkajuty. Miesiąc schował się za chmurami, pokrywając świat całunem czerni. Usłyszałam ciche skrzypnięcie drzwi kajuty i już po chwili obydwójce byliśmy w środku. Dostrzegłam kilka is-kier, po czym światło świecy rozświetliło pomieszczenie. W jej nikiłym blasku skóra Marcosa przypominała odcieniem skórę jego matki. Popatrzył na mnie i uśmiechnął się, błyskając białymi jak śnieg zębami. Dostrzegłam porzucane po całym stole szkice. Marcos miał niesamowity talent. Jego węgle zdawały się żywe, kiedy w świetle świecy na papierze tańczyły liczne cienie. Podeszłam bliżej. Na wszystkich widniał ja. Były ich dziesiątki. Z każdego etapu mojego życia pod banderą Lerate. Ale był też jeden rękorys, którego wcześniej nie dostrzegłam. Ostrożnie chwyciłam go między palce. Przedstawiał mnie w Doku Straceń, uczeponą spódnicy Kamarii i wpatrującą się przed siebie z przerażeniem na twarzy. To było wtedy, kiedy Marcos chciał dobyć broni.

Poczułam, że staje za mną, a jego dłonie przesunęły się po moich ramionach w tklwym geście, jakby chciał, żebym się rozluźniła. Oparłam głowę o jego tors, nadal podziwiając swój portret. Był tak drobiazgowy, że mogłam policzyć angażanty przy rękawach. Zrobiło na mnie wrażenie, że zapamiętał takie szczegóły. A był wtedy dzieckiem.

Wtem poczułam łaskotanie ciepłego oddechu na karku. Jego usta zaczęły błędzić po mojej szyi, a dłonie zacisnęły się na -talii. Doznałam przyjemnego ścisku w podbrzuszu i rozkosznych dreszczy. Zamknęłam oczy i westchnęłam. Czułam, jak jego język prześlizguje się od ucha w kierunku obojczyka, jak jego usta łakomie zasysają skórę. Miałam wrażenie, że zaraz roztopię się niczym wosk rozpalonej świecy.

– *Sois à moi ce soir*⁸¹ – wymruczał cicho po francusku.

Wcześniej miałam okazję słyszeć jedynie, jak kłął w tym języku. Robił to bardzo często, rugając załogę. Wiedziałałam, że zna francuski perfekcyjnie, jednak pierwszy raz słyszałam, jak francuskie wyrazy płynące z jego ust przepełniają taką dozą uwielbienia. Jego melodyjny niski głos i wibrujące „r” brzmiały jak najczulsza pieszczota.

– *Voulez vous?*⁸²

Nie byłam w stanie skupić się na znaczeniu słów, kiedy jego usta i język leniwie dręczyły mnie pieszczotami. Nogi miałam tak miękkie, że bałam się, że upadnę.

– Bądź moja tej nocy, Francisco – wyszeptał.

81 *Sois à moi ce soir* (fr.) – Bądź moja tej nocy.

82 *Voulez vous?* (fr.) – Czy zechcesz?

Dziewiętnasta szklanka

„Na morzu bez niewiasty lat siedem lub więcej,

Nie trzeba nawet pytać, czego szukał tu [...].

Mówiąc do niej uprzejmie, jakby nie chciał skrzywdzić jej, Spytał, czy zlegnie z nim w łóżu po to, by go grzać”.

Bell Bottom Trousers, szanta

Marcos

Przerwałem wędrówkę moich ust po jej szyi, gdy z trudem łapiąc oddech, oparła się o stół. Dłonie wsunąłem pod koszulę, przejeżdżając leniwie palcami po jej talii i brzuchu. Za każdym razem drżała. Nie sądziłem, że jest aż taka wrażliwa. Przytuliłem się do niej i oparłem podbródek o jej ramię. Wzrok miała utkwiony w moich węglach porozrzucanych po całym blacie.

– Odnoszę wrażenie, że przez ten cały czas nie robiłeś nic innego, tylko mnie rysowałeś.
– Jej głos wibrował, a gdy przywarłem torsem do jej -pleców, wyczułem szybkie uderzenia serca.

Czułem ciepło emanujące z jej ciała. Policzki miała rozgrzane do czerwoności.

– Istotnie... – wyszeptałem jej do ucha.

Rysowałem. Szkicowałem węglem każdą emocję, którą wychwyciłem na jej obliczu. Ale obecnie pragnąłem więcej. Chciałem malować palcami kontury jej ciała, badać każdą najmniejszą krzywiznę, opuszkami zapamiętywać fakturę jej skóry. Kreślić rysy jej twarzy, wyraźne kości policzkowe, lekko zadarty nosk nadający jej odrobinę niesforny wygląd. Pragnąłem wyryć w pamięci każdy milimetr jej ust, wargami zbadać ich kształt, żebym w każdej chwili mógł go przywołać. Językiem obrysować ich kontur. Były tak ponętne, że nie potrafiłem się im oprzeć. Marzyłem, by wodzić nosem wzdłuż jej szyi, znaczyć językiem mokry ślad na skórze i wdychać jej zapach. Woń obiecującą słodkie zapomnienie. Pragnąłem zatopić zęby w jej krągłościach, językiem kreślić nieznane ścieżki, smakować ją – najlepiej bez końca.

– Marcocie...

Usłyszałem cichy szepc i zorientowałem się, że stoi odwrócona przodem do mnie. Dłonie ułożyłem płasko na stole, po obu stronach jej bioder. Zamknąłem ją w pułapce.

Opierała się pośladkami o krawędź blatu, szkic, który trzymała w dłoniach, teraz przyłożyła do piersi i wpatrywała się we mnie tymi pięknymi oczami o barwie rozgniewanego oceanu. Długie czarne rzęsy sięgały niemalże jej brwi. W jej spojrzeniu czaiła się obawa. Mój oddech zrobił się ciężki i zdałem sobie sprawę, że nie będę potrafił jej wypuścić. Nie dziś. Chwyciłem troczki jej koszuli i zacząłem powoli je rozplątywać.

– Marcocie... – pisnęła cicho, wyraźnie złęknona.

– Potrzebuję cię, Francisco – szepnąłem, a potem złączyłem nasze usta i po chwili powiedziałem to samo po francusku: – *J'ai besoin de vous*.

Moje palce sprawnie rozchełstały jej koszulę i dłońmi objąłem jej piersi. Jęknęła, zapewne nawet nie zdając sobie z tego sprawy. Poczulem jej dłonie wślizgujące się pod moją koszulę. Drobne palce błądziły po mojej skórze. Czułem, jak przejeżdża paznokciami po każdym mięśniu, kierując się w stronę brzucha. Z mojego gardła wydobył się cichy pomruk. Odrywając

się na moment od jej ust, w pośpiechu ściągnąłem koszulę przez głowę. Widziałem, jak błyszcząły jej oczy. Wyraźnie zakłopotana przymknęła powieki, po czym uchyliła je lekko i spod długich rzęs obserwowała moje nagie od pasa w górę ciało. Jej dłonie ponownie zaczęły wędrowkę wzdłuż zarysowanych mięśni, zatrzymując się na każdej bliźnie. Musiałem zamknąć oko i zacisnąć pięści, bo nie sądziłem, że zwykły dotyk może się okazać taką torturą. Serce galopowało jak szalone, klatka piersiowa unosiła się z trudem z każdym łapczywie nabieranym oddechem. Moja skóra płonęła w miejscu, gdzie wędrowały jej dłonie. W pewnej chwili położyła prawą rękę na moim sercu i się zatrzymała.

– Biją tak samo, Marcosie – wyszeptała i popatrzyła na mnie. Zwilżyła wargi, a potem dodała: – Nasze serca. Uderzają dokładnie w tym samym rytmie.

Nie odpowiedziałem. Pochyliłem się do jej ust. Mój język pieścił jej, zęby skubały wargi, a nasze łapczywe oddechy złączyły się w jedno. Nigdy nikogo tak nie pragnąłem. Nie byłem w stanie myśleć o niczym innym jak o tym, że muszę ją posiąść. Muszę jej zasmakować, a potem sprawić, żeby naprawdę była moja. Złapałem ją za poś-ladki i posadziłem na stole. Moje usta prześlizgnęły się po linii jej szczęki, a następnie po całej długo-ści szyi. Mruknąłem z zadowoleniem, gdy zacisnęła kolana na moich biodrach i wbiła mi paznokcie w ramiona, kiedy objąłem wargami jej sutek. W momencie, gdy przejechałem po nim językiem, odchyliła głowę do tyłu, głośno wciągając powietrze. Oczy miała zamknięte, a jej lico się zaróżowiło. Wyglądała jak bogini. *Moja królowa!*

W kajucie było duszno i nasze ciała szybko pokryła warstewka potu. Czułem jego słony smak na języku, kiedy moje usta błdziły po jej skórze, kierując się niespiesznie w dół jej brzucha. Z jej ust co chwila wydobywały się ciche jęki, a palce naprzemiennie to przeczesywały, to szarpały moje włosy. Ponownie odnalazłem jej usta i złożywszy na nich głęboki pocałunek, wyszeptałem jej do ucha:

– Połóż się. – Popatrzyłem na nią i dostrzegłem w jej oczach przebłysk strachu. Posłałem jej lekki uśmiech, a potem nis-kim szeptem zapytałem: – Ufasz mi?

Pokiwała nieznacznie głową. Moje ręce zatrzymały się na bokach jej talii, dłońmi odnalazłem krawędź jej spodni. Włożyłem za pas najpierw kciuki, a po chwili całe dłonie i wsunąłem je pod materiał.

– Połóż się, *ma douce, petite Francisca*⁸³ – wymruczałem po francus-ku do jej ucha, kładąc ręce pod jej jędrne poś-ladki.

Posłusznie położyła się na szkicach, a ja ostrożnie zsunąłem z niej spodnie i odrzuciłem za siebie. Zacisnęła uda. Uklęknąłem, chwyciłem jej nogę i moje usta zaczęły wędrowkę od kostki w górę. Słyszałem jej przyspieszony oddech, moje dłonie chwyciły jej uda i rozdzieliły je.

Głośno wciągnąłem powietrze, podziwiając ją taką, jaka została stworzona. Nagą i bezbronną. Była idealna. Była moja.

„Posmakuj jej... Ale wszędzie, bracie. Wszędzie...” – słyszałem słowa Cruza, jakby stał tuż obok. Och tak, zamierzałem jej posmakować. A potem uczynić ją prawdziwie swoją. Będę jej pierwszym.

I ostatnim!

Unieruchomiłem jej uda, a następnie zatopiłem język w miejscu, gdzie jeszcze nikt przede mną nie był. I niech skonam, jeśli było na świecie coś wyborniejszego niż smak niewiasty. Jęczała z plecami wygiętymi w łuk, kiedy wnikliwie badałem językiem każdy skrawek jej słodkiego łona. Wplotła palce w moje loki i pociągnęła je.

– Co... ty... mi... robisz? – wysapała z trudem. – Marcosie...

– Cii... – wymruczałem.

Spojrzałem na nią. Widziałem, jak jej piersi poruszają się w górę i w dół w rytmie

rwących się oddechów. Usta miała lekko rozchylone, a powieki przymknięte. Z każdym moim liźnięciem przez jej ciało przetaczały się kolejne fale dreszczy, aż w końcu mocno zacisnęła palce na moich włosach i wykrzyczała moje imię. Zastygłem, kiedy jej ręce opadły bezwładnie, a ona z trudem próbowała zapanować nad oddechem. Obserwowałem to niesamowite zjawisko i zastanawiałem się, czy będę w stanie kiedykolwiek oddać tę chwilę, przenosząc ją za pomocą węgla na papier. Jej wymęczone rozkoszą ciało, na którym blask świecy pobudzał cienie do życia, do wędrówki między piersiami, w dół brzucha do miejsca, które za moment znów miało należeć tylko do mnie.

Wziąłem ją na ręce. Splotła dłonie na mojej szyi i odszukała moje spojrzenie. W jej oczach błysnęły łzy. Potarłem nosem jej mały nosek i pocałowałem jej słodkie usta. Odwzajemniła pocałunek. Nie tracąc ani chwili, skierowałem się w stronę koi. Była wąska, ale na pewno wygodniejsza niż stół. Ostrożnie położyłem Franciscę na wełnianym pledzie i zdjąłem spodnie. Obserwowała mnie, czerwieniąc się jeszcze bardziej, kiedy dostrzegła dowód tego, jak bardzo jej pragnę. Wspiąłem się na posłanie i znalazłem się dokładnie nad nią. Moje ciało pragnęło jej tak bardzo, że to aż bolało. Dotknąłem dłonią jej policzka i przejechałem kciukiem po pieprzku nad górną wargą, a następnie pocałowałem. Powoli. Drażniąc językiem jej język. Spijając ciche westchnienia. Czekałem na ten moment jak na pierwszy oddech po wynurzeniu się spod powierzchni wody. Nie chciałem jej spłoszyć, a strach i niepewność znów były widoczne w jej zielonych oczach. Drżała, rozpalona do granic możliwości. Ostrożnie rozchyliłem jej nogi i znalazłem się u progu swojego osobistego raj. Przerwałem pocałunek i musnąłem delikatnie jej wargi. Chciała coś powiedzieć, ale przysunąłem usta do jej ucha.

– Zaboli – wyszeptałem, a potem płynnym ruchem wsunąłem się w jej wnętrze.

Chciała krzyknąć, ale ponownie złączyłem nasze usta. Jej paznokcie orały mi skórę, kiedy się w nią zagłębiałem. Była niesamowicie ciasna. Przerwałem pocałunek i wysunąłem się ostrożnie. Syknęła, zaciskając palce na moich ramionach. Po jej policzkach spłynęły łzy, które ssałem. Nie chciałem sprawiać jej bólu, ale było to nieuniknione. A nie mogłem już dłużej czekać. Potrzebowałem jej dzisiaj jak powietrza. Moja ręka powędrowała pod jej pośladek, uniosłem ją odrobinę i poczułem, jak cała sztywnieje. Palce ponownie zacisnęła na moich ramionach i spojrzała na mnie z przerażeniem. Obawiała się bólu, wiedziałem o tym.

– Już będzie dobrze – powiedziałem cicho, zębami znacząc krzywiznę jej ucha i zaciągając się jej zapachem. – Odpręż się.

A potem powoli znów się w niej zatopiłem. Po kilku ruchach jej dłonie, zamiast kurczowo ścisnąć moje ramiona, zaczęły gładzić moje plecy i kark. Jej ciało instynktownie zaczęło wychodzić na spotkanie mojemu. Zacisnąłem mocniej palce na jej pośladku, odszukałem jej usta i między kolejnymi pocałunkami wyszeptałem:

– *Tu es à moi, Francisca*⁸⁴...

83 *Ma douce, petite Francisca* (fr.) – moja słodka, mała Francisco.

84 *Tu es à moi, Francisca*... (fr.) – Jesteś moja, Francisco...

Dwudziesta szklanka

„Uniosła koc i chwilę leżała tak,

A on był na niej i był w niej, nie raz i nie dwa.

I wchodził, i wychodził niczym burzowy sztorm.

A ona rzekła tylko: »Mam nadzieję, że ciepło ci«”.

Bell Bottom Trousers, szanta

Francisca

Moje policzki płonęły. Cała płonęłam. Marcos zanurzył twarz w zagłębieniu mojej szyi i próbował złapać oddech. Nasze ciała lepiły się od potu. Dotknęłam jego wilgotnych u nasady włosów, przeczesałam je palcami i poczułam, że w moich oczach znów zbierają się łzy. Nie były one jednak spowodowane bólem tak jak na początku, kiedy miałam wrażenie, że ktoś kroi mnie żywcem. Obecnie przytłoczyły mnie emocje. Nigdy wcześniej nie było mi dane doświadczyć czegoś podobnego. Nie rozumiałam tego, co działo się z moim ciałem ani tym bardziej z moim umysłem. Dopiero teraz dotarło do mnie, że Marcos zrobił ze mną to samo co z tamą kurtyzaną. To, co często nawiedzało mnie w snach, po których nie dawałam sobie rady z uczuciami nagromadzonymi w moim ciele.

Na moment oczami wyobraźni wróciłam do tamtej sceny. Jej nogi owinięte wokół jego bioder, jego płynne, a zarazem stanowcze ruchy i jęk rozkoszy wydobywający się z jej ust. I to, jak wtedy na mnie patrzył. Teraz byłam w stanie pojąć, że tamto spojrzenie stanowiło obietnicę, bo przecież cały czas wiedział – dobrze zdawał sobie sprawę, kim jestem.

Ponownie poczułam ból, kiedy Marcos powoli ze mnie wyszedł. Oparł się na łokciach i popatrzył na mnie z taką adoracją, że zaparło mi dech w piersi. Odniosłam wrażenie, że chce coś powiedzieć, jednak zacisnął usta, a potem okręcił się na wąskiej koi. Leżałam teraz wtulona w jego ramiona, z głową na jego piersi unoszącej się w rytm oddechów. Wsłuchiwałam się w regularne uderzenia serca, które kołysały mnie do snu.

– *Tu es mon amour...*⁸⁵ – Usłyszałam jeszcze, zanim pochłonał mnie sen.

*

Obudził mnie ból w plecach. Moja ręka, na której leżał Marcos, ścierpła tak bardzo, że w zasadzie jej nie czułam. Próbowałam się wyswobodzić, nie budząc go przy tym, ale kiedy tylko poruszyłam ramieniem, jego oko momentalnie otworzyło się i spojrzało na mnie. Nie miał opas-ki, zdejmował ją na noc. Nie przerażał mnie jednak widok jego drugiego, poszarpanego i pustego oczodołu. Na jego ustach wykwitł leniwy uśmiech. Uniósł się odrobinę, dzięki czemu podciągnęłam bezwładną kończynę i z bolesnym grymasem na twarzy próbowałam sprawić, by ponownie wróciło w niej czucie. Zsunęłam się z koi. Des-ki pokładowe były zadziwiająco chłodne, mimo że w -pomieszczeniu panowała duchota. Przez bulaj dostrzegłam słońce, które dopiero co wynurzyło się znad nieboskłonu. Lubiłam tę porę dnia. I nie chodziło mi wcale o grę kolorów na niebie. To był moment, kiedy wszystko ospale budziło się do życia. Tak jak zmierzch zamykał jakiś rozdział, tak jutrzienka otwierała kolejny, dając szansę na to, by nadchodzący dzień

był lepszy od poprzedniego. Dawała nadzieję.

Poczułam ciepło emanujące z ciała Marcosa, kiedy stanął za moimi plecami. Schylił się i zaczął wodzić ustami wzdłuż mojego barku, nieznacznie powoli przejeżdżając po nim językiem i zasysając skórę. Czułam na plecach dowód tego, że bardzo, ale to bardzo mu się to podoba. Jego dłoń powędrowała do mojego brzucha. Przyciągnął mnie bliżej, wydając z siebie cichy pomruk, gdy nasze rozgrzane snem ciała się zetknęły. Odchyliłam głowę na bok, pozwalając, by jego ciepły język pieścił moją szyję. Kiedy z moich ust wydobył się cichy jęk, Marcos obrócił mnie przodem do siebie i zaczął prowadzić z powrotem w stronę koi. Spanikowałam. Położyłam dłonie na jego klatce piersiowej, dając mu do zrozumienia, żeby się wstrzymał. W istocie, zrozumiał mój przekaz. Stanął i popatrzył na mnie, gładząc kciukiem moje usta. Następnie przejechał palcem po pieprzyku nad moją górną wargą, a na jego twarzy pojawił się psotny uśmiech. Stłumiłam westchnienie.

– Pragnę cię, Francisco – wymruczał.

– Ja... – Nie wiedziałam, jak mu powiedzieć, że jestem strasznie obolała.

Było mi wstyd. Spuściłam głowę i skupiłam wzrok na kogucie wytatuowanym na jego stopie, by nie musieć patrzeć w jego bursztynową tęczę. Podobała mi się ta blis-kość między nami, nawet jeśli przysporzyła mi strasznego bólu. W jego ramionach czułam się bezpieczna. Jakbym w końcu odnalazła swoją przystań. Nie chciałam, by pomyślał, że było mi źle. Nie chciałam, żeby poszedł szukać uciechy do innej. Na samą myśl o tym, że mógłby ponownie używać sobie z jakąś ladacnicą, zacisnęłam zęby tak mocno, że zazgrzytały. Marcos najwyraźniej musiał wyczytać coś z mojej postawy, bo chwycił mnie pod brodę i uniośł ją tak, by napotkać moje spojrzenie.

– Sprawilem ci ból?

Zagryzłam wewnątrz policzka i z niepokojem próbowałam odczytać emocje z jego twarzy, ale dostrzegłam tam tylko troskę.

– Francisco?

Nie byłam w stanie odpowiedzieć. Czułam, jak broda zaczyna mi drżeć. Pomyślałam, że może nie spełniłam jego oczekiwań, że postanowi mnie zostawić... że będzie ze mnie szydził... że... że...

– Przepraszam – wyszeptał, otulając mnie ramionami.

„Przepraszam”?

Przez moment tkwiłam nieruchomo w jego objęciach, nie rozumiejąc absolutnie nic z tego, co się działo. Słyszałam, że jego serce znów przyspieszyło, jakby się bał. *Dlaczego czuje trwogę?* Ostrożnie położyłam dłonie na jego torsie i uniosłam głowę, żeby na niego spojrzeć. Bacznie obserwował moją reakcję.

– Nie chciałem cię skrzywdzić... – wyszeptał, całując moje czoło.

Wydawał się teraz taki bezbronny, jakby na powrót był tym chłopcem, który stał w Doku Straceń, musiał oglądać śmierć ojca i nie mógł nic na to poradzić.

– Powiedz coś... – W jego głosie zabrzmiała desperacja.

– Boję się – wyszeptałam – że nie spełniłam twoich oczekiwań. – Przełknęłam ślinę i znów chciałam spuścić wzrok, ale mi na to nie pozwolił.

Ponownie wziął mnie pod brodę i spojrzał wyczekująco.

– Nigdy nie... Wiesz, że ... – Nie mogłam się wysławić, tak bardzo onieśmielał mnie samym spojrzeniem.

– Francisco, co ty pleciesz, do kroćset?! – warknął. – Czy jeszcze nie dotarło do twojej ślicznej główki, że jesteś dla mnie idealna? Jesteś dla mnie stworzona. Jakby ulepiono nas z jednego kawałka gliny...

– Myś-lałam, że jesteś zawiedziony – wydusiłam z siebie w końcu.

– Czy gdybym był zawiedziony, zrobiłbym to? – Pocałował mnie żarliwie. – Albo to? – Gwałtownie przerwał pocałunek i upadł na kolana, a jego język znalazł się między moimi -udami.

Jęknęłam, chwytając go mocno za włosy, kiedy zadawał mi tę słodką torturę. Moje ciało drżało z rozkoszy, jaką dostarczały jego usta i język z każdym nieznacznie powolnym, precyzyjnym ruchem. W końcu zalała mnie taka fala spełnienia, że upadłabym, gdyby nie pochwycił mnie w ramiona.

– Twoje miejsce jest przy mnie, Francisco. *Tu es fait pour moi*⁸⁶.

*

Słońce wspinające się coraz wyżej po nieboskłonie zmusiło nas w końcu do powrotu na Wyspę. Przywdziewając koszule i pantalone, staraliśmy się jak najbardziej opóźnić ten moment. Oboje baliśmy się tego, co możemy zastać na lądzie. Trwoga o życie Severa na nowo zaczęła nas przygniatać. Ta noc pozwoliła nam na chwilę zapomnieć o tragedii, która wydarzyła się na Wyspie. Teraz przyszła pora na zmierzenie się z konsekwencjami wczorajszych wydarzeń.

Kiedy opuszczaliśmy kapitańską kajutę, Marcos miał marsową minę. Bez słowa pomógł mi wsiąść do szalupy i z zaciętym grymasem na twarzy energicznie wiosłował ku brzegowi. Spojrzałam na przesmyk, który prowadził na wody Atlantyku. Zamknęłam oczy i zwróciłam twarz ku słońcu, czując lekkie muśnięcia morskiej bryzy na policzkach.

Droga powrotna minęła szybko. Za szybko. Moje białe stopy zapadły się w chłodnym piasku. W niedługim czasie słońce miało ogrzać go tak mocno, że niemożliwością będzie po nim stąpać. Pomogłam Marcosowi zaciągnąć łożo na brzeg. Splótł nasze palce i ruszyliśmy w zarośla, prosto w stronę domostw.

– Kogóż to moje przepite ślepie widzą?

Podskoczyliśmy oboje na dźwięk głosu dobywającego się gdzieś z zarośli.

Cruz wytoczył się zza rozłożystej drzewiastej paproci i przyglądał nam się z łobuzerskim błyskiem w oku. Czknął i wyciągnął palec wskazujący w stronę brata.

– Widzę, Marcosie – pociągnął spory łyk tutejszego samogonu z bukłaka, który trzymał w drugiej dłoni, krzywiąc się przy tym – że nasza señorita pozwoliła się rozkulbaczyć.

Poczułam, że się czerwienię, na co zarechotał rubasznie. Palce Marcosa boleśnie ścisnęły moją rękę. Nie musiałam na niego spoglądać, by wiedzieć, że rozsadza go gniew. Cruz tymczasem, niczym niezrażony, kontynuował:

– Zaczumowałaś swoją periaguę⁸⁷ w jej przystani? Och, pewnej nocy Złotooki... – zaintonował.

– Zamknij jadaczkę, morska dupo! – warknął Marcos przez zaciśnięte zęby, starając się powstrzymać go od wyśpiewania jakiejś sprośnej piosnki.

– ...dokonawszy abordażu... – Cruz darł się na całe gardło przepitym głosem, przezornie cofając się w zarośla – zakotwiczył w tej lagunie, tyle miał kurażu... – Wtem potknął się o wystający korzeń i runął jak długi. Przez moment tarzał się po ziemi ze śmiechu, po czym z trudem stanął na nogi i chwiejąc się na boki, powiedział do mnie: – Ej, Paqui! Gdybyś chciała obejrzeć i moje jeżowce, nie krępuj się...

Zanim zdążyłam pojąć, co się dzieje, Marcos wyciągnął marynarski puginał i rzucił się na brata. Powalił go na ziemię z taką siłą, że usłyszałam głuche tąpnięcie i bolesny jęk Cruza. Marcos przycisnął ostrze sztyletu do jego szyi. Nawet z tej odległości widziałam grymas trwogi przemokniętego przez twarz Cruza. Poczułam lekki niepokój, choć pływając na Lerate przez te kilka lat, zdążyłam się naoglądać i nasłuchać stokroć gorszych rzeczy. A zwady pomiędzy tą

dwójką nie należały do rzadkości. Marcos miał wybuchowy temperament i bywał impulsywny, z kolei Cruz lubował się w dokuczaniu. Zwłaszcza kiedy solidnie zwilżył gardło.

– Jutro wychodzimy w morze – warknął młodszy z braci. – Doprowadź się do ładu!

Szarpnął Cruza za koszulę i siłą postawił na nogi. Następnie wyrwał mu bukłak z dłoni i cisnął z impetem w zaroś-la.

– Nie chcę cię widzieć w takim stanie na Crescencii!

– Na szczęście – na ustach Cruza pojawił się cyniczny uśmieszek, lecz spojrzenie miał srogie – nie jesteś moim kapitanem, psiajucho.

Popatrzył na mnie, mrugnął z rozbawieniem, po czym obrócił się na pięcie i chwiejnym krokiem ruszył w stronę miejsca, gdzie brat rzucił jego samogon. Podeszłam do Marcosa i złapałam go za przedramię. Był poruszony. Czułam napięte pod skórą mięśnie i widziałam, jak zacisnął palce na ręk-jeści sztyletu. Kiedy jednak poczuł moją dłoń na swojej skórze, momentalnie zeszło z niego napięcie. Pogłas-kałam jego przedramię, a on objął mnie i bez słowa ruszyliśmy w stronę osady.

Mimo wczesnej pory między zabudowaniami już kręcili się mieszkańcy. Mężczyźni doglądali trzody, a niewiasty szykowały się do wyjścia do lasu po owoce, kukurydzę i bataty, które uprawiano na poletku za jeziorem. Zdawałam sobie sprawę, że dzisiejszy dzień będzie pełen nerwowego napięcia przed jutrzejszym rejsem. Marcos zamienił się w apodyktycznego tyrana, który będzie rugał wszystkich za najmniejsze niedopatrzania. Rozumiałam go dos-konale. To na jego barkach spoczywała odpowiedzialność za załogę. Darzył zaufaniem Pierwszego i bosmana. Ba, zawsze mógł na nich polegać, ale oni mieli na głowie również zaopatrzenie statku Cruza, który niejednokrotnie dopuszczał się takich zaniedbań, że gdyby nie interwencja jego braci, załoga Crescencii nie miałaby co jeść.

Kiedy znajdowaliśmy się kilkanaście kroków od naszej chaty, zza bambusowej zasłony wynurzyła się Lerate. Miałam wrażenie, że postarzała się w ciągu nocy o kilka lat. Jej wzrok zatrzymał się na nas, dłuższą chwilę lustrowała najpierw Marcosa, a potem mnie. Gdy nasze spojrzenia się skrzyżowały, w jej oczach pojawiło się coś dziwnego. Dostrzegłam, jak całe jej ciało się spina. Oparła dłonie na krąg-łych biodrach, po czym powiedziała głosem wypranym z emocji:

– Francisco, proszę, zostaw nas na chwilę samych.

Kiwnęłam głową i posłusznie ruszyłam do środka. Marcos jednak złapał mnie za ramię, przysunął do siebie i pocałował z takim zapałem, że zakręciło mi się w głowie. Kiedy nasze usta się rozdzieliły, w jego spojrzeniu dostrzegłam szalejące emocje, a na twarzy uśmiech, wypełniający ciepłem moje serce. W końcu wypuścił mnie z objęć. Minęłam jego matkę i weszłam do pogrążonej w mroku chaty. Mój wzrok od razu powędrował w stronę posłania, na którym leżał Severo. Ku memu zas-koczeniu oczy miał otwarte. Szklily się od trawiącej go gorączki, jednak spojrzenie pozostawało przytomne. Falco wydał z siebie głośny skrzek i zatrzepotał kilkakrotnie skrzydłami, wzbil się w powietrze i wyleciał z chaty.

– Severze. – Moje usta rozszerzyły się w uśmiechu.

– Nie tak łatwo mnie zabić, Francisco. – Odwzajemnił uśmiech.

Podeszłam do siennika i usiadłam, a następnie ostrożnie przytuliłam się do Severa. Jego skóra paliła niczym bierwiono wyciągnięte z ognis-ka. Czułam, jak jego ciało sztywnieje pod wpływem mojego dotyku, ale po chwili objął mnie ramionami i poklepał po plecach.

– Nigdy ci się nie odwzajemnię – stwierdziłam, kiedy wyswobodziłam się z uścis-ku.

– Zrobiłbym to samo dla każdego, Paqui. – Jego wzrok skupił się na wejściu do chaty, bo zza bambusowej zasłony wyraźnie było słycać podniesione szepty.

Lerate i Marcos kłócili się o coś, jednak nie rozumiałam słów. Poczułam dłoń Severa pod

swoją brodą. Zmusił mnie, żebym na niego spojrzała.

– A więc zrobił to, prawda? – zapytał, a kiedy nie odpowiedziałam, ciągnął: – Lerate się tego obawiała, ale wierzyła, że ma dość oleju w głowie, by się powstrzymać. Ja zaś byłem przekonany, że prędzej czy później ulegnie pokusie. Widziałem, jak na ciebie patrzy. To było nieuniknione.

85 *Tu es mon amour...* (fr.) – Jesteś moją miłością...

86 *Tu es fait pour moi* (fr.) – Jesteś dla mnie stworzona.

87 Periagua – mały kajak żaglowy o długości mniej więcej dziewięciu metrów.

CHOMIKO – WARNIA

Dwudziesta pierwsza szklanka

„Córeczko, jeśli to prawda, com słyszał o tobie,

Jac-kie zniknie, a ty zamkniesz się w sobie.

Biedny Jac-kie wyszedł w morze z niespokojnym umysłem,

Zostawiając i flamę, i swoją ojczyznę”.

Jackaroe, szanta

Marcos

Kiedy Francisca zniknęła wewnątrz chaty, Lerate obdarzyła mnie karcącym spojrzeniem. Wyraźnie widziałem, że jest wzburzona. Dotarło to do mnie chwilę przed tym, jak mnie spoliczkowała. I tym razem zrobiła to wyjątkowo mocno. Coś ostatnio zaczęło jej to wchodzić w nawyk. Zdawałem sobie sprawę, że znów stajemy się widowiskiem dla mieszkańców Wyspy. Mimo wczesnej pory wokół obejść krzątało się sporo tubylców.

– *Mamá...*

– Jak śmiałeś?! – syknęła w suahili. Zawsze tak robiła, kiedy chciała, żeby moi bracia nie rozumieli naszej rozmowy.

Domyśliłem się, że chodziło jej też o to, by nie zrozumiała jej Francisca. I oczywiście nie myliłem się.

– Jak śmiałeś jej to zrobić, Marcosie?! – Była roztrzęsiona.

Domniemywałem, że wcześniejsze nerwy spowodowane stanem Severa sprawiły, że wyolbrzymiała pewne rzeczy.

– Ja... – próbowałem się odezwać, ale weszła mi w słowo.

– Odebrałeś jej niewinność! Wykorzystałeś to, że jest w ciebie wpatrzona jak w obraz... Splamiłeś jej honor! Myślisz, że gdzie ona teraz znajdzie męża?!

Męża?

To o to ten cały ambaras?!

Zastanawiało mnie, skąd wiedziała, co wydarzyło się w mojej kajucie. Czy mieliśmy to wypisane na twarzach? Czy to jakieś jej przeczucie? A może wyciągnęła wnioski z tego, że spędziliśmy właściwie całą noc poza chatą.

– Ale...

Znów nie dała mi dojść do słowa. Cała dygotała, a jej oczy miały gromy. Policzki spowiła purpura, pulchne dłonie zacisnęła w pięści.

– Jaki ojciec, taki syn. Myślicie tylko o sobie! – skwitowała i obróciła się na pięcie.

– Zaraz. – Złapałem ją za ramię, na co rzuciła mi nieprzychylnie spojrzenie. – Chcesz powiedzieć, że zostałeś z ojcem, bo był twoim pierwszym?! Myślałem, że go kochałeś!

– To nie jest teraz ważne! – odburknęła. – Jak mogłeś ją tak wykorzystać...? Ile ona ma lat?! Piętnaście?

– Osiemnaście... Opanuj emocje, *mamá!* – warknąłem. – Na łądzie w tym wieku niewiasty mają już dzieci. To normalne!

– Na łądzie! – prychnęła z pogardą. – Na łądzie tacy jak ja są niewolnikami!

Snąłem się i przez moment nie byłem w stanie wydusić słowa.

– Marcosie – dodała ciszej, a w jej głosie pobrzmiwało zmęczenie. – Niewiasty na łodzi mają matki... Wiedzą, jakie są konsekwencje... Nie zapominaj, że ona pływała wśród bandy rozwydrzonych piratów... Kto miał ją na to przygotować?!

– Nie skrzywdziłem jej – zapewniłem. – Nie ośmieliłbym się...

– Doprawdy? Jeszcze do niedawna chciałeś odebrać jej życie, a teraz? Co się takiego zmieniło?!

– Wszystko, *mamá*. Wszystko. – Spojrzałem na nią poważnie. – Kocham ją.

– Przestań pleść banialuki! Nie można kogoś pokochać w tak krótkim czasie...

– Kocham ją od dawna, *mamá*. To nie jest kwestia tygodni czy miesięcy. To uczucie rodziło się powoli, ale jest tak mocne, że bez wahania oddałbym za nią życie. I poślubię ją, choćby nawet dziś – oznajmiłem.

– Marcosie... – Lerate zakryła usta dłonią.

– Jeśli tylko zgodzi się zostać moją oblubienicą, jestem gotów zrobić to w każdej chwili. I to nie jest czcze gadanie. Ja już nie potrafię bez niej żyć... – dodałem ciszej po krótkiej pauzie. – Kiedy wybiegła z lasu cała zakrwawiona... myślałem, że to ona jest ranna... To, co wtedy poczułem... Myślałem, że umieram, *mamá*.

Uświadomiłem sobie, że już od dłuższego czasu przelewałem miłość do Francis-ki na swoje szkice. Robiłem to nieświadomie, ale wczoraj, kiedy Francisca oglądała stertę węgli rozłożonych na stole w kajucie, pojąłem, że kocham ją od bardzo dawna. To uczucie kiełkowało powoli, a przez te kilka lat zdążyło zapuścić korzenie w moim sercu. Przyznanie się do tego przed matką nie stanowiło dla mnie żadnej ujmy.

Lerate wyciągnęła dłoń. Spodziewałem się kolejnego siarczystego policzka, ale ona pogłas-kała mnie po twarzy i wyszeptała:

– Obyś dotrzymał danej obietnicy, Marcosie. – Na jej ustach pojawił się nikły uśmiech. – Idź do brata. Obudził się.

Poczułem, jak wraz z jej słowami spadł mi z barków ogromny ciężar. Wyminąłem matkę i odsunąłem bambusową zasłonę. Na sienniku tuż obok Severa siedziała Francisca i pomagała mu się napić. Kiedy usłyszała szelest kotary, odwróciła głowę w moją stronę, a jej twarz momentalnie rozświetlił uśmiech. Odwzajemniłem go i przeniosłem wzrok na brata. Był przeraźliwie błydy, ale przytomny.

– Nie tak łatwo się mnie pozbyć, Marcosie – wychrypiał zmęczonym głosem.

Podszedłem do posłania, nachyliłem się i złożyłem na jego czole pocałunek. Nie zdawałem sobie sprawy, jak bardzo martwiłem się o jego życie.

– Zostawię was samych – odezwała się Francisca. – Pomogę Lerate oporządzić kozy.

Powiodłem za nią spojrzeniem. Kiedy wyszła na zewnątrz, miałem wrażenie, że cała pozytywna energia zniknęła wraz z nią.

– Wpadłeś po same uszy, bracie – odezwał się Severo. Głos miał tak słaby, że ledwie było go słychać.

Spojrzałem na jego umęczoną bólem twarz. Podałem mu rum, którego łyknął z wyraźną niechęcią. Nie mieliśmy jednak lepszego sposobu na przytępienie cierpienia.

– Dziękuję – wyszeptałem. Nie musiałem niczego więcej dodawać.

Dobrze wiedział, za co jestem mu wdzięczny. Nigdy nie rozmawialiśmy wiele. Severo był typem mizantropa i wolał słuchać, niż rozmawiać. Jeśli się odzywał, to tylko w jakimś określonym celu. To Cruz był tym, który lubił pleść trzy po trzy. Albo komentować wydarzenia głupkowatymi przyśpiewkami. Typowy błazen.

– Jest coraz gorzej – westchnąłem, nawiązując do zachowania naszego brata. – Ten kiep

pije na umór. Jesteśmy osłabieni, a nie chcę opóźniać rejsu. Już dość czasu straciliśmy!

– Nie możemy czekać. Nie wiemy, jak długo wulkan pozostanie w uśpieniu. Założenie nowej osady i przetransportowanie ludzi długo potrwa. Możesz wziąć mój statek i część mojej załogi...

– Chcę płynąć na Lerate. Ale jeśli któryś z twoich kamratów zechce nam towarzyszyć, z chęcią przyjmę pomoc. Wtedy mój Pierwszy popłynie na Crescencii i będzie pilnował Cruza.

– Kiedy wychodzicie? – Severo spróbował się unieść, lecz z grymasem bólu opadł z powrotem na siennik. – Nienawidzę tej bezsilności – warknął przez zaciśnięte zęby.

– Jutro skoro świt.

– Zabierasz ją?

– Jeśli masz zamiar...

– Nie zamierzam się mieszać, Marcosie. Pomnij jednak, jakie masz obowiązki jako kapitan. Żeby serce nie przesłoniło ci zdrowego rozsądku.

– Zmówiłeś się z Hugonem i Juliem?! – zachnąłem się. – Dobrze wiem, jak ważna jest moja rola!

Wstałem gwałtownie, zamierzając zapędzić załogę do przeniesienia ostatnich zapasów na pokłady obu okrętów. Musieliśmy być solidnie przygotowani, wypływaliśmy bowiem na zupełnie inne wody niż te, do których się przyzwyczailiśmy. Warunki atmosferyczne też miały nam nie sprzyjać, obawiałem się, byśmy nie trafili na pierwszy śnieg. Mieliśmy przed sobą prawie cztery tysiące mil morskiej żeglugi. Będziemy musieli uzupełnić zapasy przynajmniej dwukrotnie, i to przy założeniu, że wszystko pójdzie po naszej myśli. Nie chciałem nawet dumać o tym, że możemy natrafić na flautę.

Dotarłszy do bambusowej zasłony, niespodzianie poczułem coś dziwnego. Jakby ktoś raptownie oblał mnie kubłem zimnej wody. Było to tak gwałtowne i zas-kakujące, że aż się wzdrygnąłem. Coś kazało mi wrócić do Severa. Niczym prowadzony na smyczy, stanąłem na powrót koło jego postania i rzekłem, nie rozpoznając własnego głosu:

– Gdyby coś mi się stało, zaopiekujesz się nią?

– Co to ma znaczyć? – Przez twarz mojego brata przemknął ledwie zauważalny grymas strachu.

– Ona nie może zostać sama. A Cruz nie jest na tyle odpowiedzialny, by otoczyć ją opieką. Nie potrafi zadbać sam o siebie!

– Marcosie, jeśli czujesz, że nie powinienes płynąć...

– Po prostu poczułem, że muszę ci to powiedzieć – przyznałem, sam nie będąc pewny, co mnie do tego skłoniło.

Opuściwszy chatę, ruszyłem w stronę zagrody z kozami. Zatrzymałem się w niedalekiej odległości i obserwowałem, jak Francisca doi jedną z samic. Chyba wyczuła moją obecność, bo odwróciła się i pomachała mi, a potem wróciła do swojego zajęcia. Kiedy skończyła, podeszła do mnie z cebrzykiem pełnym świeżego mleka. Wziąłem od niej kubek i pomogłem zanieść do chaty. Nabraliśmy jeszcze ciepłego napoju do kubków i wypiliśmy, wpatrując się w siebie. Policzki Francis-ki pokraśniały tak jak za każdym razem, kiedy zatrzymywałem na niej spojrzenie. Gdy odsunęła kubek od ust, kciukiem starłem mleczne wąsy znad jej górnej wargi, gładząc przy tym pieprzyk. Uwielbiałem go. Jej ciało zadrżało pod wpływem mojego dotyku. Nie mogłem się powstrzymać i pozwoliłem sobie na przelotny pocałunek, który samoczynnie przerodził się w dłuższą pieśczętę. Podobało mi się, że tak na mnie reagowała. Dusząc w sobie jęk, odsunąłem się od niej.

– Musimy dokończyć załadunek okrętów. Zobaczymy się na wieczery – wyszeptałem, opierając głowę o jej czoło.

- Mogę pomóc – zaproponowała. – Zawsze...
- Zostań z Lerate. Powinna odpocząć, całą noc czuwała przy Severze – poprosiłem, choć w istocie wolałem, ażeby mi towarzyszyła.

Nie ośmieliłem się nawet myśleć o tym, że mogłoby jej zabraknąć na pokładzie. Ponad trzy miesiące... tyle czasu musielibyśmy żyć osobno. Rozejrzałem się po kamratakach, którzy zmierzali z kuframi i beczkami w stronę plaży. Kilku prowadziło na postronkach kozy, taszczono też kilka klatek z drobiem i ogromne ilości cytrusów. Dobrze wiedziałem, że zanim dobijemy do pierwszego z punktów, w którym uzupełnialiśmy zapasy, dawno już zapomnimy, co to świeże mięso.

CHOMIKO - WARNIA

Dwudziesta druga szklanka

„Znów płyniemy z północnym wichrem

W kierunku domu na wyspie.

Nasz grot drży, połów skończony,

Koniec wędrówki jest blis-ko”.

Old Maui, szanta

Francisca

Drżałam. Pierwszy raz moje ciało drżało z podniecenia na myśl o tym, że za moment znajdę się na statku. Stałam na dziobie szalupy i ze zniecierpliwieniem obserwowałam, jak z każdym wynurzeniem wiosłowych piór nasza fregata jest coraz bliżej. Zerknęłam w stronę sąsiedniej łodzi. Marcos siedział oparty plecami o rufę i mnie obserwował. Jego złote oko zdawało się śledzić każdy, nawet najmniejszy mój ruch. Kiedy zobaczył, że i ja mu się przyglądam, na jego ustach zaczął się błąkać leniwy, łobuzerski uśmiech. Zrobiło mi się nagle strasznie gorąco i na powrót utkwiałam wzrok w Lerate. Kilka szalup zdążyło już dobić do burt fregaty i karaki, a drobne sylwetki marynarzy przemykały jedna za drugą po sznurowych drabinkach w górę ku relingom.

– Szczęśliwa? – zagadnął Renny, ukazując niekompletne uzębienie.

Zerknęłam w jego kierunku i przytaknęłam. Dłonie miałam złożone tuż pod brodą i z zachwytem podziwiałam majestat Lerate. Okręt górował nad nami niczym król nad swoimi poddanymi. Dobiliśmy do jego krawędzi. Renny pomógł mi się dostać na drabinkę i już po chwili moje bosc stopy z cichym plaśnięciem dotknęły pokładowych desek. Nerwowe podniecenie rozchodziło się po całym moim ciele. Stapałam ostrożnie, spijając te nowe doznania. Staralam się wyczuć podeszwami stóp każdy sęk, każdą nierówność heblowanych desek. Chciałam zapamiętać to uczucie. Bo po raz pierwszy miałam wyruszyć w rejs jako Francisca.

I po raz pierwszy naprawdę czuję się wolna.

Stanęłam na dziobie i spojrzałam w kierunku wyjścia w morze. Przymknęłam oczy i pozwoliłam, by wiatr targał moje włosy. Niemalże słyszałam, jak ocean mnie woła. Mimo wczesnej pory słońce już mocno grzało. Widziałam zapasy, które kamraci przynosili na pokłady obu okrętów. Marcos zadbał o to, byśmy mieli ich wystarczającą ilość. Pierwszy port, Safi, w którym mieliśmy je uzupełnić, był oddalony o ponad dwa tysiące mil morskich. Jeśli wszystko ułoży się po naszej myśli, uda nam się tam dotrzeć za mniej więcej miesiąc. Nie chciałam nawet myśleć, jak będzie smakowała woda po tym czasie. Jedzenie i picie podczas rejsu były jedynymi rzeczami, które napawały mnie wstrętem. Moje myśli powędrowały za wzrokiem, który skupił się teraz na lesie ukrywającym naszą osadę. Przypomniałam sobie wczorajszą rozmowę z Lerate. Zmartwiła się tym, co wydarzyło się między mną a Marcosem. Czułam się skępowana, rozmawiając z nią na ten temat, ale zapewniłam ją, że nie zostałam do niczego przymuszona. Bo miałam wrażenie, że tego obawiała się najbardziej. Wydawało mi się, że chciała jeszcze o czymś napomknąć, lecz wezwano ją do jednej z kóz, która nie mogła urodzić. Później nie miałyśmy już okazji porozmawiać.

– Promieniejesz. – Usłyszałam głos Marcosa, zanim poczułam jego ciepły oddech na karku.

Jego dłonie sprawnie zawiązały mi na głowie bandanę, dzięki czemu włosy nie latały mi na wszystkie strony. Były jeszcze zbyt krótkie, by związać je w warkocz. Przyzwyczaiłam się do krótkiej fryzury i dumałam, czy będę umiała się przestawić. Z tego, co pamiętałam z dawnego życia, na łądzie nie do pomyślenia byłoby noszenie przez niewiastę krótkich włosów. Na Wyspie nikt się tym nie przejmował. Niektóre mieszkanki goliły głowy na łyso. To samo dotyczyło stroju. Większość niewiast nosiła tylko wielo-barwne długie spódnice, a na piersiach wieszała sobie wieńce z kwiatów. Jedynie Lerate i parę innych zawiązywały na biuście szeroki pas materiału. Brzuch zawsze pozostawał odkryty. Podobały mi się kolorowe chusty, które wiązały na głowach.

Odwróciłam się do Marcosa przodem i mocno przytuliłam, wdychając jego zapach. Uniósł moją twarz i cmoknął przelotnie, a potem usłyszeliśmy donośny wrzask Pierwszego, informujący o zbiorce pod grotmasztem. Wiedziałam, że musiał częściowo przejąć obowiązki bosmana, bo Julio nadzorował załogę na Crescencii. Mieliśmy co prawda do pomocy kilku marynarzy z załogi Severa, ale mimo wszystko Marcos nie pokładał ufności w ludziach, z którymi wcześniej nie pływał.

Udaliśmy się na miejsce zbiórki, gdzie Hugo dzielił obowiązki, zaznaczając jedno-cześnie, że każdy ma przeznaczyć dwa wybicia szklanek dziennie na trenowanie fechtunku. W okolicach Maroka znajdowało się kilka szlaków, którymi poruszały się okręty przewożące czarny heban. Marcos liczył na abordaż przynajmniej jednego statku. Kiedy Pierwszy skończył, zdałam sobie sprawę, że mnie jako jedynej nie przydzielono obowiązków.

– Hugonie – odezwałam się nieśmiało – a ja?

Mężczyzna popatrzył pytająco na Marcosa, a oczy pozostałych zwróciły się na mnie.

– Skoro taka jest wola señority... – rzekł Marcos, obserwując mnie z rozbawieniem.

Hugo podrapał się po głowie i zastanawiał przez chwilę, po czym mruknął:

– Na razie pomożesz w kambuzie, a dalej pomyślę. – I odszedł, mamrocząc coś z niezadowolaniem pod nosem. Zapewne było mu nie w smak, że przeze mnie ma dodatkową robotę.

Skrzywiłam się na samą myśl o służbie pod czujnym okiem okrętowego truciciela, ale nie odezwałam się słowem. Nie lubiłam pomagać przy przygotowywaniu posiłków, bo zawsze traciłam apetyt, widząc, w jakim stanie są kotły i jak w późniejszym czasie wygląda jedzenie.

W końcu do moich uszu dotarł upragniony zgrzyt kabestanu⁸⁸, a także rozkazy, które wybrzmiały niemal jedno-cześnie na obu okrętach.

– Stawiać żagle! – wydarł się Marcos tubalnie.

Wzniesiono grot, bezan i fok, których materiały najpierw zawisły bez życia, by niemalże natychmiast złapać wiatr. Szmaty wydeły się, naprężyły takielunek, a my poczuliśmy, jak statek zaczyna mozolnie nabierać prędkości.

Spojrzałam na mostek kapitań-ski, gdzie u rudla⁸⁹ stał Marcos, skupiony na prowadzeniu okrętu przez zdradliwe wody między skałami ku oceanowi. Od samego początku pobytu na statku podobał mi się ten widok – symbolizował władzę i potęgę. Przepłynięcie krętymi zatokami wymagało nie lada skupienia i umiejętności. Wiedziałam, że na pozostałych okrętach to zadanie należało do Pierwszych. Severo i Cruz nie imali się koła sterowego, jeśli nie było takiej konieczności. Marcos wręcz przeciwnie. Może dlatego, że był najmłodszy i w ten sposób chciał podkreślić swoją pozycję? Chciał udowodnić, że zasługuje na szacunek załogi?

Wybiła druga szklanka, zanim udało nam się wypłynąć na otwarte wody. Stałam na dziobie i podziwiałam bezkresny horyzont. Statki skierowały się od razu na północny wschód,

wiatr nam sprzyjał, a na niebie nie widniał ani jeden obłoczek. Miałam dobre przeczucia.

– Jak się czujesz? – Marcos stanął tuż obok i razem ze mną kontemlował widok.

– Wspaniale – wyszeptalam. – Mam wrażenie, że śnię.

– Ufasz mi? – Popatrzyl na mnie uważnie.

Przytaknelam. Kosmyki włosow opadly mu na twarz, zaslaniajac przepaskę na oku. Odgarnelam mu je za ucho. Chwycil moja dlon i ucalowal jej wnetrze. Prawie stracilam dech w piersi, bo dotarlo do mnie, jak bardzo go pokochalam. Nieświadomie pozwolilam mu pochwycic moje serce.

– Chodz ze mna. – Nie puscil mojej reki, a jego wzrok powedrowal w strone bukszprytu.

Zesztywnialam. Wiele razy widzialam, jak stal na samym jego koncu i wpatrywal sie w bezkres oceanu. Chodzenie po rei⁹⁰ to nie byla dla mnie pierwszyczna, ale nigdy nie odwazylam sie wejsc na bukszpryt. Zreszta pozostali kamraci tez nie palali chęcia do tego typu ekstrawagancji. Podejrzewalam, ze podobnie jak ja bali sie upadku w kipiel i nieuchronnego zmasakrowania przez okret. Mialam wzrazenie, ze Marcos w ten sposob wystawial swój los na probe. Igral z kostucha.

Popatrzylam raz jeszcze, upewniajac sie, ze naprawde kaze mi tam wejsc, a nastepnie oparlam prawą stopę o wydłużenie burty. Podeszwa lewej nastapilam na poczatek bukszprytu. Belka zdawala sie węższa niz te wykorzystywane do rei. I byla zamontowana pod nieznacznym kątem, co wymagaloby pochylenia sie do przodu podczas chodzenia. Zatrzymalam sie i przełknelam gulę w gardle, czujac narastajacy lek. Marcos stanal na wydłużeniu burty po mojej prawej i przekrzywil lekko glowe. Zerknelam w jego strone i dostrzeglam malujace sie na jego obliczu zdumienie.

– Mowilas, ze mi ufasz.

– Bo ufam – odparlam.

Próbowałam przesunac druga stopę na belkę bukszprytu, ale chyba mój instykt samozachowawczy mi na to nie pozwolil, bo nie moglam sie ruszyc.

– To co jest, Francisco? – Zdziwil sie. – Chodzenie po rejach nie stanowi dla ciebie problemu. Widzialem nie raz. To to samo.

– To nie jest to samo – zaprzeczylam.

– Zaiste – zadrwil. – Spadajac z rei, mozesz sie zabic, uderzajac o dek. Jesli spadniesz z bukszprytu, prad wciagnie cie pod statek. Smierc jak kazda inna, wpisana w nasz byt.

– Ja... – zaczelam, ale przerwal mi stanowczo.

– Jesli mi ufasz, Francisco, to wejdz na ten cholerny buk-szpryt. Mozesz sie trzymac sztag⁹¹. Bede tuż za toba. – Ostatnie zdanie doslownie wymruczal, a moje ciało pokrylo sie gęsia skórka.

Ścisnelam mocniej jego dlon, po czym puscilam ja i rozstawiajac szeroko ramiona, weszlam obiema stopami na belkę. Mialam ochote zamknac oczy, ale wtedy na pewno bym spadla. Obiecalam mu zaufac... Nie, ja mu ufalam, tylko strach przed smiercia mnie paralizowal. Wyobrazilam sobie, ze to drzewce rei. Marcos mial racje. Stapajac po nim, tez moge spasc i zginac. To prawie to samo. Przełożylam stopę, przesuwajac sie odrobinę do przodu, i wtedy poczulam jego dlonie obejmujace mnie w talii. A potem cieplo emanujace z ciała znajdujacego sie za mna i goracy oddech na karku. Ta blis-kość dodala mi kurażu. Zlapalam pierwsza sztagę, a potem następną. Kolejne kroki byly pewniejsze i juz po chwili znajdowalismy sie oboje na samym koncu bukszprytu. Nagle asekurujace mnie dlonie zniknely. Zacisnelam dlon na forsztagu⁹².

– Marcosie – pisnelam przestraszona, ale zaraz poczulam, jak łapie mnie za obie dlonie.

– Pusć line – poprosil.

– Ale...

Wystarczył jeden nieostrożny ruch, byśmy spadli prosto w morską kipieli.

– Nie pozwolę ci spaść – zapewnił.

Z łomoczącym ze strachu sercem puściłam forsztak i przymknęłam oczy. Czułam, jak Marcos splata nasze palce, a następnie szeroko rozkłada nasze ramiona. Słyszałam, jak rękawy naszych koszul łopoczą na lekkim wietrze. Były niczym ptasie skrzydła. Marcos oparł brodę na moim prawym ramieniu i wyszeptał:

– Uwielbiam to uczucie. Wtedy odnoszę wrażenie, że jestem panem świata. Jakbym latał... – Pocałował mnie delikatnie w policzek.

I nagle zdałam sobie sprawę, że wsuwa coś na serdeczny palec mojej lewej dłoni. Obróciłam głowę w tę stronę zdumiona i dostrzegłam złoty pierścień z ciemnozielonym szmaragdem. Wciągnęłam głośno powietrze. Matka pasjonowała się kamieniami szlachetnymi i często podczas herbatek z innymi szlachciankami rozmawiały na temat ich symboliki. Na ogół nie przywiązywałam wagi do ich paplaniny, ale dobrze zapamiętałam, że szmaragd w pierścieniach symbolizuje miłość i wierność.

– Marcosie... – wydusiłam z siebie, czując łyzy w kącikach oczu. Obróciłam głowę w drugą stronę, a on złączył nasze usta.

Puścił moją rękę, żeby złapać się sztagi, drugą przytrzymał mnie w talii, bym nie spadła. Całował mnie powoli, łapczywie. Jego język – ciepły i wilgotny – pieścił każdy zakamarek moich ust. Zadrzałam. Wtedy oderwał swoje ciepłe wargi i wyszeptał:

– Chcę, byś stała zawsze obok mnie. Byś była mi podporą. Moim wiatrem w żaglach. Byśmy ramię w ramię szli przez życie. Byś była mą ślubną.

Broda mi zadrzała i nie mogłam wydusić z siebie słowa. Pierwsze łyzy wzruszenia spłynęły po moich policzkach, a potem spadły w morską kipieli.

– Zgodzisz się zostać moją oblubienicą, Francisco? – spytał z nadzieją w głosie, ale i z lekką obawą.

Jak mógł w ogóle mniemać, że odmówię?! Pokiwałam pospiesznie głową i pociągnęłam nosem.

Nawet nie wiem, jakim cudem znaleźliśmy się z powrotem na pokładzie, ale gdy tylko nasze stopy dotknęły desek, Marcos porwał mnie w objęcia i okręcił się parokrotnie, a potem podbiegł do relingu na mostku kapitańskim, ciągnąc mnie za sobą, i wydarł się na całe gardło:

– Zgodziła się!

Odpowiedział mu chór radosnych wiwatów, okrzyków i gwizdów.

– Kamraci! – Usłyszałam głos Pierwszego. – Wyciągać beczki z grogiem! Trucielu: przyrządź dwie kozy! Mamy co świętować!

Zakryłam dłonią usta i zaśmiałam się przez łyzy. To było tak niesamowite, że miałam wrażenie, że śnię. Wieść musiała szybko przedostać się na pokład Crescencii, bo stamtąd też dotarły do naszych uszu głośne okrzyki, a potem usłyszeliśmy muzykę i śpiewy zaintonowane zapewne przez samego kapitana.

Uczta trwała w najlepsze, gdy miesiąc był już wysoko na niebie. Siedziałam między nogami Marcosa i ostrożnie sączyłam grog. Obserwowałam niebo usiane niezliczoną ilością gwiazd.

– Wiesz, skąd się wzięły? – spytał nagle.

Pokręciłam przecząco głową. Czułam już lekki rausz, jednak było mi tak dobrze jak jeszcze nigdy przedtem.

– Gdy byłem małym chmyzem, w jednej z tawern opiekowała się mną stara Brazylijka. Niegdyś była kurtyzana, ale wiek odebrał jej urodę, zatem dolewała rumu gościom

i organizowała mi wolny czas, gdy inni zaznawali cielesnych uciech. Kiedyś zabrała mnie na dwór w środku nocy i opowiedziała mi legendę: Dawno, dawno temu w indiańskiej wiosce zabrakło stawy. Mężczyźni wybrali się więc na polowanie, a niewiasty i dzieci wyruszyły na poszukiwanie kukurydzy, by zemleć ją na mąkę i upiec chleb.

Rozmowy ucichły. Marcos może nie miał daru naszej bajarki, ale najwidoczniej nikt inny nie słyszał tej legendy, bo cała załoga siedziała wsłuchana w jego słowa.

– Jeden pętał, wyjątkowo głodny i niecierpliwy, wykradł część kukurydzy i uciekł do wioski. Na miejscu ubłagał babcię, by upiekła dla niego oraz jego kolegów placiki kukurydziane. Staruszka spełniła jego prośbę i dzieci mogły się najeść do syta. Po posiłku mali Indianie poczuli wyrzuty sumienia. W końcu oni się objedli, a reszta ciężko pracowała. By uniknąć kary, obcięli babci język, żeby ich nie wydała, i smyrnęli do lasu. Tam wspięli się na wysokie drzewo porośnięte lianami. Przywołali koliberka i poprosili go, by uniósł jedną z lian wysoko do nieba. Ptaszek spełnił ich prośbę, a mali Indianie podczas jego lotu wspięli się po niej aż do samego nieboskłonu.

Alkohol i cichy, monotony głos Marcosa działały na mnie rozluźniająco. Oparłam głowę o jego tors i przymknęłam powieki, oczami wyobraźni widziałam małych chłopców wspinających się ku niebu.

– W między-czasie do wioski wróciły matki i odkryły, co się stało. Dostrzegły w oddali wspinające się do nieba dzieci. Pędem pobiegły do lasu błagać je, by zeszły na ziemię, te jednak tak bardzo obawiały się kary, że nie posłuchały. Zrozpaczone matki zaczęły się wspinać po tej samej lianie. Wtem ciszę rozdarł przeraźliwy dźwięk, który zrzucił niewiasty na ziemię. Mocne uderzenie zamieniło je w jaguary, a dzieci pozostały na niebie i nie mogły już powrócić. Od tamtej pory za karę mogą jedynie patrzeć swoimi jasnymi oczami na to, co spotkało ich matki⁹³.

– Marcos skończył opowieść, a ja nie miałam sił, by otworzyć oczy.

Po dłuższej chwili ciszę znów przerwał gwar rozmów.

– Znudziłem cię? – Usłyszałam cichy szept tuż przy uchu.

– Nie. – Uśmiechnęłam się, nadal nie podnosząc powiek. – To było ciekawe, acz przerażające. Teraz te błyszczące jasne punkciki będą mi się kojarzyły tylko z dziecięcymi oczami.

Mimowolnie się wzdrygnęłam.

– To dlatego nadal masz je zamknięte? – zapytał rozbawionym tonem.

– Nie, Marcosie. Tak mi po prostu dobrze – wyszeptalam odrobinę bełkotliwie.

Poczułam, jak jego klatka piersiowa drży. Śmiał się. Ze mnie. Nie miałam jednak sił, by się rozgniewać. Grog w połączeniu z lekkim kołysaniem statku i ciepłem jego ciała sprawił, że zaczęłam odpływać w sen. Chyba wyczuł, że zasypiam, bo szturchnął mnie lekko i pomógł mi wstać. Pożegnaliśmy się, odprowadzani gwizdami, które słyszałam nawet po zamknięciu drzwi kapitańskiej kajuty. Moje policzki płonęły z zażenowania. Nie dane mi było jednak zbytnio nad tym dumać, bo skutecznie rozproszyły mnie usta Marcosa. Ten pocałunek był tak różny od poprzednich. Poczułam, jak moja koszula opada, a jego spragnione wargi wędrują wzdłuż szyi, by zasmakować moich piersi. Objęłam jego głowę, kiedy całował każdy milimetr skóry na mojej klatce piersiowej, a potem schodził niżej i niżej. Miałam wrażenie, że cały świat zaczął wirować. Może to za sprawą wypitego alkoholu, a może z powodu pieszczot Marcosa. Przytłumione odgłosy biesiady przestały do mnie docierać. Słyszałam tylko bicie własnego, szaleńczo galopującego serca i nasze przyspieszone, ciężkie oddechy.

– Kocham cię, Marcosie – wyszeptalam.

88 Kabestan – kołowrót służący do wciągania kotwicy.

89 Rudel – ster.

90 Reja – poprzeczna belka przy maszcie, która znajduje się na połączeniach masztu i na której mogą przebywać marynarze, by na przykład obsługiwać poszczególne żagle; na ogół przytwierdzona jest do niej górna krawędź prosto-kątnego żagla.

91 Sztaga – lina służąca do stabilizacji masztu.

92 Forsztag – sztag wysunięty najbardziej do przodu.

93 *Brazylijska legenda o powstaniu gwiazd*, za:
<http://magicznewieczory.blog-spot.com/2017/02/brazylijska-legenda-o-powstaniu-gwiazd.html>,
dostęp: 14.01.2023.

CHOMIKO - WARNIA

Dwudziesta trzecia szklanka

„Gdy stopy poczują dek,

A statek wyruszy w dal,

Pożegnam suchy ląd,

Wraz z wiatrem sunę wśród fal”.

A Life on the Ocean Wave, szanta

Marcos

Do Safi dotarliśmy szybciej, niż zakładaliśmy. Wiatr nam sprzyjał, a ciemne sztormowe chmury omijały nasze okręty szerokim łukiem. Jakby sam Neptun nad nami czuwał. Z każdym dniem załoga odnosiła się do Francis-ki z coraz większą sympatią. Parę dni przed dotarciem do Maroka w końcu dostrzegłem, że zaczęli ją traktować jak prawdziwego kamrata. Żałowałem tylko, że nie udało nam się złupić po drodze żadnego okrętu, bo przydałyby się dodatkowe towary na handel.

Safi, jak świat długi i szeroki, było znane jako stolica garncarstwa. Miasto otoczono wysokim murem niczym bastion, nad którym górował wierzchołek minaretu. Od wewnątrz przedstawiało zgoła bardziej przyjazny widok. Wśród wąskich uliczek i popękanych ścian domów ciasno poupychanych jeden przy drugim można było znaleźć prawdziwe ceramiczne dzieła sztuki.

Jak na listopad było dziś dość chłodno. Zwykle temperatury oscylowały w granicach dwudziestu stopni, tymczasem czułem przenikliwy chłód przedzierający się przez gruby materiał czarnej koszuli. Sprawiał to zapewne wiatr od morza, który dziś doskwierał niemiłosiernie. Widziałem, jak kark Francis-ki przy każdym podmuchu pokrywał się gęsią skórą. Starła się nie wyróżniać strojem i na statku chodziła ubrana tak jak my. Nosiła długie lniane pantaloney i koszulę. Tak też była ubrana i teraz, z przytwierdzoną do pasa szpadą i sztyletem schowanym pod gieźlem. Nie wiedziała, że miałem dla niej uszykowane suknie i futro na czas, gdy dotrzemy już do Irlandii. Musieliśmy zrobić dobre wrażenie na tamtejszym władcy ziemskim.

Celem mojej podróży była Colline des Potiers, dzielnica garncarzy, do której właśnie zmierzaliśmy. Chciałem się przypodobać Eoghanowi O’Connellowi. Wiedziałem, że lubi cenne przedmioty i ma słabość do pięknych dam. W tej drugiej kwestii zamierzałem się posłużyć Francisą, a prezenty w postaci unikatowych ceramicznych wyrobów nabyć właśnie tutaj.

Przed wejściem siedział zgarbiony staruszek z drewnianą nogą. Twarz porośniętą gęstą siwą brodą oparł o ścianę, a oczy zmrużył pod wpływem słonecznych promieni. Skórę dłoni miał pomarszczoną i wysuszoną od spędzania długiego czasu na słońcu. Podeszedłem do niego, ale kątem oka widziałem, że Francisca przystanęła parę kroków od nas.

– Ahoj, kamracie – odezwałem się cicho.

Uchylił powieki i posłał mi bezzębny uśmiech.

– Czarny Brat, he? – wyrzeźił i zakaszłał, pozbywając się z głośnym charknięciem żółtej płwociny z gardła. – Wszędzie poznam tę mordę.

– Czegoś ci trzeba? – zapytałem, starając się ukryć troskę w głosie.

Zarechotał chrapliwie, po czym, tak jak się spodziewałem, wymienił trzy życzenia marynarza:

– Tytoniu, rumu i kobiety. – Rzucił okiem w kierunku Francis-ki, a przez jego twarz przemknęło zdumienie. – Taszczysz ze sobą diabli balast?

Musiała to usłyszeć, bo skrzywiła się nieznacznie.

– Długa historia, Avery – poklepałem go po ramieniu – ale dobry z niej pirat.

Pokręcił głową z niedowierzaniem, bełkocząc pod nosem:

– Świat się kończy, zaiste...

Podąłem mu buklak z rumem, paczkę tytoniu i sakiewkę wypełnioną złotem. Uśmiechnął się z wdzięcznością, jednak nie wyrzekł słowa.

– Zawsze możesz płynąć z nami – zaproponowałem jak zwykle i spodziewałem się standardowej odpowiedzi.

– Moje miejsce jest tutaj, gdzie zatonął mój okręt, Złotooki Chłopcze.

Już miałem wstać z kucek, gdy złapał mnie za ramię i wyszeptał, patrząc w stronę dziewczyny:

– Dbaj o nią. Dobrze jej z oczu patrzy.

Uśmiechnąłem się i wstałem, pożegnawszy się uprzednio. Objąłem Francisę w talii i ruszyliśmy przez łukowate wejście, by znaleźć się w zupełnie innym świecie. I założyłbym się o moje drugie oko, że jeszcze długo po nas takim pozostanie.

Francisca obserwowała wszystko z zapartym tchem i z rozszerzonymi w zachwycie oczami. Omijaliśmy dziury w ziemi, które były kominami pieców służących do wypalania prawdziwych dzieł sztuki. W pewnym momencie dziewczyna wyswobodziła się z mojego objęcia i podeszła do jednego ze straganów. Ostrożnie chwyciła w dłonie wazę ozdobioną różnolinnym motywem o jasnoniebieskiej barwie. Na moje oko rzemieślnikowi brakowało talentu, niemniej jednak waza była prześliczna.

– Jeśli ci się podoba, możemy ją wziąć. – Podeszedłem bliżej.

– Taką samą mieliśmy w domu. – W jej głosie dało się słyszeć nutę tęsknoty. – Chciałabym ją mieć.

Bezwzględnie zapłaciłem za towar i ruszyliśmy dalej. Francisca, wyraźnie zadowolona, cały czas ścisnęła naczynie w dłoniach i kiedy tylko mogła, wpatrywała się w nie bez słowa. Zakupiłem jeszcze kilka oryginalnych półmisek, dwa wazony i jakieś hinduskie bóstwo z terakoty. Safijska glina to bardzo unikatowe tworzywo. Liczyłem na to, że spodoba się łasemu na prezenty O'Connellowi.

Kiedy w końcu późnym wieczorem dotarliśmy na pokład okrętu, nie miałem już ochoty iść do tawerny. Z wyjątkiem kilku kamratów, których zawsze pozostawialiśmy na warcie, reszta korzystała z dobrodziejstw kurtyzan. Francisca skrzętnie otuliła wazę ubraniami i ukryła w swoim kufrze. Teraz siedziała na rufie i wpatrywała się w światła migocące w oknach safijskich domostw. Usiadłem obok, okryłem jej ramiona grubym pledem i przytuliłem ją do swojego boku. Milczała. Zacząłem dumać, czy dobrze zrobiłem, kupując jej ten przekłety kawał malowanej gliny.

– Pamiętam, jak *papá* ją przywiózł... – zaczęła cicho, wpatrując się w swoje obgryzione paznokcie. Skórę dłoni miała szorstką, pokrytą licznymi zadrapaniami i odciskami.

Przypominałem sobie, jakie to uczucie, kiedy wodzi nimi po moich plecach i torsie. Jak wplata smukłe palce w moje włosy.

– Opowiadał mi wtedy o Safi. Byłam mała i nie pamiętałam nazwy miasta, ale gdy zobaczyłam tę wazę... Kamaria wkładała do niej karmelki... – Uśmiechnęła się na to wspomnienie. – Dziękuję, że mi ją kupiłeś. – Pocałowała mnie czule w usta.

Siedzieliśmy przytuleni, dopóki na dworze nie zrobiło się zupełnie ciemno. Udałem się jeszcze na obchód okrętu, a Francisca poszła do kajuty. Wyglądała na zmęczoną. W istocie, kiedy po kilkunastu minutach wszedłem do kabiny, spała na naszym sienniku. Kazałem go tu umieścić zamiast wąs-kiej koi, żebyśmy oboje mogli się wygodnie wyspać. Przez moment wpatrywałem się w ukochaną, nie mogąc pojąć uczuć, które mną targały. Oddech miała miarowy. Okryłem ją pledem, by nie zmarzła. Po wieczornej toalecie ułożyłem się za nią i wtuliłem w jej plecy. Spoglądając w ciemność, zacząłem rozważać, w którym momencie nienawiść przerodziła się w miłość. Bo na samym początku niezaprzeczalnie jej nienawidziłem, karmiłem się strachem wyzierającym z jej wielkich oczu, wyczekiwałem każdego potknięcia, ale później coś się zmieniło. Już podczas jej pierwszego pobytu na Wyspie, kiedy zabrałem ją na przechadzkę po lesie. Wydała mi się wtedy taka... bezbronna, a jedno-cześnie bezmiernie silna. I to chyba rozsierdziło mnie najbardziej. Powinna była płakać – i zdechnąć w ciągu pierwszych kilku dni. „Została jeszcze córka... Znajdę ją... A wtedy...” – przypominałem sobie słowa, które jej wtedy powiedziałem. Dokładnie pamiętałem paniczny lęk w jej oczach, grymas grozy tężejący na wychudłych policzkach i łzy błyszczące w kącikach oczu. I nie byłem z siebie dumny. Los bywa diabelnie przewrotny. Miałem wrażenie, że nieustannie z nas pokpiwa.

Rankiem nie zastałem Francis-ki w kajucie. Po chwili jednak pojawiła się z pieczywem, wędzoną rybą i owocami. Posłała mi uśmiech, po czym położyła stawę na stole. Opuściła na moment pomieszczenie, by wrócić z dwoma kubkami parującego napoju. Spojrzałem sceptycznie na ich zawartość.

– Kawa. – Uśmiechnęła się. – Nie piłam nigdy, ale truciciel pokazał mi, jak ją zaparzyć.

To prawda, wielu kamratów korzystało z okazji i zaopatrywało się w kawę, gdy nasz okręt pojawiał się w arabskich portach. A gdy łupiliśmy indyjskie okręty, zawsze w pierwszej kolejności ładowali na statek tamtejszą herbatę. Nie chciałem studzić entuzjazmu Francis-ki. Zaparzanie dobrej kawy to była nie lada sztuka. Obawiałem się, że z podejściem truciciela wyląduję...

– Faj – jęknęła, biorąc pierwszy łyk i wpatrując się z obrzydzeniem w parujące naczynie.
– A pachniało tak apetycznie.

– Daj. – Zabrałem jej kubek z dłoni i usiadłszy przy stole, wciągnąłem ją na swoje kolana. – Kawę trzeba umieć parzyć. Zabiorę cię kiedyś na prawdziwą, arabską. Teraz jednakowoż musimy się posilić. W południe wypływamy do Audierne. -Zjemy porządny posiłek w tawernie i zbierzemy załogę. Nie chcę marnować czasu. Chciałbym pójść jeszcze na suk – dodałem, a widząc jej pytające spojrzenie, pospieszyłem z wyjaśnieniem: – Miejscowy targ.

Kiwnęła głową. Przez chwilę myślałem o Cruzie. Miałem nadzieję, że tym razem nie opóźni rejsu z powodu jakiejś dulcynei. Anglia, Francja i Hiszpania od ośmiu lat nieprzerwanie były w stanie wojny. I choć coraz częściej słyszało się o chęci podjęcia rozmów pokojowych, wolałem uniknąć znalezienia się w epicentrum tego konfliktu. Już i tak mieliśmy dość problemów z korsarzami. Dotychczas udawało nam się trzymać od nich z daleka, jednak przez ostatnie lata pływaliśmy wzdłuż południowego wybrzeża Afryki, gdzie korsarskie statki się nie zapuszczały. Nie natrafialiśmy na wiele jedno-stek europejskich, bo z kolei tym wygodniej było ściągać czarny heban z północnej części kontynentu. Teraz jednak musieliśmy dokończyć to, co zaczął ojciec.

Belfast, który był celem naszej wyprawy, znajdował się na czele wlotu morskiego zwanego Belfast Lough, łączącego mięścinę z Morzem Irlandzkim. Tam, w jednej z małych zatoczek, planowaliśmy założenie własnej osady, z dala od wścibskich oczu marynarzy okrętów handlowych wpływających do portu. Najwygodniej byłoby nam z Audierne wpłynąć na wody Morza Celtyckiego, dalej Kanałem Świętego Jerzego na północ, ku Morzu Irlandzkemu. Potem

opłynąć z lewej wyspę Man i wlot Belfast Lough byłby na wyciągnięcie ręki. W przypadku trwającego konfliktu angielsko-hiszańsko-francus-kiego musielibyśmy opłynąć Irlandię i wpłynąć Kanałem Północnym. Wzdrygnąłem się na samą myśl o temperaturach tam panujących. Dlatego chciałem zahaczyć o suk – potrzebowaliśmy dużej ilości jakościowo dobrych skór. Inaczej zamrzniemy na kość. Te, które nabyliśmy kilka lat temu, nie nadawały się już do niczego.

CHOMIKO – WARNIA

Dwudziesta czwarta szklanka

„Uważaj, żeglarzu – ostrożny bądź.

Niebezpieczeństwo czyha na twój błąd.

Strzeż się! Strzeż!

Wiele dzielnych serc już śpi na dnie”.

Asleep in the Deep, szanta

Francisca

Obudziłam się wczesnym rankiem całkowicie zdezorientowana. Ciepłe ciało Marcosa obejmowało moje, jak zawsze dając mi poczucie bezpieczeństwa. Przypomniałam sobie, z jaką ochotą kupił mi wazę. Gdy ją zobaczyłam, w pierwszej chwili przestraszyłam się, że wywoła we mnie uśpioną tęsknotę za rodzicami... za ojcem. Po prawdzie przywołała tylko pozytywne wspomnienia.

Wyjrzałam przez bulaj i dostrzegłam skąpane we wschodzącym słońcu fortyfikacje Safi. Minaret wznosił się dumnie ku niebu, a muezzin kończył właśnie wygłaszać *adhan*⁹⁴.

„*Modlitwa jest lepsza niż spanie*”.

Może i ja powinnam spróbować się pomodlić?, przemknęło mi przez myśl, kiedy do moich uszu dotarły ostatnie słowa wyśpiewywane przez muezzina. Wczoraj, gdy usłyszałam je po raz pierwszy, Marcos przetłumaczył mi je bez najmniejszego zająknięcia. Jego znajomość języków zdumiewała. Wyjaśnił mi kiedyś, że lubi się ich uczyć, bo nikomu nie ufa na tyle, by powierzyć mu załatwianie interesów. Wołał dogadywać się sam w przeciwieństwie do jego braci, którzy wysługiwali się swoją załogą lub nim samym. Zawstydział mnie, bo ja ledwie znałam francuski.

Stąpając cicho po skrzypiących pokładowych des-kach, opuściłam kajutę otulona pledem. Mimo to zimny wiatr owiał moje rozgrzane snem ciało. Przebiegłam prędko do kubryku, żeby zabrać coś na śniadanie. Wczoraj nie przełknęłam nic, a teraz żołądek zacis-kał się boleśnie z głodu. W pomieszczeniu już urzędował nasz pokładowy truciciel. Zaproponował mi arabską kawę, owoce, khobz⁹⁵ i świeżo wędzoną rybę. Zapewnił mnie, że przed momentem wrócił z łądu, gdyż dopinał gromadzenie zapasów na ostatni guzik. Jedzenie rzeczywiście wyglądało na świeże.

Gdy dotarłam do kajuty ze strawą, Marcos właśnie się obudził. Przetarł zaspane oko i przeciągnął się, strzelając stawami. Kiedy zasiadł do stołu, usadził mnie na swoich kolanach i karmił pysznym wędzonym tuńczykiem oraz kawałkami khobzu, który kruszył w palcach. Kawa okazała się ohydna, ale Marcos obiecał, że kiedyś zabierze mnie na taką, która mi zasmakuje.

Przed zejściem ze statku zastałam go pogrążonego w myślach i obserwującego Safi z mostka kapitańskiego. Wtuliłam się w jego ramiona. Objął mnie i pocałował w czubek głowy. Staliśmy tak dłuższą chwilę, aż jeden z kamratów oznajmił, że łódź jest gotowa do drogi na ląd.

Zanim udaliśmy się na targ, Marcos wykurzył całą swoją załogę z tawerny. Nie rozumiałam dlaczego, dopóki nie dotarliśmy na miejsce. Miałam wrażenie, że obrał sobie za cel wykupienie całego zapasu skór z Safi. Po przejściu wszystkich stoisk wracaliśmy obładowani

skórami najlepszej jakości, które Marcos osobiście wybierał i o które targował się do upadłego. Byłam pod wrażeniem jego znajomości arabskiego. Jakby posługiwał się nim od dzieciństwa. Gdy dotarliśmy na Lerate, wysłał dwie łodzie ze skórą na Crescencię, złorzecząc, że Cruz nigdy nie myśli na zapas. Chwilę wcześniej gawędził z Juliem. Widocznie ten oświadczył mu, że kapitan fregaty nie zatroszczył się o dopilnowanie wszystkiego. Było mi żal załogi, a przede wszystkim współ-czułam bosmanowi i Pierwszemu, bo to na ich barkach spoczywała cała odpowiedzialność, kiedy Cruz leżał otumaniony rumem w swojej kajucie.

Ten rejs uświadomił mi jeszcze jedną rzecz. Marcos był bardzo skomplikowanym mężczyzną. Przed załogą był nieznoszącym niesubordynacji kapitanem, przywiązującym wagę do każdego najmniejszego szczegółu. Dbał o ich dobro i przede wszystkim był sprawiedliwy. Nie tylko rządził, ale i dawał z siebie wszystko, pracując fizycznie równie ciężko jak my. Kiedy pełnił funkcję kapitana, byłam dla niego jak jeden z kamratów. Czasem posyłał mi czuły uśmiech, lecz nigdy mnie nie faworyzował. Zapewne to też miało wpływ na to, że załoga bardzo szybko zaakceptowała moją obecność na pokładzie. Tymczasem mój Marcos, w którego zamieniał się, gdy tylko zostawaliśmy sami, był zgoła odmiennym człowiekiem. Zdawał się wielbić dek, po którym stapałam. Stawiał mnie na piedestale. I kochał. Tak mocno, że czasem miałam wrażenie, że to uczucie mnie zadusi. Jak wtedy, kiedy mi się oświadczył.

Tak...

Przypomniawszy sobie tę chwilę, poczułam falę pozytywnych emocji, które niemalże nadmuchały moją klatkę piersiową niczym monsun złapany w grot.

*

Obiad zjedliśmy w portowej tawernie. Marcos bez przerwy groźnie łypał okiem w stronę Cruza, który wpatrywał się tępo w swoją porcję stawy. Siedział między swoim bosmanem a Pierwszym. Obaj mężczyźni co jakiś czas posyłałi skruszone spojrzenia w stronę kapitana Lerate, ale widziałam, że Marcos z ledwością nad sobą panuje. Prawa noga nieustannie mu podskakiwała, a stołowe widełki ścis-kał w dłoni tak mocno, że miałam wrażenie, że sztuciec za chwilę pęknie. Położyłam delikatnie dłoń na jego kolanie. To jakby wyrwało go z amoku, bo noga przestała drżeć i przeniósł spojrzenie z brata na mnie. Ściągnięte brwi powoli wróciły na swoje miejsce, a czoło przestało się marszczyć. Zaciekłość złagodniała, napotykając mój wzrok. Chwycił moją dłoń i ścisnął, zapewniając w ten sposób, że docenia moje wsparcie.

– Mam ochotę obić mu mordę, Francisco – warknął z wściekłością. – Naraża swoją załogę. Nie ma za grosz poważania. Jak mają go szanować? Byliśmy tu trzy dni. Gdyby nie Julio i ta dwójka – wskazał głową na mężczyzn siedzących po obu stronach Cruza – pomarliby z głodu. Nie powinien być kapitanem.

– Mam wrażenie – zaczęłam nieśmiało – że coś go trapi. Jakby próbował zagłuszyć...

– Francisco, na litość boską! – Spojrzał na mnie z politowaniem. – Nie zgrywaj obrońcy diabła. Cruz na to nie zasługuje.

Chciał coś jeszcze dodać, ale w tym momencie załoga Cruza podniosła się od stołów i zaczęła zmierzać do wyjścia. Marcos również wstał, nakazując mi spojrzeniem, bym pozostała na miejscu. On zaś ruszył w stronę swojego brata i ostrym szarpnięciem za ramię zatrzymał go w pół kroku. Ten starał się skupić na nim swoje zamroczone alkoholem spojrzenie, ale nawet z tej odległości widziałam, że sprawiało mu to -ogromną trudność.

– Narażasz naszą wyprawę na fias-ko – wysyczał Marcos, potrząsając bratem tak, jakby chciał wybić mu głupotę z głowy. – Wiesz, jakie to dla nas ważne, tymczasem...

W tym właśnie momencie Cruz pochylił się i zwrócił całą zawartość żołądka wprost na stopy Marcosa. Julio i Hugo pospiesznie przytrzymali najmłodszego z braci w miejscu, bo ten

rzuciłby się na brata. Z kolei załoga Cruza w mgnieniu oka wytaszczyła swojego półprzytomnego kapitana z tawerny. Marcos kłął coś po francusku, a potem poszedł oczyścić stopy do pomieszczenia, które wskazał mu gospodarz tawerny. Czekaliśmy na niego na zewnątrz razem z bosmanem Crescencii, który nerwowo przebierał w miejscu nogami. Widząc zbliżającego się Marcosa, przełknął ślinę i zaczął przepraszać:

– Wybacz, Marcosie, my...

– Prosiłem was tylko o to, żebyście ograniczyli mu dostęp do grogu i nie zabierali rumu na pokład, do czorta! – Marcos chwycił Pierwszego za koszulę i wycedził przez zaciśnięte zęby: – Przecież on nie da rady podjąć żadnej decyzji! Jesteście gotowi go zastąpić?! Co, jeśli nas zaatakują?! Kto weźmie odpowiedzialność za Crescencię?! Za ładunek?! Gdybym -wiedział, że tak będzie, popłynęlibyśmy sami! I tak nie ma z was żadnego pożytku! – Odepchnął mężczyznę tak, że ten o mały włos nie upadł.

Mimo to przyjął kazanie z pokorą.

Zaczął do mnie docierać, jakie Marcos ma poważanie nie tylko wśród własnej załogi, ale także wśród wszystkich mieszkańców Wyspy.

– Zamkniemy go pod pokładem. I ukryjemy grog! Rum miał pochowany w swojej kajucie...

– Naprawdę, Baako. Jeszcze jeden taki wyskok z jego strony i osobiście zafunduję mu spacer po desce – mruknął Marcos, po czym nie zwracając na nikogo uwagi, ruszył w stronę nabrzeża.

Bez słowa podążyliśmy za nim. Wszyscy zdawali sobie sprawę, że lepiej nie wchodzić mu teraz w drogę. Domyślałam się, jak wiele kosztowało go trzymanie nerwów na wodzy.

Wyplłynęliśmy o czasie. Kapitan siedział oparty o grotmaszt. Papier ułożył na udzie, a lewą ręką kreślił zamaszyste kreski na powierzchni kartki. Brwi miał ściągnięte, a oko zmrużone. Całkowicie zatracił się w przelewaniu na papier tego, co go dręczyło. Nikt nie ośmielał mu się przeszkadzać. Do kajuty udał się przed zachodem słońca. Kiedy przyniosłam mu wieczerzę, okazało się, że jest pogrążony w głębokim śnie. Czarne jak smoła loki rozsypane były wokół jego głowy niczym mroczna aureola. Zacięty wyraz twarzy teraz złagodniał i Marcos w końcu przypominał dwudziestolatka, nie bezwzględnego pirata czy apodyktycznego kapitana fregaty. Mimo blizn na twarzy wyglądał łagodnie. Mruknął coś przez sen i przekręcił się na bok. Długie loki opadły na jego policzek, zakrywając szramy i pusty oczodół. Odgarnęłam je lekko i pocałowałam naznaczoną walką skórę. Jego oko momentalnie się otworzyło i przeszył mnie zaspanym spojrzeniem, marszcząc brwi. Kiedy dotarło do niego, że to ja, objął mnie silnym ramieniem i przyciągnął do siebie. Zmusił, bym położyła się obok, a jego usta z miejsca odszukały moje. Mruknął z zadowoleniem, kiedy nasze języki splotły się w namiętnej pieszczocie.

Tej nocy nie był czułym Marcosem. Brał mnie mocno, ale do ucha wciąż szeptał, jak bardzo mnie kocha. Zasnęliśmy dopiero wtedy, kiedy pierwsze promienie słońca zaczęły tańczyć na naszych zmęczonych ciałach. Wtuleni w siebie tak bardzo, jakby od tego zależało nasze przetrwanie.

*

W Audierne zatrzymaliśmy się tylko na pół dnia. Wiatr nam sprzyjał, toteż dopłynęliśmy nawet szybciej, niż początkowo zakładały obliczenia Marcosa. Kapitan oddelegował ludzi do uzupełnienia zapasów, głównie wody i grogu, a także świeżego mięsa i ryb. Póki byliśmy w stanie, nikt nie ruszał sucharów i suszonych kawałków szewronu⁹⁶.

W tawernie, gdzie podano nam lokalne danie z owoców morza, dało się czuć napiętą

atmosferę. Gołym okiem było widać, że gospodarz nie jest zachwycony wizytą piratów, mimo iż zostawiliśmy mu sporo złota. Gdy kończyliśmy posiłek, do gospody hałaśliwie wkroczyła załoga Crescencii. Bosman podszedł do naszego stołu i po cichu poinformował Marcosa, że uzupełnili zapasy i że Cruz się opamiętał. Wątpiłam, bo nawet z tej odległości widziałam jego przekrwione, zmęczone oczy, jednakowoż krok miał żwawy. Gdy nas dostrzegł, ruszył dziarsko i spoczął tuż obok mnie z takim impetem, że o mało nie wywrócił ławy, na której siedzieliśmy.

– Doceniam, braciszku, troskę o moją osobę i mój okręt, ale radziłbym pilnować własnego. – Uśmiechnął się urągliwie, jednak w jego oczach czaił się chłód. Teraz miałam pewność, że jest trzeźwy.

– Gdybyś potrafił o niego zadbać, nie musiałbym tego robić – mruknął Marcos, nawet na niego nie spoglądając.

– Ostrzegam cię, Marcosie...

Poczułam dreszcz niepokoju biegnący wzdłuż kręgosłupa. Pierwszy raz słyszałam taki ton z ust Cruza. Brzmiał złowrogo i mrocznie. Jak Marcos, kiedy zaatakował okręt mojego ojca. Marcos musiał wyczuć, że się przestraszyłam, bo przerwał posiłek i ścisnął lekko moją rękę, a potem wycedził przez zęby:

– Gdyby nie ja, zdechlibyście, nie dotarłszy nawet do Zatoki Bis-kajskiej! Nie zadbałeś ani o zapasy na dalszy rejs, ani tym bardziej o odzienie. Chcesz, żeby twoi kamraci pomarli z zimna, gdy już znajdziemy się na Morzu Północnym?

– Nie zamierzałem tamtędy płynąć...

– Do kroćset! Kiedy przestaniesz być takim ignorantem?! – warknął Marcos. – Nie popłyniemy Kanałem Świętego Jerzego, bo Anglia jest w stanie wojny z Francją i Hiszpanią. Chcesz się dostać pomiędzy trzy zwaśnione strony? Dopiero by było, gdyby zorientowali się, że to pirac-kie statki. A nie zapominaj o korsarzach, którzy lubią się czaić u wybrzeży Man. Gdybyś chociaż trochę interesował się innymi sprawami niż rum i kurtyzany...

– Nie pouczaj mnie, morska dupo! – Cruz zerwał się gwałtownie i rąbnął pięściami w stół tak mocno, że w tawernie momentalnie nastąpiła grobowa cisza.

Wszystkie oczy zwróciły się na nas, a w powietrzu dało się wyczuć nerwowe oczekiwanie. Marcos przeszył go spojrzeniem tak lodowatym, że zrobiło mi się zimno. Wstał i podszedł do brata. Ramiona miał naprężone, a pięści zaciśnięte. Wyraźnie był gotów do utarczki. Byli równi wzrostem, ale dopiero teraz dostrzegłam, że Marcos był szerszy w barkach. Wszelako nie wątpiłam, że Cruz jest równie silny. Na jego twarzy pojawił się kolejny szyderczy uśmieszek.

– No dalej, braciszku – prowokował.

– Marcosie, przestań. Proszę. – Złapałam go za ramię.

Nie spojrział na mnie. Nieustannie gromił wzrokiem starszego brata, a mimo to poczułam, jak mięśnie pod moimi palcami powoli się rozluźniają.

– I jeszcze pozwalasz, by rządziła tobą flama – prychnął Cruz, a ja musiałam pospiesznie stanąć między nimi, bo Marcos byłby go uderzył.

Wprawdzie poczułam się dotknięta uwagą Cruza, lecz nie mogłam pozwolić, by zaczęli się tłuc. Bosmani i kilku kamratów z obu załóg stanęli obok swoich kapitanów. Wszak to nie była pierwszozna w ich wykonaniu.

– Kapitanie – odezwał się Pierwszy Crescencii. – Marcos ma rację. Dłuższa droga będzie bezpieczniejsza.

Ten nic nie odpowiedział. Po prostu minął nas, ostentacyjnie zderzając się ramieniem z Marcosem, a jego załoga posłusznie podążyła za nim. Zatrzymał się na moment w drzwiach i nie patrząc w naszą stronę, warknął:

– Zabieraj swojego bosmana z mojej karaki. – Po tych słowach wyszedł na zewnątrz.

Napięta atmosfera towarzyszyła nam jeszcze przez kilka dni. Dopiero gdy Hugo oznajmił, że Crescencia opłynęła Pointe du Raz – smagany wiatrem cypel na północy Francji – i kieruje się po Morzu Celtyckim na północny zachód, wszyscy wyraźnie odetchnęli.

94 *Adhan* (arab.) – tekst, który wygłasza muezzin, nawołując do modlitwy.

95 *Khobz* – tradycyjne marokańskie pieczywo.

96 *Szewron* – mięso z kozy.

CHOMIKO – WARNIA

Dwudziesta piąta szklanka

„Gwiżdżę na deszcz czy morze wzburzone,

Niestraszna mi męcząca noc.

Dla marynarza najgorszy czas

Musieć oglądać, jak gaśnie słońca blask”.

The Grey Funnel Line, szanta

Marcos

Północ przywitała nas siarczystym mrozem. Otuleni skórami zakupionymi na safijskim suku, ze stopami owiniętymi ciasno szmatami, mozolnie i ze znacznie większą ostrożnością wykonywaliśmy codzienne czynności. Gorąca herbata przyrządzana każdego ranka przez truciciela nagle okazała się napojem bogów. Rozgrzewała od środka i dodawała werwy. Nawet stroniąca od alkoholu Francisca ochoczo zgadzała się na dolewanie do napoju sporej ilości rumu. Nikt z nas nie był przyzwyczajony do trudów zimowej żeglugi. Nocami również okrywaliśmy się dodatkowo skórami. Mimo to dłonie i usta Francis-ki często przybierały siną barwę. Nie migąła się jednak od obowiązków, które każdego dnia sumiennie wykonywała.

W końcu naszym oczom ukazał się półwysep Islandmagee, za którym znajdowało się wejście do Belfast Lough. Załoga nagle się ożywiła, sprawdzono, czy na pewno żagle są odpowiednio naciągnięte. Każdy marzył o tym, by ogrzać się przy skwierczącym w kominku ogniu w jakiejś portowej tawernie. Zakładałem kilka dni odpoczynku przed powrotem do domu. Julio musiał załatwić zapasy na powrót. Ja i Francisca mieliśmy za zadanie udać się do landlorda O’Connella, żeby dogadać warunki umowy. Liczyłem, że widok damy sprawi, że będzie nam bardziej przychylny. Dodatkowym atutem niewątpliwie działającym na naszą korzyść była sowita zapłata. Oprócz ceramiki zakupionej w Safi czekały na niego dwa kufry wypełnione kością słoniową i trzy bele jedwabiu. Hojna oferta za przymknięcie oka na to, że jego ziemie zakupią wyjęci spod prawa ludzie – piraci, których obecność powinien zgłosić armii Jej Królewskiej Mości Anny Stuart.

Dopływając do portu, z żalem pozbyłem się swojej czarnej koszuli i płóciennych spodni. Przywdziałem za to ropillę⁹⁷ z czarnymi adamaszkowymi rękawami, przyozdobioną licznymi kneflikami⁹⁸. Pod spód włożyłem biały kaftan. Dołożyłem starań, by ropilla idealnie przylegała w talii i miała gładką bas-kinę⁹⁹. Musiałem zgrywać prawdziwego eleganta. Do tego włożyłem hiszpańskie bryczesy i pończochy. Przejrzałem się w srebrnym półmis-ku, czując, jak eleganc-ki materiał drapie moją skórę. Rozpuściłem czarne loki, a na głowę przywdziałem hiszpański kapelus, z szerokoskrzydłym rondem, którego główkę zdobiła czerwona taśma. Z ronda zaś zwisały czerwone pompony. Spojrzałem na dno kufra i skrzywiłem się na widok pantofli na koturnach. Ojciec zawsze powtarzał, że zasiadając do pertraktacji z arystokracją, w pierwszej kolejności należy zadbać o wygląd. Pozory przede wszystkim. Czułem się niczym błazen na królewskim dworze. Kiedy kończyłem zapinać niewygodne pantofle, do kajuty weszła Francisca. Na mój widok przystanęła zdumiona, a na jej twarzy pojawił się delikatny rumieniec.

– I jak? – spytałem, rozkładając szeroko ramiona i obracając się wokół własnej osi.

– Zaiste, señor – podeszła i objęła mnie w pasie, po czym cmoknęła lekko w usta – wyglądasz jak prawdziwy... – przez moment szukała słowa – markiz? Lord? Będą jedli ci z ręki.

– Nam, Francisco – wymruczałem jej do ucha i dotknąłem czule jej policzka. – Twoja suknia czeka już na ciebie. – Wskazałem ręką w kierunku stołu, gdzie spoczywała karminowa powłóczysta szata. Wyczułem natychmiastową zmianę jej nastroju. – Co się dzieje?

– Nie wiem, czy dam radę. – Wsunęła się z moich objęć. – Nie znam języka. Na nic się nie przydam...

– Wystarczy, że będziesz. Olśnisz ich swoim blaszkiem. Mają córkę w twoim wieku...

– Marcocie, nie mówię po angielsku. Będę tam siedzieć jak... jak...

– Musimy zrobić na nich jak najlepsze wrażenie. Tylko to się liczy. Mówić będę ja. Ty pozachwycasz się domem i wszechobecnym bogactwem, to wystarczy.

Widziałem, że nie była przekonana. Z pełną dezaprobaty miną podeszła do sukni i pomiętoszyła jej materiał w palcach.

– Nienawidziłam tych strojów. Dusily mnie... – Nagle roześmiała się i spojrzała na mnie. – To, że musiałam udawać chłopca okrętowego, nie było nawet takie złe. Przynajmniej nosiłam wygodniejsze stroje. Nawet nie wiesz, jak okropnie gorąco jest w takiej sukni. – Skrzywiła usta.

– Teraz jest zimno, Francisco. Nie wymigasz się. – Westchnąłem, po czym dodałem, chwytając jej dłoń, na której nosiła pierścień ze szmaragdem: – To dla nas bardzo istotne. Wulkan daje o sobie znać coraz częściej. Potrzebujemy miejsca na nową kolonię. Pod przykrywką właścicieli ziemskich będziemy mogli osiąść na irlandzkiej ziemi. Dać szansę na normalne życie tym wszystkim ludziom, których uwolniliśmy. Zbudujemy osadę. Mając na własność grunty, będziemy mogli napadać na więcej statków i uwalniać kolejnych niewolników... rozbudować flotyllę. Chciałbym... – Przygryzłem wnętrze policzka, bo nigdy wcześniej przed nikim się nie otworzyłem. – To, że dałem ci ten pierścień, Francisco... Pragnę założyć z tobą rodzinę i chcę, żebyś miała swój dom. Miejsce, które będzie tylko nasze. Bezpieczne. Tu jest bezpieczniej niż na wyspie pośrodku Atlantyku.

– Ciągłe mnie zasakujesz. – Popatrzyła na mnie, a potem pozbyła się koszuli, odwracając się do mnie plecami, i wciągnęła na siebie karminową suknię.

Podszedłem i pomogłem jej zapiąć haftki w sztywnym gorsecie. Pokręciła ramionami, wyraźnie starając się pozbyć poczucia dyskomfortu.

– Zapomniałam już, dlaczego tak nie znosiłam tych sukien... – wtrąciła, po czym kontynuowała wcześniejszą myśl: – Kiedy napadliście na nasz okręt... Zabiłeś wszystkich, Marcocie. Byłeś bezlitosny. Wtenczas, gdyby ktoś mnie zapytał, określiłabym cię dokładnie tak: zimny, bezwzględny, lubujący się w obserwowaniu umierających i czerpiący przyjemność z zabijania. Ale potem... To, jak potraktowałeś tego żebraka w Safi, jak rozdajesz pieniądze dzieciom w portach, do których wpływamy... Dbasz o swoich kamratów, o ludzi na Wyspie...

– Kiedyś nie rozumiałem intencji ojca. Wiesz, dla mnie, dla chmyza, który w wieku sześciu lat zaczął rabować inne statki, to była zabawa. Im byłem starszy, tym więcej pojmowałem. Ojciec delikatnie starał się nauczyć mnie, że nawet jeśli obraliśmy taką drogę, możemy być prawymi ludźmi. Pewnego dnia opowiedział mi historię Robin Hooda. Może słyszałaś?

Pokręciła przecząco głową.

– Żył bodajże w trzynastym wieku. Był dzierżawcą u arcybiskupa Yorku. Wszedł w konflikt z prawem i przewodził grupie ludzi, z którymi rabował zamki i klasztory po to, by łupy oddawać biednym i uciśnionym.

– Przypomina trochę ciebie. – Posłała mi uśmiech, czesząc włosy.

Postawiłem na stole szkatułkę z czernidłem, pudrem oraz różem do policzków.

– Nienawidzę Hiszpanów, bo zabili mi ojca. Gardzę nimi, bo handlują ludźmi. Nie pojmuję, dlaczego biali uważają się za lepszych. Wiesz, że Lerate miała być sprzedana jako niewolnica. Ojciec ją uwolnił. Potem została jego oblubienicą. Na krótko przed śmiercią opowiedział mi, że planuje zbudowanie osady w Belfaście. Nawet nie chodziło o to, że jeśli wulkan wybuchnie, to z Wyspy nic nie zostanie. Po prostu w Europie tym wszystkim ocalonym ludziom będzie żyło się lepiej. Byłem z nim na rozmowie z O’Connelllem. A gdy wracaliśmy... – Zacisnąłem pięści i odwróciłem głowę, by nie patrzeć na nią, bo nagle wspomnienia wróciły i zabolowały jak cios szpadą prosto w serce.

Znów byłem trzynastoletnim chłopcem. Dokładnie pamiętałem strach w oczach Severa, gdy zdał sobie sprawę, że nie mamy szans w starciu z hiszpańskimi galeonami. Byłem w stanie odtworzyć minuta po minucie wydarzenia w Doku Straceń. I moment, gdy zobaczyłem ośmioletnią Franciscę. Jak bardzo jej wtedy nienawidziłem. To uczucie tak kontrastowało z tym, co teraz do niej czułem, że aż ścis-kało mnie w trzewiach.

– Marcocie... – Objęła mnie ramionami w pasie i przytuliła się do mnie.

Pachniała morską bryzą. Wtuliłem nos w jej włosy i zaciągnąłem się tą wonią. Działała na mnie kojąco. Wziąłem kilka głębokich wdechów i chwyciłem szkatułkę, po czym starannie naniosłem puder na opaloną skórę, czernidło na niesamowicie długie rzęsy i rubinowe barwidło na jej popękane wargi. Przejeżdżając palcami po jej ustach, zapragnąłem się zatracić w pocałunku. Nie mogłem popsuć jednak efektu. Musnąłem różem jej wydatne kości policzkowe i podałem srebrną tacę, by się przejrzała. Oczy rozszerzyły jej się ze zdumienia. Widziałem, że podobało jej się to, co ujrzała.

Wręczyłem jej czarny damski kapelusz, którego główkę zdobiły perły i okazałe ptasie pióro. Włosy nakazałem zostawić rozpuszczone. Francisca wpięła w nie dwie spinki z kości słoniowej ozdobione perłami. *Prawdziwa dama dworu*, pomyślałem. Obszerny dekolot szkarłatnej sukni odsłaniał misterną koronkę spodniej koszuli – zapiętej wysoko pod szyją – której muślinowe rękawy zdobione angażantami wystawały spod mankietów. Krawędzie powłóczystej spódnicy obszyto złotą przędzą. Szata była jednak skromna i z pewnością odstawała od kanonów mody panujących w Europie, jednak musiała wystarczyć. Liczyłem na to, że Francisca oszołomi wszystkich swą urodą. Wyglądała dojrzała, a jedno-cześnie niewinnie. Zapinając naszyjnik z pereł, pozwoliłem sobie złożyć lekki pocałunek tuż za jej uchem. Zadrżała i westchnęła cicho. Nałożyłem ciepły szary frak, a Francisce podałem królicze futro.

– Zrzuciliśmy kotwicę, kapi... – Do kajuty wpadł Hugo, lecz zamilkł w pół słowa, kiedy jego wzrok spoczął na dziewczynie. – Niech skonam, señorito... – Widziałem, jak gorączkowo przetyka ślinę. – Wyglądasz...

– Daj już spokój, Hugonie – warknąłem odrobinę za ostro.

Nie podobało mi się, że wywarła na tym starym pierdzielu aż takie wrażenie.

Wskazałem dłonią na drzwi, nakazując Francisce, by szła przodem. Podążyłem tuż za nią, nie mogąc wyjść z podziwu, z jaką gracją się porusza. Widać nie zapomniała nabytych w dzieciństwie nawyków. Przeszując próg, posłałem Hugonowi złowrogie spojrzenie spod półprzymkniętej powieki, bo nadal bezczelnie wodził za nią wzrokiem. Gdy wyszliśmy z kajuty, na pokładzie zapanował bezruch, ponieważ oczy wszystkich zwrócone były teraz na zmieszaną dziewczynę.

– Zrzućcie trap – rozkazałem, stając obok Francis-ki. Zaoferowałem mojej towarzysze ramię, które chętnie ujęła, uśmiechając się lekko. – Schodzimy na ląd. Znajdź nam powóz, Julio. Kiedy udamy się do O’Connella, ogrzejcie się w tawernie. Pierwej jednak dogadajcie się z miejscowymi kupcami w sprawie zapasów na drogę powrotną.

Dwóch marynarzy zrzuciło trap, który z głośnym hukiem uderzył o krawędź nabrzeża. Zeszliśmy z pokładu, odprowadzani wzrokiem załogi. Śmierdziało tu zdechłymi rybami, których nieprzyjemna woń mieszała się z odorem nieczystości wylewanych na ulice. Widziałem, jak Francisca krzywi się z obrzydzenia. Dostrzegłem Cruza zmierzającego dziarskim krokiem w naszym kierunku. Przywdział strój podobny do mojego i tak jak ja do pasa przymocował rapier. Mniemałem, że złość już mu minęła, bo uśmiechnął się łobuzersko, zdecydowanie zbyt długo zatrzymując bystre spojrzenie na mojej towarzysze.

– Opanuj się – warknąłem do niego, kiedy Julio podprowadził nam powóz i pomagałem Francisce do niego wsiąść.

Nie odezwał się, jednak cały czas jego wzrok błędził od jej piersi do wąskiej talii. Zniecierpliwiony czekałem, aż załadują kufry z prezentami dla landlorda. Powóz ruszył. Wjechaliśmy na High Street, gdzie niemalże z każdego budynku zwisały się ciężkie markizy. Na dworze było ponuro, gdzieniegdzie tylko zbłąkane promienie słońca próbowały się przedrzeć przez gęstą warstwę szaroburych chmur. Idealna pogoda do szkicowania węglem. Bez problemu byłbym w stanie oddać całą paletę szarości.

Ludzie spokojnie spacerowali, jakby nieznane im były troski życia codziennego. Uśmiechnięte damy wymieniały spostrzeżenia, a towarzyszący im panowie palili fajki.

– Marcosie – wyszeptła nagle Francisca, łapiąc mnie za przedramię. Wskazała palcem na siedzące na ziemi dzieci.

Ubrane były w brudne łachmany i wtulone w siebie, zapewne starały się w ten sposób ogrzać. Spacerujący mieszczańscy zdawali się ich w ogóle nie zauważać, jakby byli zaledwie paprochem walającym się wokół ich starannie wypucowanych pantofli.

– To straszne. Dlaczego nikt nie zwraca uwagi na te biedne dzieci? – spytała drżącym głosem. – Widziałeś, jak były ubrane? Przecież na pewno marzną. Gdzie są ich rodzice?

– To sieroty – mruknął Cruz głosem wyzutym z emocji. – Myślisz, że kogoś obchodzi ich los? Jeśli mają szczęście, parafie wypożyczają je żebrakom jako rekwizyty za jakies marne pieniądze.

– Rekwizyty?! – pisnęła, wyraźnie przejęta.

– Te, które minęliśmy, zapewne nie nadawały się na wynajem ani do sprzedaży – kontynuował mój brat, jakby w ogóle nie zauważył jej reakcji – więc kościelni oficjele wygonili je na ulicę, by żebrały za dnia, a nocą spały, gdzie popadnie. Problem z głową – dodał od niechcenia.

– Jak możesz tak mówić?! – oburzyła się.

– Zawsze mogły zostać sprzedane w niewolę kominiarzom. – Uśmiechnął się cynicznie. – I czyścić kominy, gdy ogień jeszcze bucha w piecu. Gorzej, jeśli któreś spadło...

Palce Franciszki zacisnęły się mocniej na moim przedramieniu. Widziałem, jak cała krew odpływa jej z twarzy.

– Skończ już, Cruzie! – warknąłem w jego kierunku.

– Sama zaczęła – odszczeknęła. – Nie uchronisz jej przed całym złem tego świata – dodał po chwili.

Przez jego twarz przemknął dziwny grymas. Odniosłem wrażenie, że lekceważącym stosunkiem do całego tego zajścia starał się coś zamaskować.

Skręciliśmy w jedną z wąskich alejek prowadzących ku północnej części miasta. Odgłos kopyt stukających o bruk rozniósł się głośnym echem między ciasno ulokowanymi domostwami. W końcu wyjechaliśmy za miasto i naszym oczom ukazała się duża wiejska rezydencja otoczona polami, na których wypasały się krowy i owce. Wiedziałem, że od niedawna wełna, masło i wołowina były głównymi towarami eksportowymi Irlandii, poza Inem oczywiście, ale w jego

eksporcie dominował Ulster.

Gdy powóz zatrzymał się przed posiadłością, z domu wyszedł eleganc-ko ubrany lokaj i otworzył drzwi karety.

– Witamy w posiadłości lorda O’Connella, señorze Noir – powiedział powoli bardzo poprawną angielszczyzną.

Miałem już styczność z Irlandczykami i wiedziałem, że ich mowa znacząco różni się od tej, jaką słyszałem w Anglii. Najwyraźniej landlord poinstruował swojego lokaja, że możemy mieć problem z komunikacją.

– Dzień dobry – przywitałem się, wysiadając i oferując dłoń Francisce. – Prezenty dla lady i lorda O’Connellów – poinformowałem lokaja, wskazując kufrы na tyłach powozu.

Kiwnął głową. Po chwili podążaliśmy za nim szerokim korytarzem do pokoju dziennego, w którym na obszernej skórzanej sofie naprzeciwko kominka siedział pan domu w towarzystwie dwóch dam. Gdy zwróciły twarze w naszą stronę, bez problemu odgadłem, że to matka z córką.

– Na łono Salacji... – Usłyszałem, jak Cruz głośno wciąga powietrze.

Spojrzałem na niego znacząco. Dobrze wiedziałem, że olśniła go uroda panny O’Connell, która to wpatrywała się w niego z wypiekami na twarzy. W istocie, nie można jej było niczego zarzucić. Porcelanowa cera, duże zielone oczy i malinowe usta zdecydowanie przykuwały uwagę mężczyzn. Wymyślna błękitna suknia, tak odmienna od tej, którą miała na sobie Francisca, podkreślała jej wąską talię i dość szerokie biodra. Brązowe loki miała upięte w kok, spod którego puszczono luźne kosmyki. Nagle zdałem sobie sprawę, że towarzystwo Cruza może się okazać fatalnym pomysłem.

– Pozwolę sobie zabrać państwa odzienie – odezwał się lokaj.

Sumiasty siwy wąs i gładko zaczesane białe włosy kontrastowały z czarnym frakiem i czarnymi kulotami.

Strój lorda, utrzymany w odcieniach złota i brązu, prezentował się podobnie, z tym że O’Connell miał jeszcze gilet¹⁰⁰, spod którego wystawał biały żabot koszuli. Na gładko ogolonej twarzy dało się dostrzec pierwsze oznaki starości. Na głowie zaś miał modną śnieżnobiłą perukę. Jego bystre oczy obserwowały nas z odrobiną rezerwy.

– Señor Marcos Noir, jak mniemam – zwrócił się do mnie nis-kim basem.

– Lordzie – skłoniłem się, zdejmując kapelusz, który podałem lokajowi wraz z frakiem.

– To moja małżonka Francisca oraz mój brat Cruz Noir.

– Małżonka – parsknął Cruz po hiszpańsku, na co zgromiłem go wzrokiem.

Ojciec zawsze zwracał uwagę na etykietę, kiedy miało się do czynienia z arystokracją. Nietaktowne zachowanie mogło zaszkodzić naszej sprawie. O’Connell jednak zdawał się w ogóle nie zauważać braku taktu mojego brata, za to zbyt długo zatrzymał spojrzenie na mojej towarzyszcze. Podeszedł do niej, ujął jej dłoń i nis-ko się kłaniając, ucałował ją.

– „Ona zawstydzą świec jarzących blas-ki; piękność jej wisi u nocnej opas-ki”¹⁰¹ – wyrecytował, wpatrując się jej prosto w oczy.

Zduśmiłem w sobie chęć sięgnięcia po rapier. Z ociąganiem wyprostował się i puścił jej dłoń, uśmiechając się tajemniczo, po czym ponownie zwrócił się do Francis-ki:

– Szekspir. Bardzo utalentowany pisarz. Słyszałaś może któryś z jego sonetów?

– Francisca nie mówi po angielsku – uświadomiłem go odrobinę za ostro.

– Nic nie szkodzi – odparł. – Tuszę, że przekaże pan jej moje słowa, señorze Noir.

Kiwnąłem uprzejmie głową. Upomniałem się w duchu, że właśnie po to ją tu zabrałem. Żeby olśniła landlorda. Nie umniejszyło to ani trochę pałającej w piersi zazdrości. Z ociąganiem odezwałem się do dziewczyny:

– Oczarowałaś go. Jest zachwycony twą urodą.

Zamrugnęła intensywnie, wpatrując się we mnie z niedowierzaniem, a na jej policzki wypełził rumieniec.

– Z pewnością jesteście strudzeni po tak długiej podróży. – Lord zdawał się nie zauważać całej tej sytuacji. – Przejdziemy do jadalni. Właśnie podano lunch.

– I świetnie, umieram z głodu – odezwał się Cruz po hiszpańsku, klepiąc się wymownie po brzuchu i puszczając oczko do córki O’Connella, na co dziewczyna zachichotała.

Po raz kolejny zgromiłem go wzrokiem. Wiedziałem, że mój brat podoba się niewiastom. Przystojna twarz, szelmowski uśmiech i łobuzerskie spojrzenie spod ciężkich powiek powalały na kolana niemalże każdą damę w zasięgu jego wzroku. Odporna na jego urok była chyba tylko Francisca. Albo zdołała go poznać na tyle, by zdawać sobie sprawę, że urodziwa oprawa nie idzie w parze z ładnym wnętrzem.

Jadalnia znajdowała się po drugiej stronie korytarza, którym tu przybyliśmy. Pomieszczenie w całości wykończono ciemnym drewnem, począwszy od podłogi, na ścianach skończywszy. Tylko sufit pomalowano na biało. Na ścianach wisiały złożone kinkiety z kutego żelaza. Świeczniki zdobiły również drewnianą belkę wykańczającą kominek, w którym żywo trzaskał ogień. Lord odsunął krzesło dla swojej pani, ja uczyniłem podobnie z krzesłem Francis-ki, a Cruz ochoczo pospieszył z pomocą córce O’Connella i spoczął u jej boku.

Zasiedliśmy do posiłku. Na stole królowały pieczona wołowina, stobhach gaelach¹⁰², prażony chleb owsiany, jadalne wodorosty oraz bób.

– Polecam nasz domowy cydr oraz ale¹⁰³ – odezwał się gos-podarz, zanim zdążyłem sięgnąć po jedzenie.

Francisca sceptycznie przyglądała się wodorostom, zastanawiając się zapewne, czy warto ryzykować późniejsze problemy z żołądkiem, natomiast Cruz już zdążył nałożyć sobie pełen talerz stawy i właśnie częstował się cydrem. zaproponowałem jej któryś z alkoholi, ale stanowczo odmówiła. Lady O’Connell najwyraźniej domyśliła się, że nie odpowiadają jej napoje, bo zasugerowała:

– Mamy też mleko lub sowens¹⁰⁴. – Spojrzała na dziewczynę wyczekująco.

Przetłumaczyłem i Francisca zdecydowała się na mleko. Po chwili jedna ze służek przyniosła kubek białego napoju.

– Zmężniałeś od czasu, kiedy ostatni raz się widzieliśmy, señorze Noir – odezwał się do mnie O’Connell. – Cóż cię do mnie sprowadza? Przyznam, że byłem pewien, że po śmierci twojego ojca nasza umowa nigdy nie dojdzie do skutku.

– Jednak nie sprzedał pan tych ziem, *sir*.

– W istocie. Coś kazało mi się wstrzymać. Nie ukrywam, że twój list sprzed kilku miesięcy wzbudził moją ciekawość.

– Nadal jesteście zainteresowani kupnem tych ziem – potwierdziłem.

Kącik ust landlorda powędrował w górę. Miałem wrażenie, że ze mnie drwi.

– Z kolei ja nie jestem przekonany, czy nadal chcę je sprzedać. – Popatrzył na mnie znacząco i na moment przeniósł wzrok na moją ukochaną.

Wiedziałem, że stara się mnie wybać. W jego oczach nadal byłem tym trzynastoletnim gówniarzem, który ma mleko pod nosem. Jego zainteresowanie wzbudzała jedynie Francisca, mimo że tuż obok niego tkwiły jego żona i córka. Cruza natomiast traktował jak powietrze.

– Gdyby nie interesowała pana sprzedaż gruntów, nie uraczyłby nas pan tak wystawnym obiadem, *sir*. Tylko odprawił. – Popatrzyłem mu prosto w oczy, a on uśmiechnął się nieznacznie.

– Cena wzrosła.

– Cena nie gra roli.

– Dużo ryzykuję. Możesz sobie nosić wytworne fatalaszki, Noir, ale nie oszukasz

wytrawnego oka. Brytyjscy korsarze tylko czekają, żeby was dopaść. Będę musiał udawać przed Regimentem Królowej, że nie mam pojęcia, iż w moim mieście osiedli piraci. I to nie byle jacy. Wasza sława dotarła aż tutaj. Czarni Bracia... – Potarł trzema palcami gładko ogolony podbródek, jakby się nad czymś zastanawiał, po czym kontynuował: – Robin Hood mój to ty, prawda? Ty natomiast – zwrócił się do Cruza – nazywany jesteś Księciem Piratów. Brakuje tylko Czarnego Boa...

– Postarałem się, żebyś nie czuł wyrzutów sumienia, *sir* – rzekłem spokojnie. – Twój lokaj już zadbał o to, by prezenty znalazły się we właściwym miejscu.

– Spokój mojego sumienia będzie cię wiele kosztował, señorze. Choć nie ukrywam, że gdybyście tu zamieszkali, miałbym możliwość podziwiania urody twojej małżonki. Dzięki temu oferta staje się kusząca.

– Eoghane! – skarciła go lady O’Connell. – Nie masz -wstydu...

– Dlaczegoż mam nie doceniać oczywiście piękna, kochanie? – spytał niewinnie. Ujął dłoń swej małżonki i wbiwszy wzrok prosto w jej duże oczy, wymruczał cicho: – „O! mów, mów dalej, uroczy aniele; bo ty mi w tę noc tak wspaniale świecisz”¹⁰⁵.

Lady O’Connell zachichotała zawstydzona, lecz wyraźnie ukontentowana, że jej małżonek na powrót zainteresował się jej osobą. A ja poprzysiągłem sobie, że jeśli osiadziemy w okolicach Belfastu, przynigdy nie puszcę tutaj Francis-ki samej. Lord O’Connell i Cruz mogli sobie uściskać dłonie. Obaj ulepieni byli z tej samej gliny.

– Myślę, że dobijemy targu, *sir* – przerwałem te umizgi, siląc się na spokój, chociaż zaczynałem czuć rosnącą irytację.

– To się okaże, señorze Noir. A teraz wybaczą panowie... panie... – Lord kiwnął uprzejmie głową. – Wybieram się na polowanie, ale myślę, że możemy dokończyć rozmowę po-jutrze. Chętnie wypijemy w waszym towarzystwie popołudniową herbatę, prawda, kochanie?

Jego małżonka potwierdziła.

– A teraz wybaczcie. Arthur poda wam wasze odzienie i wskaże drogę do wyjścia.

Posłusznie wstaliśmy od stołu i udaliśmy się na zewnątrz. Powóz już na nas czekał. Gdy ruszył, dałem upust złości.

– Musiałeś smalić cholewki do jego córki, morska dupo? – zrugłem Cruza.

– Ocieplam nasz wizerunek. – Wzruszył ramionami i posłał mi niewinny uśmiech.

– Już i tak powstrzymywałem się, żeby nie obić mu mordy za te żenujące zaloty do Francis-ki. Dziwię się, że jego żona znosi to z takim spokojem.

– Krowa, która dużo ryczy, mało mleka daje – podsumował mój brat.

– Nie rozumiem za bardzo, co się tam wydarzyło – wtrąciła Francisca. – Myślałam, że jedziemy dobić jakiegoś targu. Tymczasem...

– To nie takie proste. – Westchnąłem, przecierając twarz dłońmi.

Byłem zmęczony po rejsie, a ciepła strawa i cydr dodatkowo mnie rozleniwiły. Marzyłem, żeby zalec w pokoju w tawernie na miękkim łożu i spać.

– Ten harpagon chce wyciągnąć od nas jak najwięcej złota – wytłumaczył Cruz. – Dlatego wspominał, że wie, iż jesteśmy piratami. Zresztą spójrz na jego gębę. – Wskazał na mnie. – Gdyby nie ładował się za każdym razem pod ostrze rapiera, nie przerażałby wyglądem. Nie to co ja. – Uśmiechnął się szelmowsko, wskazując palcem swoją nies-kalaną bliznami twarz.

– Zamilcz, do stu tysięcy kartaczy! Gdyby wszyscy piraci podchodzili do walki tak jak ty, nie złupilibyśmy ani jednego okrętu. Mam tylko nadzieję, że nie przyjdzie ci na myśl rozkulbaczać jego córki. – Popatrzyłem mu prosto w oczy. – Przysięgam, Cruzie. Zabiję cię, jeśli z twojej winy coś pójdzie nie tak.

Posłał mi nonszalanc-kie spojrzenie, dając mi tym samym do zrozumienia, że ani myśli

mnie słuchać. Mimo to -naprawdę liczyłem, że powstrzyma się od miłosnych uciech z panną O'Connell.

– Chędoż sobie do woli każdą mieszkankę Belfastu poza nią – dodałem zmęczonym głosem. – Chociaż ten jeden raz mnie posłuchaj.

Nie odpowiedział. Dotarliśmy do gospody, w której mieliśmy nocować. Krępa gospodyni o ogniecie rudych włosów schowanych pod zakurzonym czepkiem zaprowadziła nas wąskimi schodami do pokoi ulokowanych na piętrze. Pomieszczenia były malutkie, ze świetlikami zamiast okien. Mieściły się tu ledwie łoża, drewniany stół z dwoma krzesłami na krzywych nogach i rozpadający się kufer. Uściłem opłatę z góry za cały pobyt i zamknąłem ciężkie nadgryzione przez kołatki drzwi, zabrawszy kaganek z ogarkiem dopalającej się świecy.

97 Ropilla – wierzchni ubiór męski z dekoracyjnymi rękawami.

98 Kneflik (gw.) – guzik.

99 Bas-kina – element górnej części stroju męskiego lub kobiecego, doszyty w pasie i sięgający bioder.

100 Gilet – kamizelka.

101 W. Szekspir, *Romeo i Julia*, przeł. J. Paszkowski, Warszawa 1965, s. 33.

102 Stobhach gaelach – tradycyjny irlandzki gulasz.

103 Ale – piwo górnej fermentacji.

104 Sowens – napój z lekko sfermentowanych plew pszenicy.

105 W. Szekspir, *Romeo i Julia*, dz. cyt., s. 44.

Dwudziesta szósta szklanka

„Oto i statek, co przez morze gna,

Ciężki ładunek na pokładzie ma,

Lecz nie tak ciężki jak to, co trapi mnie:

Miłość tak wielka, że osiadę na dnie”.

The Water Is Wide, szanta

Francisca

Biel na ścianach pokoju w gospodzie była jedynie wspomnieniem. Śmierdziało stęchlizną i byłam pewna, że goszczą tu gryzonie. Westchnęłam ciężko, podchodząc do łoża i dotykając palcami poszarzałego wykrochmalonego materiału. Miałam przynajmniej pewność, że został wyprany, bo widząc stan pomieszczenia i mebli, początkowo w to zważyłam. W lokum było chłodno. Marcos wyszedł po nasze odzienie na zmianę. Wiedziałam, że ma jeszcze jeden komplet eleganckich strojów. Musiał nam wystarczyć. Dobrze pamiętałam z dzieciństwa zasady etykiety i domyślałam się, że za wiele się nie zmieniły. Jeśli pojawiłabym się drugi raz w tej samej sukni, stałabym się obiektem drwin, a tym samym mogłabym zaszkodzić interesom Marcosa. On zdawał się tym jednak nie przejmować. Może Irlandia rządziła się innymi prawami? A może Marcos wierzył, że na kolejnym spotkaniu uda się im podpisać umowę. Westchnęłam ciężko, wpatrując się w liche światło dopalającej się świecy w kaganku, który Marcos postawił na stole. Warunki były o niebo lepsze niż na okręcie, jednakowoż chyba podświadomie liczyłam na taki pokój, jaki miałam w swoim hiszpańskim domu. To był w zasadzie pierwszy raz – nie licząc Wyspy – kiedy spałam poza fregatą.

Usiadłam na kolebiącym się na boki krześle i zaczęłam ściągać pończochy, chcąc się pozbyć niewygodnego stroju.

– Zostaw... – Usłyszałam lekko zachrypnięty szept.

Uniosłam głowę i napotkałam spojrzenie Marcosa. W jego bursztynowej tęczęwce nie dostrzegłam uprzednich śladów zmęczenia, lecz głód. Zamknął drzwi i z głośnym zgrzytem zasunął rygiel. Odwrócił się do mnie i rzucił frak. Nie spuszczać ze mnie wygłodniałego spojrzenia, pozbył się ropilli i koszuli, cis-kając je niedbale na podłogę. Poczułam przypływ gorąca, kiedy klęknął przede mną i oparł moją stopę o swoje nagie ramię. Jego ciepłe wargi rozpoczęły powolną wędrówkę od kostki w górę nogi, a palce wsunęły się pod materiał spódnicy, którą podwinął mi do kolan. Ciepłe dłonie pieściły zewnętrzną stronę ud. Zatopiłam palce w jego gęstych włosach i jęknęłam, zamykając oczy, kiedy jego usta odnalazły moje najwrażliwsze miejsce. Odchyliłam głowę do tyłu, łapczywie łapiąc oddech. Wsunął dłonie pod moje pośladki i uniół mnie z taką łatwością, jakbym nic nie ważyła. Gdy podniosłam powieki, odwzajemnił moje spojrzenie na krótką chwilę i zawładnął moimi ustami. Poczułam swój smak, a on przyduślił mnie do ściany tak mocno, że ledwie mogłam zaczerpnąć powietrza. A potem ostrożnie wypełnił mnie, sprawiając mi lekki ból, który natychmiast przerodził się w intensywną przyjemność, potęgowaną z każdym jego nieznośnie powolnym ruchem.

– Och, Francisco – wymruczał, wodząc ustami wzdłuż mojej szyi. Jego zarost

przyjemnie drapał wrażliwą skórę. – Od zawsze chciałem to zrobić... – Jego cichy, uwodzicielski szept odbijał się echem w moim ciele, rozchodząc się po nim przyjemnym dreszczem. – Gdy cię wtedy zobaczyłem... Twój wzrok... To spojrzenie... Z jednej strony zawstydzone, a z drugiej... – Oderwał usta od mojej szyi i przeniósł je na moje wargi.

Całował zachłannie, nie dając mi ani na moment zaczerpnąć powietrza. Przesunął dłonie na moje plecy, rozerwał haftki i zsunął suknię z ramion razem z koszulą, której wiązanie podzieliło los zatrzasków. Zimna chropowata ściana drażniła nieprzyjemnie moje plecy, ale nie byłam w stanie się na tym skupić, bo usta Marcosa przeniosły się na mój podbródek, znaczyły wilgotny ślad coraz niżej i niżej, aż dotarły do piersi.

– Pamiętasz, prawda? – spytał. – Pamiętasz, jak nakryłaś mnie w zaułku z tamtą ładacznica?

Przytaknęłam, oddychając ciężko i zacis-kając bezwiednie palce na jego umięśnionych ramionach.

– Przez ten cały czas, kiedy na siebie patrzyliśmy, wyobrażałem sobie, że to z tobą jestem. Nie z nią... Z tobą, Francisco... – Znów zawładnął moimi ustami. – Tylko z tobą... – dodał, tłumiąc pocałunkiem jęk, który wydobył się z moich ust, gdy osiągnęłam spełnienie.

Tej nocy kochaliśmy się jeszcze dwa razy, po czym zasnęliśmy wyczerpani w śmierdzącej pleśnią sztywnej od krochmalu pościeli. Łoże w niczym nie przypominało tego, które miałam w domu w Kadyksie, a mimo to wydało mi się luksusem ponad miarę. Nauczyłam się doceniać namiastkę wygody, przyzwyczajona do spartańskich warunków panujących na Lerate. O dziwo, nie tęskniłam za bogactwem, jakie otaczało mnie w dzieciństwie. Byłam szczęśliwa. I to mi wystarczało.

Ciepły oddech Marcosa łaskotał mnie w szyję. Leżał wtulony w moje plecy i oddychał miarowo i spokojnie. Lubiłam tę chwilę, kiedy napięcie opuszczało jego ciało, rysy twarzy łagodniały. Mogłabym nie spać całą noc, tylko go obserwować. To był ten moment, kiedy był moim Marcosem. Tylko ja go takiego widziałam. Tylko przede mną ukazał swoje prawdziwe oblicze. I z nikim nie musiałam się nim dzielić.

*

Nazajutrz, gdy się obudziłam, przywitało mnie mroźne powietrze, przedostające się przez szparę w świetliku, który uchylił Marcos. On sam stał rozebrany od pasa w górę i obmywał się nad misą ustawioną na zdezelowanym stole. Z głową ułożoną na zgiętym ramieniu przyglądałam mu się przez chwilę, podziwiając jego muskularną sylwetkę. Na piersi w okolicach serca miał tatuaż, taki sam jak wszyscy we flotyli Czarnych Braci – czaszkę, a pod nią skrzyżowane szablę i garłacz. Wszak broń była istotą naszego życia: albo ratowała od śmierci, albo ją na nas sprowadzała. Nad dzbanem unosił się obłoczek pary, wskazujący na to, że właśnie go przyniesiono. Marcos przetarł twarz i kark brudnym ręcznikiem i spojrzał w moją stronę, jakby wyczuwając, że się obudziłam.

– Dzień dobry. – Na jego twarzy pojawił się zniewalający uśmiech.

Ostatnimi czasy coraz częściej się uśmiechał. Pocałował mnie na powitanie, tak że aż zabrakło mi tchu. Jego język łagodnie pieścił mój, a dłoń spoczywająca na karku sprawiała, że skóra w tym miejscu zdawała się gorzeć.

– Już południe – oznajmił. – Muszę się udać na okręt i rozmówić z Juliem co do tego, jak wygląda sprawa z zapasami na drogę powrotną. Wiem, że mamy jeszcze kilka dni, jednak wolałbym nie opóźnić wypłynięcia. Potem możemy pojechać obejrzeć naszą ziemię, jeśli chcesz. Ale najpierw strawa. Gospo-dyń już ją dla nas szykuje. Odziej się, to zejdziemy na dół.

– Umieram z głodu – odparłam i wysunęłam się spod ciepłej pierzyny.

Drewniane klepki podłogowe były tak zimne, że moje bose stopy zdawały się protestować z każdym krokiem. Marcos podał mi przyodziewek, a ja pospiesznie przemyłam twarz i szyję ciepłą wodą. W końcu zeszedliśmy na dół. Nie pamiętam, kiedy byłam tak głodna. Z ogromnego pomieszczenia biło przyjemne ciepło dobywające się ze stojącego w rogu gospody kominka, w którym żywo trzas-kał ogień. Kilku mężczyzn radośnie gwarzyło przy kuflach irlandzkiego piwa. Wystarczyło jedno spojrzenie, by wiedzieć, że to marynarze. Na nasz widok zamilkli, a ich spojrzenia na dłuższą chwilę spoczęły na mnie. Marcos zasłonił mnie własnym ciałem, jakby był moją tarczą, i ostentacyjnie oparł dłoń o rapier. Jegomości momentalnie powrócili do wcześniejszej rozmowy, chociaż co chwila rzucali w naszą stronę ukradkowe spojrzenia. Zdawałam sobie sprawę, że jestem dla nich atrakcją. Mimo że nie włożyłam sukni, nie ukrywałam już twarzy za poczochnymi włosami, tedy z pewnością zorientowali się, że nie jestem mężczyzną. Moja szpada, bez której nie ruszałam się na krok, podzwaniała cicho, uderzając o udo. Marcos też przyciągał uwagę. Dałabym sobie głowę uciąć, że wszyscy wiedzieli, kim jest.

Korpulentna gospodyni w dezabilu, z nadmiernie wyeksponowanym biustem falującym przy każdym jej ciężkim oddechu zaprowadziła nas do stołu. Był chyba w jeszcze gorszym stanie niż ten w naszym pokoju. Poważnie zaczęłam się zastanawiać, czy nie załamie się pod ciężarem jedzenia. Dziurki po kołatkach zdawały się zajmować większą część jego powierzchni. Gospodyni przetarła wierzch blatu brudną szmatą, po czym przyniosła strawę. Na stole wylądowały półmis-ki z jądłem i dzban cydru. Nie chciałam pić alkoholu, więc Marcos zamówił dla mnie ciepłe mleko. Miało słodszy smak i nie śmierdziało tak jak kozie, do którego przywykłam na Wyspie. Odchodząc do kolejnych gości, gospodyni uśmiechnęła się do Marcosa swawolnie, a ten posłał jej łobuzerski uśmiech. Poczulałam dziwne ukłucie w piersi. Nie spodobało mi się to. Mogłaby być jego matką, a mimo to ewidentnie się nim interesowała.

– Ubodło cię to? – szepnął mi do ucha, przejeżdżając nosem po jego krawędzi.

Po moim ciele przebiegł przyjemny dreszcz.

– Ja... – Nie wiedziałam, co odpowiedzieć.

– Muszę być miły, inaczej napluje nam do jedzenia – odparł.

– Po prostu... – Spuściłam głowę, siadając na chybotliwym zydlu. – Jak ty byś się czuł, gdybym obdarzała takim uśmiechem innych mężczyzn? – zapytałam cicho.

– Po prostu bym ich zabił – odparł z powagą.

Popatrzyłam na niego z niedowierzaniem. Kącik jego ust delikatnie powędrował w górę. Zajęłam miejsce naprzeciwko niego, a on, wbijając widelec w ociekającą tłuszczem kiełbasę, zaoponował ostrym tonem.

– Nie, Francisco. Usiądź mi na kolanach.

– Ale... – Nie rozumiałam, o co mu chodzi.

– Zrób to – ponaglił.

– Marcosie, nie jestem...

– Nie mam ochoty obijać mord tym napalonym marynarzom, a kilku zdążyłaś już wpaść w oko. Tak będzie lepiej. Uwierz mi – wyjaśnił, a ja ostrożnie usiadłam na jego kolanach i przysunęłam bliżej swój półmisek.

– Wiem, że to mało wygodne – dodał – ale chcę zjeść w spokoju, a oni już są wstawieni, więc jeśli nie dam im wyraźnego sygnału, że jesteś ze mną, za chwilę dojdzie do mordobicia. W takich miejscach niewiasty pojawiają się tylko w jednym celu. O, patrz. – Skinął głową w stronę dwóch przesadnie umalowanych kurtyzan, które powłóczyłym krokiem weszły do tawerny, wpuszczając do środka lodowate powietrze.

Wzdrygnęłam się, kiedy chłód dosięgnął i nas. Kokoty obrzuciły mnie lekceważącym

spojrzeniem, dłużej zatrzymały wzrok na Marcosie, który cały czas patrzył na mnie, po czym ruszyły w kierunku mężczyzn siedzących po przeciwnej stronie pomieszczenia. Już po chwili dwie z nich zasiadały na męskich kolanach, śmiejąc się nader głośno, kiedy dłonie gości wślizgiwały się pod rozcięte z boku spodnice.

Gdy posiłek dobiegł końca, narzuciliśmy wierzchnie okrycia i posileni hash browns¹⁰⁶ oraz smażonymi kielbas-kami ruszyliśmy skontrolować okręt. Dwóch wartowników skinęło nam głowami, kiedy przeszliśmy trapem wprost na oblodzony dek. Upadłabym, gdy moja stopa przesunęła się po niebezpiecznie ślis-kiej powierzchni, lecz Marcos w porę mnie złapał. Nie byłam przyzwyczajona do takich warunków. W Kadyksie nigdy nie notowano tak niskich temperatur, a na Wyspie panował tropikalny klimat. Takie zjawis-ka jak mroźne powietrze czy pokrywający wszystko lód były dla mnie czymś zgoła nowym i frapującym. Ukucnęłam i przejechałam palcami po gładkiej powierzchni zamrożonej wody, która pod wpływem moich ciepłych opuszek momentalnie zaczęła się topić. Gdy wstałam, na moim nosie spoczęło coś zimnego. Spojrzałam w górę, skąd spadł biały płatek i znowu osiadł na mojej twarzy. A potem kolejny i kolejny. Łechtały skórę na policzkach, spadając z szaroburego nieba coraz gęstsza lawiną.

– Co to? – spytałam, nie mogąc oderwać wzroku od tego niecodziennego zjawis-ka.

– To tylko śnieg – odparł Marcos, przerywając na moment rozmowę z szyprem.

To tylko śnieg, powtórzyłam w myślach i zachichotałam. Świat powoli pokrywała cienka warstewka białego puchu, a ja urzeczona obserwowałam, jak krajobraz zmienia się na moich oczach. Ponury port Belfastu nagle przeistaczał się w krainę z baśni, które czytała mi Kamaria do poduszki. Zamknęłam oczy i zakreśliłam się wokoło, ciesząc się jak dziecko.

Poczułam, jak ktoś obejmuje mnie w talii i zatrzymuje. Uniosłam powieki. Bursztynowe oko Marcosa spoglądało na mnie z rozbawieniem. Cmoknął mnie pospiesznie w usta i zakomenderował:

– Nic tu po nas, Francisco. – Kiedy zeszliliśmy na brzeg, dodał: – Jeśli wszystko pójdzie dobrze, wypłyniemy szybciej. Zapasy w zasadzie mamy przygotowane. Czekamy na ziarno owsa i umowę z O’Connellem.

– Daleko jest ta ziemia, którą chcesz nabyć? – spytałam, pocierając zmarznięte dłonie, żeby się trochę rozgrzały.

Marcos, widząc moje sine palce, zmarszczył z niezadowoleniem brwi. Chwycił moje ręce w swoje potężne, gorące dłonie i chuchnął na nie ciepłym oddechem, a potem zaczął je rozcierać.

– Przydałaby się mufka – mruknął, próbując bezskutecznie sprawić, by było mi cieplej. – Schowaj dłonie pod pelerynę, bo ci odmarzną. Najlepiej, gdybyś wypila jakiś alkohol. Rozgrzeje cię. Krew szybciej będzie krążyć...

– Pokażesz mi swoją ziemię?

– Niedługo się ściemni. W dodatku ten śnieg...

– Proszę, Marcosie. Obiecałeś... No i do zachodu słońca jeszcze dużo czasu.

– Tu pory dnia wyglądają zgoła inaczej, Francisco. Jest zima. Szybciej robi się ciemno.

Poza tym późno dziś wstaliśmy... Ech, no dobrze – westchnął zrezygnowany, widząc moje błagalne spojrzenie. – Ale wrócimy do gospody i włożysz futro.

Klasnęłam w dłonie, uradowana tym, że udało mi się go przekonać. Popatrzył na mnie, uśmiechając się lekko. Lubiłam ten uśmiech. Był zarezerwowany tylko dla mnie.

W powozie wtuliłam się w Marcosa, a on chwycił moje dłonie i starał się je ogrzać. Czekaliśmy godzinę drogi po nierównym szlaku. Powóz kolebał się na boki i to było bardzo nieprzyjemne. Wyboje, których woźnica zdawał się nie zauważać, były momentami tak głębokie, że podskakiwaliśmy na twardych siedzeniach. Bolały mnie pośladki. Dotarło do mnie,

jak odmienne jest to przeżycie od kołysania fregaty. Nie miałam nawet ochoty podziwiać przepięknego zimowego kraj-obrazu za oknem, bo z każdą kolejną przejechaną milą robiło mi się coraz bardziej niedobrze. Już byłam bliska poproszenia Marcosa, żeby kazał zatrzymać konie, gdy wtem powóz stanął.

– Nareszcie... – jęknęłam, starając się jak najszybciej wydostać z ciasnego zamknięcia.

Gdy właściwie wyskoczyłam na zewnątrz, moje stopy zanurzyły się w białym puchu niemalże do kostek. Zadrżałam, bo poczułam przejmujący chłód.

– Pobladaś – stwierdził Marcos z lekką ironią.

– Bawi cię to? – spytałam, biorąc głębokie oddechy i czekając, aż ucisk w okolicach żołądka zmaleje.

– Gdybyś się nie upierała, nie musielibyśmy pędzić na złamanie karku. – Wzruszył ramionami i zanim zdążyłam zripostować, zakomenderował: – Pójdź ze mną.

Poprowadził mnie wąską ścieżką, między wysokimi krzakami głogu, olszy i innych nieznanych mi krzewów. Z lewej strony towarzyszyły nam wody Belfast Lough, a z prawej w oddali widziałam wykarczowany las. Samotne pnie ściętych drzew w połączeniu z nadchodzącym zmrokiem napawały mnie grozą. Na wprost zamajaczyły mi kontury jakiejś potężnej budowli. Marcos nagle zatrzymał się i stanął za mną, obejmując mnie w tali. Oparł brodę na moim ramieniu i wskazał palcem budynek, o którym przed chwilą rozmyślałam.

– Zamek Carrickfergus. Potężna normańska twierdza. A teraz spójrz tam. – Wskazał małą zatoczkę. – Tu będzie nasz port, a tam – jego palec powędrował w kierunku małego cypła – stanie nasz dom, Francisco. Tuż przy brzegu. By każdego ranka budził cię szum fal, a każdej nocy mógł kołysać cię do snu. W moich ramionach, Francisco. To będzie nasze miejsce. Tam – zrobił ręką łuk w miejscu, gdzie płaską ziemię pokrywał śnieg – postawimy osadę. Posiejemy zboże, będziemy hodować owce i krowy.

Mówił z rozmarzeniem, jakby oczami wyobraźni widział już te budynki, krzątających się pomiędzy nimi mieszkańców, ganiające się dzieci, a na łąkach za osadą pasącą się trzodę. Wtuliłam się w jego ramiona, oparłam głowę o jego tors i sobie również pozwoliłam na podróż w wyobraźni.

106 Hash browns – placki ziemniaczane smażone na głębokim tłuszczu.

Dwudziesta siódma szklanka

„Och, Nieustraszony kołysz się na falach dzikiego Morza Irlandzkiego,

Gdzie pasażerowie są weseli, a ich serca przepęlnia radość,

Podczas gdy załoga niczym lwy przemierza pokład wzdłuż i wszerz.

To Liverpool Packet, o Panie, pozwól mu płynąć!”

The Dreadnought, szanta

Marcos

Francisca zdawała się pochłonięta moją opowieścią, a ja mogłem na moment przenieść się do czasów, gdy miałem trzynaście lat i stałem tu z ojcem. Pamiętałem wszystko, co mi mówił, i teraz słowo w słowo przekazywałem to swojej ukochanej. Wizja domu, który w myślach stawiałem na cyplu, wypełniła moją klatkę piersiową dziwnym ciepłym i nieznanym mi dotąd uczuciem. Nie. Nie mojego domu. Naszego.

Gdy dotarliśmy do powozu, woźnica zapalał umieszczone po obu stronach kozła latarnie, by oświetlić sobie drogę. Słońce zdążyło już dawno zniknąć za widnokregiem. Tym razem powóz nie mknął jak szalony. W ciemności łatwiej było o wypadek, toteż furman nie popędzał koni. Wysiedliśmy pod gospodą, zjedliśmy przygotowaną przez gospodynię wieczerzę i udaliśmy się na zasłużony spoczynek. Francisca, zmarznięta z powodu długiego pobytu na mroźnym powietrzu, zakopała się w pierzynę i momentalnie zasnęła. Ja stałem jeszcze długo, słuchając jej spokojnego oddechu i obserwując przez świetlik nikłe światła tłące się w oknach domostw Belfastu. Jutro miałem dokonać tego, o czym marzył ojciec. Byłem dosłownie o krok od spełnienia jego marzenia. Mógł-bym wtedy zapewnić spokojne i dostatnie życie mieszkańcom Wyspy.

*

Rankiem w spokoju posililiśmy się na dole. W palenisku żarzyły się resztki zwęglonych polan, a w pomieszczeniu przyjemnie pachniało pieczenią. Zapach ten towarzyszył nam nawet wtedy, kiedy zamknęliśmy za sobą drzwi naszego pokoiku. Przeglądając się w srebrnym półmisku, stępioną brzytwą doprowadziłem do ładu swój zarost. Widziałem, jak Francisca krzywi się, wciągając wielowarstwową suknię i próbując zapiąć haftki. Podszedłem do niej i pomogłem jej, nie omieszkawszy przy tym obsypać jej szyi powolnymi pocałunkami. Przechyliła głowę i oparła się o mnie, domagając się pieszczot. Uśmiechnąłem się, cmokając jej policzek.

– Przyjdzie na to czas, Francisco. – Odsunąłem się i sięgnąłem po kaftan.

Nie pojmuję, jak ludzie mogą w tym chodzić na co dzień.

– Ale masz minę. – Zaśmiała się, patrząc na mnie z rozbawieniem.

– Ty miałaś nie lepszą, señorito.

Skrzywiła się.

– O co chodzi? – Włożyłem ropillę i czekałem, aż wytłumaczy mi swoją reakcję.

– Nie chcę, żebyś mnie tak nazywał. Nie jestem już tamtą dziewczynką. Nie jestem

señorità. Ona umarła razem z rodzicami w dniu, gdy zaatakowałeś nasz okręt. Jestem piratem tak jak ty.

Podszedłem do niej i wziąłem ją za ramiona. Spojrzałem prosto w jej ciemnozielone oczy. Nie były smutne, jednakowoż przepełniała je swego rodzaju melancholia.

– Jesteś. Cały czas jesteś tą samą Franciszą Rodrigo Lopez, którą widziałem w Doku Straceń. Tą, która odważyła się kilka lat pływać pod piracką banderą, udając chłopca okrętowego. Tą, która uratowała mi życie, choć moja śmierć mogła zakończyć jej tułaczkę. Tą, która odgryzła żaglomistrzowi kawałek ręki, by ratować skórę przed okrucieństwami, jakie mogły ją czekać z naszych rąk. Tą, która dawno temu skradła moje serce. To jesteś ty. Nie wypieraj się swojej przeszłości, bo to ona cię ukształtowała. Każde wydarzenie, dobre czy złe, powoli nadawało ci ostateczny kształt. Nie wstydz się tego. Nie ukrywaj tego, że mnie nienawidziłaś. Zabiłem ci rodziców w odwecie za to, co zrobił twój ojciec. Miałaś pełne prawo czuć do mnie wrogość. Nadal nie pojmuję, dlaczego stało się wręcz odwrotnie. Dlaczego tkwisz u mojego boku.

Milczała, wpatrując się we mnie z oczami pełnymi łez. Musiałem jej to powiedzieć, bo czułem, że więcej może nie być ku temu okazji. Dręczyło mnie nieustanne przecucie, że stanie się coś strasznego. Pojawiło się jeszcze na Wyspie. Wtedy był to taki dziwny przebłysk. Jakby ktoś mnie mocno szturchnął. Teraz odczuwałem niepokój. Nie targał mną nieustannie, ale jakby czał się za drzwiami i co jakiś czas lekko dawał o sobie znać. Może było to spowodowane tym, że pierwszy raz płynęliśmy bez Severa? Zawsze to na jego barkach spoczywało podejmowanie najważniejszych decyzji, tym razem to było moje zadanie. A może podróż w rejony, gdzie pojmano ojca, napawała mnie nieprzyjemnymi wrażeniami? Może czułem się tak, bo od czasu wizyty u landlorda nie widziałem Cruza? Miał tendencję do pakowania się w kłopoty i robienia wszystkiego na opak. Sądziłem, że pojedzie ze mną na podpisanie umowy, ale jak widać, rum i jakaś dulcynea okazały się dla niego ważniejsze. Póki miałem przy sobie Severa, nie zwracałem uwagi na absencję Cruza. Przyzwyczajiliśmy się, że nigdy nie można na niego liczyć. Ale tym razem chyba sądziłem, że stanie na wysokości zadania. Był przecież moim starszym bratem i to on powinien być mi przykładem. Nie miałem pojęcia, do czego musiałyby dojść, żeby w końcu zaczął zachowywać się dojrzałe.

Powóz czekał przed gospodą, a eleganc-ko ubrany woźnica otworzył dla nas drzwi. Śnieg już nie sypał, ten pokrywający cienką warstewką brukowaną ulicę Belfastu zdawał się roztapiać. Ruszyliśmy. Francisca z zaciętą miną obserwowała High Street, gdzie w tym samym miejscu nadal tkwiła dwójka małych dzieci. Nie ruszały się. Włosy i łachy miały oprószone śniegiem. Nikt nie zwracał na nie najmniejszej uwagi. Widziałem, jak wyraz twarzy Francis-ki się zmienia. Dotarło do niej, że dzieci zamarzyły na śmierć. Zakryła dłonią usta i załkała.

– Jak ludzie mogą pozwalać na coś takiego? – wyszeptała drżącym głosem.

– Ludzie pozwalają na wiele rzeczy. Choćby na niewolnic-two. Skoro jedni uważają się za lepszych tylko dlatego, że mają inny kolor skóry, nie będą się przejmować żebrzącymi dziećmi. Taki jest świat, w którym rządzi bogac-two – podsumowałem.

– To potworne – warknęła, zacis-kając na udach drobne dłonie w pięści.

Nie odpowiedziałem. Objąłem ją ramieniem i przytuliłem. Nie byłem w stanie uratować wszystkich, choć w duchu miałem ochotę wys-koczyć z powozu i wbić swój katar tym napuszonym mieszczanom prosto w trzewia. Nie byłem święty. Mordowałem, grabiłem i napadałem na inne okręty, często bezbronne. Napawałem się strachem wyzierającym z oczu ludzi, których statki łupiliśmy z uśmiechem na twarzy. Jednak wydało mi się to niczym w porównaniu z lekceważeniem, z jakim potraktowano te sieroty. Niczym w porównaniu z porywaniem mieszkańców Afryki i gwałceniem ich niewiast, a potem sprzedawaniem

w niewolę. Świat był jednak podłym łez padolem.

*

Powóz zajechał przed dworek lorda O'Connella. Tym razem nie przywitał nas lokaj. Wysiedliśmy z dyliżansu i ruszyliśmy pomiędzy schludnie utrzymanym żywoplotem w stronę wejścia do domu. Wtem drzwi otwały się na oścież, a ja zamarłem, dostrzegając wycelowany w naszą stronę muszkiet. Ramieniem zatarasowałem Francisce drogę i stanąłem przed nią, starając się ją ochronić. Wzięłem głęboki wdech. Nie nosiłem broni palnej. Umiałem strzelać, lecz wolałem broń białą. To Severo był zwolennikiem prochu strzelniczego. Żałowałem, że nie ma go tu z nami. Byliśmy teraz całkowicie zdani na łaskę landlorda.

Zachodziłem w głowę, co też takiego mogło się stać, że z gościnnego gospodarza zmienił się w zięjącego jawną wrogością wojownika. Czyżby połasił się na nagrodę za moją głowę?

– To ja, Marcos Noir, *sir!* – zawołałem, łudząc się, że może pomylił mnie z kimś innym.

– Dobrze wiem, kim jesteś! – Splunął ostentacyjnie. – Podłym oszustem, który przypląnął tu, żeby znieśli mnie i moją rodzinę!

– Ależ *sir*...

– Podczas gdy ty mydliłeś mi oczy wymyślnymi frazesami, obietnicami bogactw, jakimi mnie obsypiesz, i usypiałeś czujność pięknem swej towarzyszki, twój brat zhańbił moją małżonkę! Bodajby szczeń!

Zamarłem i przez moment starałem się zrozumieć, co on, u diabła, plecie. A potem powoli zaczął docierać do mnie sens słów.

Zabiję skurwysyna!

– Przez wzgląd na twojego ojca daję wam czas do zmroku na opuszczenie Belfastu – wysyczał lord przez zaciśnięte zęby. – Niech wasza stopa nigdy więcej nie skala irlandzkiej ziemi!

Zacząłem się wycofywać, nie spuszczać wzroku z lufy muszkietu. Kiedy udało nam się dotrzeć do powozu, nakazałem Francisce wejść i sam, nie odwracając się plecami do O'Connella, wsiałem za nią. Gdy zamknąłem drzwi, odezwała się rozdygotanym głosem:

– Co się stało, Marcosie? O czym on mówił?

– Cruz się stał, psia jego mać! – Zacisnąłem pięści, bo miałem wrażenie, że złość rozerwie mnie od środka. – Myślałem, że smażył cholewki do córki landlorda. A on tymczasem chędożył lady O'Connell! Pogrzebał marzenie ojca. Zaprzepaścił nasze... moje starania, bo nie potrafił powstrzymać rządzącej nim chuci. Zabiję go, Francisco. – Popatrzyłem na nią i dostrzegłem strach malujący się na jej obliczu.

– Marcosie, to twój brat...

– W tym momencie gardzę nim tak bardzo, że wolałbym, by szczeń w męczarniach – wycodziłem przez zaciśnięte zęby, zamykając oko.

Emocje tak mną targały, że aż rozbolała mnie głowa. Chwyciłem palcami nasadę nosa i ostrożnie wypuściłem powietrze przez usta. Miałem wrażenie, że wstrzymywałem je od momentu, kiedy dostrzegłem muszkiet w rękach O'Connella.

Powóz zatrzymał się przed gospodą. Weszliśmy do środka. W pomieszczeniu pełnym naszych kamratów dojrzałem kilku członków załogi Crescencii, a także Hugona i Julia posilających się pieczenią. Mimo kuszącego zapachu byłem zbyt wściekły, by jeść. Przywołałem Pierwszego ruchem dłoni i pokrótce opowiedziałem mu o całym zajściu, nakazawszy uprzednio Francisce, by poszła zmienić szaty i spakowała nasz skromny bagaż. Zeszła po krótkiej chwili, przebrana, ze szpadą przytwierdzoną do pasa. Poprosiłem Julia, by zabrał nasz kufer, gdy wtem do tawerny wpadł Cruz, zataczając się. Zanim ktokolwiek zdołał

mnie powstrzymać, ruszyłem w jego kierunku. Chwyciłem go za poły poplamionego błotem fraka i wypchnąłem na zewnątrz. Upadł, uderzając głową o bruk pokryty pośniegową breją. Wyciągnąłem rapier i przyłożyłem go do szyi brata.

– Na ognie świętego Elma! – wybełkotał. – Schowaj to, bo jeszcze zrobisz komuś krzywdę.

Chciał odsunąć ostrze, ale przycisnąłem je mocniej, tak że dotykało skóry na jego szyi. Zastygł w bezruchu i miałem wrażenie, że momentalnie wytrzeźwia.

– Co ty wyrabiasz, Marcosie?!

– Co ja wyrabiam? – spytałem cicho, a potem wydarłem się na całą ulicę: – CO JA WYRABIAM?! Gdzie byłeś przez ten cały czas, morska dupo?!

Nie odpowiedział, ale widziałem, jak z jego przepitej mordy powoli odpływa krew.

– Wiesz, jak jest, Marcosie... – Zaśmiał się, próbując wszystko zlekceważyć, ale mu nie pozwoliłem.

– Wiem tylko, że potrzebowaliśmy tej ziemi, a ty wszystko zaprzepaściłeś...

– Marcosie, co ty robisz?! – Usłyszałem przestraszony głos Francis-ki, który mnie zdekoncentrował.

Cruz momentalnie to wykorzystał. Odepchnął ostrze, przeturlał się w bok i wyjął swój rapier, przyjmując pozycję obronną.

– Zejdź mi z oczu, Cruzie... – wycedziłem. – Dla własnego dobra...

– Nie lękam się ciebie!

W odpowiedzi zaatakowałem go. Nie spodziewał się. Czubek ostrza mojego rapiera przejechał po jego policzku. Cruz odskoczył w tył. Dotknął dłonią rozciętej skóry, rozmazując sączącą się z głębokiej rany krew.

– Marcosie! Nie! – Francisca momentalnie znalazła się między nami. – Przestańcie!

– Nie płataj się! – warknąłem. – To sprawa między mną a tym idiotą.

– Zraniłeś mnie – stwierdził Cruz z grobową miną. – Podniosłeś rękę na swojego brata.

Niech cię piekło pochłonie!

Francisca stanęła przede mną, uniemożliwiając mi atak. Cruz tymczasem zwołał załogę i ruszył w kierunku portu, nie oglądając się na nas. Widziałem z oddali, jak chowa rapier i rękawem fraka przeciera krwawiący policzek.

– To twój brat, Marcosie – wyszeptała Francisca.

Nie odpowiedziałem. Wszedłem do gospody i zażądałem rumu. Gospodyni, zaniepokojona wiszącą w powietrzu rozróbą, nawet nie zawołała o zapłatę. Wypiłem alkohol jednym -haustem i uderzyłem kuflem o blat lady.

– Jeszcze! – rozkazałem.

Rum rozpływał się po moim organizmie w mgnieniu oka. Kojące ciepło promieniowało od brzucha i rozchodziło się po całym ciele. Gdybym miał to narysować, -przypominałoby -słońce.

– Kapitanie... – Niepewny, a zarazem przepelniony troską głos Julia wyrwał mnie z zamyślenia. – Oni nie mają zapasów. Wszystkie są na naszym okręcie.

Przymknąłem powiekę i przetarłem dłońmi twarz. Znów na raz wypiłem całą porcję rumu, po czym spojrzałem na swojego bosmana.

– Cruz niech zdycha z głodu, ale jego załoga nie zasłużyła na taki los – mruknąłem pod nosem. – Musimy ich zatrzymać, żeby przeładowali zapasy. A potem niech ten kiep robi, co chce.

Zwołaliśmy załogę. I tak musieliśmy się wynieść do zmroku zgodnie z wolą landlorda. Nie miałem ochoty na potyczkę z Regimentem Królowej albo co gorsza, z angielskimi

korsarzami.

Kiedy dotarliśmy do portu, rufa Crescencii majaczyła w oddali. W pośpiechu weszliśmy na pokład i podnieśliśmy kotwicę. Francisca milczała, przypatrując się całemu zamieszaniu z mieszanią lęku i gniewu. Nie miałem ochoty tłumaczyć jej swojego zachowania. I tak by nie zrozumiała.

Zaszyłem się w swojej kajucie. Ległem na hamaku i zamknąłem oko. Głowa ćmiła mnie od momentu wyjazdu z posesji O'Connella. Potrzebowałem snu. Byłem tak rozsierdzony, że bez trudu wdałbym się w bójkę. Widziałem, że załoga ewidentnie mnie unikała. Bali się mojego gniewu. Delikwenta podważającego moje decyzje potrafiłem skazać na dwa-dzieścia batów, czego już nieraz byli świadkami. Tym razem chodziło o coś więcej. To, co zrobił Cruz, bardzo nas poróżniło. Tak bardzo, że przeczuwałem, iż może nastąpić rychły rozpad Czarnych Braci. A co za tym pójdzie, osłabniemy. „W zgodzie siła, w rozłamie ruina”, jak mawiał ojciec.

Cruz jedną nierozważną decyzją zrujnował naszą przyszłość.

*

– Kapitanie!

Nawet nie zdawałem sobie sprawy, że zmorzył mnie sen. W nikłym świetle dostrzegłem sylwetkę Julia. Bosman wyglądał na zdenerwowanego.

– Co jest? – zapytałem ochrypłym głosem.

– Crescencia. Obrali kurs na południe.

– Słucham?! – Usiadłem gwałtownie, omal nie spadając z hamaka. Z głuchym tąpnięciem zes-koczyłem na podłogę i ruszyłem na zewnątrz.

Nie przejmowałem się lodowatym powietrzem. Robiło się ciemno. Zabrałem perspektywę z ręki Hugona i zerknąłem w stronę nikłego kształtu statku. Ewidentnie kierowali się w stronę przeciwną, niż ustaliliśmy.

– Ten kiep chce skrócić sobie trasę! – Omal nie cisnąłem lunetą o dek. – Wie, że nie ma zapasów. Ma w nosie bezpieczeństwo. Popłynie przez Morze Irlandzkie i Kanałem Świętego Jerzego.

– To nie koniec złych wieści, Marcosie – wtrącił Julio i zanim zdążyłem zareagować, dodał: – Godzinę temu dostrzegliśmy galeon. Może to nic nie znaczy, ale mam złe przeczucia. Płynie dość szybko. I wyraźnie obrał nasz kurs.

Poszedłem w kierunku rufy. Przytknąłem perspektywę do oka i obserwowałem. Zmierzchało, co utrudniało mi ocenę sytuacji, ale nie dojrzałem żadnej bandery.

– To może być zwykły statek kupiec-ki – oznajmiłem, pragnąc uspokoić załogę. – Ale nie spuszczać go z oka. Podwoić wartość.

Dostrzegłem Franciscę, która przyglądała mi się z troską. Podeszedłem do niej i pocałowałem jej czoło. Była przemarznięta. Gdy przytuliłem ją do siebie, czułem, jak dygoce.

– Dlaczego nie jesteś w kajucie? – spytałem szorstko.

– Nie chciałam ci przeszkadzać. Byłeś wzburzony.

– Byłem, ale nie na ciebie. – Objąłem ją ramieniem i skierowałem w stronę wejścia do kapitań-skiej kajuty. – To także twoje miejsce. Możesz tam przebywać, kiedy tylko chcesz.

Zaprowadziłem ją na siennik. Na cienkim pledzie, pod który się wślizgnęła, rozpostarłem dwie skóry, sam położyłem się obok i przytuliłem ją do siebie. Nie zmrużyłem jednak oka. Nasłuchiwałem, co też przyniesie nam świt.

Ledwie pierwsze promienie słońca wdarły się do środka przez bulaj, usłyszałem dudnienie w drzwi i nerwowe nawoływanie:

– Kapitanie!

Julio!

Ostrożnie, nie chcąc zbudzić Francis-ki, wysunąłem się spod okrycia i ruszyłem do drzwi. Uchyliłem je i wyszedłem. Lodowaty podmuch wiatru momentalnie mnie otrzeźwił. A nawet gdyby tak się nie stało, słowa bosmana sprawiły, że senność minęła jak ręką odjął.

– Pojawił się drugi galeon. Są bardzo blis-ko. Wciągnęli wimpel¹⁰⁷. To Brac-two Wybrzeża.

Wtedy ciszę przerwał huk armaty. Kula wpadła do morza od sterburty, wzbijając potężną fontannę wody.

– Do broni! – ryknąłem. – Do baterii burtowej! Przygotować się na odparcie ataku!

Cofnąłem się do kajuty i narzuciłem na siebie safijską skórę. Francisca nie spała. Wpatrywała się we mnie zaspanym i zatrwożonym wzrokiem.

– Co to było, Marcosie?

– Odziej się. Atakują nas.

– Atakują?! Ale kto?

– Brac-two Wybrzeża. Dwa galeony. Masz się trzymać blis-ko mnie. Nie zbliżaj się do burt!

Kiwnęła głową i w pośpiechu zaczęła wciągać na siebie ubrania. Już po chwili oboje staliśmy na mostku kapitańskim. Crescencia była daleko. I może dobrze się stało, bo przypuszczałem, że nie damy rady dwóm galeonom, a w tej sytuacji szalupy miały dokąd się udać. Załoga Cruza musiała jednak dostrzec atak, bo odległość między naszymi okrętami zaczęła stopniowo maleć. Truciciel przyniósł nam suszone mięso i suchary. Nie mogliśmy liczyć na nic więcej, dopóki sytuacja się nie uspokoi.

Galeony zbliżyły się już tak bardzo, że bez problemu mogliśmy policzyć marynarzy szykujących się do ataku. Dwa czarne wimpel z czaszkami i skrzyżowanymi puszczelami w płomieniach powiewały złowrogo na wietrze.

Niepokój prześlizgnął się przez moje ciało niczym wąż, bo nagle przypomniałem sobie słowa, które rzucił do nas Galla-gher: „Na twoim miejscu oglądałbym się co chwila przez ramię, Noir”.

Nie miałem jednak czasu rozmyś-lać, bo załoga jednego z galeonów właśnie zaczęła abordaż naszego statku. Kazałem Francisce zostać na mostku kapitańskim pod opieką Hugona, a sam założyłem katar i ruszyłem do walki.

107 Wimpel – mała flaga o trójkątnym bądź prostokątnym kształcie, -umieszczana na topie masztu.

Dwudziesta ósma szklanka

„Niewiastę, och, niewiastę, och,

Pokochał żeglarz ją.

Nim ranne wstały zorze,

Pokochał żeglarz ją!”

A Sailor Loves, szanta

Francisca

Marcos się niepokoi.

To oznaczało, że byliśmy w prawdziwych tarapatach. Nie widziałam na jego twarzy takiego zacięcia ani wówczas, gdy zaatakowali nas Anglicy, ani gdy został ranny, ani nawet wtedy, kiedy stoczyliśmy potyczkę z Hiszpanami. Jego niepokój wpłynął także na mnie. Objęłam się ramionami i rozmasowałam je, by pozbyć się wrażenia, że wpadłam w wodorosty i nie mogę się wydostać, a oślizgłe rośliny zaczynają porastać moją skórę. Marcos żywo gestykulował, kiedy przekazywał komendy Juliowi. Katar na jego lewej dłoni odbijał światło porannego słońca przy każdym ruchu. Zerknął przez ramię, na moment krzyżując ze mną spojrzenie, po czym znów zaczął tłumaczyć coś bosmanowi. Oparłam dłoń o rękojeść szpady i ruszyłam w ich kierunku. Powstrzymała mnie ręka Hugona, która zacisnęła się na moim ramieniu niczym szczęki tygrysa. Syknęłam z bólu.

– Zostajesz ze mną, señorito.

– Ale...

– Wierz mi, to nie będzie zwyczajna bitwa. Musisz mnie słuchać: teraz idziesz ze mną do kajuty Marcosa. Bez -gadania. – Uniósł palec wskazujący, by powstrzymać cisnący mi się na usta sprzeciw.

Zanim weszliśmy, dostrzegłam, jak jeden z kamratów wynosi spod pokładu naręcze muszkietów. Po raz pierwszy widziałam, żeby Marcos szykował broń palną. Poczułam jeszcze większy niepokój. Z kolei majtek wyładowywał i ustawiał pod grotem małe drewniane beczułki. Marcos żywo coś mu tłumaczył, ten przytaknął, a potem chyżo czmychnął pod pokład.

– Co jest w tych fas-kach, Hugonie? – spytałam, kiedy zamknął drzwi i zaryglował je poprzeczną belką.

Kolejny dreszcz niepokoju przetoczył się przez moje ciało. Zadrżałam.

– Proch – odparł Hugo. – Nowy nabytek Marcosa. Tak jak muszkiety. Idziemy z duchem czasu, Paco. – Mrugnął do mnie porozumiewawczo, posyłając pokrzepiający uśmiech, ale mnie z każdą minutą ogarniał coraz większy niepokój. – Zimno ci? Cała drżysz.

– Po prostu...

– Lękasz się? – zapytał wprost.

– To coś innego, Hugonie – odparłam. – Mam złe przeczucia. Marcos... On...

– Już rozumiesz, dlaczego byliśmy przeciwni, żebyś płynęła z nami? Nie dlatego, że jesteś niewiastą. A dlatego, że barki kapitana przygniata teraz dodatkowy ciężar. Strach o ciebie. I wie, że gdy znajdziemy się w impasie, będzie musiał coś poświęcić.

Wtem huknęło i do naszych uszu dotarł charakterystyczny świst. Zastygliśmy w oczekiwaniu na uderzenie, ale nic takiego nie nastąpiło. Kula musiała wpaść do wody. Kolejny huk rozległ się spod naszego pokładu. A po chwili kolejny i kolejny. Kanonierzy w baterii burtowej pracowali bez wytchnienia. Po następnym poczuliśmy, jak okręt drgnął. A potem rozpoczęła się salwa z muszkietów.

– Usiądź pod bulajem – rozkazał Hugo. – Pod żadnym pozorem...

Nagle coś jakby zaryło o bakburtę. Drewno wydało z siebie zboląły stęk, a później rozległ się niewyobrażalny harmider. Wrzas-ki, krzyki, pogwizdywania zmieszały się z metalicznym szczękiem rapierów i wystrzałów z muszkietów. Znienac-ka coś rąbnęło o drzwi kajuty. Dobyłam szpady i skoczyłam na równe nogi.

– Siadaj, u kaduka! – syknął Hugo, dzierżąc w jednej dłoni rapier, a w drugiej bandolet.

Uderzenia w zaryglowane drzwi stawały się coraz mocniejsze. Z nagłą rozległ się przeciągły, przepełniony bólem ryk i hałas ucichł. Nadal dobiegały do nas odgłosy walki. Popatrzyliśmy z Hugonem po sobie. Pierwszy podszedł do drzwi i przyłożył oko do szpary między des-kami.

Zanim pojęłam, co się wydarzyło, jego bezwładne ciało poleciało kilka metrów do tyłu, a do moich uszu dotarł odgłos wybuchu. Krzyknęłam i odruchowo zasłoniłam uszy dłońmi. Kiedy spojrzałam na Hugona, zobaczyłam jego rozplątany brzuch i poparzoną twarz. Ostrożnie podnosiłam się z klęczek, przytrzymując się ściany w obawie, że upadnę. Nogi drżały mi tak bardzo, że nie byłam w stanie zrobić kroku. Spomiędzy obłoków szarego gryzącego dymu wyłoniła się postać. Nie dowierzałam własnym oczom.

– Javier... – jęknęłam, czując pod powiekami łzy.

W pierwszym odruchu miałam ochotę rzucić mu się na szyję, a potem uderzyła we mnie groza sytuacji: on nie wrócił, żeby nam pomóc. On wrócił, żeby nas zniszczyć.

Wyglądał inaczej, niż zapamiętałam. Zmęźniał, a rysy jego twarzy się wyostrzyły. Niechlujny zarost nadał mu wygląd ulicznego opryszka, a wzrok, zimny i nieczuły, uważnie chłonał najpierw całą kajutę, potem mnie. Usta rozciągnął w pogardliwym uśmiešku, chowając broń do pochwy.

– Zatem... grzejesz mu łożę?

– Javierze, co ty...?

– Tyle dla ciebie poświęciłem, a ty postanowiłaś zostać jego flama?!

– Nic nie rozumiesz, Javierze...

– Masz rację, nie rozumiem. Nie pojmuję, jak można być tak głupim. Zabił ci rodziców. Ba, chciał zabić ciebie! O mało nie zginęłaś!

Wyrzucał z siebie zdania pełen wzburzenia, a w jego spojrzeniu czała się jakaś niepojęta dzikość. Jakby postradał rozum.

– Zostawiłeś mnie... – wyszeptałam.

– Bo miałem już dość bycia jego pies-kiem! Teraz jestem korsarzem i członkiem Brac-twa Wybrzeża. Będę ściagał takich jak on! Wyjętych spod prawa z rozkazu Jej Królewskiej Mości. I pomimo tego, co zrobiłaś, wybaczam ci.

– Wybaczasz?! – Nie wierzyłam własnym uszom.

– Pójdź ze mną, Francisco. – Jego głos nagle złagodniał. – Unikniesz stryczka. – Wyciągnął w moją stronę dłoń, ale ja nie ruszyłam się z miejsca.

Za to dobyłam szpady i przyjąłam pozycję obronną. Wyraźnie się zdumiał, widząc taką reakcję.

– Należę do załogi Marcosa. Pływam pod banderą Czarnych Braci. I nie zamierzam tchórzyc tak jak ty!

Zacisnął gniewnie usta i opuścił rękę.

– Czarni Bracia to już przeszłość. – Groźba w jego głosie zmroziła mi krew w żyłach. – Pójdź ze mną po dobroci.

– Albo?

– Albo cię do tego zmuszę. – Dobył rapiera, a ja przygotowałam się na jego atak.

Zbliżał się powoli na lekko ugiętych kolanach. Znałam jego taktykę, bo zdarzało nam się razem fechtować, aliści miałam pełną świadomość, że natenczas nie dawał z siebie wszystkiego. Teraz sytuacja była zgoła inna. Przechodząc obok stołu, zatrzymał wzrok na szkicach Marcosa. Widziałam, jak jego twarz czerwienieje z furii. Wykorzystałam moment, gdy stracił czujność, i okrążając stół, w kilku susach znalazłam się przy wyjściu z kajuty. Coś świsnęło mi tuż przed twarzą, sprawiając, że gwałtownie przystanęłam. Z prawej strony tkwił wbity w ścianę marynarski puginał. Powoli obróciłam głowę w kierunku Javiera. Nie przypuszczałam, że posunie się do czegoś takiego. Chyłkiem zerknęłam na zewnątrz. Walka trwała w najlepsze, ale widziałam, że szala zwycięstwa przechyla się na naszą stronę. Podniosło mnie to trochę na duchu i dodało animuszu.

– Proszę grzecznie po raz ostatni: pójdź ze mną. – Tym razem w jego głosie nie dosłyszałam łagodności. To nie była prośba, tylko nieustępliwy rozkaz.

– Prędej szczenę w męczarniach – wysyczałam. – Nie jesteś Javierem, którego znałam. Tamten...

– Tamten Javier był głupcem. Zakochanym głupcem – wszedł mi w słowo. – Na szczęście przejrzałam na oczy. – Ruszył na mnie z impetem.

Zablokowałam jego uderzenie. Szpada zadrżała gwałtownie pod naporem ciosu. Musiałam chwycić rękojeść obiema dłońmi, by odeprzeć atak. Z głośnym krzykiem przystąpiłam do ofensywy, przekonując samą siebie, że to już nie jest mój przyjaciel. Mój przyjaciel umarł podczas walki z załogą hiszpańskiego galeonu. Natomiast tego człowieka w ogóle nie znałam.

Gdy wykonał cięcie z barku, wykorzystałam fakt, że zawsze odstaniał przy tym tułów. Zrobiłam unik, a następnie wyprowadziłam cięcie z nadgarstka, trzymając dłoń odrobinę niżej niż szpadę. Tak jak uczył mnie Marcos. Javier wrzasnął, łapiąc się za prawy bok. Dreszcz niepokoju o jego życie wstrząsnął mną, zbijając z pantafyku. Straciłam rezon. Na ułamek sekundy zapomniałam, że przybył tu w jednym celu. Teraz był moim wrogiem. Wykorzystał mój brak skupienia i wykonał młyńca, wytrącając mi szpadę. Upadła z głośnym brzękiem, a ja straciłam równowagę i się przewróciłam. Pospiesznie odsunęłam się do tyłu. Rapier Javiera wbił się w dek tuż obok mojego ramienia, zagradzając mi drogę ucieczki.

– To koniec, Paqui... – rzekł cicho.

Zacisnęłam wargi i wbiłam w niego mordercze spojrzenie, po czym z całej siły podciąłam mu nogi. Nie spodziewał się takiego obrotu sprawy i upadł, wypuszczając rapier z dłoni. Klnąc, na czym świat stoi, próbował się podnieść. Złapałam jego broń i wybiegłam z kajuty. Nie dane mi było jednak dobiec daleko. Runęłam jak długa, przygwożdżona ciężkim ciałem do pokładowych desek. Uderzenie było na tyle mocne, że całe powietrze uszło z moich płuc. Poczulałam chłód ostrza przy szyi.

– Skończyła mi się cierpliwość, Paqui – wysyczał do mojego ucha.

Czułam, jak ciężar znika. Zamiast tego jego pięść zacisnęła się na moich włosach. Szarpnął, nakazując, bym się podniosła. Puginał przyciskał tak mocno, że byłam pewna, że ranił mi skórę. Nie poluzniając uchwytu na włosach, zaczął mnie prowadzić w stronę sterburty. Byłam zdana na siebie. Kamratów pochłoneła walka. Drugi galeon Bractwa Wybrzeża czaił się w oddali, czekając zapewne na sygnał do ataku. Mogłam to przerwać. Pozwolić się zabrać i zakończyć batalię. Jednakowoż miałam przeczucie, że niezależnie od tego, jaką podejmę

decyzję, Brac-two i tak zatopi Lerate. Crescencia zbliżała się zbyt wolno. Nie mogli pospieszyć nam w sukurs. A ja wołałam zginąć tu, ze swoją załogą, u boku Marcosa, niż przeżyć i spędzić resztę życia zniewolona przez człowieka, którego kiedyś uważałam za brata. *Podły zdrajca!*

– MARCOS! – wydarłam się rozpaczliwie, najgłośniejszym głosem, jak potrafiłam.

– Pożałujesz tego – wyszeptał.

Jednak zanim zdążył zadziałać, z całej siły wbiłam piętę w jego stopę. A gdy się zgiął, wyprowadziłam cios z łokcia do tyłu, trafiając w jego twarz.

Czułam, jak ostrze tnie skórę na mojej szyi, a potem ciepło krwi wypływającej z rany, lecz nie baczyłam na to. Wyszarpnęłam się z jego uścisku i pobiegłam w stronę grotmasztu. Kiedy się obejrzałam, stwierdziłam, że Javier zniknął z pokładu. Zatrzymałam się. Pozostali przy życiu członkowie Brac-twa w pośpiechu wracali na swój okręt, który mozolnie zaczął wykonywać manewr przez rufę, by zwrócić ambrazury w stronę Lerate.

– Francisca... – Głos Marcosa przepełniony był trwogą.

Poczułam, jak bierze mnie w objęcia, po czym uważnie ogląda ranę na szyi. Sam był cały pokryty posoką, jednak oprócz kilku drobnych ran na ramionach wyglądał na całego i zdrowego.

– To Javier... Chciał mnie porwać... Powiedział...

Moją wypowiedź zagłuszyła salwa armatnia. Wszyscy odruchowo zgięliśmy się wpół. Kule ze świstem przeleciały nad naszymi głowami, uszkadzając dwa maszty. Reje runęły na pokład, przygniatając kilku z naszych. Drugi galeon Brac-twa również przyjmował pozycję do ataku, od strony naszego dzioba. Nie mieliśmy najmniejszych szans wyjść z tego obronną ręką.

Dwudziesta dziewiąta szklanka

„Moje myśli będą z tobą, ukochana,

Gdy sztormowe fale przybiorą na sile.

A więc żegnaj! Pamiętaj o mnie,
O swoim wiernym marynarzu”.

Faithful Sailor Boy, szanta

Marcos

Huk armat był tak ogłuszający, że nie słyszałem rozkazów, które wykrzykiwałem tak głośno, że aż bolało mnie gardło. Obejmowałem Franciscę, nie chcąc już ani na moment wypuścić jej z rąk. Gdy zobaczyłem jej szyję całą w szkarłacie, przeraziłem się. Na szczęście rana nie była głęboka.

Musiałem w końcu przyznać to sam przed sobą: moja fregata była na straconej pozycji. Dla dwóch potężnych galeonów nie stanowiliśmy najmniejszego wyzwania. *Zmiotą nas z powierzchni morza*. Straciliśmy takielunek. Żagle przypominały sito. Wtem okrętem wstrząsnęło tak mocno, że byłbym upadł, gdybym w porę nie złapał się relingu. Francisca pisnęła przerażona, mocniej się we mnie wtulając.

Dostrzegłem w oddali Crescencję, której majestatyczna sylwetka rosła. Głupcy, spieszyli nam z pomocą, nie wiedząc, w co się wpakują.

Muszę ocalić chociaż jeden okręt.

Muszę ocalić swoich ludzi.

I ją.

Crescencia była w tym momencie naszą jedyną nadzieją, by wrócić na Wyspę. Lerate już do niczego się nie nadawała. Poczulem bolesne ukłucie w piersi. Rozejrzałem się po pokładzie. Kikuty połamanych masztów spozierały w niebo, jakby błagając o ratunek, dwie potężne dziury w górnym pokładzie, kilkanaście martwych ciał. Okrętem znów wstrząsnęło, a drewno niebezpiecznie zatrzeszczało. Nie. Nie zatrzeszczało. Porównałbym to raczej do jęku konającego. Czułem, że zaczynamy się przechylać na sterburtę. Nie było już ratunku. Przełknąłem ślinę i zamknąłem oko, biorąc przy tym głęboki wdech.

Muszę to zrobić.

To jedyne wyjście.

Zerknąłem na Franciscę, która w tym samym momencie uniosła głowę i posłała mi pytające spojrzenie. W jej oczach dostrzegłem trwogę. Odwróciłem głowę i wydarłem się na całe gardło, mimo że i tak nie słyszałem swoich słów.

– Do szalup! Opuścić okręt!

Bosman łypnął na mnie. Przez ułamek sekundy wpatrywaliśmy się w siebie, a po chwili kiwnął na znak, że zrozumiał i akceptuje rozkaz, po czym, jak mniemałem, przekazał go dalej. Następnie wszyscy kamraci zaczęli w pośpiechu przemieszczać się w stronę łódek i spuszczać je na wodę po bezpiecznej stronie statku. Chwyciłem dziewczynę za rękę i pociągnąłem za sobą. Dobiegliśmy do szalupy, do której schodził Julio. Rozejrzałem się po pokładzie, na którym wały się tylko trupy. Do moich uszu dotarł przytłumiony huk, a potem znów poczuliśmy, jak

statek drży w posadach. Francisca złapała mnie za ramię i spojrzała znacząco. Przełożyła nogi przez reling i sprawnie zeszła po drabince. Kiedy sam stanąłem na deku łodzi ratunkowej, spojrzałem na jej stopy, tak małe jak u dziec-ka. Mój wzrok powędrował wyżej i wyżej, aż napotkałem jej rozszerzone strachem oczy. Ból w klatce piersiowej odezwał się ze zdwojoną siłą. Zamknąłem oko, chcąc dodać sobie odwagi. Potrzebowali czasu. Tylko ja mogłem im go kupić. Sięgnąłem do rzemienia z niedźwiedzim zębem, który zawsze nosiłem na szyi. Czułem, jak drżą mi ręce. Miałem nadzieję, że Francisca tego nie zauważyła. Zdjąwszy amulet, zawiesiłem go na jej szyi. *Mnie się już nie przyda, ale jej będzie strzegł.* Dopiero teraz odważyłem się na nią spojrzeć. Z wymuszonym uśmiechem objąłem dłonią jej błądy policzek, a następnie pocałowałem jej usta. Ostatni raz. Pogładziwszy kciukiem pieprzyk nad górną wargą, rzekłem:

– *Je t'aime.*

Nie wiedziałem, czy mnie dosłyszała, ale w mig pojąłem, że zrozumiała moje zamiary, albowiem cała krew momentalnie odpłynęła jej z twarzy. Zrozumiała, że to pożeganie.

Skinąłem bosmanowi ponad jej ramieniem i zanim zdołała mnie pochwycić, złapał ją w pasie i unieruchomił. Słyszałem jej przytłumiony krzyk, przepelniony taką rozpaczą, że mało brakowało, a byłbym się cofnął i zaniechał swoich planów. Zaciśnąłem mocniej pięści na drabince sznurowej i przyspieszyłem kroku. Pozwoliłem sobie na ostatnie spojrzenie w stronę szalupy, dopiero kiedy moje stopy dotknęły pokładu Lerate. Teraz już nie tylko Julio przytrzymał Franciscę. Pomagał mu Renny, a i tak mieli problem, żeby utrzymać tę drobną dziewczynę, która owładnięta szałem rozpaczy drapała, kopała i krzyczała. Dostrzegłszy moje spojrzenie, zastygła w bez-ruchu. Nawet z tej odległości widziałem płynące z jej oczu łzy. Pokręciła gwałtownie głową na boki, próbując mnie powstrzymać, ale było już za późno. Odwróciłem się i do moich uszu dotarł jej pełen rozpaczy krzyk:

– MARCOS!

Zaciśnąłem pięści i wziąłem głęboki wdech. Biegiem ruszyłem w stronę zejścia pod pokład. Skierowałem swe kroki do baterii burtowej. Niestety, tak jak się spodziewałem, większość armat nie była zdalna do niczego, a w ścianie widniało kilka dziur po kulach. Kolejny wstrząs sprawił, że okręt zawibrował niebezpiecznie i przechylił się nieco. Do mojego nosa dotarł swąd spalenizny. Czułem strużki potu spływające wzdłuż pleców, kiedy przepychałem armaty do ambrazur na bakburcie. Gardło paliło mnie od wcześniejszego wykrzykiwania rozkazów, w uszach dudniło rozpedzone serce. Nie bałem się o siebie. Wiedziałem, że nie przeżyję.

Kapitan zawsze schodzi z pokładu ostatni.

W tym momencie liczyło się to, żebym kupił im tyle czasu, by udało im się odpłynąć na pokładzie Crescencii. Mięśnie ramion paliły mnie z wysiłku, kiedy ładowałem ołowianą kulę do lufy, stękając przy tym i dysząc ciężko. Chwyciłem stempel i pchnąłem go otworu, by uszczelnić ładunek. Sprawdziłem, czy na panewkach znajduje się proch. Złapałem palącą się pochodnię i powietrze przeszył potworny huk, gdy kula armatnia rozerwała ścianę tuż obok ambrazury trzeciej armaty. Poczulem pęd powietrza w niedużej odległości od policzka. Straciłem równo-wagę i upadając, wypuściłem z dłoni pochodnię. Statek zachybotał niebezpiecznie, a ja uderzyłem głową o podłogę, boleśnie przygryzając sobie język. Zamroczyło mnie. Przed oczami tańczyły czarne plamy. W uszach rozpanoszył się głośny pisk, a w ustach czułem metaliczny smak. Podniosłem się na kolana i kilkakrotnie potrząsałem głową, próbując dojść do siebie. Złapałem leżącą obok pochodnię i wstałem. Miałem problem z utrzymaniem równo-wagi. Wszystko wokół mnie wirowało. Kolejna kula przeszła na wylot niedaleko schodni prowadzącej na górny pokład. Przyłożyłem tłący się ogień do panewki i się odsunąłem. Armata odskoczyła do tyłu, wyrzucając z impetem kulę, która trafiła wrogi statek w okolicach rufy. Oba galeony wystrzeliły w momencie, kiedy odpaliłem drugą z armat. Lerate zadrgała, a statek przechylił się

tak bardzo, że nie mogłem ustać. Podpaliłem trzecią panewkę i na czworakach ruszyłem do wyjścia na pokład. Kiedy dzieliło mnie od niego dosłownie kilka kroków, statkiem znów wstrząsnęło, a ja poczułem niewyobrażalny ból w nodze i zdałem sobie sprawę, że nie mogę się ruszyć. Spojrzałem za siebie. Nogę przydusiła mi jedna z armat, która musiała się przetoczyć z ambrazury na drugą stronę z powodu przechyłu statku. Próbowałem się wyswobodzić. Na próżno. Każdy mój ruch powodował agonizujące fale bólu i dopiero po chwili dotarło do mnie dlaczego. Kiedy leżąc zgięty wpół, przyglądałem się zakleszczonej łydce, zdałem sobie sprawę, że pomiędzy materiału spodni wyziera biel połamanej kości. Zamknąłem oczy, by zapanować nad gwałtownymi mdłościami.

To koniec, Marcosie...

Nie podnosiłem powiek, bo nie miałem na to siły. Ból powoli zaczął się przeradzać w dziwne otepiałające ciepło. Statek przechylił się tak, że przez otwory strzelnicze na sterburcie zaczęła wpływać woda. Armata przyduszająca moją nogę stoczyła się gwałtownie, uwalniając mnie z pułapki. Wrzasnąłem, kiedy nagły ból przeszył mnie na wskroś. Przeturlałem się i uderzyłem plecami o wręgę¹⁰⁸. Czułem, jak lodowate fale obmywają moje wycieńczone bólem ciało – były tak przeraźliwie zimne, że przez moment nie mogłem zaczerpnąć powietrza. Słona woda wdarła się w ranę, znowu powodując agonizujący przyływ bólu. A ja mogłem tylko leżeć. Pokonany.

Powoli przestawałem czuć cokolwiek. W jednej z ambrazur znajdującej się teraz nad moją głową dostrzegłem błękitne niebo. Woda, sięgająca mi niemalże do skroni, nie powodowała już dyskomfortu, a przyjemnie chłodziła. Nie odrywałem wzroku od tego skrawka nieba, które dane mi było jeszcze zobaczyć przed śmiercią. Uśmiechnąłem się, kiedy nagle zamiast błękitu dostrzegłem zielone oczy. A potem jej twarz. Ona też się uśmiechała.

Jest bezpieczna.

Mimo że przymknąłem powieki, nadal ją widziałem. Czułem na ustach jej pocałunki. Jej palce lekko przeczesywały moje włosy. Jej głos szeptał, bym odpoczął. Miała rację. Byłem taki zmęczony.

– Tylko chwilę – wyszeptałem, ledwie poruszając wargami.

Woda wdarła mi się do gardła. Zakrzusłem się, ale nie byłem w stanie się podnieść. Nie byłem w stanie oddychać, bo jakiś ciężar przyduszał mi klatkę piersiową tak bardzo, że nabranie powietrza okazało się niemożliwe.

Odpocznij, Marcosie... – jej dziewczęcy głos rozległ się dźwięcznym, przyjemnym echem w mojej głowie.

Poczułem się lekki. Ból ustał. Ogarniająca mnie ciemność wydała się nagle bardzo zachęcająca. Wyciągnąłem ku niej dłoń, a drobne, dobrze mi znane palce splotły się z moimi. W uszach rozbrzmiał jej śmiech. Pozwoliłem, by pociągnęła mnie za sobą, i podążyłem za jej głosem do miejsca, gdzie nie było już nic.

108 Wręga – część szkieletu kadłuba statku.

Epilog

Woda uniosła bezwładne ciało i wypchnęła przez otwór prowadzący na pokład. Krew z roztrzaskanego nogi zabarwiała ciecz wokół topielca na różowawy kolor. Lekkie fale kołysały nim niczym beładnym liściem, twarz zastygła w błogim grymasie miał zwróconą ku niebu. Promienie zimowego słońca łagodnie prześlizgiwały się po bliznach i przymkniętej powiece. Sine usta były lekko rozchylone, a mokre włosy częściowo przysłoniły opaskę na oku.

– Tam, Javierze! – rozległ się okrzyk.

Po chwili do ciała podpłynęła samotna szalupa.

– Żyje? – spytał Farren.

– Nie wiadomo – odrzekł jeden z kompanów. – Bierzemy go na podkład.

Dwie pary rąk złapały dłonie topielca i sprawnie wciągnęły do szalupy. Bezwładne ciało z cichym tąpnięciem uderzyło o wilgotne dno łajby. Pióra pagajów zanurzyły się niemalże bezdźwięcznie i wprawiły łódkę w ruch, prowadząc ją w kierunku czekającego na nią okrętu.

Z mozołem wciągnięto mężczyznę na pokład statku, rzucając nim niczym kukiełką. Ahen Gallagher podszedł do nieruchomego ciała Marcosa i nogą przewrócił go na plecy. Jego dłonie bezwładnie rozłożyły się na boki. Z drwiącym, pełnym satysfakcji uśmiechem lustrował swojego najzagorzalszego wroga, aż zatrzymał wzrok na pogruchotanej nodze.

– W końcu dostał to, na co zasłużył! – syknął Javier z satysfakcją, stając tuż obok kapitana.

Jedną z dłoni trzymał w miejscu, gdzie raniła go szpada Francis-ki. Szczęśliwie było to tylko draśnięcie.

Oto spełniło się jego najskrytsze marzenie. Marcos Noir nie będzie już stanowił przeszkody. Javier dawno uknuł chytry plan. W dniu, w którym czmychnął z pokładu Lerate, poprzysiął odzyskać Franciscę. Bez trudu odnalazł Ahena Gallaghery i wkupił się w jego łaski, zdradzając plan Czarnych Braci dotyczący zakupu ziemi od landlorda w Belfaście. Przez lata spędzone pod piracką banderą Javier nauczył się jednego: słuchać uważnie i gromadzić zdobyte informacje, by potem sprzedać je za odpowiednią cenę. A wykorzystanie nienawiści Morvina Gallaghery do Czarnych Braci jawiło się jako idealne rozwiązanie. Pomoże Ahenowi pojmać Cruza i Severa, a nagrodą będzie Francisca. Jego Francisca. Odzyska jej serce, które zaślepiła miłość do Złotookiego Chłopca.

Bodajbyś szczęł, czarci pomiole, pomyślał Javier i już miał kopnąć Marcosa w złamaną nogę, gdy usłyszał rozkaz Ahena.

– Do mojej kajuty! Oboje!

Zerknął w stronę Nyi Gallagher, która posłusznie udała się za swoim bratem. Nie był świadom, że jako jedyna czujnie obserwowała poczynania Javiera. I jako jedyna mu nie ufała, przyjrzawszy jego nieczne zamiary. Nie spodziewała się jednak tego, że życie zmusi ją do współpracy z nim, by w końcu mogła osiągnąć upragniony cel.

Od autorki

Ahoj, szczury lądowe! Mam nadzieję, że czytając o przygodach Czarnych Braci, bawiliście się równie przednio jak ja, gdy tworzyłam ich historię. To nie koniec opowieści. Przed Wami dwa tomy: o Cruzie i Severze. A i Francisca pokaże jeszcze, na co ją stać.

Dziękuję Wydawnic-twu Otwartemu za ten „pirac-ki eksperyment”, a zarazem możliwość sprawdzenia się w zupełnie nowym dla mnie gatunku literac-kim.

Pani Eli Kot za świetną współ-pracę podczas redakcji.

Jac-kowi Jaworskiemu i @podrugiejstronieokladki za marynarskie konsultacje (stwierdzam, że research na temat -mafii to pikus w porównaniu z pisaniem tej historii, ale BYŁO -WARTO!).

Osobne podziękowania kieruję do swojej niezastąpionej -betareaderki Kamili Cukrowskiej--Klimek. Zawsze mogę na Ciebie liczyć (i na Twoje motywacyjne kopniaki).

Dziękuję pierwszym recenzentkom – które miały okazję przeczytać surową wersję tego tomu serii *Czarne -zagle* – za cenne uwagi i dyskrecję. Dzięki Wam mogłam dopracować powieść tak, by spełniała Wasze czytelnicze oczekiwania:

Monice Skibiń-skiej

Patrycji Ujeździe

Joannie Prugar

Agacie i Karolinie z @czarno.czerwone.cc

Agnieszce Lingas--Łoniewskiej

Paulinie Zalec-kiej

@nie_czytam_w_papierze

Mamo, Tato, dziękuję, że pomogliście mi ogarnąć cały ten galimatias, kiedy wszystko waliło się na głowę i kumulowało w jednym czasie.

Mężowi i dzieciom dziękuję za cierpliwe znoszenie moich pisarskich fochów. I za wsparcie. Każdemu życzę tak wspaniałej i wyrozumiałej rodziny!

Dziękuję swojej Książkowej Bratwie za nasze (nie zawsze książkowe) pogaduchy!

Dziękuję także wszystkim, którzy przyczynili się do promocji moich książek, a nie byłam w stanie ich wymienić.

Obserwujcie moje profile społecznościowe:

facebook.com/paulinajurga.autor

instagram.com/paulinajurga_

tiktok.com/@paulinajurga_

twitter.com/JurgaPaulina

Pomyślnych wiatrów :)

Playlista

Światło, ShataQS

Stay with Me, Brice Davoli, Valerie Deniz

My Life Is Going On, Cecilia Krull

Wstajemy już, Tulia

Wait, M83

Un nouveau soleil, M83

Trees, Twenty One Pilots

Oblivion, M83, Susanne Sundfør

StarWaves, M83, Anthony Gonzalez, Joseph Trapanese

The Funeral, Band of Horses

Wellerman, Nathan Evans

Fire Marengo, The Dreadnoughts

Interstellar, Gacabe & Jecabe

Leaves, Dominik A. Hecker



CHOMIKO - WARNA

СНОМІКО _ WАРNІА